

Barbara Dussler
Anioły
naprawdę istnieją
Spisała Ursula Mensah
Z niemieckiego przełożyła Małgorzata Mirońska
KDC

KLUB DLA CIEBIE

Tytuł oryginału

Und Engel gibt es doch

Redaktor prowadzący

Sylwia Bartkowska

Projekt okładki Piotr Adamczyk /*«\$

Redakcja [I F,LI*

Andrzej Wróblewski 1 ® ' jT \ft- AJ

V***.

Korekta \fbko*£.

Bożenna Burzyńska II_o, V

Copyright © by Verlagsgruppe Ltbbe GmbH & Co. KG, Bergisch
Gladbach 2004

Copyright © for the Polish translation by Bauer-Weltbild Media

Sp. z o.o., Sp.K., Warszawa 2006

Wszystkie prawa zastrzeżone

Bauer-Weltbild Media Sp. z o.o., Sp. K.

Klub dla Ciebie

Warszawa 2006

ul. Majdańska 12

04-088 Warszawa

www.kdc.pl

Sześćset trzydziesta szósta publikacja Klubu dla Ciebie

ISBN 83-7404-252-4

Skład i łamanie EFKA, Łódź

Druk i oprawa

Oldenbourg Taschenbuch GmbH

Hiirderstrasse 4

85551 Kirchheim

^ç\iooC>

Basia miała dwanaście lat, gdy usłyszała straszną diagnozę - „Choroba Hodgkina”. Książka ta jest przejmującą historią jej długotrwałej kuracji i walki ze śmiertelną chorobą, której bohaterka stawiała czoło z zadziwiającą odwagą i wiarą we własne siły.

Środa, 12 czerwca 2002 Basia

Znowu!

Budzę się nagle w środku nocy. Ostrożnie przekręcam głowę w lewo, chcąc odczytać godzinę na małym turystycznym budziku stojącym na szafce nocnej. Trzecia dwanaście. Nieznaczny ruch potwierdza moje obawy: znów jestem przepełniona do suchej nitki. Długie pasma przepełnionych włosów nieprzyjemnie oblepiają mi twarz. Zamieram w bezruchu, nasłuchując w ciemności. Jest cicho - nie licząc równomiernego oddechu pogrążonych w głębokim śnie moich trzech przyjaciółek, z którymi dzielę pokój w internacie.

Wysuwam się spod kołdry, przysiadam na krawędzi łóżka, a potem przemykam na palcach do drzwi. Otwieram je ostrożnie i drepcę długim korytarzem w stronę toalety. Żeby tylko nikogo nie obudzić! Żeby tylko nie musieć odpowiadać na żadne pytania! Koszmar! Wystarczy, że

już w ciągu dnia robię wszystko, żeby nie rzucać się w oczy, nie sprawiać wrażenia chorej. Zresztą, przecież wcale nie jestem chora, tylko zmęczona, strasznie zmęczona; taka słaba i oklapnięta. Zupełnie jak balon, z którego uszło powietrze. I to już od wielu tygodni. Najgorsze, że stale chudnę, chociaż rzucam się na jedzenie niczym wygłodniały drwal. Czuję przez skórę, że coś tutaj nie gra. Tylko co?

7

Chciałabym to wiedzieć, ale mój paniczny strach przed lekarzami, a w szczególności przed zastrzykami, każe mi milczeć i z uporem tłumić bunt mojego ciała. Poza tym, no cóż.... nie chcę martwić mamy.

„To minie!” - moja magiczna formułka, za pomocą której próbuję dodawać sobie otuchy. Każdego dnia. Nie chcę i nigdy nie zaakceptuję faktu, że z każdym dniem czuję się coraz gorzej.

Na początku maja złapałam gdzieś infekcję żołądkowo-je-litową. Po tygodniu pobytu w szpitalu zostałam wypisana z adnotacją „zdrowa”, ale od tamtej pory ono ciągle jest: ciężkie znużenie, połączone z dziwnym lękiem, do którego za nic w świecie nie chcę się przyznać. Ten strach trzyma mnie w niewoli, choćbym nie wiem co robiła, żeby go zwalczyć. Cicho, w milczeniu, a przede wszystkim niepostrzeżenie, Bo teraz najważniejsze to nie rzucać się w oczy!

Gdyby tylko nie było tego suchego, bolesnego kaszlu, który dokucza mi od kilku tygodni, kalecząc niemiłosiernie moją biedną krtani, i który tak bardzo działa mi na nerwy. Domyślam się, że moje współlokatorki też mają po dziurki w nosie tego „szczekania”, choć póki co, zachowują uprzejmie milczenie, powstrzymując się od kąśliwych komentarzy. Na domiar złego, w ostatnim czasie kaszel jest jeszcze silniejszy i często kończy się atakiem wymiotów. Umieram ze strachu, że następnym razem nie uda mi się dobiec do jakiegoś odosobnionego kąta szkoły lub internatu. Za nic w świecie nie chcę być odesłana do lekarza. Robię wszystko, żeby nikt nie zwrócił uwagi, jak okropnie się czuję i co się ze mną dzieje.

Teraz nawet nocą nie mam spokoju. Moja ukochana piżama w różowo-szare paski klei się do mnie, jakbym wykapała się w niej w cuchnącym bajorze. Jest mi zimno. Co to mo-

8

że znaczyć? Nic z tego nie rozumiem. Od wielu dni co noc budzę się w tym samym stanie: skóra i włosy złane potem, kompletnie przeпоcona piżama. Prześcieradło, poduszka i materac też całkiem mokre.

Drżąc na całym ciele i szczękając zębami przemykam z powrotem korytarzem do swojego pokoju. Marzę tylko o jednym: jak najszybciej znaleźć się w łóżku. I jak każdej nocy jestem zbyt zmęczona, żeby brzydzić się tego lepkiego od potu „łoża boleści”; zbyt senna, żeby mogła przeszkadzać mi mokra piżama. Wślizguję się pod kołdrę, czuję sztywne od potu prześcieradło i natychmiast zasypiam jak kamień.

Czwartek, 13 czerwca 2002

Basia

„Dzień dobry! Siódma godzina! Dziewczęta, wstajemy. Raz, dwa, trzy!” - głos siostry Itty wrywa mnie z głębokiego snu. To moja ulubiona wychowawczyni, która w tym tygodniu ma poranny dyżur i dlatego od kilku dni zjawia się w naszym pokoju punkt siódma. Ani minuty później. Wiadomo - porządek musi być! Czuję się tak, jakby przez całą noc łamano mnie kołem. Czy to możliwe, że znów zaczyna się dzień?! To niesprawiedliwe!

Hela, Iris i Marysia zaczynają paplać jak najęte, jak tylko siostra Itta zamyka za sobą drzwi naszego pokoju. Dawniej nigdy mnie to nie denerwowało. To właśnie ja byłam pierwszą, która dzielnie wyskakiwała z łóżka i biegła jak na skrzydłach do łazienki. Cieszyłam się, że oto znów zaczyna się nowy dzień - kolejny piękny dzień z moimi przyjaciółkami.

9

.... . ia, „torn do Piero °d września zeszłego roku.

W internacie jestem auK , ...
• a тЯ^o jedynaczka zawsze wyobrażałam Na własne życzenie. i^UJ ... ,, ... ,
.. ... ' m,- bV(< wspaniałe, byc na co dzień z przy-sobie, jakie to musi Ł>yc *• F. , ' J .
... :
... • tt,,un nrrnawiac się z nimi przez telefon do laciółkami, a me tylko un • •

kina lub na lody. Jeszcz* dwa miesiące temu dosłownie chłonełam każdy dzień Ji me mogąc się nacieszyć, że jest tu tyle fajnych dziewcząt. Ale dzisiaj marzę tylko o jednym - chcę zostać sarna!

J T . . . i • ,, QWoim łozku i czekam, az wszystkie Lezę więc dalej w sw _
j
przyjaciółki pójdą do **<£. Teraz.wszystko musi iść bardzo szybko i sprawne Moj plan działania jest prosty i skuteczny. Wstaję, zry*am z ciała mokrą piżamę a następnie upycham ją posp^ie pod zeszytniała od potu poduszkę Zaraz potem ś*elę łóżko. Nikt nie może zobaczyć, a już w żadnym raZie poczuć, co się dzieje pod mo-
^ Podpaś śniadania wączam w siebie trzy bułki Wychowawczynie czuwają »ad пиит апетыtem, odkąd moj tata postawił pod mur ca* ciało pedagogiczne, obwiniając wszystkie wychowawczynie po kolei, ze zaniedbują swój

, . , . „o. „aHzorowania mnie - tylko dlatego, „święty obowiązek nao*
3 • &

, ^,,пЛп\ trochę schudłam. Rzeczywiście, że w ciągu paru tygodni . v /
byłam o parę kilogramów cięższa. Na domiar złego, tata doprowadził do obłędu również moją mamę opowiadając

.. . u;ctnrrie: ze jestem zabiedzona, blada
iei niestworzone histon j

. J, , . __, κ która zawsze byłam „okazem
i chuda jak szczapa. J*

• „ t t> „;,, łakomczuszka słynąca zawsze z do-zdrowia". Ja, Basia-łakK^ _ 3 ч
/-ли „,rzeczywiście schudłam, ale w końcu brego apetytu. Okay, rze
. ° n , • • „i,, mnsHC> a do tego leszcze od niedaw-jestem młoda i ciągle ro» v,
& j

u „u anarat- Poza tym przez zakażenie zona mam na zębach apar* . , . ' K .. ,, , ,
tv wdzien nic nie laďłam. To przecież

ładka i jelit przez cały tr J ' r
. , i . ла nie mogłam przytyć, choćbym nie jasne jak słońce, ze nie Ъ v 3 3
3

10
wiem jak się starała. Nie widzę potrzeby oznajmiania całemu światu, że mam ataki kaszlu, które zwykle kończą się wymiotami. Nie chcę o tym mówić. Opycham się wysokokalorycznym pieczywem grubo posmarowanym marmoladą, chociaż już po swoich dwóch bułeczkach jestem najedzona.

Pierwsze dwie godziny w szkole jakoś przetrzymuję. Dwa razy udaje mi się stłumić atak kaszlu lekkim pokasły-waniem i tylko raz muszę pobiec do toalety, żeby się porządnie wykaszleć. Nie mogę zostać w klasie, ponieważ podczas ataku moje ciało reaguje tak gwałtownie, że muszę przykucnąć. W takich chwilach wolę być sama. To naprawdę nie jest fajny widok. Poza tym, nie chcę przeszkadzać w lekcji, tym bardziej że nigdy nie wiem, czy atak nie skończy się wymiotami. Tym razem udaje mi się zachować moje śniadanie w całości. W czasie przerwy wykradam się niepostrzeżenie z budynku szkoły i biegnę jak szalona do swojego pokoju. Muszę uważać, żeby żadna z wychowawczyń krążących po internacie mnie nie zauważyła. Udało się! W dzikim pośpiechu otwieram na oścież wielkie okno i wywieszam

przepełnioną kołdrę i poduszkę w nadziei, że do obiadu wyschną na świeżym powietrzu. Szkoda, że nie można wywiesić za oknem materaca, który też cały nasiąknięty jest potem, a ja dokładnie to czuję każdego wieczoru, kiedy się kładę do łóżka.

Pizamy i powłoczki nie ma potrzeby zmieniać - robię to tylko raz w tygodniu, tak jak wszyscy w naszym internacie. Tak więc dzień po dniu poddaję się reżimowi, który sama sobie narzuciłam. Natchniona, a raczej powinnam powiedzieć - opętana, przez jedną myśl: „Tylko nie rzucać się w oczy! Nie dać nic po sobie poznać!”.

11

„Gdzie byłaś?” - wita mnie Marysia, gdy zakradam się z powrotem na dziedziniec szkoły. Ona jest najbardziej opiekuńcza spośród serdecznych przyjaciółek, z którymi dzielę czteroosobowy pokój w internacie. - „W kiblu!” - warczę nieprzyjaźnie. Nie mam dość siły na wymyślanie na poczekaniu wiarygodnie brzmiących kłamstw, mających wyjaśnić moją nieobecność, a jeśli zacznę się tłumaczyć, Marysia będzie wiercić mi dziurę w brzuchu i na pewno nie popuści. Już ja dobrze znam tę naszą miłosierną „matkę Teresę”. W głębi duszy jest mi jednak przykro, że tak ją potraktowałam. Pewnie dlatego Marysia patrzy na mnie przestraszona, mrugając oczami. Wstydę się swojego zachowania - to naprawdę było nie fair - i szybko odwracam się do lekko aroganckiej i zawsze „cool” Heli, która też mieszka z nami w pokoju, i która niespecjalnie troszczy się o innych. Mimo to jestem jej fanką - podziwiam ją, adoruję, i jestem nieskończenie dumna, że ta śliczna dziewczyna, która przyjechała do nas z Meksyku tylko na rok w ramach międzynarodowego programu wymiany należy do ścisłego kręgu moich internatowych przyjaciółek.

- Hela, słuchaj, mam świetny pomysł! Po obiedzie nastawimy sobie Taniec wampirów i trochę poszalejemy. Będzie super! Wchodzisz w to? - pytam, próbując zmienić temat i odwrócić uwagę od mojego „tajemniczego” zniknięcia. Hela zastanawia się przez chwilę, z całym rozmysłem podkreślając swoje znudzenie. Wpatruję się w nią jak zaczarowana; czy w końcu powie „tak”...?

Na Wielkanoc pojechałyśmy z mamą do Stuttgartu na Taniec wampirów. To było niesamowite przeżycie, z miejsca zakochałam się w tej mrocznej historii. Od tamtej pory stale słucham płyty kompaktowej ze ścieżką dźwiękową tego musicalu.

12

„No, Hela, nie bądź taka! Nie daj się długo prosić!” - przychodzi mi z pomocą Iris, nasza gwiazda sportu. Ta dziewczyna dosłownie tryska energią i zawsze jest pierwsza, gdy coś się dzieje, gdy szykuje się jakaś fajna zabawa i jest dużo ruchu. Heli znowu się udało, znów dopięła swego, bo decyzja należy do niej - ona znajduje się w centrum uwagi, jest gwiazdą i dyktuje warunki. Swoją drogą ciekawe, dlaczego zawsze zgadzamy się bez szemrania, by wszystko zależało od jej humoru. Czarnowłosa piękność wpatruje się jeszcze przez chwilę w przestrzeń, nie racząc zaszczyścić spojrzeniem żadnej z nas, po czym zgadza się łaskawym skinieniem głowy. Iris i ja wystrzelamy w górę jak wyrzucone z katapulty, piszcząc z radości. Nasza wesołość jest jak zwykle zaraźliwa. Hela i Marysia wybuchają śmiechem. Gdy na dziedzińcu rozbrzmiewa przenikliwy dźwięk dzwonka zwiastujący zakończenie przerwy, ruszamy z powrotem do szkoły, trzymając się pod rękę.

Kara za swawolę spotyka mnie jeszcze na korytarzu. Czuję, że zbliża się kolejny atak kaszlu i czym prędzej uciekam do toalety. Całe szczęście, że toaleta jest pusta. Tym razem nie udaje mi się jednak zablokować ataku kaszlu. Moje śniadanie ląduje w umywalce, której trzymam się z całej siły, żeby nie stracić równowagi. Boże, jaki wstyd! Gdyby ktoś teraz tutaj wszedł! Szybko wycieram do czysta umywalkę papierowymi chusteczkami, wrzucam je do muszli klozetowej i spuszczam wodę. Rozpaczliwie grzebię w kieszeniach spodni, szukając gumy do żucia. Znajduję połówkę. Ufff, co za ulga! To wystarczy, żeby nie siedzieć w klasie, ziejąc z ust tym ohydny, nieświeżym oddechem. Umywalka w porządku, woda spuszczone. Jeszcze tylko szybko umyć ręce i galopem do klasy, zanim przyjdzie nauczyciel!

13

Po moim pierwszym ataku kaszlu, który zakończył się wymiotami, siedziałam potem na lekcji jak trasia i prawie bałam się oddychać. Ze strachu, żeby moje sąsiadki z ławki nie poczuły ohydneho, kwaskowatego odoru, którego nie można, niestety, zniwelować samym tylko wyflukaniem ust. Wtedy, za pierwszym razem, mogłam przysiąc, że ten wstrętny odór unosi się nad całą klasą. Okropność. Od tamtej pory zawsze noszę ze sobą miętowe cukierki albo gumę do żucia - najlepiej miętową.

W klasie panuje straszny upał. Czuję, że moja głowa staje się coraz cięższa. Mam wrażenie, jakby cała była wypełniona watą. Skąd ja to znam...Ta wata wy głusza szuranie stóp o posadzkę, szepty i pokastywania moich koleżanek. Monotonny głos nauczyciela dochodzi do mnie jak zza grubej kotary, z ledwością mogę zrozumieć, co mówi. W którymś momencie nic już nie rozumiem. Próbuje skoncentrować się, uważać i pisać razem z innymi to, co dyktuje nauczyciel. Ale gdy tylko opuszczam wzrok na zeszyt, powieki natychmiast mi się zamykają. „Weź się w garść, Baśka!” - zaklinam się w duchu i niemal automatycznie zaczynam się wiercić na krześle - być może ta odrobina ruchu pomoże mi nie zasnąć. W końcu udaje mi się jakoś dotrzeć do końca lekcji.

Po szkole idziemy zawsze na obiad do stołówki i dopiero potem wracamy do naszych pokoi. Do tej pory bardzo mi to odpowiadało, ponieważ zwykle koło południa kiszki zaczynały mi grać marsza. Od kiedy jednak mam w nocy te okropne poty, w pierwszym rzędzie powinnam pamiętać o „zacieraniu śladów”, dlatego zanim zjawię się w stołówce, muszę dotrzeć do swojego pokoju, żeby zdjąć z okna suszącą się pościel. Szlag by to trafił, znowu nie wyschła! No, ale nie jest już tak wilgotna jak rano. Dobrze i to.

14

Starając się nie rzucić nikomu w oczy, pomykam do jadalni. Mam nadzieję, że jeśli ktoś mnie zapyta, co robiłam na piętrze, to wymyślę na poczekaniu jakąś historyjkę. Powiem, że zapomniałam zegarka albo coś podobnego.

Dziś na obiad kotlety mielone, puree z ziemniaków i mizeria. Pycha! Biegnę w podskokach do naszego stolika, chwytam za widelec i zajadam, błogosławiąc w duchu kochane panie kucharki. Wylizuję talerz do czysta i biorę dokładkę. W końcu, jak by na to nie patrzeć, straciłam swoje śniadanie, a ponieważ mój żołądek bardzo nie lubi takich niespodzianek - najwidoczniej jeszcze się do nich nie przyzwyczył - już od kilku godzin gniewnie burczy. Hela, jak zwykle powściągliwa i dystygowana niczym „rasowa” dama, wytwornym ruchem wkłada do ust maleńkie kąski. Również Marysia je raczej niewiele. Dobrze, bardzo dobrze. Tylko Iris zawsze dotrzymuje mi kroku. W tej konkurencji nie mamy sobie równych. Po obiedzie mamy dwie godziny wolnego. Możemy ten czas spędzać w ogrodzie internatu albo w swoich pokojach. W innych pokojach często wybuchają kłótnie, i nie ma w tym nic dziwnego - to się nazywa „konflikt interesów” - bo jedna chce w spokoju poczytać, a inna woli słuchać głośnej muzyki. U nas jest inaczej. Ma się rozumieć, my też nie jesteśmy aniołkami i często się kłócimy. Ale jeśli chodzi o organizację czasu wolnego, to prawie zawsze jesteśmy zgodne. Dlatego również tego popołudnia zgodnie, „jak jeden mąż”, śpiewamy, tańczymy, wyginamy się i szalejemy po całym naszym pokoju w rytm Tańca wampirów. Jeśli ktoś zobaczyłby mnie teraz, płaszącą w dzikim tańcu z innymi „wampirzycami”, to nigdy by nie uwierzył, z jakim trudem mi to przychodzi. To prawdziwy cud, że w ogóle się ruszam. Jestem taka zmęczona, ociążała, tak strasznie boli mnie głowa.

15

Najchętniej rzuciłabym się na łóżko, przytuliła do poduszki i zasnęła jak kamień. W tym wszystkim jedno tylko jest dobre - przy głośnej muzyce mogę kasłać do woli i nikt nie zwraca na to uwagi. Kiedy czuję, że nadciąga atak kaszlu, po prostu odwracam się plecami do moich przyjaciółek, posuwając się tanecznym krokiem w przeciwnym kierunku.

Dopiero gdy dziewczyny już leżą bez tchu na swoich łóżkach, również i ja pozwalam sobie na to, o czym w skry-tości ducha marzyłam już od kilku godzin, a dokładnie odkąd wstałam od stołu po obiedzie. Opadam na łóżko i zamykam oczy. Gdy nadchodzi kolejny atak kaszlu, odwracam się do ściany i podciągam wysoko nogi.

Muzyka urywa się tak niespodziewanie, że nie udaje mi się już zareagować. Suche szczekanie, którego nienawidzę z całego serca, i którego, niestety, nie potrafię już kontrolować, rozbrzmiewa nagle w pokoju jeszcze bardziej szkaradnie niż zwykle. Ktoś kładzie chłodną dłoń na moim czole. Z całej mocy koncentruję się na spokojnym oddechu. Udało się, atak minął. Odwracam się i widzę Marysię stojącą przed moim łóżkiem. Wyraz jej twarzy nie wróży niczego dobrego. „Basiu, proszę!” - mówi niecierpliwym głosem przyjaciółka. - „Żarty się skończyły, musisz jak najszybciej iść do lekarza, tak daleko być nie może. Twój kaszel z każdym dniem robi się coraz gorszy!” - Nie mam zamiaru słuchać jej kazań i odpowiadam błyskawiczną kontrą. - „Nie!” -wykrzykuję. - „Przecież wiesz, jak bardzo boję się zastrzyków!” - „Dziewczyno, nie bądź głupia!” - wtrąca się do rozmowy Iris. - „Z powodu jakiegoś kaszlu nikt nie dostaje zastrzyków! Puknij się w głowę!”. To brzmi wprawdzie jak objawienie, ale, hola, hola, nie tak szybko, drogie panie... Tak łatwo nie dam się przekonać. W końcu jestem Koziorożcem, a te, jak wiadomo, bywają bardzo uparte.

16

Bądź co bądź, dziewczyny nic nie wiedzą o innych moich dolegliwościach - i nawet nie mają pojęcia, jak okropny jest ten kaszel. Z Marysią i Iris już od dłuższego czasu prowadzę dyskusję na temat ewentualnej wizyty u lekarza. Ale dzisiaj po raz pierwszy głos zabiera również Hela: „Do diabła, nie zachowuj się jak rozkapryszony bachor! Twój kaszel naprawdę zaczyna działać mi na nerwy. Szczególnie w nocy!” - fuka na mnie jak rozłoszczona kotka, po czym spokojnie wraca do przeglądu zawartości swojej kosmetyczki.

Przestraszona wlepiam wzrok w całą trójkę. Twarze pełne wyrzutu. Do tej pory byłam święcie przekonana, że moje współlokatorki nic nie wiedzą o nękających mnie nocą atakach kaszlu. Marysia dostrzega moją niepewność, zmienia front i zaczyna przemawiać anielskim głosem: „Jeśli się boisz, to pójdę do lekarza razem z tobą”. Nadal milczę. - „Zgódź się”, prosi, patrząc mi prosto w oczy i bierze moją rękę. Mocno ją ściska i dodaje cicho: „I nie puszcze jej, dopóki nie wyjdziemy razem z gabinetu!”.

Patrzę w jej dobre niebieskie oczy, a wyobraźnia podsuwa mi straszne obrazy - widzę uśmiechającego się złośliwie lekarza, który skrada się do mnie z ogromną strzykawką. Zaczynam się trząść ze strachu. Marysia domyśla się pewnie, co się ze mną dzieje, ale wytrzymuje moje spojrzenie. Ta dziewczyna ma charakter! Jej iście matczyne nadopiekuńczość i ciepła dłoń, która wciąż jeszcze trzyma moją w serdecznym, ale stanowczym uścisku, w tej chwili jest dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. Czyżby „dotyk anioła”?

Marysiato twarda zawodniczka. Powinna była wiedzieć, że ja nie da za wygraną. Czuję się zwyciężona. Poddaję się! „Okay, pójdę do lekarza!” - mówię.

V V 17

Okrzyki radości moich przyjaciółek uderzają w moje bębenki. Żałuję, że nie potrafię podzielić ich entuzjazmu. - „Ale tylko wtedy, kiedy ty pójdziesz ze mną, Marysiu!”, staram się przekrzyknąć rozszalałe towarzystwo. Przyjaciółka obejmuje mnie serdecznie i szeptem mi do ucha: „Słowo honoru!”.

Piątek, 14 czerwca 2002 *

Basia

Dziewczyny od razu zaciągnęły mnie do siostry Itty, upierając się, żeby natychmiast wyznaczyć mi termin wizyty u lekarza. No i stało się. Teraz siedzimy w poczekalni. Siostra Itta, która nas tutaj przywiozła, Marysia, która trzyma mnie za rękę i ja - blada jak prześcieradło i umierająca ze strachu. Co się ze mną stanie, jeśli lekarz znajdzie coś więcej

niż tylko zwykły kaszel? Zanim tu przyjechałyśmy, zdążyłam jeszcze wymóc na Marysi i siostrze Itcie przyrzeczenie, że nie pozwolą, aby lekarz pobrał mi krew. Ale co będzie, jeśli on mimo to się uprze, jeśli będzie nalegał? Wysyłam do nieba jeden pacierz za drugim, żeby nie zobaczył, jaka jestem słaba, jak bardzo źle się czuję, a zwłaszcza, żeby się nie domyślił, że w nocy mam te okropne poty.

Czas wlecze się zniechęcająco, w końcu jednak nadchodzi nasza kolej. Godzina prawdy wybiła. Podnoszę się z krzesła, wieszając kurczowo na Marysi. W drodze do gabinetu kolana drżą mi jak galareta. To prawdziwy cud, że mogę jeszcze w ogóle pociągać jedną nogę za drugą. Marysia też mnie ciągnie. To miłe z jej strony.

18

Lekarz wysłuchuje mojej krótkiej opowieści, burczy coś o zaniedbanym zapaleniu oskrzeli, siada przy biurku i chwyta za pióro. Coś tam bazgrze, a potem wciska mi do ręki receptę z syropem. Koniec! Do widzenia! I to byłoby na tyle! Kamień spada mi z serca!

Na ulicy czuję, jak rosną mi skrzydła, puszczam się więc przed siebie kłusem, jak za dawnych czasów, łapię Marysię w objęcia i tańczę z nią poleczkę. Potem chwytam ją za rękę i biegniemy razem do samochodu, krzycząc na całe gardło: „Hip hip hurra!”. Cała promienieję. Czyż ten dzień nie jest wspaniały? Marysiu, dziękuję ci z całego serca! To wcale nie było takie straszne! Mój Boże, dlaczego dopiero dzisiaj tutaj przyszłam. Ależ ze mnie idiotka! Powinnam była zrobić to już dawno temu!

Marysia i siostra Itta cieszą się razem ze mną, nie da się jednak ukryć, że są również lekko zirytowane moim - według nich z pewnością nadmiernie egzaltowanym wybuchem uczuć. Bo i jak mogą w pełni zrozumieć moje szczęście? W drodze do domu przez cały czas modłę się w myślach, powtarzając jak zaczarowana: „Nie mam żadnej strasznej choroby, tylko PRZECHODZONE ZAPALENIE OSKRZELI! Wszystko będzie dobrze”.

Niedziela, 16 czerwca 2002

Basia

Dzisiaj przyjeżdża mama! Tak bardzo się cieszę!

Razem z liczną reprezentacją rodziców i mieszkankami naszego internatu mama obejrzy sztukę Mały wampir, wystawianą przez nasze kółko teatralne. Próby do tego przed-

19

stawienia trwały już od września ubiegłego roku. Mnie przypadła w udziale rola złego sępa Ma, który za punkt honoru postawił sobie wytępienie wampirów. ♦.

Teatr to moja pasja, odkąd tylko pamiętam. Mama opowiadała mi, że już jako mała dziewczynka uwielbiałam stać „na scenie”, i że na każdej uroczystości rodzinnej koniecznie chciałam występować przed publicznością: coś zaśpiewać, coś wyrecytować, odegrać krótką scenkę. Mamę zawsze bardzo to krępowało. Ta moja „sceniczna” pasja była dla niej prawdziwym dopustem bożym. Doskonale to rozumiem - moja kochana staruszka nie chciała być uważana za jedną z tych okropnych matek, które regularnie „tresują” swoje dzieci na takie okazje. W moim przypadku nie było wcale takiej potrzeby, ponieważ ja uważałam to po prostu za wspaniałe, kiedy wszyscy klaskali i cieszyli się, słuchając moich historyjek i wierszy. W takich chwilach czułam, że rosną mi skrzydła.

Wizyty w teatrze były dla mnie zawsze czymś bardzo szczególnym. Gdy siedziałam obok mamy wśród publiczności i z błyszczącymi oczami śledziłam wydarzenia na scenie, nie pragnęłam niczego bardziej, jak znaleźć się tam - wśród aktorów. - „Ja też chcę występować w teatrze” - dręczyłam mamę tak długo, aż w końcu „pękła” i kiedy miałam siedem lat, zapisała mnie do kółka teatralnego działającego przy szkole artystycznej dla dzieci i młodzieży. Spędziłam tam cztery lata. Role, które grałam były bardzo różne, czasem zdarzały się nawet pierwszoplanowe. W każdą, nawet najmniejszą rolę wkładałam całe swoje serce, i tak jest do dzisiaj. Byłam bardzo szczęśliwa, gdy dowiedziałam się, że w internacie

nie muszę rezygnować z tego swojego ukochanego hobby, bo również tutaj działało kółko teatralne, gdzie mogłam dawać upust swoim tęsknotom za wielką sceną.

20

Nie wiem, co to trema przed występem. Po prostu nie znam tego uczucia. Dlatego, również teraz, dosłownie na parę minut przed rozpoczęciem przedstawienia mogę jeszcze wyglupiać się z mamą i przysłuchiwać się, jak opowiada różne nowinki z naszego rodzinnego Biberach. Długo się nie widziałyśmy. Mieszkanki internatu mogą jeździć do domu na weekend tylko co trzy tygodnie. Były jeszcze Zielone Świątki, a potem ferie, które spędziłam z ojcem we Włoszech. Nie widziałam mamy prawie sześć tygodni. Zanim tu przyjechała, umierałam ze strachu, że przejrzy mnie na wylot. Już ona to potrafi... Wystarczy, że spojrzy na mnie swoimi matczynymi, a do tego „medycznie wyszkolonymi” oczami i w mig rozpozna, jak fatalnie się czuję. Stukilowy kamień spadł mi z serca, kiedy popatrzyła na mnie tylko serdecznie i mocno przytuliła do piersi, życząc mi szczęścia i udanego występu. Żadnego łustrującego spojrzenia. Co za ulga!

Potem, po przedstawieniu, które rzeczywiście było bardzo udane, poszłyśmy jeszcze do mojego pokoju i - o dziwo! - również tutaj nie usłyszałam żadnych wyrzutów i irytujących pytań. Może naprawdę nie wyglądam tak źle, jak mi to usiłują ciągle wmawiać inni. W ostatnim czasie, w regularnych rozmowach telefonicznych z mamą często skarżyłam się na te „bezpodstawne” zarzuty i krytyki. Teraz też opowiadam jej o mojej wizycie w gabinecie lekarskim i kończę triumfująco, że lekarz stwierdził tylko przechodzone zapalenie oskrzeli. „Piję grzecznie syrop i jest okay” - zapewniam ją z uśmiechem. „Bardzo możliwe, że masz dodatkowo mały niedobór witamin, wcale by mnie to nie zdziwiło - zastanawia się głośno mama. - Na wszelki wypadek prześlę ci tabletki z kompletnym zestawem witamin”. Dobrze mi robi, kiedy mama jest razem ze mną.

21

Niedziela, 16 czerwca 2002

Mama

Patrząc na moją córkę, trochę się jednak przestraszyłam. Pomimo jej zapewnień, że wszystko jest w porządku. Zrobiła się chuda, mizerna. Gdzie się podział ten okaz zdrowia, ten apetyczny paczuszek, który tak dobrze pamiętam. Ale niczego nie dałam po sobie poznać. Wystarczy, że to dziecko jest już i tak przez wielu ludzi stawiane pod mur i nieustannie nękanie. Ja nie chcę przykładać do tego ręki. Ani myślę wywierać na nią presji.

Basia ma w sobie tyle wdzięku, tryska dowcipem i swoim zwyczajem pozuje na zawadiakę. „Jak długo przy całej tej - istotnie dość podejrzanej - utracie wagi jest jeszcze taka żwawa...” - próbuję uspokajać samą siebie. Tylko ten dziwny, utrzymujący się tak długo kaszel! Ale Basia wie, jak rozwiać moje obawy. Kiedy chcę ją pociągnąć za język i zagadać na ten temat, natychmiast wpada mi w słowo: „Zapomniałaś, że byłam u lekarza? Przechodzone zapalenie oskrzeli! To musi trochę potrwać, zanim tak do końca minie” - trajkocze jak katarynka. „Przecież ty wiesz o tym najlepiej. Ale przysięgam na wszystko: syrop popijam regularnie!” - zapewnia mnie, kładąc rękę na piersi.

Syrop syropem, a strzeżonego pan Póg strzeże... Nie było łatwo, ale w końcu wydarłam z niej przyrzeczenie, że zaraz na początku wakacji podda się gruntownemu badaniu, jeśli jej stan ogólny do tego czasu się nie polepszy. Basia słucha uważnie, ale poznaję po jej minie, że i tak wie swoje. Moja mała mądrała jest przekonana, że syrop na kaszel w zupełności jej wystarczy. Pewnie dlatego nie opiera się zbyt długo i - pewna swego - przystaje na taką umowę.

22

Czwartek, 27 czerwca 2002

Mama

Telefon od siostry Itty. Wychowawczynie mojej córki nie traci czasu na ceremonialne mowy wstępne i natychmiast przechodzi do meritum: „Pani Dussler, bardzo martwię się o Basię!” - zaczyna rozmowę. - „Chciałabym panią prosić, żeby jeszcze dzisiaj przyjechała pani po Basię i przywiozła ją z powrotem do internatu dopiero wtedy, gdy stan jej zdrowia będzie całkowicie i do końca wyjaśniony”. Bardziej niż ta prośba, niepokoi mnie jej uzasadnienie. Siostra Itta opowiada, że przed wielu laty miała już w internacie podopieczną, która wykazywała dokładnie takie same symptomy jak Basia. Okazało się, że była chora na białaczkę.

Teraz nie może już być względów dla tak dobrze mi znanej fobii Basi - jej panicznego lęku przed zastrzykami. W najwyższym stopniu zaniepokojona, natychmiast dzwonię do gabinetu doktora Geigera i uzgadniam termin wizyty, podkreślając, że bardzo zależy mi na pośpiechu. Wprawdzie nigdy jeszcze u niego nie byliśmy, ale jako fizjoterapeutka specjalizująca się w osteopatii, czyli układzie kostnym, wiem, że jest to znakomity fachowiec. Przed dwoma laty doktor Geiger zrezygnował z kontraktu z kasą chorych, żeby jako lekarz medycyny naturalnej mieć więcej czasu dla swoich pacjentów.

W drodze do Wald, do internatu mojej córki, zadreżcam się wyrzutami, obwiniając o grzech zaniedbania. W głowie aż huczy mi od pytań, na które nie mam odpowiedzi. Jeszcze nie mam. Co się dzieje z moim dzieckiem? Czy to możliwe, że jest naprawdę ciężko chora, bardziej niż wszyscy

23

myśleliśmy? Czy to możliwe, że mogłam tego nie zauważyć, że coś tak poważnego nie wpadło mi w oko? Oczywiście, dokładnie się jej przypatrzyłam, oczywiście zauważyłam, że bardzo schudła, ale to akurat da się wyjaśnić na wiele sposobów! Aparat na zęby, który dostała w kwietniu, potem zakażenie żołądkowo-jelitowe. Wchodzi w fazę dojrzewania, rośnie. Bardzo możliwe, że marzy o figurze modelki - to typowe dla dziewcząt w jej wieku. W ten sposób tłumaczyłam sobie również dziwne znużenie Basi, o którym poinformował mnie mój były mąż, po swoim powrocie z dwutygodniowego urlopu we Włoszech. „To może być również tasiemiec” - zastanawiam się, pędząc szosą z nogą na gazie, jak gdyby te kilka minut, o które będę wcześniej u mojego dziecka, mogły cokolwiek zmienić w jego stanie zdrowia. Zaciekle próbuję rozwiać obawy siostry Itty, które zagnieździły się w mojej głowie, i znaleźć jakieś nieszkodliwe, a równocześnie wiarygodne wyjaśnienia wyglądu Basi. „Białaczka! Gdyby tak było w istocie, Basia zachowywałaby się zupełnie inaczej, nie byłaby taka wesoła i pogodna. Czułaby się słaba i rozbita, a poza tym, na pewno zwierzyłaby mi się z tego! Czegoś takiego na pewno by nie przemilczała, nie ukrywała przede mną. Nigdy! Ona po prostu nie potrafiłaby tego zrobić. Jeśli jest coś, o czym wiem z całą pewnością, to właśnie to, że mimo różnicy temperamentów łączy nas niezwykle zażyła i serdeczna więź. I że Basia wie, iż zawsze może na mnie liczyć. O każdej porze dnia i nocy. Do tej pory nie miała tajemnic przed swoją matką, zawsze przychodziła do mnie ze wszystkimi swoimi problemami i zmartwieniami”. Nieco uspokojona i podniesiona na duchu skręcam w szeroką bramę wjazdową do internatu, czując się dostatecznie silna, by stanąć oko w oko z moją córką i być dla niej jak opoka.

24

Oczywiście, nic jej nie powiem o podejrzeniach siostry Itty. To zbyt ryzykowne, nie chcę jej niepokoić - oby bez potrzeby. Będę się upierała przy wizycie u lekarza, ale powinnam być niezwykle czujna, a to oznacza, że muszę swoją rolę zagrać bezbłędnie, żeby Basia nie spostrzegła, jak strasznie się tego boję.

Piątek, 28 czerwca 2002

Basia

Syrop nie pomógł. Nic a nic! Czuję się tak samo podle jak przed wizytą u lekarza. Jeśli nie gorzej... Mam coraz większe problemy z realizowaniem mojej strategii manewrów wymijających, ponieważ w ciągu dnia ledwie trzymam się na nogach.

Teraz też się ślaniem, siedząc z mamą w poczekalni doktora Geigera w Biberach. Przed nami jeszcze trójka pacjentów. Jakaś starsza pani, młoda kobieta i matka z synem. Jeśli chodzi o mnie, to mogłoby ich być dziesięciu, a nawet więcej... Czuję, że robi mi się niedobrze, tym razem jednak ze strachu. Mama powiedziała, że nie możemy czekać z badaniem aż do wakacji, że na wszelki wypadek zaklepała już termin wizyty. Doktor Geiger to znany specjalista - „ciesz się, moja droga, że w ogóle chciał nas przyjąć”. Koniec kropka i bez dyskusji. Byłam bezsilna wobec takiej argumentacji. Coś mi się zdaje, że siostra Itta napędziła jej niezłego strachu. Wszyscy się o mnie martwią, ponieważ jestem coraz chudsza i w dalszym ciągu „szczekam” jak zachrypnięty kundel. Wciąż jeszcze nikt nie wie, że w ciągu dnia wielokrotnie mam wymioty, a w nocy budzę się

25

złana zimnym potem. To moja tajemnica i nie zdradzę jej, choćby mnie przypiekano żywcem. Jestem z tego bardzo dumna. Mam dwanaście lat i ważę trzydzieści cztery kilogramy - przy moim wzroście metr sześćdziesiąt, to rzeczywiście raczej skromny wynik. Mój Boże, czy ja naprawdę muszę tam wejść?! Tutaj jest tak okropnie. Gabinet lekarski -jak ja tego nienawidzę!

Jutro w moim rodzinnym mieście, Biberach, rozpoczyna się święto strzelców. Nadchodzący tydzień jest najwspanialszym w roku dla wszystkich mieszkańców miasta. Ja też bardzo się cieszę na tę uroczystość otwarcia i olśniewającą paradę doboszy, na wielki jarmark i na spotkanie z moimi przyjaciółkami w Biberach.

Mama obiecała mi, że przez cały tydzień będę mogła nie chodzić do szkoły, żeby niczego nie przegapić. Przyzwolenie na wagary - chwala ci za to, kochana mamuniu! W zamian za to musiałam się jednak zgodzić na jej zwariowany pomysł wizyty u lekarza. W głębi duszy - pomimo całej mojej wdzięczności - jestem trochę obrażona na mamę. Przecież to zwykły szantaż! Kto jak kto, ale akurat ona dobrze zna mój paniczny lęk przed strzykawkami. Teraz też trzęsę się ze strachu i mogę myśleć tylko o tym, jak zniosę to pobranie krwi, które należy do „podstawowego badania”, tak samo jak dobosze do święta strzelców. Gdyby mama знаła moją tajemnicę, gdyby wiedziała, jak naprawdę się czuję, zrozumiałaby, dlaczego teraz tak bardzo się boję. Pomimo to, nie mogłam się powstrzymać od pytania: „Jak myślisz, czy to może być coś niedobrego?”, kiedy jeszcze stałyśmy przed domem doktora Geigera. - „Nie wiem, Basiu” - westchnęła i pociągnęła mnie za sobą po schodach do gabinetu z dziarskim: „... miejmy to już za sobą!”.

26

Siedzę i czekam na swoją kolej. Żeby całkiem nie oszaleć ze strachu, zatapiam wzrok w malowidło na przeciwległej ścianie. Energiczne, zamaszyste pociągnięcia pędzlem utrzymane w tonacji wszystkich odcieni błękitu zlewają się przed moimi otepiałymi oczyma w falujące morze. Woda. Przypomina mi o naszej wizycie w Alpa Marę w Zuri-chu. To słynne kryte kąpielisko, z jego niesamowitymi zjeżdżalniami i innymi atrakcjami, od których można dostać zawrotu głowy, stanowi tradycyjnie cel pierwszomajowej wycieczki organizowanej rokrocznie dla uczennic z naszego internatu. Przez całe tygodnie wyczekiwałyśmy z moimi przyjaciółkami, kiedy wreszcie ujrzymy to cudo. Z natury jestem szczurem wodnym; woda - obok teatru -to mój żywioł, nic dziwnego więc, że byłam niezwykle podniecona. W końcu, nie każdy ma okazję gościć w Alpa Marę. Ale tego dnia wszystko było inaczej, niż to sobie wyobrażałam. Mimo tropikalnej temperatury panującej na basenie, było mi zimno. Nie mogłam długo wytrzymać w wodzie. Zawinięta w gruby ręcznik kąpielowy, siedziałam samotnie na leżaku, obserwując w milczeniu moje przyjaciółki. Piszcząc z radości, zjeżdżały z gigantycznych zjeżdżalni, przysiadających ogromne spirale, nurkowały przez potężne fale

albo dawały się unosić lub zalewać potężnym falom, dzięki którym basen wyglądał jak prawdziwe morze.

Nagle zrobiło mi się strasznie smutno. Pomyślałam sobie, że jestem jakimś dziwakiem albo odludkiem. Jak gdybym siedziała pod wielkim szklanym kloszem. Szum fal i krzyki kąpielowiczów dochodziły do mnie jak zza grubej szyby, przytłumione i bezdźwięczne. Przez ułamek sekundy ogarnęło mnie ciemne, złe przecucie. Coś było inaczej. Ja byłam inna. To nie było dobre uczucie. Natychmiast słu-

27

miłam budzący się na dnie duszy strach, ale tego dnia nie udało mi się już odzyskać dobrego humoru.

„Pani Obermayer!” - przenikliwy głos pielęgniarki wrywa mnie z zadumy. Przed nami jeszcze tylko dwóch pacjentów. Młoda kobieta, która siedzi naprzeciwko mnie, pod obrazem, i przegląda spokojnie „Brigitte”. Na kupce czasopism leżą również młodzieżowe, ale jestem zbyt zdenerwowana, żeby teraz czytać. Jak bardzo zazdroścę kobiecie z naprzewidka. Na szyi zawiązała barwną apaszkę. Prawdopodobnie ma tylko głupie zaziębienie. No cóż, gdybym ja miała tylko katar i chrypę, to też byłabym taka luźna. A tak... znów dopadają mnie wizje ogromnych strzykawkę i szczerzących zęby lekarzy-sadystów. Do tego dochodzi jeszcze strach, który kołata mi się gdzieś pod sercem i szepcze: „Co ci naprawdę jest?”.

W czasie Zielonych Świątek tata, jego nowa towarzyszka życia i ja pojechaliśmy samochodem i przyczepą kempingową na dwa tygodnie do Włoch. Plac kempingowy tuż nad brzegiem morza, do plaży dwa kroki, pogoda super. Słowem - bajka! W końcu mogłam udowodnić wszystkim, że nie jestem jakąś anorektyczką. Jadłam za dwóch, ku uciesze taty, który nie mógł się nadziwić tej mojej „metamorfozie”. Tylko ataki kaszlu trudno było mi ukryć. Za każdym razem, kiedy czułam, że zaraz się zacznę, uciekałam do kempingowej pralni.

Największy kłopot miałam jednak z ciągłym wynajdowaniem nowych wymówek, które w wiarygodny sposób miały wytłumaczyć moje ustawiczne zmęczenie. Tata nie spuszczał mnie z oczu, dlatego - chcąc nie chcąc - musiałam się uciekać do małych kłamstewek. Jeśli nie kasłałam i nie wymiotowałam, to spałam. - „Ten stres egzaminacyjny przed wyjazdem...” - użalałam mu się jęklwym głosem. -

28

„Jestem kompletnie wykończona!”. Zdaje się, że byłam dość przekonująca. W pierwszym tygodniu tata wykazywał jeszcze zrozumienie dla mojego „edukacyjnego”, w pełni usprawiedliwionego przemęczenia, ale w drugim najwidoczniej miał już dość swojej wiecznie rozspanej córki, ponieważ nie przestawał nalegać: „Basiu, chodźże wreszcie na plażę - woda jest po prostu wspaniała!”. Nie rozumiał mnie. Jak miał zrozumieć? Byłam szczęśliwa, kiedy brał koc pod pachę i wraz ze swoją przyjaciółką zniknął z mojego pola widzenia.

Nie mogłam powiedzieć tacie, jak naprawdę, to znaczy jak okropnie się czuję. Przecież nie chciałam być chora! Jeszcze do dzisiaj miałam nadzieję, że potrafię stawić czoło temu nieznanemu, zagrażającemu, potwornemu „czemuś”, co próbuje mną zawładnąć, że dzięki taktyce tłumienia potrafię raz na zawsze wyrugować „to coś” z mojego życia.

Do gabinetu wchodzi matka ze swoim synkiem. Tylko spokój, tylko nie tracić zimnej krwi. Czuję, że ta wizyta u lekarza gruntownie zmieni moje życie. Coś mi mówi, że tak właśnie będzie. Czyżby to był mój wewnętrzny głos? Niech sobie szepcze. Ja i tak nie przyjmuję tego do wiadomości! „Proszę, błagam, ratuj biedną Basię! Ześlij mi jakieś lekarstwo, ale tym razem takie, które naprawdę mi pomoże!” - wznoszę gorące modły do nieba.

Teraz kolej na młodą kobietę z zaziębieniem. - „Chcę stąd wyjść” - jęczę bezgłośnie, ale moje błagalne spojrzenie na mamę zostaje zignorowane. Zdaje się, że nie chce mnie zrozumieć, bo tylko kiwa głową, dodając mi otuchy. Moja cudowna mama! Dopiero co doszła do siebie po

rozstaniu ze swoim przyjacielem. Teraz znów jest taka silna i dzielna, taka pewna siebie. Właśnie taka, jakiej jej potrzebuję i Kocham.

29

Dlaczego nigdy nie powiedziałam mamie, jak naprawdę się czuję? Czy nie byłoby łatwiej powiedzieć jej całą prawdę przez telefon? Wtedy przynajmniej nie poczułabym na sobie jej zatroskanego spojrzenia, nie widziałabym niepokoju w jej oczach. Ale i tak wiedziałabym, co czuje... Zbyt dobrze ją znam. Nie mogę znieść myśli, że sprawiam mamie kłopot, że ją martwię. W zupełności wystarcza mi już to, że sama czasami prawie wariuję ze strachu. Poza tym, moje nocne poty wydają mi się tak potwornie żenujące! Nie godzę się na taki stan rzeczy i nigdy go nie uznaję. Kiedy

O czymś mówimy, to to się musi stać. Mocno w to wierzę.

I w żadnym razie tego nie chcę! Nie życzę sobie i już! Ale teraz - czy teraz wszystko się wyda?

Poprzedniej nocy, kiedy po raz pierwszy od wielu tygodni znalazłam się w domu i leżałam znów we własnym łóżku, miałam straszny sen: zobaczyłam siebie leżącą w trumnie. Moja rodzina, wszyscy przyjaciele stali wokół mojego grobu. To był krótki, ale wyjątkowo potworny sen. Obudziłam się z krzykiem, cała zalana łzami, w przeczuciu nadciągającego nieszczęścia.

A teraz siedzę tutaj z mamą. - „Lekarz niczego nie znajdzie, nie może znaleźć” - w głowie brzęczy mi uparcie ta jedna myśl. Przywołuję moje czarodziejskie zaklęcie: „Jutro idę na święto strzelców”, próbując przegnać ponure myśli, które ściskają mi serce żelazną obręczą. „Barbara Dussler”, suchy głos lekarza wyrывa mnie z zamyślenia. Czy to stanie się teraz prawdą - ten koszmarny sen, który nawiedził mnie wczorajszej nocy? Nie ma już odwrotu. Muszę jakoś przez to przejść. Chwytam kurczowo dłoń mamy i pozwalam zaciągnąć się do gabinetu. Lekarz patrzy na mnie długo i przeciągle. Ma jasne, przenikliwe oczy. Potem przyciska guzik aparatu telefo-

30

nicznego: „Pani Siebert! Pobranie krwi, bardzo proszę!”. Tylko bez paniki. Działając zgodnie z zasadą, że najlepszą obroną jest atak, wyjaśniam panu doktorowi, że bardzo nie lubię zstrzyków, ponieważ okropnie się ich boję. - „To będzie tylko maleńkie ukłucie, nawet nie poczujesz” - próbuje uspokajać mnie bystrooki mężczyzna w białym kitlu. Gadanie! Gdy bierze mnie za ramię, odwracam głowę w nadziei, że nic nie poczuję, jeśli nie będę patrzeć. Z trudem hamuję łzy i na wszelki wypadek wczepiam się paznokciami w rękę mamy, kiedy doktor Geiger wkłwa igłę w żyłę. Pali jak diabli.

Dopiero podczas badania ultrasonograficznego moje totalnie skurczone ciało nieco się rozluźnia. Mam nadzieję, że dzisiaj więcej tortur już nie będzie. Doktor Geiger, jeżdżąc zimnym czytelnikiem po moim brzuchu, objaśnia mi, co widzi na monitorze. Zupełnie mnie to nie interesuje, ale jego monotony głos działa uspokajająco. Gdy przesuwają czytnik w stronę moich płuc, milknie tak niespodziewanie, że po plecach przebiega mi zimny dreszcz strachu. Boże drogi, co to może znaczyć?! Próbuję wyczytać coś z jego twarzy, ale ta twarz pozostaje nieprzenikniona - nic nie mogę znaleźć. Podczas mierzenia temperatury pyta, czy pocę się w nocy, czy cierpię na zmęczenie i kaszel. Niestety, za każdym razem muszę potakiwać, i widzę przy tym zawstydzona, jak mama podnosi w górę brwi, dziwiąc się wszystkim tym „rewelacjom”. No i wyszło szydło z worka. - „38,7” - stwierdza doktor Geiger bezdźwięcznym głosem, po czym wskazuje nam drzwi - „Proszę poczekać na zewnątrz, za chwilę panie zawołam”.

Mama wydaje się nieco zmieszana lub raczej - oszołomiona. Nawet nie robi mi wymówek, chociaż przed chwilą

31

przyznałam się doktorowi do rzeczy, o których nie miała nawet bladego pojęcia. Nie mogła wiedzieć, bo byłam tak głupia, że jej nie powiedziałam. Ścisnęła mocno moją rękę, a ja cieszę się w głębi duszy, że to robi. Mam wrażenie, jak gdyby chciała wpompować we mnie swoją siłę. Jak to dobrze, że mama jest tutaj razem ze mną.

- „Basia Dussler!” - podskakuję na krześle, gdy słyszę swoje nazwisko. Znowu maszerujemy do gabinetu. Tym razem doktor Geiger chce mnie ukłuć w ucho, wyjaśniając, że dzięki pozyskanej w ten sposób kropli krwi będzie mógł ustalić, co mi dolega. Wystarczy umieścić ją pod specjalnym mikroskopem. Ukłucie rzeczywiście w ogóle nie boli.

Doktor Geiger ostrożnie przenosi purpurową kroplę na szklany prostokąt, a następnie bardzo długo ogląda ją pod mikroskopem. W gabinecie panuje cisza jak makiem zasiał. Czy mama słyszy bicie mojego serca? Zaciskam mocno spocone dłonie, drżąc na całym ciele jak osika. Trwa to całą wieczność, zanim doktor wreszcie podnosi głowę, zwracając się w naszą stronę - „Proszę podejść, niech pani sama zobaczy!”. Czy tylko tak sobie wmawiam, czy też w jego głosie pobrzmiewa smutek? Moje napięcie sięga zenitu; ze zdenerwowania zaczynam gryźć wargi. Coraz mocniej i mocniej. Ma być ból zamiast strachu. Ale to nie działa. Jak zaczarowana patrzę na mamę pochylającą się nad mikroskopem. Czy tylko tak mi się wydaje, czy jej twarz naprawdę zrobiła się szara jak popiół? Błagam, to nie może być prawda! Boże, ratuj! Mama powoli podnosi się z krzesła. Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Czyja snięć? Ależ nie, mama rzeczywiście chwieje się na nogach. Czy jest aż tak bardzo źle?!

Ze strachu krew szumi mi w uszach tak głośno, że przytłumiony głos doktora Geigera dobiega do mnie jak zza za-

32

słony - „Proszę się zastanowić, w której klinice umieści pani swoją córkę - w Witten/Herdecke czy w Ulm. I radzę zrobić to jak najszybciej”.

Szukam na twarzy mamy uspokajającego uśmiechu, ale jej twarz przypomina w tej chwili skamieniałą maskę. Mama jest w szoku. - „Mamo?” - pytam łamiącym się głosem. Więcej nie zdołałam powiedzieć. Mój głos odmówił mi posłuszeństwa.

Doktor Geiger jest wprawdzie nadal w gabinecie, ale ten film rozgrywa się teraz tylko między mamą i mną. Wpatrujemy się w siebie z wyrazem niemego przerażenia na twarzach. Stało się coś strasznego, tak bardzo strasznego, że mama nie może tego wymówić. Mam wrażenie, jakby ktoś nasadził na nas szklany kloz; ledwie słyszalne słowa doktora docierają do mnie jak zza grubej szklanej ściany: „Białaczka albo choroba Hodgkina”.

Za wszelką cenę pragnę wyczytać wiarę, siłę i pewność w oczach mamy. Ale tam jest tylko nagi strach. A teraz, o nie - tylko nie to! Z tych tak drogich mi oczu, w które wpatruję się niczym zahipnotyzowany królik, toczą się wielkie jak groch łzy. Boże drogi! Przecież mama nigdy nie płacze! Wybucham niekontrolowanym szlochem, czuję jeszcze tylko zalewającą mnie falę paniki - chyba za chwilę się przewrócę. Ale mama jest już przy mnie. Obejmuje mnie i trzyma w mocnym uścisku.

Wprawdzie do tej pory jeszcze nie całkiem pojęłam, co się stało, ale powoli coś zaczyna świtać mi w głowie. Słowo „białaczka” przebija się przez moją panikę i osadza na dobre, a raczej na złe, w mojej głowie. Obrazy z Kliniki miejskiej, mojego ulubionego serialu telewizyjnego, którego jestem wierną fanką, nagle wybuchają w mojej głowie z porażającą siłą. Tam był taki jeden epizod, który przesła-

33

dował mnie przez całe lata: do kliniki przywieźli małego chłopca z białaczką. Na początku stracił wszystkie włosy, a potem zmarł. Wtedy przysięgłam sobie: „Nigdy nie zachoruję na tę straszną chorobę!”. A teraz? Ukrywam twarz we włosach mamy: „Mamo, ja nie chcę iść do szpitala...nie chcę umierać!”.

Kiedy wreszcie mokra od łez wyswobadzam się z jej uścisku, dopada mnie jeszcze straszna myśl: „Mamo, przecież nie mogę opuścić święta strzelców!”. Spogląda na mnie całkowicie

zbita z tropu, ale na to odzywa się doktor Geiger: „Do szpitala możesz pojechać dopiero w poniedziałek - pod warunkiem że do tego czasu gorączka nie podskoczy”.

Piątek, 28 czerwca 2002 Mama

Pytanie „dlaczego?” jest pytaniem zabójczym. Wiem

O tym, lecz mimo to stawiam je sobie zaraz po pierwszym szoku diagnozy. Dlaczego?

Dlaczego właśnie moja córka?

I dlaczego moje osobiste dramaty nie skończą się raz na zawsze? Czy w dalszym ciągu będą wyłącznie narastać? Dość pesymistyczne widoki na przyszłość. A już myślałam, że najgorsze mam za sobą. Co zrobiłam nie tak? A może nawet: czy wszystko robiłam nie tak?

Jako fizjoterapeutka specjalizująca się w chorobach kości, zawsze zajmowałam się psychicznym tłem chorób, wychodząc z założenia, że własne badanie przyczyn jest w przypadkach tych chorób konieczne. To niezwykle istotny aspekt każdego procesu leczenia.

Tymczasem jednak,

34

wypadki goniły jeden za drugim, wydarzenia następowały szybko po sobie. Nie miałam czasu na samokrytyczne rozważania. Na to będzie czas później. Teraz liczy się tylko jedno: moje dziecko mnie potrzebuje. Wszystko inne nie ma znaczenia. Musi ze mnie emanować pewność siebie, ufność, Wiara i nadzieja. Basia uważnie mnie obserwuje. Po powrocie do domu, od razu urządzam przytulne gniazdko, w którym moja dziewczynka będzie mogła odpoczywać, ile dusza zapagnie, po czym idę do kuchni i informuję całą rodzinę o tym, co się stało. Gdy tylko znikam z pola widzenia Basi dzwonię do jej ojca, mojego byłego męża, z którym rozstałam się sześć lat temu. Potem do jego rodziców, z którymi mamy bardzo zażyłe stosunki, jak również do mojej matki i do mojej najlepszej przyjaciółki. Wszyscy oni wiedzieli o naszej wizycie u doktora Geigera i teraz niecierpliwie czekają na mój telefon. Mówię tylko: „To białaczka albo choroba Hodgkina. Basia musi iść do szpitala, najpóźniej w poniedziałek”.

Pocieszające słowa ani żadne dywagacje wokół tej hiobowej wieści nie są mi teraz potrzebne, tym bardziej że na pewno nie wniosą do sprawy niczego pozytywnego, a tylko ją pogorszą. Nie mogę się teraz rozklejać, dlatego - tylko krótko i na temat! Mój były mąż zapewne doskonale to rozumie, bo nie wnika w szczegóły. Po wysłuchaniu mojej lakonicznej informacji, rzuca tylko: „Przyjeżdżam natychmiast!” i odkłada słuchawkę. Obie babcie zaczynają płakać. Nie mam dla nich czasu, więc rozmowy są bardzo krótkie. Resztkami sił wykonuję ostatni telefon, informując kierowniczkę mojej grupy dobożek, że jutro i najprawdopodobniej również w następnym tygodniu, nie będę mogła wziąć udziału we wszystkich planowanych występach i paradach.

35

fflf

O a. i ь

£■ ór r

■* ^

=T ^ e- * s? ś a z

I

III B ь B-Ж.III TM- III-- III W

11:*>* iffff

111

-f ii

o" * £ ^

O K й >ri ra K
B. B. B. e3 j~-

O
N
c*
11
3
o
's;" o
t
SS>
o
O N Xr ta
&
6

Witając się ze mną, mój były mąż bierze mnie w ramiona. Oboje nie umiemy powstrzymać łez, ale ja Oaus, najwyraźniej zawstydzony, szybko wyrwa się z moich objęć i bierze się w garść. „Gdzie ona jest?” - pyta, starając się zachować spokój. Ruchem głowy wskazuję jej pokój. Stopniowo, jeden za drugim, przybywają pozostali członkowie rodziny, włącznie z moją siostrą. Wszyscy siedzą dziwnie zmieszani i onieśmieleni wokół łóżka Basi. Moja córka sprawia wrażenie całkowicie spokojnej, by nie rzec - odprężonej, podczas gdy wszyscy zgromadzeni wokół niej nie mogą powstrzymać łez. My, dorośli, jesteśmy całkowicie wytrąceni z równowagi. I to, niestety, widać. Czy naprawdę mamy prawo w tak jednoznaczny sposób pokazywać temu biednemu dziecku nasze, raczej mało budujące, uczucia? Czy nie jesteśmy mu winni ufności, oparcia i siły? Poczucia bezpieczeństwa, którego tak bardzo teraz mu potrzeba? Dość tego łzawego spektaklu. Muszę wziąć się w garść. Basia jest na szczęście bardzo zmęczona. Już o siódmej wyraża życzenie pójścia do swojego łóżka i zaraz potem żegna się z rodziną. Słowa nie wystarczają, żeby wyrazić nasz ból.

Niedługo później drzwi zamykają się za ostatnim gościem. Jestem sama. Cisza panująca w domu przytłacza mnie. Muszę z kimś porozmawiać, najlepiej z osobą, z którą Basia i ja nie jesteśmy w szczególnie zażyłych stosunkach. Pani Gampert! Terapeutka i kierowniczka instytutu andragogiki, czyli pedagogiki dorosłych, już raz pomogła mi odnaleźć grunt pod nogami. Mam do niej bezgraniczne zaufanie. Poza tym, zna również Basię, choć tylko za pośrednictwem horoskopu, który sporządziła mojej córce, zanim Basia wyraziła życzenie przeniesienia się do internatu.

36

Jest już ósma wieczór. Raczej późna pora na telefony do niezaprzyjaźnionych ludzi. Ale ja koniecznie muszę zadzwonić do pani Gampert. Teraz! Natychmiast! Idę do kuchni, siadam przy stole i wykręcam numer. Rozmawiamy cztery godziny. Pani Gampert pomaga mi odnaleźć względny spokój, otrząsnąć się nieco z katastroficznego nastroju, w którym jestem od kilku godzin. „Musi pani zaakceptować chorobę Basi i spróbować potraktować ją w kategoriach wyzwania dla was obu” - doradza mi spokojnie, ale stanowczo. Opisuje stan Basi jako „bunt duszy”, a moje dziecko jako człowieka, w którym walczą dwie skrajności. Mówi o jej „skłonności do ciemnego pierwiastka”, o mechanizmie samozniszczenia, którego przyczyny należałoby gruntownie zbadać. W opozycji do tej „ciemnej strony księżyca” stoi jej dusza, która pragnie spokoju i próbuje umknąć samozniszczeniu, broniąc się przed nim podświadomie. „Nikt z nas nie wie, jak długo Basia robi już ten «szpagat» w swojej podświadomości” - analizuje pani Gampert. Gdy słyszę: „...i nawet, jeśli Basia miałaby

umrzeć, wtedy jej dusza uwolniłaby się wreszcie z tego piekła!" , nogi uginają mi się w kolanach, ale nic nie mówię. Tak czy inaczej, pani Gampert udało się, mimo wszystko, wyjaśnić mi, że Basia, poprzez swoją chorobę „ma teraz możliwość odnalezienia spokoju i równowagi wewnętrznej. Każde badanie, każde ukłucie może jej tylko wyjść na dobre. Jej skłonność do samozniszczenia, która - co jest wielce prawdopodobne - doprowadziła do tej choroby, teraz może zostać zmanifestowana i przeżyta do końca. Jeśli Basia to uczyni, wówczas albo odzyska równowagę wewnętrzną i będzie mogła żyć dalej, wolna od lęków i obciążeń, albo pożegna się z nami na zawsze. Ale nawet wówczas jej dusza wygra tę walkę, gdyż będzie to uwolnienie poprzez śmierć".

37

Te nieuznanawane przez medycynę konwencjonalną, ale przyswojone przez tzw. medycynę całościową, znane mi już od dawna teorie, muszę teraz zastosować na własny użytek - a przede wszystkim na użytek mojego dziecka. Odczuwam ulgę. Wreszcie mogę znowu jasno myśleć.

Pani Gampert naprowadza moje pogmatwane myśli na nowe tory. Nagle uzmysławiam sobie: cóż ze mnie za parszywa egoistka! Chodzi mi tylko o to, żebym miała moją dziewczynkę dla siebie, żeby została ze mną - i dla mnie! Widzę tylko to, że jeśli Basia umrze, to zostanę sama jak palec, z całym moim smutkiem i poczuciem winy. Muszę stopniowo, krok po kroku, nauczyć się właściwego podejścia do walki zżerającej duszę Basi. I muszę dołożyć wszelkich starań, aby wzmocnić jej wolę życia, ale również zaakceptować jej wolę odejścia. Muszę pogodzić się z jej wyborem. Innej drogi nie ma.

Basia zawsze była „grzecznym i miłym dzieckiem". Nigdy nie zauważyłam u niej nawet cienia agresji. Pomimo to rozumiem, co pani Gampert chce mi powiedzieć, ponieważ zawsze wierzyłam w teorię, że rak - podobnie zresztą jak inne choroby - jest wywoływany przez autoagresję, przez agresję, którą kieruje się przeciwko samemu sobie, i której nigdy się nie uzewnętrznia, lecz chowa głęboko na dnie serca.

Przyjmuję słowa pani Gampert, błogosławiąc ją z całego serca. Dzięki nim mogę przetrwać tę noc. Od tej pory będziemy bardzo często rozmawiać przez telefon.

38

Sobota, 29 czerwca 2002

Basia

Tam-tam-taram-tam-tam. Dzisiaj pierwszy dzień święta strzelców. Całe miasto wibruje, w każdym domu Biberach panuje odświętny, radosny nastrój. Wszędzie - tylko nie u nas. Leżę na kanapie i słyszę, jak korpus doboszy maszeruje w górę ulicy. Bez doboszy, z ich paradnymi bębniami, nie sposób wyobrazić sobie naszego święta strzelców - podobnie jak „oktoberfestu" w Monachium bez orkiestry dętej.

Tam-tam-taram-tam-tam. Uderzenia pałeczkami „krok za krokiem". Natychmiast je rozpoznaję, ponieważ moja mama należy do jednej z takich grup. Tylko że dzisiaj moja wesoła, energiczna i zazwyczaj gadatliwa mama siedzi obok mnie w milczeniu - z zapuchniętymi, czerwonymi od płaczu oczami. Jest też tata, który siedzi przy moim łóżku i spogląda na mnie smutno. Moi rodzice od sześciu lat są rozwiedzeni, ale utrzymują przyjacielskie stosunki, a tata jest przy mnie, gdy go potrzebuję.

Rytm marsza doboszy osadza się w mojej głowie. Rak! Błagam, tylko nie rak!

Jeszcze nic nie jest ostateczne, jeszcze nie zapadł wyrok. „Podejrzenie białaczki albo choroby Hodgkina" - powiedział doktor Geiger. Czyli nie jest pewien do końca, co to jest... Tylko tak przypuszcza, ale nie wie tego z całą pewnością. Bębnienie doboszy milknie. W nocy wzrosła mi gorączka i wkrótce ruszamy do szpitala. Jestem niepokieszona, dlaczego właśnie dziś?!

Patrzę na mamę i jęczę żałośnie: „Mamo, ja też chciałabym mieć swoją serenadę od doboszy. Dlaczego dla mnie nie zagrają?". - Zaledwie wypowiadam te słowa, a bębnienie doboszy rozbrzmiewa

na nowo. Są całkiem blisko. - „Stoją przed naszym domem!” - wołam zdumiona i podniecona zarazem. Podnoszę się z kanapy i kuśtykam do okna. Nie do wiary! Naprawdę są tutaj! To korpus doboszek w swoich paradnych uniformach. Natychmiast je rozpoznaję - to grupa mamy. Stoją w naszym ogrodzie i bębnią marsza. Dla mnie!

Ranek jest wyjątkowo upalny. Z nieba leje się żar. A niech się leje! W okamgnieniu zapominam o mojej gorączce, o mojej słabości, i rozsiewanym przez dorosłych ponuraków nastroju końca świata, i podążam rażno do ogrodu. Hurra! Serenada! Tylko dla mnie! Jestem niesamowicie podekscytowana. Radosna jak skowronek o poranku, siadam na murku przed naszym domem, macham nogami i rozkoszuję się zaszczycem, który przypadł mi w udziale. Mama i tata, bo jakżeby inaczej, też wybiegli do ogrodu. Gdy odwracam się do nich dumna i szczęśliwa, uśmiech radości gaśnie na mojej twarzy jak zdmuchnięta na wietrze zapalka. Są tacy smutni. Widok ich poszarzałych twarzy trafia we mnie jak piorun. Bum-bum-bum. Bębnienie brzmi dziwnie smutno. Dlaczego? Przecież nie grają marsza żałobnego! I dlaczego cały korpus, odziany w wesołe, kolorowe podkoszulki, nosi okulary przeciwsłoneczne? O ile dobrze sobie przypominam, nigdy tego nie robili! Nawet gdy słońce paliło jak sto diabłów. Czy to nie łza spłynęła właśnie z policzka Mimi? To dziwne, podniecające łaskotanie, które zawsze odczuwałam w żołądku, słysząc paradne bicie w bębny, tym razem wcale nie pobudza mnie do śmiechu. Dociera do mnie tylko basowe rytmiczne bębnienie. Słońce już mnie nie grzeje - znów jest mi zimno. O co właściwie tutaj chodzi? Po plecach przebiega mi nagle zimny dreszcz. Straszliwe podejrzenie. Czy nasze doboszki też myślą, że widzą mnie

dzisiaj po raz ostatni? Czy to naprawdę możliwe, że nigdy już nie usłyszę naszych doboszy grających na święcie strzelców? Gdzie będę w przyszłym roku o tej porze? Czy w ogóle jeszcze będę...

Zaczynam drżeć. Podchodzi do mnie mama, chwytą mnie w pól, podnosi w górę i pomaga zejść z murka. Kładzie mi rękę na ramieniu i prowadzi z powrotem do domu.

Tam-tam-taram-tam-tam. Doboszki odchodzą, bębniąc rytmicznie pałeczkami w swoje paradne bębny. Drogie memu sercu dźwięki stają się coraz cichsze, aż w końcu milkną w oddali. Dlaczego wszystko jest takie straszne? Nie chcę jechać do kliniki. Chcę iść na święto strzelców, tak jak każdego roku. Chcę się cieszyć, bawić i nie myśleć o smutkach. Nie chcę być chora i nie chcę czuć tego tępego strachu, który wgrzyza się w moje serce dzień po dniu, coraz głębiej i głębiej, jak podstępny robak. Chcę stać przy innych i wykrecać szyję, śledząc z zapartym tchem naszą piękną strzelecką paradę. Chcę jeździć na karuzeli, jeść lody z cukrowej waty, śmiać się z moimi przyjaciółkami i łączyć razem z nimi po odświeżeniu przybranych ulicach Biberach.

Zaraz wyruszamy do kliniki. Mama pakuje nasze walizki, a ściśle mówiąc, robi to jej przyjaciółka, Petra, natomiast mama chodzi za nią krok w krok po całym domu niczym bezwolna psina. Tata siedzi ze mną w pokoju. Szczerze mówiąc, lepiej, że ze mną siedzi, biedny tata. Mam wrażenie, że dzisiaj niewiele byłoby z niego pożytku. Trzyma mnie za rękę i co rusz wyciera sobie oczy. Widzieć swoich rodziców tak bardzo cierpiących, to naprawdę nie jest fajne, to tak bardzo boli. Ten widok ściska mi krtań i odbiera nadzieję. A w mojej głowie tańczą nieustannie straszliwe obrazy: dzieci z łysymi głowami z serialu „Kli-

nika miejska", mały chłopiec, który walczy zaciekle o życie, znosi mężnie tortury niekończących się terapii, a mimo to umiera. Jego szlochający rodzice.

Boję się umierać. Czy naprawdę? A może tylko nie chcę tego zrobić moim rodzicom? Jeśli mam być szczerą, to w tej chwili odczuwam po prostu cudowną ulgę. Wreszcie wyszło ze

mnie całe to gówno! Już nie muszę niczego ukrywać. Ja nie muszę się ukrywać! Nie muszę udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku i odgrywać silnej i dzielnej. Teraz mogę wypoczywać i spać, mogę leniuchować do woli i jestem otoczona troskliwą opieką moich rodziców. Jak bardzo za tym tęskniłam! Mimo to, wznoszę modły do nieba: „Proszę, tylko nie to, kochany Boże! Spraw, żeby to nie był rak!”.

O czternastej przyjaciółka mamy, Petra, zawozi nas do kliniki. Dzisiaj ona jest szoferem. Zarówno mama, jak i tata nie są w stanie sięgnąć za kierownicą i prowadzić samochód. Swoją drogą, trudno im się dziwić. Są tacy rozkoja-rzeni. A ja? Siedzę między moimi rodzicami na tylnym fotelu i gapię się bezmyślnie przez okno. Widzę dokładnie, kiedy po policzku taty spływa łza, chociaż za każdym razem odwraca głowę, udając, że nagle zainteresował go jakiś pejzaż przelatujący za oknem samochodu. Wciśnięta pomiędzy moich kochanych rodziców czuję się ciepło i bezpiecznie. W głębi duszy pragnę, żeby ta podróż nigdy się nie skończyła. Gdy wreszcie przybywamy do kliniki, musimy całe wieki czekać w izbie przyjęć na naszą kolej. W gabinecie - wręcz przeciwnie; tutaj od razu ostro się za mnie biorą. Jestem ważona, mierzona, i po dziesięciu minutach odprowadzona do sali chorych. Na ogólnym oddziale dziecięcym.

42

A więc jednak nie rak?

Obok mnie leży chłopiec, który przez cały czas gapi się w telewizor. To mi nawet pasuje, niech się gapi, byleby tylko mi nie przeszkadzał - myślę początkowo. Nie mam najmniejszej ochoty nawet na krótkie, grzecznościowe pogawędki. Nie upłynęła godzina, a w drzwiach mojego nowego mieszkania pojawia się pielęgniarka i chce pobrać mi krew. „Proszę, tylko nie to!” - próbuję się bronić. Na próżno. Siostra ani myśli skapitulować, widzę to po jej minie. Zrezygnowana, wyciągam lewą rękę. Zaczyna obmacywać ją centymetr po centymetrze w poszukiwaniu żył i nagle jej palec wskazujący zatrzymuje się tuż koło mojego nadgarstka. Mimo najszczerzych chęci nie udaje mi się już zapanować nad strachem: „Proszę nie kłuć w nadgarstek! Nie chcę!” - piszczę histerycznie. „To tylko kroplówka, damy ci w niej antybiotyki przeciwko gorączce” - wyjaśnia mi młody lekarz, który zjawia się chwilę później. „Czy nie mogę ich po prostu połknąć?” - próbuję się jeszcze bronić, patrząc na tę dwójkę błagalnym wzrokiem, ale nie dają mi żadnej szansy. „Nie, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo, że je zwymiotujesz” - tłumaczy mi spokojnie młody człowiek w białym kitlu. Wobec takiego argumentu jestem zupełnie bezsilna. Trudno się z tym nie zgodzić. Mama próbuje mnie uspokajać. W sukurs przychodzi jej pielęgniarka: „Posłuchaj, kochanie, przecież jesteś już duża! Tylko małe dzieci boją się zastrzyków. A poza tym, nawet tego nie poczujesz!” - Nienawidzę jej za to. Czy dorośli w ogóle nie boją się bólu? A może tylko tak udają... Dlaczego nie mogę okazywać strachu? Czy tylko dlatego, że mam dwanaście lat? Kroplówka unieruchamia mnie na cały weekend. To ona określa każdy mój ruch. Żeby mamie zanadto się nie nudzi-

43

ło, przez cały czas marudzę: „Mamo, jak mam położyć tę rękę?”, „Mamo, przecież muszę od czasu do czasu się poruszyć. Proszę, potrzyмай spokojnie moją rękę. O właśnie tak. Nie bój się”.

Moja chorobliwa niechęć do zastrzyków tak bardzo zajmuje nas wszystkich, że nikt nie ma już głowy ani czasu na wałkowanie ponurych myśli o raku. Całą sprawę pogarsza jeszcze mój kaszel. Widzę teraz wyraźnie, jak bardzo przy każdym kaszlnięciu trzęsą mi się ramiona i ręce. Boże drogi, nie myślałam, że jest aż tak źle. Posyłając mamie rozpaczliwe spojrzenia i kiwając znacząco głową w stronę wen-flonu, próbuję dać jej do zrozumienia, żeby przytrzymała mi rękę, gdy w czasie kaszlu moje ciało jest wstrząsane okropnymi konwulsjami. Prawą ręką sięgam po stojącą na nocnej szafce „nerkę”, bo czuję, że nadchodzą wymioty, które od dawna już należą do tego znienawidzonego przeze mnie „rytuału”.

Troskliwa opieka mamy bardzo mnie uspokaja. Nawet jeśli jest zszokowana tym, co widzi, to nie daje tego po sobie poznać nawet jednym mrugnięciem oka. Jestem jej za to bardzo wdzięczna. Kochana, dzielna mama! Co ja bym bez niej zrobiła! Wreszcie nie jestem sama. Nie muszę już dłużej kłamać ani chować się po kątach. Gdy nie jest się samemu, wszystko staje się łatwiejsze. Nawet ten okropny kaszel. Będąc z rodzicami, o wiele łatwiej jest mi znieść całą tę mękę... Dziękuję wam, kochani rodzice! Dlaczego tak długo trzymałam wszystko w tajemnicy?! To naprawdę było idiotyczne. I takie dziecinne... Japońskie filmy rysunkowe, które mój sąsiad z pokoju ogląda niestrudzenie od rana do wieczora, zaczynają stopniowo działać mi na nerwy. Te dziwolągi z szeroko wyba-

44

kiszonymi oczami nie mówią jak normalni ludzie, ale krzyczą jak szaleńcy. W głowie mi huczy. Mama, wracając z przerwy na papierosa, przynosi złe wieści: nie może zostać ze mną na noc. Chce mi się wyć. Mój pokój jest podobno zbyt mały, by mogła w nim przenoćować jeszcze jedna osoba. „Więc dajcie mi po prostu większy!” - mam ochotę wrzasnąć na cały głos, ale trzymam buzię na kłódkę, poddając się biernie temu nieludzkiemu „odgórnemu” nakazowi. Robię to tylko ze względu na mamę. Widzę, że jej też nie jest łatwo zostawić mnie tutaj samą.

Próbuję nie dać po sobie niczego poznać. Mama nie może zobaczyć w moich oczach paniki. Ale jak, kurczę, mam przetrwać tę noc? Noce są przecież zawsze najgorsze!

Jestem obrażona i zła, bo matka Antonia, tego rozwydrzonego gnojka z łóżka obok, może zostać. No i gdzie tu sprawiedliwość! Mój sąsiad ma wprawdzie dopiero sześć lat, ale widzę, że naprawdę nieźle sobie radzi - i chyba nie najgorzej się czuje. Ten mały rozrabiaka przez cały czas ogląda telewizję i w żadnym razie nie sprawia wrażenia nieszczęśliwego. Jak na moje oko, wcale mu mamy nie brakuje. Za to mnie bardzo... I strasznie się boję. Po prostu umieram ze strachu. Gdy mama jest przy mnie, od razu czuję się pewniej.

Natychmiast po wyjściu mamy wzrasta mi gorączka. Jestem zmęczona jak pies, ale gdy tylko zamykam oczy, od razu pojawia się strach. - „Kochany Boże, pozwól mi znów obudzić się jutro rano!” - modłę się żarliwie, z głębi serca. Otwieram gwałtownie oczy, żeby nie usnąć, ale ciężkie ołowiane zmęczenie jest silniejsze niż moja wola, która każe mi czuwać.

W nocy mama Antonia wezwała siostrę dyżurną, bo ponoć rzucałam się we śnie jak szalona, wymachując rękami

45

na wszystkie strony. Po raz pierwszy od wielu tygodni mogłam wymienić swoją przepoconą koszulę nocną na suchą, i nawet moje łóżko zostało na świeżo powleczone. Czyż to nie wspaniałe?

Niedziela, 30 czerwca 2002

Basia

Z samego rana, o szóstej, znów przychodzą, żeby pobrać mi krew. Ale moja ręka jest napuchnięta jak balon i nie chce oddać nawet jednej kropelki. Nie ma rady, trzeba znaleźć nowe wejście w żyłę. Siostra maca moją rękę, szukając miejsca, gdzie mogłaby się wkłuć. Mimo wzbierającej we mnie paniki, leżę jak trusia. Najgorsze, że nie ma przy mnie nikogo, na kim mogłabym się „uwiesić”...

Kiedy o siódmej rano wreszcie zjawia się mama, znajduje mnie całą we łzach.

Sześciolatek Antonio daje nieźle popalić całemu personelowi. Ten chłopaczek ma werwę, bez dwóch zdań. Około jedenastej do naszego trzyosobowego pokoju dokwaterowana zostaje jeszcze czteroletnia dziewczynka. Ma na imię Lara. Nic mnie nie obchodzi, dlaczego ta dwójka znalazła się w szpitalu. Dla mnie są stanowczo za głośni, a poza tym, jak na mój gust, zadziwiająco zdrowi. Wstyd powiedzieć, ale chyba zazdroszczę im kondycji, ponieważ naprawdę podle się czuję i tęsknię za spokojem. Niestety, w tym „przedszkolu” to zupełnie niemożliwe.

Po południu przychodzi tata, przynosząc mi dwa piernikowe serca ze święta strzelców. Czytam: „Mojemu najdroższemu skarbowi - wszystkiego co najlepsze” i „Chcę być 46

przy Tobie”. Odpustowe serca napełniają mnie smutkiem, ponieważ wbrew własnej woli musiałam zrezygnować ze wszystkich tych cudowności, które raz do roku wprawiają nasze miasteczko w stan wyjątkowy.

„Ja też chciałabym być na święcie strzelców! Tak samo jak wszyscy moi przyjaciele!” - dąsam się, próbując ignorować fakt, że dzisiaj rano byłam słaba jak nigdy dotąd. Po prostu słańałam się na nogach i z ledwością mogłam ustać pod prysznicem.

Około siedemnastej składa mi wizytę ordynator kliniki dziecięcej. Profesor doktor Klaus Michael Debatin - czytam na jego wizytówce przypiętej do kieszonki śnieżnobiałego kitla. Nie mam najmniejszej ochoty odpowiadać po raz kolejny na idiotyczne pytania w rodzaju: „Jak się czujemy?”. Na końcu języka mam: „Przecież dobrze widzimy!”, ale ostrzegawcze spojrzenie mamy powstrzymuje mnie w ostatniej chwili od palnięcia jakiegoś głupstwa. Krnąbrnie zaciskam usta. Widząc, co się święci, mama zaczyna pospiesznie wyliczać moje dolegliwości, relacjonuje naszą wizytę u doktora Geigera i na koniec informuje wszystkich zgromadzonych o jego diagnozie. Profesor Debatin studiuje z uwagą tabliczkę zawieszoną w nogach mojego łóżka, na której widnieją niezrozumiałe dla zwykłego śmiertelnika esy floresy. Potem podnosi głowę i mówi z powagą: „Bardzo możliwe, bo to zależy od wyników badania morfologicznego krwi, będziemy musieli zrobić punkcję szpiku kostnego. Ale to jeszcze nic pewnego...”.

Co takiego? „Czy to znaczy, że znów dostanę zastrzyk?” -pytam trwożliwie ledwie słyszalnym głosem. W tej samej chwili przelatuje mi przez głowę jeszcze jedna straszna myśl: „A może to jeszcze coś gorszego?!”. 47

To, co w chwilę później mówi doktor Debatin, ani chybi zwałioby mnie z nóg, gdybym już nie leżała na łóżku. Nie oszczędzając mnie ani odrobinę, nielitościwy medyk szczegółowo wyjaśnia mi cały zabieg, a ja żałuję, że w ogóle go o to spytałam. „Ma się rozumieć, najpierw dostaniesz zastrzyk znieczulający i dopiero gdy już nic nie będziesz czuła, wywiercimy małą dziurkę w miednicy, żeby pobrać szpik. Potrzebujemy go do...”. Ale ja już go nie słucham. Błyskawicznie się wyłączam. Kurczę, mogłam to zrobić już po pierwszym zdaniu. Czuję rosnącą w krtani gulę. To niechybny znak, że zaraz dostanę białej gorączki. Co ten człowiek w ogóle sobie myśli? Wcale nie chcę znać wszystkich tych okropnych szczegółów! Czy on nie jest aby przypadkiem sadystą, który znajduje przyjemność w dręczeniu dzieci?

Słowa „wywiercimy”, „miednica”, „szpik kostny” dźwięczą w mojej głowie jak niekończące się echo, tłumiąc skutecznie resztę jego fachowej paplaniny. Czuję, że za chwilę wpadnę w histerię albo oszaleję ze strachu. Obrazy przyśrubowanej czaszki Frankensteina widzianej ze wszystkich stron tańczą przed moimi oczami, wirując jak szalone. Staram się opanować, pragnąc za wszelką cenę „zachować twarz”, ale nic z tego. Za późno! Nie mogę dłużej powstrzymywać łez, które teraz leją się z moich oczu jak dwa potoki. Dlaczego wszystko musi być takie okropne? Nie chcę tego, nie chcę, słyszycie?! Niech sobie wreszcie pójdzie i zostawi mnie w spokoju. Ten człowiek w białym kitlu z jego wszystkowiedzącym stylem i profesjonalnie monotonnym głosem jest po prostu podły! Czy on w ogóle nie ma serca dla dzieci?

Kiedy wreszcie sobie poszedł, mama przysiada na moim łóżku, głaszcze mnie po ręce, a następnie zwraca się do

48

mnie z uspokajającą przemową: „Przecież dostaniesz narkozę. Nic nie poczujesz, a poza tym ja wejdę na salę i będę przy tobie”. To pomaga. Od razu czuję się lepiej. Jeśli mama będzie przy mnie, to nic złego nie może mi się przydarzyć. Podniecenie i wściekłość totalnie mnie

wyczerpały. Muszę zamknąć oczy. Muszę odpocząć. Czuję jeszcze, jak moje ciało odpręża się centymetr po centymetrze. Potem zasypiam.

Mama

Ten weekend w klinice to prawdziwy koszmar.

Basia leży w trzyosobowym pokoju na ogólnym oddziale dziecięcym. Wraz moim byłym mężem jesteśmy z nią przez cały dzień, ale wieczorem wyrzucają nas za drzwi, a my, bez protestów, po prostu sobie idziemy. W małym pokoiku Basi nie ma miejsca dla jeszcze jednej matki. I nie po raz pierwszy odkąd tutaj jesteśmy, musimy słuchać idiotyzmów w rodzaju: „Przecież Basia jest już duża, ma dwanaście lat i nie potrzebuje swojej mamy przez cały czas!”. Jeśli mam być szczerą, to najchętniej walnęłabym w twarz każdego, kto plecie bez zastanowienia takie bzdury! Dwanaście lat, mój Boże...

Ci ludzie chyba nie mają zielonego pojęcia, o czym mówią! Nawet ja, ze swoimi czterdziestoma latami na karku, czuję tylko strach i marzę tylko o jednym: wtulić się w czyjeś ramiona i zapomnieć o całym tym koszmarze. Cholera jasna, czy to nie wszystko jedno, ile lat ma dziecko, jeśli strasznie się boi i czuje się samotne i zagubione? Dlaczego personel tej „kliniki dla dzieci” nie wie, że również dwunastoletnia dziewczynka, zwłaszcza tak ciężko chora jak Basia, potrzebuje matki dwadzieścia cztery go-

49

dziny na dobę?! Ale „podejrzenie raka” jest dla tych ludzi prawdopodobnie taką samą rutyną jak codzienna dawka insuliny dla cukrzyka.

Po hiobowej wieści doktora Debatina, Basia truchleje. W oczach ma już tylko strach. Gdzie się podziała moja dzielna córka? Teraz już nawet nie udaje. Obiecałam jej, że podczas tego zabiegu nie zostawię jej samej. Jeśli rzeczywiście do niego dojdzie, będę twarda jak granitowa skała i nie ustąpię. Na szczęście podniecenie bardzo ją zmęczyło. Biedna myszka, nie ma już nawet siły walczyć ze swoim strachem. Usnęła. Cóż to za błogosławieństwo! Z ciężkim sercem jadę do domu, żeby trochę wypocząć. Ale o śnie nie ma co marzyć. Najpierw muszę załatwić kilka niecierpiących zwłoki spraw. Idę do swojego gabinetu i szukam w kartotece kart pacjentów zapisanych na najbliższe dni, po czym dzwonię do wszystkich po kolei i odwołuję wizyty. Większość z nich zadowala się moim, dość niejasnym, wyjaśnieniem o „nagłym przypadku w rodzinie” i jest na tyle taktowna, żeby nie wypytywać dalej i nie drażnić tematu. Tylko jedna pacjentka nie daje za wygraną, pragnąc za wszelką cenę nakłonić mnie do zmiany decyzji, bo „przecież tak długo czekała na swoją wizytę”. Tłumaczę jej, że mimo najszczerzych chęci nie będę mogła jej przyjąć: „przykro mi, ale sprawa jest naprawdę bardzo poważna...”. Mimo to, w żaden sposób nie mogę się jej pozbyć. Wreszcie puszczają mi nerwy i ryczą w słuchawkę: „Moja córka leży w szpitalu z podejrzeniem raka. Czy ten powód pani wystarczy!?”.

Rzucam z impetem słuchawkę, ręce mi się trzęsą, serce wali jak młotem, w głowie mi huczy. Czuję, że dłużej nie wytrzymam i wybucham płaczem. Kładę głowę na zimnym blacie biurka i szlocham jak małe dziecko, wyplakując ca-

50

łe napięcie i frustrację ostatnich dwóch dni. Najgorszych dni w moim życiu. Płacz dobrze mi robi. Uwalnia mnie i daje nowe siły. Chcę i muszę być silna. Dla Basi, dla mojego dziecka. Ocieram łzy i idę do łóżka z dobrym zamiarem, żeby natychmiast zasnąć, a jutro być znów „zwarta i gotowa”. Ale potem leżę przez pół nocy, nie mogąc zmrużyć oka, i znów zadreżam się pytaniem: „Dlaczego? Dlaczego właśnie moje dziecko?”.

Kiedy mam zamknięte oczy, mój mózg, zamiast odpoczywać, zaczyna pracować na najwyższych obrotach. Tak więc, zamiast spać, jak to sobie zaplanowałam, przekręcam się z boku na bok i rozmyślam. W mojej głowie, niczym wagoniki niekończącego się pociągu, przemykają jedna za drugą myśli i hipotezy; znajduję tysiąc możliwych powodów choroby Basi. I nie mogę zdecydować się na żaden z nich.

Czy źródeł całego zła należy szukać w moim rozwodzie z mężem przed sześciu laty? W jej rozstaniu z ojcem? Rozstaliśmy się w przyjaźni, jak to się pięknie mówi. Nie było wojny dwóch róż. Basia spotyka się z ojcem, kiedy tylko chce. I nie tylko z nim, ale również z moimi byłymi teściami, a jej dziadkami, z którymi jesteśmy w bardzo zażyłych stosunkach. A może zaszkodził jej mój ostatni -i od samego początku nieszczęśliwy - związek z Aiexer? Związek, w którym już od pierwszych dni czułam się odrzucona, ponieważ byłam rozwódką, czyli kobietą „niepełnowartościową”. I bez względu na to, jak bardzo się naginałam do oczekiwań mojego ukochanego i jak bardzo chciałam być dla niego tą „najbardziej odpowiednią”, to tak naprawdę nigdy nią nie byłam. Przez cztery lata moje dziecko doświadczało matki, która nie była już sobą, lecz żalosną marionetką, i która poprzez swoje ustawiczne pró-

51

by dostosowania się do nowego partnera sygnalizowała: „Tak, nie jestem wystarczająco dobra, ale chcę zrobić wszystko, żeby taką właśnie być - wystarczająco dobrą”. Dlaczego wcześniej nie pojęłam, że Alexowi nigdy nie uda się stanąć po stronie naszej miłości i bronić jej choćby przed całym światem, bo mieszczańskie konwenanse i opinie innych ludzi z jego otoczenia były dla niego ważniejsze aniżeli jego własne szczęście? Czy Basia domyślała się, że czasami byłam po prostu zrozpaczona, upadła na duchu, że nie chciało mi się żyć? Że mało brakowało, a wpadłabym w depresję? Muszę przyznać ze skrucą, że w ostatnich latach nie byłam akurat najlepszym przykładem dla swojego dziecka, w sensie pozytywnego nastawienia do życia. Osobiście znam lepsze wzorce... Kiedy właściwie po raz ostatni zorganizowałyśmy coś wspólnie? Kiedy wyjechałyśmy razem na jakąś wycieczkę, choćby tylko za miasto? Gdzie się podziały nasze „spontaniczne akcje”, które dawniej tak bardzo lubiłyśmy? Czy życzenie Basi, żeby przenieść się do internatu, powinnam teraz uznać za „krzyk o pomoc”? Dawniej nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Czy nie przeprowadzałyśmy się zbyt często? A może zapomniałam o czymś bardzo ważnym? Może zbyt rzadko pokazywałam mojej córce, jak piękne może być życie? Może zbyt rzadko mówiłam jej, że przede wszystkim trzeba być lojalnym wobec samego siebie, to znaczy kochać się i akceptować takim, jakim się jest, żeby naprawdę być szczęśliwym? Jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, przez cały czas dręczy mnie pytanie, jak mogło dojść do tego, że cierpienia Basi przez tak długi czas były dla mnie tajemnicą. Dlaczego moje dziecko już dawno temu nie zwierzyło mi się ze swoich trosk? Boże, jakie to musiało być dla

52

niej okropne! Przez tyle miesięcy dźwigać samotnie na swoich dziecięcych barkach taki straszny ciężar! Dlaczego to zrobiła? Czy stałyśmy się dla siebie obce? - „Bez względu na to, jak trudne będą następne miesiące, muszę pokazać Basi, że życie może być naprawdę piękne!” myślę, zasypiając.

Poniedziałek, 1 lipca 2002

Basia

Kąpiel! Chcę się wykąpać. I koniecznie muszę to zrobić! Po tej strasznej nocy bez mamy, pełnej strachu i złych snów, nie pragnę niczego bardziej jak gorącej wody i pachnącego mydła.

Muszę się nieźle namęczyć, żeby wstać z łóżka. Do licha, dlaczego ta prosta czynność sprawia mi tyle kłopotu! Moje nogi nie chcą być mi posłuszne. Mama w lot spostrzeża, co się ze mną dzieje. Na widok moich karkołomnych zmagania z własną słabością, podbiega do mojego łóżka i delikatnie podtrzymuje, ratując przed niechybnym upadkiem. - „Raz i dwa i hop do góry!” - próbuje dodać mi otuchy, pokrzykując z przesadną wesołością, i otwiera na oścież drzwi naszego pokoju. Pchając stojak z kroplówką, wlecemy się w żółtym tempie długim korytarzem, zmierzając do dużej łazienki oddziału dziecięcego. Tam próbuję rozpiąć

guziki szlafroka. Moje palce drżą. Jestem kompletnie wyczerpana tą długą marszrutą po korytarzu. Bezradne spojrzenie na mamę. Ona wszystko rozumie. Jedną ręką rozpina odporne guziki, a drugą podpira mnie, żebym nie upadła na posadzkę. Kochana mama, robi to tak, jak gdyby pomaganie dwu-

53

nastolatce przy rozbieraniu się było najbardziej oczywistą sprawą pod słońcem. Jestem przerażona.

Spodni też nie udaje mi się zdjąć bez pomocy mamy, bo w żaden sposób nie mogę ustać na jednej nodze nawet przez dwie sekundy. Wczoraj jeszcze to potrafiłam... Czy to znaczy, że mój czas się kończy? Że teraz wszystko pójdzie szybko do dołu? Do końca? Do piachu? Natychmiast tłumię tę bardzo nieprzyjemną myśl.

Wszystko to jest dla mnie niezwykle żenujące. To okropne, że mama musi pomagać mi nawet przy tak banalnie prostych czynnościach. Przypuszczalnie, nie wierzy w to, że mogę wstydzić się własnej matki, ponieważ zachowuje się tak, jak gdyby wszystko to było zupełnie normalne. Czy naprawdę nie widzi nic niezwykłego w tej, tak upokarzającej dla mnie, sytuacji?

Potem mama podnosi mnie do góry, wsadza do wanny jak jakiegoś cholernego bobasa, i trzyma mi wąż prysznic, podczas gdy ja staram namydlić się prawą ręką. Co za farsa! To naprawdę nie ma sensu. Dwadzieścia minut później znów leżę w swoim łóżku, cała świeża i pachnąca, ale kompletnie tą wyprawą do łazienki wyczerpana. Jak babcię kocham, nigdy w życiu nie brałam jeszcze tak męczącej kąpieli! Ale o wypoczynku nie ma co marzyć. Jakaś siostra wchodzi do pokoju, pchając przed sobą fotel na kółkach. „Czekają na ciebie na dole, w laboratorium rentgenowskim” - uśmiecha się od ucha do ucha w swym wykroch-malonym czepeczku, jak gdyby zapraszała mnie na tańce. I wskazując ruchem głowy fotel na kółkach, dodaje: „Twoja mama może cię tam zawieźć!”.

Dlaczego wcześniej nie przywiozła mi tego fotela?

54

Mama

Dawniej zawsze myślałam, że pchać wózek inwalidzki to nic trudnego. Ale kiedy siedzi w nim rozhisteryzowane dziecko, które wpatruje się z paniką w swój nadgarstek i nieustannie krzyczy: „Uwaga! Aua! To tak strasznie boli, kiedy rurka się trzęsie!”, a zaraz potem jęczy i lamentuje, to nie jest to wcale takie łatwe, o nie! Człowiek poci się jak mysz. „Do tej bryczki potrzeba prawa jazdy, a ja go, niestety, nie mam”, sapię z rozpaczą. „Gdzie jest instruktor? Dawać go tutaj!” - próbuję żartować. I rzeczywiście, w końcu udaje mi się Basię rozśmieszyć. Łzy błyszczą jej w oczach, ale uśmiecha się od ucha do ucha.

Czyż to nie piękne? Moja ciężko chora dziewczynka chwyta się wisielczego humoru. I najwyraźniej znajduje w nim upodobanie. Brawo, Basiu, tak trzymać! Właściwie, przydałaby mi się jeszcze jedna ręka, żeby móc równocześnie manewrować fotelem i stojakiem. Gdzie, u licha, po-dziewa się mój były mąż?

Z siłą i powoli rosnącą zrećnością kieruję moim kosztownym „ładunkiem” po długich korytarzach kliniki, do windy i z windy - prawdziwy akt siły. Piwnicznym korytarzem aż do laboratorium rentgenowskiego. Kiedy wreszcie, po nieskończeniu długiej podróży, znajdujemy pokój R04, ociekam potem i dyszę jak smok.

Basia

Jazda do laboratorium rentgenowskiego w fotelu na kółkach była nawet zabawna. Dzięki mojej mamie, oczywiście. Na początku trochę się bałam ze względu na stojak do kroplówki, który -jakżeby inaczej! - też musiał jechać ra-

55

zem z nami. Dość szybko zorientowałam się jednak, że wystarczy tylko przytrzymać plastikowy wężyk, żeby wenflon nie sprawiał takiego bólu. Od tego momentu jest mi wszystko jedno, co mama wyprawia ze stojakiem i fotelem. Tkwiący w moim przegubie wężyk został unieruchomiony i teraz ani drgnie. Załatwiłam go „sposobem”, ot co. Kiedy ręka nie boli, cała ta sytuacja wydaje mi się nawet dość zabawna. Patrząc na karkołomne wyczyny mamy mocującej się z całym tym kramem, nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Nie, wcale nie jestem złośliwa - tylko bardzo szczęśliwa, że mama jest obok mnie.

Krótko po naszym powrocie do pokoju - tym razem jazda była już naprawdę „profesjonalna” - mam wizytę. Obchód. Ośmiu ludzi w bieli zaludnia nagle naszą - ciasną przecież - „salkę chorych”. Gdybym nie była taka oklapła, to ten dziki tłum na pewno zrobiłby na mnie wrażenie. Lekarz naczelny, doktor Karsten Stahnke - czytam na jego wizytówce - przygląda mi się „fachowym okiem”, a następnie przysiadła na moim łóżku i zaczyna obmacywać całe moje ciało. Moją szyję, moje pachy - całe szczęście, że się umyłam - mój brzuch i moje pachwiny. Pan doktor jest oszczędny w słowach, nie mówi wiele, i bardzo dobrze. Od pewnego czasu mam alergię na gadatliwych medyków. Po zakończeniu oględzin, wstaje z łóżka i patrząc na mnie z powagą, komunikuje mi: „Dzisiaj przeniesiemy cię na mój oddział, szósty, dla dzieci chorych na raka”. Zanim zdążyłam pojąć do końca sens tych słów, dodaje z uśmiechem: „Ty i twoja mama dostaniecie tam osobny pokój”. Słowo daję, bardzo pocieszające!

Mama i ja spoglądamy na siebie w milczeniu. „Przecież to było jasne od samego początku! Dlaczego ci mądrale potrzebowali tak dużo czasu, żeby wreszcie do tego dojść?” -

56

mówi moje spojrzenie. W odpowiedzi mama kiwa mi niepostrzeżenie głową. To dla nas żadna rewelacja - i żaden szok. Obie doskonale wiemy, że mam raka. Doktor Geiger zazwyczaj się nie myli... Tylko ostatnia iskierka nadziei, że to może jednak była jakaś infekcja, teraz zgasła.

„Bardzo proszę wyjść ze mną na korytarz. Muszę z panią porozmawiać. To nie potrwa długo” - doktor Stahnke zapraszającym gestem wskazuje mamie drzwi, po czym w otoczeniu swoich pomocników, spowitych w nieskazitelną biel, opuszcza pokój. Patrząc na to obojętnie. Jest mi ganc pomada, co tam będzie szeptał za drzwiami. Mama i tak wszystko mi potem powtórzy. A ja wiem, że powie mi prawdę.

Mama

Gdy wychodzę z doktorem Stahnke na korytarz, spostrzegam Klausa, ojca Basi, zmierzającego szybkim krokiem do jej pokoju. Macham ręką w jego stronę, gdy tymczasem doktor poleca swojemu asystentowi, żeby pokazał nam zdjęcia rentgenowskie Basi zrobione dziś rano. Młody ciemnoskóry lekarz zabiera nas do jakiegoś gabinetu, a następnie pokazuje nam zdjęcie płuc Basi. Zamieram z przerażenia. Widzę wielkiego guza w środkowym polu pomiędzy dwoma płatami płuc i dwa następne na każdym skrzydle płuca. „Jezus Maria, aż tak źle! Te guzy są tak duże jak piłeczki do tenisa!” - wymyka mi się bezwiednie. Cholera, przecież postanowiłam sobie, że podczas omawiania choroby Basi zachowam się wobec tutejszych lekarzy jak profesjonalistka.

„Dzięki wynikom badania krwi i zdjęciom rentgenowskim wiemy już teraz z całą pewnością, że pani córka ma

57

raka. Aby jednak postawić dokładną diagnozę musimy wykonać szereg badań i zabiegów, na które potrzebujemy pani zgody” - wyjaśnia nam miły, ciemnoskóry lekarz.

„Punkcja szpiku kości” - mówię bezdźwięcznym głosem. Doktor kiwa głową, podsuwa mi przez stół formularz do podpisu i podaje termin: „Dziś po południu!”.

No cóż, można przynajmniej powiedzieć, że nie tracą czasu.

Teraz przede wszystkim potrzebuję papierosa. Muszę się jakoś pozbierać, żeby nie utracić pozytywnego promieniowania, które emituję na zewnątrz na przekór dręczącym mnie lękom. Basia dobrze mnie zna; Jeśli spostrzeże, że jestem przygnębiona, że coś mnie gryzie, zacznie się bać, a wtedy strach będzie pustoszył jej duszę. Dlatego uciekam ze szpitalnego korytarza na balkon i niemal połykam dwa papierosy. Klaus nie pali, stoi obok mnie w milczeniu i patrzy w przestrzeń z wyrazem niemego przerażenia na twarzy. Przykro mi, ale nie potrafię go pocieszyć. Wracamy z powrotem do Basi i upewniamy się, czy dobrze się czuje. Nasza córka leży w swoim łóżku i nawet próbuje małego, nieszczęśliwego uśmiechu, kiedy nas widzi.

Tutaj jest tak spokojnie. Antonio nastawił ciszej swój telewizor. Kiedy rozglądam się zdziwiona, spotykam współczujące spojrzenie matki Lary. „Tak” - przechodzę do ofensywy - „wiemy już, na co cierpi Basia. Sprawa jest bardzo poważna - to rak”. Wreszcie! Wreszcie wymówiłam to straszne słowo i - o dziwo! - nawet nie miałam z tym większego problemu. Obca kobieta podchodzi do mnie i bierze mnie za rękę. „Tak bardzo mi przykro” - szepce zdławionym głosem i patrzy na mnie z takim współczuciem, że z oczu tryskają mi łzy, a potem leją się jak dwa potoki po moich policzkach, mojej bluzce...

58

Przed lekarzem próbowałam trzymać fason i profesjonalnie podejść do tej strasznej diagnozy, która może być dla mojej córki wyrokiem. Ale teraz mam w nosie całą tę grę pozorów. Jeszcze nigdy nie czułam się taka nieszczęśliwa i tak bardzo zagubiona. Mimo to - muszę wziąć się w garść. Nie mogę mówić, słowa więzną mi w gardle. Dlatego ściskam tylko z wdzięcznością rękę obcej matki i próbuję pozbierać się do kupy.

Basia nie może zobaczyć mojego zwątpienia. Tylko wiarę, pewność i niezawodność. Widok zrozpaczonej, upadłej na duchu matki z pewnością nie doda jej odwagi i nie napełni optymizmem, którego tak bardzo jej teraz potrzeba. A zatem, przywołuję na twarz promienny -jak mniemam -uśmiech, i odwracam się do Basi ze słowami: „Nie taki diabeł straszny... Już my pokażemy temu twojemu rakowi, gdzie raki zimują! Damy mu radę!”.

P Basia

Trochę to trwało - rak rakiem, a biurokracja biurokracją - ale wreszcie doczekałam się. Zostaję przeniesiona na oddział onkologiczny kliniki dziecięcej. Nareszcie mogę się wynieść z tego ciasnego jak psia buda pokoiku zapchanego denerwującymi maluchami. Odczuwam niemal ulgę, kiedy tutejsi lekarze potwierdzają w końcu to, o czym my wiemy już od piątku. Od tej chwili może być już tylko lepiej, ponieważ „ludzie stąd” wiedzą już, na czym stoją. Wiedzą też, w jaki sposób mogą mi pomóc. I pomogą! Mocno w to wierzę. Mama i tata relacjonują mi rozmowę z lekarzem. „Lekarze wychodzą z założenia, że to choroba Hodgkina, aczkolwiek może to być również białaczka albo inny rodzaj raka. Dlatego w najbliższych dniach będą musieli zrobić

59

ci jeszcze kilka testów. To bardzo ważne”. Mama przygotowuje mnie ostrożnie na istny maraton badań, w którym -czy mi się to podoba, czy nie - będę musiała wziąć udział. „A dzisiaj po południu chcą ci już zrobić punkcję szpiku kostnego”.

Jak ja to przetrwam? Punkcja szpiku kostnego - jak to koszmarnie brzmi. Jestem taka zmęczona i oklapnięta. Sflaczała dętka, ot co. Nawet na strach potrzeba energii, a moje rezerwy chyba się już wyczerpały. Wszystko mi jedno, umrę czy nie. Udawanie „zdrowej” kosztowało mnie zbyt wiele sił. Być martwym nie może być gorsze od tego totalnego wyczerpania. Nie chcę być dłużej dręczona. A już na pewno nie chcę iść pod nóż.

Czuję się zbyt słaba, żeby wszystkie te myśli wypowiedzieć na głos. Mama domyśla się zapewne, co się dzieje w mojej głowie i dlatego teraz przemawia łagodnie, żeby mnie uspokoić. Jej kojący głos jest prawdziwym balsamem na moją zboląłą duszę: „Nie bój się

Basiu, głowa do góry! To wcale nie będzie takie straszne. Pójdę z tobą na salę operacyjną i pozostanę tam podczas całego zabiegu".

„Obiecujesz?” - Mój głos jest równie słaby jak ja sama. Mama kiwa głową na znak, że rozumie, co chcę jej powiedzieć. Najchętniej zaprosiłabym na salę operacyjną również tatę, ale wiem, że nie mogę mu tego zrobić. Biedny tata, na pewno zemdlełby, widząc co tam ze mną wyprawiają. Jak to dobrze, że mama, która z wykształcenia jest fizjoterapeutką, będzie mogła stanąć na wysokości zadania. Brała już udział w niejednej operacji. Ona na pewno „nie pęknie”.

Moi biedni rodzice! Chcą walczyć razem ze mną z tym parszywym chorobskim, są tutaj tylko dla mnie i wiem, że nigdy mnie nie opuszczą. Nagle robi mi się wstyd. Jak

60

w ogóle mogłam tęsknić za śmiercią? Przecież to idiotyczne! Nie mogę odejść. Przecież nie mogę zostawić mamy samej...

W południe zabierają mnie z pokoju. Pielęgniarka pcha niespiesznie mój fotel w kierunku sali operacyjnej. Pogodzona z losem siedzę na swoim „tronie” bez ruchu. Tym razem mama musi pchać tylko stojak do kroplówki. Wcale nieźle sobie radzi. Ma już nieco wprawy i potrafi robić to jedną ręką. Drugą trzyma mocno moją drżącą, wilgotną ze strachu prawicę.

W przedpokoju, niewielkim pomieszczeniu sąsiadującym z salą operacyjną, pielęgniarka układa mnie ostrożnie na leżance, która, podobnie jak mój fotel, zaopatrzona jest w kółka. Leżę więc i czekam. Potem przychodzi mężczyzna w zielonym kitlu, który wstrzykuje mi w żyłę jakiś środek. „Nie bój się, jestem tutaj” - słyszę jeszcze szept mamy. Potem odpływam. Mama

Muszę przyznać, że nie było łatwo przekonać lekarza naczelnego, żeby pozwolił mi być na sali operacyjnej podczas punkcji szpiku kostnego Basi. I chociaż zwykle kieruję się rozsądkiem i potrafię iść na ustępstwa, ponieważ z natury nie jestem wojownikiem, tym razem postanowiłam zawalczyć. W końcu, chodzi o moją córkę. Z całym rozmysłem porzuciłam więc swoją wrodzoną układność i rzeczywiście dopięłam swego. I wcale nie musiałam przy tym grać. Po prostu byłam sobą. Matką, która walczy o życie swojego śmiertelnie chorego dziecka. „Obiecałam mojej córce, że nie zostawię jej samej. I nie zostawię!”.

61

Aby być bardziej przekonująca, powiedziałam doktorowi Stahnke, że z zawodu jestem fizjoterapeutką i podczas specjalizacji z chorób kostnych ukończyłam nawet kurs przystrajania zwłok. Ochronna opaska na twarz, kitel, instrumenty lekarskie - to mój świat. Oczywiście, wszystko jest inaczej, kiedy chodzi o własne dziecko, ale „Jeśli nie będę mogła tego znieść, to po prostu nie będę patrzeć!” - rozpraszam jego obawy. W końcu daje mi swoją zgodę, przypuszczalnie tylko dlatego, że bym wreszcie przestała gadać. Jest mi to obojętne! Najważniejsze, że mogę dotrzymać słowa. Że nie zawiodę Basi.

Taki zabieg to dla tego doświadczonego zespołu specjalistów czysta rutyna, a mimo to cieszę się, kiedy wreszcie się kończy. Zatopiona w myślach, podążam za człowiekiem w białym kitlu, który pcha korytarzem leżankę ze śpiącą Basią. Mam nadzieję, że jej szpik kostny nie jest jeszcze zakażony. Czepiam się tej myśli jak tonący brzytwy. W jakież inny sposób bowiem mogłabym mieć jeszcze nadzieję na wyzdrowienie Basi? Przecież tylko ona mi pozostała - nadzieja.

Pewny celu pielęgniarka steruje leżanką w kierunku dawnego pokoju Basi, gdzie już od dłuższego czasu wypatruje nas niecierpliwie Klaus. Mieliśmy nadzieję, że Basia będzie mogła obudzić się już w swoim nowym pokoju. „To, niestety, jeszcze trochę potrwa, ale jestem pewna, że najpóźniej dziś wieczorem będziecie mogły się przeprowadzić” - pociesza mnie siostra, którą zagaduję na ten temat.

Pielęgniarka pomaga mi ułożyć Basię na łóżku, a następnie podłączają do urządzenia mierzącego puls oraz innej aparatury kontrolnej. Muszę przyznać, że strasznie tego dużo. „Pani córka jeszcze trochę pośpi” - mówi, uśmiechając się, i dodaje: „Dlaczego nie wyjdzie pani na

62

parę minut na świeże powietrze? To z pewnością dobrze pani zrobi”. Rzeczywiście, to dobry pomysł! Robię sobie krótką przerwę na papierosa, ale tylko dlatego, że wiem, iż Klaus jest w pokoju. Basia nie powinna obudzić się sama. Kiedy wracam, widzę drugiego lekarza naczelnego kliniki, doktora Classena, jak śmieje się i kiwa głową wyraźnie rozbawiony, wychodząc z pokoju Basi. Ciekawe, co go tak rozbawiło? „Pewnie nikt nam w to nie uwierzy!” - słyszę, jak mówi do towarzyszącej mu siostry. Jeszcze nie wiem, że mówi o Basi i uświadamiam to sobie dopiero, kiedy wchodzę do jej pokoju.

„Halo, mamusiu” - bełkocze śpiwnym głosem moje ciężko chore dziecko. Wszystko wskazuje na to, że jest w jak najlepszym humorze. Basia siedzi wyprostowana jak świeca na swoim łóżku, na twarzy ma uśmiech od ucha do ucha i tak dziwnie kiwa głową, zupełnie jakby była pijana. - „Widzę cztery mamy” - wykrzykuje naraz zuchowato i próbuje liczyć. - „Jeedna, druuga, trzeecia... która w końcu jest moją prawdziwą mamą? Wszystko jedno, chodźcie tutaj wszystkie, chcę was uściskać! No już!”.

Zupełnie mnie zatkało. Do licha, o co tutaj chodzi? W odpowiedzi na moje osłupiałe spojrzenie, Klaus wzrusza tylko ramionami. Najwyraźniej też nic z tego nie rozumie. „Mamo, czuję się cudownie, fantastycznie - prawie zapomniałam, że można czuć się tak wspaniale! Jestem silna jak koń, co ja mówię - jak słoń, i mogłabym wrywać drzewa z korzeniami. Popatrz tylko!” - Basia wydziera się na całe gardło i na potwierdzenie swoich słów staje na łóżku. Obwieszona od stóp do głów długimi przewodami, ku memu przerażeniu, zaczyna podskakiwać na łóżku w górę i w dół, w górę i w dół, zupełnie tak samo jak to często robiła, kiedy była małym dzieckiem.

63

Aparaty przy jej łóżku piszczą i trąbią, a ich wskazówki tańczą jak szalone. - „Basiu, czyś ty zupełnie zwariowała?! Uważaj na przewody! Ta aparatura jest naprawdę bardzo delikatna i długo tego nie wytrzyma!” - próbuję przywołać ją do porządku. Zdaje się, że ton mojego głosu trochę ją studzi, bo zanim skończyłam mówić, opada z impetem na swoje łóżko, przechodząc w pozycję siedzącą, choć dalej kiwa się i kołysze na wszystkie strony, jak gdyby spektakl aparatury medycznej był jakąś niesamowitą muzyką, która ją całkowicie odurza. Jeszcze nigdy nie widziałam mojego dziecka w takim stanie. Na litość boską, czy ta mała jest pijana? Co oni jej dali? Wódkę zamiast narkozy?! Basia jest w najwyższej formie. Sypie dowcipami jak z rękawa, plecie koszałki opałki i stroi głupie miny, tak że wszyscy w pokoju muszą się śmiać razem z nią. Śpiewa, chichocze i wymachuje w powietrzu palcem wskazującym, zbliżając go niebezpiecznie do czujników pulsometru. „Hej, jestem E.T.” - woła w uniesieniu. „Spójrz mamu” - podnosi w górę ozdobiony kłamrą palec.

W swoich małych towarzyszach niedoli i ich matkach Basia znalazła wdzięcznych widzów. Moja gwiazdeczka znów jest w centrum uwagi, ma wreszcie - jak to dawniej często bywało - swoją widownię i swoją scenę. Nawet jeśli jest nią tylko łóżko. Kiedy przez moment siedzi nieruchomo i gapi się w przestrzeń, przypuszczalnie tylko dlatego, żeby obmyślić naprędce jakąś nową hecę, którą będzie mogła zaskoczyć swoją publiczność, również takty pulsometru wyraźnie powolnieją. Basia dostrzega zamieranie pulsu na monitorze, przez chwilę wpatruje się przerażona w aparat, po czym pochyla się w moją stronę i pyta ścisłym głosem:

„Mamo, jeśli to urządzenie teraz się zatrzyma, czy to będzie znaczyć, że ja już nie żyję?”. -

64

„Musisz po prostu postarać się, żeby twój puls nie opadał zbyt szybko. Ruch jest tutaj bardzo wskazany. Jak szaleć to szaleć!” - dołączam do jej zuchowatego nastroju. - „Dobra, to dla

mnie żaden problem, mam!" - bełkocze wyraźnie uspokojona, wciąż jeszcze z buńczuczным uśmiechem zastygłym na jej twarzy. Znowu zaczyna kołysać się rytmicznie w takt niesłyszalnej muzyki, która -jak się domyślłam - nadal rozbrzmiewa w jej głowie. Potem zaczyna śpiewać na całe gardło: „Trzęś się, trzęś się, trzęś się dla niej, dla swojej pulsowej maszyny!" i wywija w powietrzu palcem, niczym jak szlachetny rycerz swoim mieczem, litery E i T.

Niepewna, czy te wariactwa nie zaszkodzą jej lub maszynom, naciskam na guzik, przywołując pielęgniarkę, która w chwilę później zjawia się w naszym „teatrze", w lot ogarnia sytuację i właściwie interpretuje moją zatroskaną minę. „Proszę się nie denerwować" - mówi uspokajającym głosem - „takie rzeczy zdarzają się po punkcji szpiku kostnego dosyć często. Dzieci otrzymują na ten zabieg tylko krótką narkozę, która sprawia, że nie mają żadnych wspomnień, ale za to chwilowe zaburzenia percepcji. Ten środek działa mniej więcej tak jak różowe okulary, zazwyczaj jednak nie dłużej niż godzinę po zabiegu. Życzę wszystkim dobrej zabawy i jeszcze wielu niespodzianek!" - mówi na zakończenie, żegnając się skinieniem głowy z całym towarzystwem. I rzeczywiście, po upływie około godziny hałasy kończą się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W jednej chwili Basia zasypia jak kamień, kompletnie wyczerpana szalonym przedstawieniem, które nam dała. Szkoda, że nic z tego nie pozostanie w jej pamięci.

65

Basia

„Hej, staruszko, możemy się przeprowadzać" - szepcze mi do ucha mama. Czyja spałam? Gdzie jestem? Dopiero, kiedy otwieram oczy, nie mam żadnych wątpliwości. Oczywiście, wciąż jeszcze w tym okropnym pokoju na „czwórce", czyli na oddziale numer 4. Tata taszczy właśnie nasze torby do drzwi. Jestem całkowicie rozbudzona i zadziwiająco rześka. „Co, naprawdę? Czy my naprawdę się przeprowadzamy"? - „Tak", uśmiecha się mama i wskazuje mi zapraszającym gestem fotel na kółkach, który już czeka jak wierny pies przy moim łóżku. Gdy się prostuję, czuję, że mam naciągnięte mięśnie, jakbym zrobiła pięćdziesiąt karnych pompek na wu-efie. Ciekawe, skąd się to wzięło? Mama pomaga mi usiąść na fotelu. No, to komu w drogę... Boże, jestem taka podekscytowana.

Na oddziale szóstym wita nas siostra Sandra. Już przy wejściu do tej części szpitala bije w oczy feeria barw. Szklane drzwi wiodące na korytarz są tak oblepione kolorowymi obrazkami, że nie widać, co jest za nimi. Pastelowe ściany długiego korytarza ozdobione są rysunkami dzieci, począwszy od abstrakcyjnych malowideł do dziwacznych gryzmołów zupełnie małych pacjentów, na których królują niepodzielnie odziani w białe kitle lekarze i pielęgniarki. Tu i ówdzie pojawia się motyw dziecka leżącego pod kroplówką. Czy rzeczywiście muszę na to patrzeć? Opuszczam wzrok. Podjeżdżamy do ogromnego koła fortuny. A to co takiego? Dopiero gdy jesteśmy tuż obok tej, dość niezwykłej w tym miejscu, konstrukcji, rozpoznaję trzy okrągłe drewniane płyty, ułożone warstwowo jedna na drugiej jak tarcze obrotowe, które są pełne zdjęć leka-

66

rzy i pielęgniarek. „Podoba ci się? Tutaj widzisz wszystkich pracujących na tym oddziale" - wyjaśnia mi siostra Sandra. „A czerwone strzałki, tutaj na lewo, pokazują wam zawsze, kto z nich ma właśnie dyżur". Czy to możliwe, żeby aż tak wielu ludzi pracowało na tym, wcale niesprawiającym wrażenia dużego, oddziale? Prawie nie mogę w to uwierzyć, ale jakoś nie mam nastroju do zadawania pytań. Przez cały czas myślę o rysunkach, które widziałam na korytarzu. Może gdyby nie one... Mijamy pokój za pokojem. Na wszystkich bez wyjątku drzwiach czerwona tabliczka ostrzega: „Niebezpieczeństwo infekcji! Surowa higiena! Kitle ochronne, gruntowna dezynfekcja rąk. Proszę zamykać drzwi!".

Siostra Sandra wyjaśnia, że na tym oddziale każdy pokój ma swoje imię. Mój pokój dostał tabliczkę «Przyjaciele». „Przygotowaliśmy go dla ciebie!" - mówi z uśmiechem pielęgniarka i

otwiera szeroko drzwi. Musimy przejść przez mały przedpokój wyposażony w umywalkę, a potem przez kolejne drzwi prowadzące do właściwego pokoju. Jest mniejszy niż pokój trzyosobowy, z którego tu przybywam, ale sprawia wrażenie bardziej przestronnego, ponieważ stoi tutaj tylko jedno łóżko przy oknie. Oprócz łóżka, jest jeszcze krzesło i nieco przestarzała meblościanka. Regały są puste, z wyjątkiem małego jak zabawka telewizora stojącego na najniższej półce.

Hurra! Teraz będę mogła wreszcie oglądać programy, które podobają się mnie i tylko mnie. Koniec z japońskimi kreskówkami, niech żyje „inteligentna telewizja”! Koło łóżka stoi leżak obciążony jaskrawo żółtym materiałem. Czy to mama będzie na nim spać? Siostra Sandra dostrzega moje pytające spojrzenie i wyjaśnia pospiesznie: „Być może twoja mama będzie chciała czasem wypocząć rów-

67

niez w ciągu dnia. Na noc przygotowaliśmy dla niej składane łóżko, które jest schowane pod twoim. Czy teraz wszystko jasne?”.

Na przeciwległej ścianie stoi szafa, a obok niej znajdują się drzwi prowadzące do łazienki. Oddycham z ulgą. Żegnaj, wspólna łazienko!

Kiedy wreszcie dzięki pomocy mamy leżę w łóżku, rozglądam się ciekawie dookoła. Koło mnie stoi oczywiście -jakżeby inaczej! - mój wierny towarzysz, stojak do kroplówki, z którego znów coś we mnie powoli skapuje, kropelka po kopolce. Do mojego okna przywarły kolorowe kwiaty, motyle, biedronki, żuczki i co tam jeszcze lata i drepce po barwnej i pachnącej wiosennej łące. Wszystko to wykonane z kolorowych szkiełek, jak się domyślam, przez moich poprzedników z tego pokoju. Zdolna dziatwa, myślę z podziwem i sympatią o tych, którzy byli tutaj przede mną. Z okna widać wierzchołek katedry w yim. Mój wzrok wędruje w stronę białej zasłony z kolorowymi trójkątami. „Ojej, mam, zobacz tylko, tam jest przylepiona krew do zasłony. Nie chcę! Zabierz to!” - wrzeszczę przerażona. Mama upuszcza na posadzkę bieliznę, którą właśnie chciała ułożyć w szafie i podchodzi do okna, żeby przyjrzeć się z bliska mojemu odkryciu.

„Ależ, Basiu, te maleńkie brązowe plamki to nie musi być krew, przestań się wygłupiać!” - mówi spokojnie. Ale ja już nie panuję nad sobą. Czuję, że za chwilę wyjdę z siebie - ze strachu i obrzydzenia. „Nie, ja wiem, że to jest krew. Krew innych dzieci, które w tym pokoju były klute igłami. Mam, zabierz to szybko, proszę cię. Nie mogę patrzeć na tę przeklętą zasłonę. Błagam!”. - Mama przewraca oczami, wzdychając głośno, ale w końcu robi to, o co ją proszę. Przeciąga nieskończenie długi szal zasłony przez

68

moje łóżko, przez metalową poprzeczkę u wezglowia, i wreszcie wynosi ją do przedpokoju. Ufff, co za ulga! Brunatne plamki już mnie nie straszą. Teraz będę mogła wyglądać przez okno, kiedy tylko zechcę.

Pierwsza kolacja na nowym oddziale. Nie mam apetytu. Przy następnym ataku kaszlu i tak wszystko podejdzie mi do góry, a potem wylądować w misce albo na kołdrze. Po co więc trudzić się na próżno? Mama je odrobinę chleba z wędliną, ja piję tylko herbatę. Po kolacji włączam telewizor. „Zabroniona miłość” przenosi mnie w świat normalności. Bez szpitala i zastrzyków, bez badań i operacji. Nie chcę rozmyślać ani o mojej chorobie, ani o następnej nocy, która na pewno znów będzie okropna. Mama może zostać przy mnie dzisiejszej nocy. Będzie na mnie uważać, a ja wiem, że nie umrę, dopóki ona tutaj jest.

„Jutro rano, jeśli Bóg tak zechce, znów się obudzisz!”. Nienawidzę tej dziecinnej piosenki, która dźwięczy mi w głowie każdego wieczoru, od kiedy tak strasznie się czuję. Dlaczego Bóg miałby nie chcieć, żeby jakieś niewinne dziecko obudziło się następnego dnia? I co to w ogóle jest za Bóg? A może powinnam zapytać raczej: co to w ogóle jest za piosenka?

Mama

Siedzę na balkonie oddziału szóstego, palę papierosa i prowadzę rozmowę z Bogiem: „....a jeśli już tak musi być, że zabierzesz mi moje ukochane dziecko, to proszę cię, zrób to szybko!”. Zaledwie to pomyślałam, przestraszyłam się swojego egoizmu. Cóż ze mnie za wyrodna matka. To okropne, niewybaczone i po prostu podłe! Zawsze myślę tylko o sobie. I boję się tylko o siebie. Czy będę mogła patrzeć, jak

69

cierpi? Czy w ogóle to zniosę? I jak bardzo będę cierpiała, jeśli ją stracę, jeśli moje dziecko odejdzie? Tutaj chodzi o Basię, do cholery! Cofam wszystko, co wcześniej pomyślałam i przepraszam Boga tak szczerze, jak tylko potrafię.

Bez względu na to, jaka będzie jej droga, ja będę szła tą drogą razem z nią, czy to będzie trwało długo czy krótko, czy znów powróci do życia, lub wręcz przeciwnie, będzie chciała mnie opuścić - chcę i muszę być przy niej. Moje miejsce jest u jej boku. Nasza codzienność została daleko za nami, bardzo daleko. Jedzenie, gotowanie, zakupy, moi pacjenci, nasz dom, pieniądze - wszystko stało się nieważne, błahe. Liczy się tylko chwila obecna. Każdy moment, który mogę jeszcze spędzić z moją córką. Tylko to się liczy.

Tej nocy jestem wielokrotnie budzona przez Basię, zupełnie jak w pierwszych tygodniach po jej narodzinach, kiedy musiałam wstawać do kwilącego oseska. Tylko że niemowlę ma zupełnie inne potrzeby niż ciężko chore dziecko. Jej ataki kaszlu prawie zawsze kończą się wymiotami. Basia ma wysoką gorączkę i zanim zdążę zmienić jej przeponą piżamę, już muszę sięgać po następną. Zaledwie usypiam na mojej niewygodnej leżance, znów piszczy sygnalizator kroplówki, które podawane są również nocą. Spoglądam na zbiorniczek, jest pusty. Naciskam guzik, przywołując pielęgniarkę. Basia jest na bieżąco zaopatrywana w wodę, substancje odżywcze i antybiotyki obniżające gorączkę.

Wiele razy w ciągu tej nocy, razem z siostrą dyżurną, zmieniam pościel na łóżku Basi. Nasz zapas nocnej bielizny jest, niestety, niewystarczający. Musimy ratować się koszulami nocnymi ze szpitalnego magazynu. Aż do następnego ataku kaszlu.

Rano wyślę Klausa po zakupy. Potrzebujemy całego stosu piżam.

70

Wtorek, 2 lipca 2002

Basia

Oglądam telewizję. Na ekranie dwoi się i troi „Doktor Stefan Frank”. Jest jedyny i niepowtarzalny, a przede wszystkim przywraca do zdrowia wszystkich swoich pacjentów. Jaka szkoda, że doktor Frank nie może być moim lekarzem prowadzącym! On i jego wzorcowo cierpiący, a potem zwykle dochodzący do zdrowia pacjenci są zawsze mile widziani w moich skromnych progach. Nikt inny, oprócz mojej mamy oczywiście, nie potrafi tak znakomicie poprawić mi humoru. To niesprawiedliwe, że właśnie teraz wypada czas obchodu. Kurczę pieczone! Dlaczego muszą to robić zawsze wtedy, kiedy w telewizji leci coś fajnego, i kiedy choć na chwilę udaje mi się zanurzyć w świecie ułudy i zapomnieć o tym, gdzie jestem? Coś do mnie mówią, ale ja nie słucham. Wszystko to, co muszę koniecznie wiedzieć, powie mi później mama. Ale dzisiaj z tłumy białych kitlów wyłania się kobieta z brązowymi włosami i ciepłymi, przyjaznymi oczami. Podchodzi do mnie i wyciąga rękę: „Dzień dobry, jestem Anja, wychowawczyni. Prowadzę zajęcia dla naszych młodych pacjentów” - przedstawia się. Anja opowiada, że na oddziale jest duży pokój zabaw, gdzie można wypożyczać gry i książki. - „Poza tym, w każdym tygodniu organizujemy rozmaite kursy robótek ręcznych, malowania, rysowania i rzeźby. Może miałabyś ochotę wziąć w udział w jednym z naszych kursów, Basiu” - próbuje mnie skusić. - Nie jestem zainteresowana, ale mimo to uśmiecham się do niej uprzejmie. W końcu, ta kobieta nie zrobiła mi nic złego. „Może” - odpowiadam niepewnie, tylko po to, żeby w końcu sobie poszła.

71

Kiedy lekarz studiuje moją kartę, ja pozostaję jednym okiem, i ze zdwojoną uwagą, przy „Doktorze Stefanie Franku”. Historie jego pacjentów interesują mnie o wiele bardziej aniżeli historia mojej własnej choroby. Dopiero kiedy z monotonnego wywodu „mojego doktora” zupełnie przypadkowo wyławiam słowa „operacja” i „usunięcie węzłów chłonnych”, strzygę uszami, robię się czujna i próbuję podążać za jego wywodami. Staram się, jak mogę, ale on mówi tak szybko i rzuca tak wieloma fachowymi wyrażeniami, że zaczyna kręcić mi się w głowie. Chcą mi założyć Hickmana, Świetnie, tylko co to takiego? Moje serce znów zaczyna bić jak szalone. Zdaję się, że za chwilę trzeba będzie zmienić mi piżamę. Jestem mokra ze strachu. Przez głowę przelatują mi tysiące pytań, ale przed tym szacownym zgromadzeniem znawców medycyny siedzę cicho jak mysz pod miotłą, nie wydając z siebie żadnego głosu. Jeszcze jedna operacja! Kiedy? Jaka? I dlaczego? Czy tym razem mama też będzie mogła być przy mnie? Jeśli tak dalej pójdzie, to nie dożyję do początku chemioterapii. Nie wierzę, żeby Bóg chciał, abym jeszcze długo „budziła się jutro rano”. Jakie zamiary ma wobec mnie ten, który jest panem naszego życia i śmierci?

W głowie aż huczy mi od zupełnie fatalnych myśli, ale moja twarz pozostaje przez cały czas obojętną maską. Kamienna twarz samuraja. O tak, w tym jestem dobra. Bądź co bądź, tych kilka kursów aktorskich, które ukończyłam, na coś się przydało. Pozornie spokojna i wyluzowana, by nie rzec nonszalancka, podążam za wywodami lekarza naczelnego oddziału. Tylko zatroskane spojrzenie mamy zdradza mi, że kto jak kto, ale ona wie dobrze, jaka jestem wzburzona, jaki bunt szaleje w moim sercu.

72

Zaledwie ostatni biały kitel znikł za drzwiami, napadam mamę, zasypując ją gradem pytań: „Czego oni znów ode mnie chcą? Dlaczego muszę być znów operowana? Kiedy wreszcie mi pomogą, zamiast obmacywać mnie w nieskończoność i oglądać wszystkie części mojego ciała po kolei?”. - Muszę to wiedzieć, w końcu cała ta sprawa dotyczy mnie i tylko mnie! - „Tylko spokojnie, nie denerwuj się” - uspokaja mnie mama i przejeżdża ręką po moich włosach. - „Nie dotykaj! Proszę! Błagam, tylko mnie nie dotykaj. Umieram z gorąca! Przepraszam cię bardzo, ale mam uczucie, że za chwilę rozpuszczę się z gorąca. Nie zniosę, żeby ktoś mnie dotykał. Nawet ty!”. - Mama spogląda na mnie lekko zdziwiona, ale opuszcza ręce, które chciały właśnie pochwycić moją dłoń.

Doktor Frank w dalszym ciągu migoce na matowej szybie ekranu, ale teraz nawet on - mój idol - przestaje mnie interesować. „Powiedz mi, proszę, o co właściwie tutaj chodzi? Co oni mają zamiar ze mną zrobić?” - jęczę płaczącym głosem. Mama wyjaśnia mi pokrótce, że w czwartek usuną mi jeden z węzłów chłonnych. Muszą to zrobić. Tylko w ten sposób lekarze będą mogli uzyskać całkowitą pewność, o jaki rodzaj raka tu chodzi. - „Ale gdzie on będzie usunięty, ten węzeł? Czy tym razem też pozwolą ci być przy mnie?”. - „Prawdopodobnie usuną ci węzeł umiejscowiony przy zgięciu szyi. Poza tym, chcą ci założyć cewnik, żebyś nie musiała być już kłuta”.

Nigdy więcej zastrzyków! Brzmi wspaniale, ale co to jest cewnik? No i ten „hickman”, o którym mówił doktor Classen? Cewnik to rodzaj gumowego wężyka, który działa na zasadzie kraniku. Lekarze mogą dzięki niemu pobierać ci krew, przyłączyć kroplówkę i wpompować lekarstwa.

73

I co najważniejsze - nie muszą cię przy tym kłuć. Jeden z jego końców wężyka tkwi w żyłę, która transportuje krew do serca, a drugi - wystający z twojego ciała - sterczy na brzuchu - wyjaśnia ostrożnie mama. - „To bardzo mądre urządzenie zostało wynalezione przez lekarza o nazwisku Hickman, i stąd wzięła się jego nazwa”. Jestem przerażona. Jeśli ten wężyk będzie wystawał z mojego brzucha, to przecież wykrwawię się na śmierć!

„Nie, nie bój się. Nic takiego się nie stanie” - mama próbuje przybliżyć mi ten medyczny fenomen i uczynić go dla mnie zrozumiałym. - „Wężyk zostanie wprowadzony do głęboko

osadzonej żyły szyjnej i razem z twoją krwią będzie transportowany aż do serca. Natomiast górny koniec, który wystaje z żyły, będzie przeprowadzony pod skórą do górnej części brzucha i tam wyjdzie na zewnątrz. Krew płynie w innym kierunku i może być tylko odsysana z tego wężyka".

Wszystko to brzmi bardzo skomplikowanie, ale jeśli mama to mówi, to na pewno musi tak być. A ponieważ „hickman” zaoszczędzi mi w przyszłości zastrzyków, muszę pogodzić się z tym, że przez jakiś czas będę biegała z wężykiem gumowym na brzuchu. W końcu lepsze to niż igła!

„Czy podczas tej operacji też będziesz przy mnie?” - próbuję się dowiedzieć. Ta kwestia jest dla mnie niemal tak samo istotna jak sam zabieg. „Oczywiście, będę ci towarzyszyć aż do sali operacyjnej, a potem zaczekam na ciebie na korytarzu, ponieważ tym razem nie mogę być obecna przy zabiegu. Zdaje się, że znowu nie słuchałaś, o czym mówili na obchodzie, przynajmniej moja panno?” - fuka na mnie mama, wygrażając mi palcem, ale wcale nie jest na mnie zła. - „Po co mam słuchać? I tak nic z tego nie rozumiem! Dla mnie to tylko medyczne czary-mary” - bronię się pospiesznie, pragnąc wytłumaczyć jakoś moją ignorancję.

74

Około drugiej po południu nadciąga tata, więc mama wykorzystuje okazję, żeby siostra Sandra oprowadziła ją po całym oddziale. Właściwie powinnam jej towarzyszyć, ale póki co, nie mam ochoty opuszczać mojego pokoju. Zdecydowanie bardziej wolę leżeć w łóżku, niż być pchana w fotelu na kółkach. Odkąd leżę tutaj, na „onko”, czuję się lepiej. Nie tylko zdrowotnie, ale również psychicznie. Jestem w dobrych rękach, pod dobrą opieką. Prawie nie mam czasu, aby dopuszczać do siebie strach przed chorobą. Wystarczy mi w zupełności, że muszę cierpliwie znosić badania i pobrania krwi, umierać ze strachu przed każdym zastrzykiem i obserwować zmieniające się nieustannie kroplówki. Sprawa naprawdę nie jest prosta, bo nieustannie muszę uważać, żeby jak najmniej poruszać ramieniem z igłą. Mam też sporo kłopotu z pielgrzymowaniem razem ze swoim wiernym „przyjacielem” stojakiem do mojej małej łazienki lub „wucetu” - w końcu od czasu do czasu muszę się umyć lub załatwić. Każde dotknięcie i każdy ruch wężyka wywołuje kłujący ból.

Obejrzeć cały oddział? Teraz, natychmiast? Nie, dziękuję! - „Mamo, potem wszystko mi opowiesz, dobrze?” - wysyłam ją z lekkim sercem i opadam z powrotem na poduszkę.

Kiedy zostajemy sami, opowiadam tacie o czekającej mnie w czwartek operacji i o cewniku, który mi wszczepią, żebym nie musiała być już więcej kłuta igłą. Tata gładzi mój policzek, pragnąc pewnie wyrazić w ten sposób swoje współczucie, i chce potrzymać mnie za rękę.

Wygląda mizernie. Domyślam się, że wydarzenia ostatnich dni zupełnie go wykończyły, ale dzielnie się trzyma, próbując nie dać tego po sobie poznać. - „Tato” - próbuję delikatnie dać mu do zrozumienia, że z tym głaskaniem to nie jest najlepszy pomysł. W końcu on jeszcze nie wie o mojej nowej fo-

75

bii na punkcie kontaktu cielesnego. „Bardzo cię proszę, nie dotykaj mnie! Czuję się tak, jakbym była uwięziona w rozpalonym do czerwoności pancerzu ze stali, z którego w żaden sposób nie mogę się wydostać. Jest mi tak gorąco, tak nieskończenie gorąco... a gdy ktoś mnie dotyka, to wtedy robi mi się jeszcze bardziej gorąco. Opowiedz mi raczej o święcie strzelców i już się na mnie nie złość, bardzo cię proszę! Tak się cieszę, że jesteś przy mnie, naprawdę! Umieram z ciekawości, co się tam działo w tym roku!”.

Mama

Mijając dziesięć pokoi dziecięcego oddziału nowotworów, siostra Sandra prowadzi mnie korytarzem w kształcie litery L - najpierw zwiedzam kuchnię.

Otwiera szafę, która jest znakomicie zaopatrzona we wszelkiego rodzaju śniadaniowe wiktuały. Potem pokazuje mi lodówkę. „Tutaj znajdzie pani zawsze świeże mleko i inne

podstawowe środki żywności, a w zamrażarce pizzę i frytki. Oczywiście, może pani zdeponować tutaj również swoje własne artykuły żywnościowe. Wszystkie te produkty koniecznie muszą być zaopatrzone w nazwisko i datę, a ściślej mówiąc dzień, w którym po raz pierwszy zostały tutaj ulokowane. Raz w tygodniu lodówka jest dokładnie myta i łatwo psujące się artykuły są wyrzucane. Wszystkie półki są myte i dezynfekowane".

Siedząca we mnie skrzętna gospodyni domowa ze Szwabii jest pod wrażeniem. „Czy naprawdę myjecie lodówkę raz na tydzień? - upewniam się z niedowierzaniem. „Tak” - wyjaśnia cierpliwie siostra Sandra. „Pleśń i zarazki chorobotwórcze mogą być dla naszych dzieci śmiertelne”. No jasne! Że też od razu na to nie wpadłam. Podczas chemiote-

76

rapii dzieci tracą stopniowo siły odpornościowe, w które wyposażony jest każdy zdrowy organizm; ich system immunologiczny jest bardzo osłabiony, a w takich okolicznościach ściśle przestrzeganie higieny i wzgląd na świeżość produktów żywnościowych jest sprawą życia i śmierci. - „W naszej kuchni może pani również sama gotować dla Basi” - mówi siostra Sandra, przyglądając mi się spod oka. Ponieważ do tej pory nigdy nie narzekałyśmy na szpitalną kuchnię, a przeciwnie, zawsze bardzo nam smakowała, więc wyrażam przypuszczenie, że to chyba nie będzie konieczne, ale siostra Sandra szybko potrząsa głową. „Podczas chemioterapii dzieci zwykle tracą apetyt. Ich błony śluzowe stają się obolałe, zmienia im się też zmysł smaku. Rodzice są wtedy zadowoleni, że dziecko wyraża życzenie zjedzenia czegoś specjalnego, na przykład swojej ulubionej potrawy - wszystko jedno o której porze dnia lub nocy. Ale tych specjalnych życzeń nie zawsze jesteśmy w stanie spełnić. Nasza szpitalna kuchnia proponuje standardowe dania, żadnych kulinarnych rewelacji. Dlatego właśnie jest ta kuchnia!” - wyjaśnia mi na zakończenie.

Zaczyna mnie mdlić w żołądku, kiedy pomyślę, co jeszcze czeka Basię. Biedne dziecko. Nic jednak nie mówię, tylko kiwam głową na znak, że zrozumiałam. Z ciężkim sercem podążam dalej za siostrą Sandrą, która chce mi wyjaśnić kolejne osobliwości tego oddziału. Moja przewodniczka ma dla mnie jeszcze kilka „niespodzianek”. Prowadzi mnie do świetlicy - przytulnej niszy wyposażonej w wielki stół i wygodne ławeczki. „Tutaj rodzice naszych pacjentów mogą się spotykać i porozmawiać ze sobą, na przykład kiedy dzieci śpią. W każdy czwartek, razem z dziećmi, które czują się lepiej, pieczemy ciastka dla rodziców. Potem urządzamy tutaj ucztę”.

77

Dowiaduję się, że troskliwą opieką objęci są na tym oddziale również rodzice i rodzeństwo chorych dzieci. Jest więc „dom rodziców” dla tych mieszkających daleko od kliniki, jest opieka nad rodzeństwem poniżej czternastego roku życia, które z powodu niebezpieczeństwa zarażenia nie ma prawa wstępu na oddział. „Ulm nocą”, wycieczka na starówkę oraz inne „atrakcje” mają choć na parę godzin oderwać rodziców dzieci chorych na raka od szpitalnej codzienności.

Na koniec, siostra Sandra pokazuje mi jeszcze pokój zabaw. Jest to wielkie pomieszczenie wypełnione wszelkiego rodzaju zabawkami i grammi, lalkami, pluszakami, klockami lego. Są tu nawet laptopy. Raj dla dzieci i młodzieży w każdym wieku. Ale pokój zabaw jest pusty. Żadnego dziecka, chociaż wszystkie pokoje na oddziale są zajęte, o czym wiem od siostry Sandry. Widok tego pustego pomieszczenia pełnego zabawek jest dla mnie nie do zniesienia. Czuję się tak, jakbym dostała obuchem w głowę. Kolejny smutny znak, że tutaj naprawdę leżą tylko ciężko chore dzieci, którym przeszła wszelka ochota na wesołe zabawy i dziecięce igraszki. Basia też leży tylko w swoim pokoju jak zraniony ptaszek, a przecież chemioterapia dopiero przed nią. Pomimo panującego gorąca, nagle zaczynam trząść się z zimna. Chcę jak najszybciej wyjść z tego osobliwego sanktuarium. Chociaż wszystko urządzone w taki sposób, żeby dzieci czuły się radosne i szczęśliwe, to spokój i upiorna cisza, które ciążyą nad całym tym oddziałem, pozwalają się domyślać, co tak naprawdę się tutaj dzieje. W głębi

duszy jestem zadowolona, że Basia nie poszła z nami. Moja córka jest bardzo wrażliwa, a nieobecność dziecięcych głosów i ich wesołego śmiechu z pewnością niemile by ją uderzyła,
78

zwłaszcza tutaj, w tym dziwnie smutnym pokoju zabaw. Dokładnie tak samo jak mnie. O trzeciej po południu jesteśmy z Klausem umówieni na rozmowę w gabinecie lekarza naczelnego, doktora Stahnke. Wychodząc z pokoju, zerkam na migocący ekran telewizora. Sędzina Barbara Salesch zatroszczy się o to, żeby moja dziewczynka nie czuła się samotna. Doskonale, z tą kobietą rzeczywiście nie można się nudzić. Gdy siadamy naprzeciwko pana doktora w jego gabinecie, ten zaraz przechodzi do rzeczy. „Basia ma przerzuty do krwi, chłoniaki, czyli guzy węzłów chłonnych, a ponadto trzy dość duże guzy w płucach. Nie możemy jeszcze z całą pewnością powiedzieć, czy to jest białaczka, czy raczej choroba Hodgkina, jednak według wszelkiego prawdopodobieństwa to jest Hodgkin”.

Choroba Hodgkina, rak węzłów chłonnych, nazywany również ziarnicą złośliwą. Szanse wyleczenia u dzieci wynoszą około 80 procent - mój mózg recytuje wszystkie wiadomości dotyczące tej odmiany raka, jakie zdążyłam wyszukać w internecie jeszcze w piątek wieczorem, zanim tutaj przyjechaliśmy.

„Kiedy zaczniecie wreszcie z chemioterapią?” - pyta Klaus. - Doktor Stahnke wyjaśnia uprzejmie, ale stanowczo, że najbardziej odpowiednią dla Basi chemioterapię będzie można ustalić dopiero wtedy, gdy ponad wszelką wątpliwość zostanie stwierdzone, o jaki rodzaj raka tu chodzi. - „Ale jak długo ma to jeszcze trwać? Każdy dzień jest dniem straconym! Na litość boską, to dziecko się kończy, czy pan naprawdę tego nie widzi?!” - wybucha Klaus.

Gwałtowna reakcja tego, zazwyczaj spokojnego, mężczyzny, wcale mnie nie dziwi. To strach o własną córkę sprawia, że mój były mąż zachowuje się w tak nietypowy dla niego sposób.
79

Lekarz wspiera się dłońmi o szeroki blat biurka, pochyla się do przodu i patrzy mojemu mężowi twardo w oczy. „Wiemy doskonale, że Basia jest w bardzo ciężkim stanie, ale najpierw musimy dokładnie poznać wroga w jej organizmie, zanim go zaatakujemy. Proszę państwa, my tutaj nie aplikujemy syropu na kaszel. Sprawa jest szalenie poważna i wymaga starannie przemyślanej strategii. Każdy nowotwór zwalcza się inaczej, stosując najbardziej optymalną w danym przypadku terapię, przy czym każda z nich została wypracowana w trakcie wieloletnich eksperymentów i badań. Tutaj nie może być mowy o improwizacji. Stawka jest zbyt wysoka. Dlatego proszę nam zaufać. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy”. Doktor Stahnke zwraca się teraz w moją stronę: „W tym tygodniu będziemy musieli przeprowadzić jeszcze wiele badań, na które - podobnie zresztą jak na wprowadzenie chemioterapii - potrzebujemy pani zgody jako prawnej opiekunki Basi”. Potem zapewnia nas, że kilka dni zwłoki nie ma doprawdy większego znaczenia, ale: „Jeśli Basia nie będzie sukcesywnie leczona najbardziej odpowiednimi dla niej metodami i środkami, to jej choroba z całą pewnością zakończy się śmiercią!”.

Czy to naprawdę było potrzebne? Mógł oszczędzić nam tych słów. Zaczyna mdlić mnie w żołądku, a ja po raz kolejny tego dnia z całą porażającą jasnością uświadamiam sobie, że na tym oddziale dzieci również umierają. Mimo to, nie musiał mi o tym przypominać. Naprawdę nie potrzebowałam tego zdania, żeby dać mu swoją zgodę na leczenie Basi. A może jednak? Czy muszę, i czy rzeczywiście mam prawo wydać moje jedyne dziecko na pastwę terapii medycyny konwencjonalnej, podczas której jej ciało zostanie napompowane truci-

80
zną? Trucizną, która, jak udowodniono ponad wszelką wątpliwość, może wprawdzie unicestwić komórki rakowe, ale wcale nie musi. Żadnej gwarancji! Chemioterapia ma przecież tak wiele skutków ubocznych, na przykład może spowodować bezpłodność, uszkodzić zdrowe organy lub w ogóle je zniszczyć, a w późniejszych latach wywołać inne rodzaje chorób nowotworowych. Doktor Stahnke nie przemilcza również i tego, mówiąc

otwarcie o wszystkich tych ciemnych stronach chemioterapii. Co robić - myślę w popłochu. Decyzję trzeba podjąć natychmiast.

Czy naprawdę chcę tej potwornej chemicznej maczugi dla Basi? I czy to w ogóle da się w jakikolwiek sposób pogodzić z charakterem moich studiów i z moją skłonnością do medycyny całościowej, z moją tendencją do spirytuali-zmu i alternatywnych metod leczenia? Z całą moją filozofią życiową? Czy w ten sposób zdradzam moją wiarę w medycynę naturalną, której do tej pory byłam wierną wyznawczynią i orędowniczką? Jednak muszę to zrobić! Nawet wbrew własnym przekonaniom. Walczymy przeciwko potężnemu wrogowi i jest tylko jedna droga, by ratować moje dziecko: zaatakować raka za pomocą wszelkich dostępnych środków. Nasi sojusznicy to medycyna konwencjonalna, medycyna alternatywna i praca nad psychiką.

Po powrocie do Basi, opowiadam jej o naszej rozmowie z doktorem Stahnke. Reaguje tak, jak mogłam się tego spodziewać. Jest zdenerwowana. W jej oczach widzę niepokój. Ale też ciekawość. „I co dalej?” - pyta niecierpliwie moja córka. „Przecież wiemy od dawna, że to Hodgkin. Powiedz mi raczej, co teraz ze mną będzie? Czy lekarze już wiedzą, jak mnie leczyć? Czy coś już ustalili?”. Staram się być bardzo ostrożna w doborze słów streszczających medyczny

81

wywód doktora Stahnke; chcę, żeby go zrozumiała, ale nie przestraszyła się już na samym wstępie. Nie mówię więc nic o 80-procentowej szansie całkowitego wyleczenia w przypadku choroby Hodgkina; Basia dowiaduje się tylko, że jej szanse wyleczenia są bardzo duże. Moje zadanie brzmi: siać nadzieję i wspierać pozytywne myślenie, nie okłamując jej przy tym. To najbardziej leży mi na sercu.

Po południu znów odwiedza nas profesor doktor Deba-tin, żeby omówić z Basią czwartkową operację. „Usuniemy ci jeden węzeł chłonny, żebyśmy mogli dokładnie określić, jaki rodzaj chemioterapii będzie najbardziej skuteczny w twoim przypadku, to znaczy, najbardziej ci pomoże” - wyjaśnia.

Jak ładnie to ujął. To miłe z jego strony. Mimo to, Basia stroszy się jak kocur. A ja życzę sobie w głębi duszy, żeby bardziej wzięła się w garść.

Ponieważ tego wieczoru Basia bardzo wczesnie zasypia, wychodzę na balkon, który o tej porze służy wielu matkom za skrzynkę kontaktową i miejsca spotkań. Szybko znajduję temat do rozmowy. I nie może być inaczej, ponieważ tutaj mówi się tylko o jednym. Inne tematy po prostu nie istnieją... „Dlaczego tutaj jesteś?”. Jakiego raka ma twoje dziecko?”

Bardzo szybko uzmysławiam sobie, że w tym miejscu liczą się zupełnie inne wartości, aniżeli na zewnątrz, w normalnym świecie. Obowiązują inne kryteria. Tutaj chodzi tylko o jedno: które dziecko ma złośliwego raka, które najbardziej ciężki przebieg choroby, a które najgorsze rokowania? Zafascynowana przysłuchuję się wszystkim tym rozstrzęsionym kobietom, nie mogąc pozbyć się uczucia, że uczestniczę w ja-

82

kimś surrealistycznym happeningu. Mam wrażenie, jak gdybym trafiła na makabryczne zawody, na których zwycięża ta matka, której dziecko jest najbardziej chore.

Początkowo czuję się tak, jakby mnie zamroczyło, ale nie potrafię umknąć tej dziwnej grupowej dynamice, temu skumulowanemu do granic możliwości ładunkowi matczynego cierpienia. Gdy kobiety zwracają się w moją stronę, chcąc się dowiedzieć, dlaczego tutaj jestem, natychmiast odpowiadam: „Podejrzenie choroby Hodgkina, czwarte stadium!”. Ze złości gryzę się w usta. Dlaczego musiałam jeszcze wspomnieć o stadium końcowym? To idiotyczne. Konformistyczne. Czyli cała ja! Czyżbym nawet tutaj bała się odrzucenia? A może tego, że nie obdarzą mnie należną porcją współczucia? Chyba zupełnie upadłam na głowę! Przecież nie może mi zależeć na wywalczeniu lauru zwycięstwa w tym smutnym

stowarzyszeniu kobiet! To jakaś absurdalna sytuacja: te kobiety epatują cierpieniem swoich dzieci, one się tym cierpieniem chełpią!

Jak mówi ludowe przysłowie, w cierpieniu ludzie przysuwają się do siebie, ale bęc! proszę, nie- w taki sposób!

A jednak w tym momencie czuję się odrzucona, ponieważ zbieram tylko lekceważące spojrzenia. „Ach, tylko Hodg-kin!”. „Wobec tego twoje dziecko ma wspaniałe szanse na wyzdrowienie!”. Jeśli się nie mylę, to miało być pocieszenie, ale w moich uszach zabrzmiało raczej jak pogardliwe: „Siedź cicho, akurat ty nie masz tutaj nic do gadania”.

W głębi serca muszę się przyznać sama przed sobą, że owszem, nie mam się czym „chwalić”, bo moje dziecko nie ma jeszcze za sobą przeszczepu szpiku kostnego. Basia nie musi przebywać w sterylnym pomieszczeniu, bo jej układ odpornościowy jeszcze działa, a ze swoim nudnym, nieszkodliwym Hodgkinem nie jest również przypadkiem bez-

83

nadziejnym. I na całe szczęście, do cholery! Czuję, że za chwilę eksploduję, więc żegnam się pośpiesznie z tą, jedyną w swoim rodzaju, kompanią i z ulgą opuszczam balkon.

Dziwnie poruszona wracam do Basi, podchodzę na palcach do jej łóżka i przyglądam się jej w mdłym świetle nocnej lampki. Śpi spokojnie, krople potu błyszczą na jej czole jak perły, kosmyk włosów przylepił się do policzka. Jest taka delikatna, krucha, zupełnie jak porcelanowa lalka. Pomimo stałego dopływu antybiotyków, substancji odżywczych i płynów, moja córeczka z każdym dniem niknie w oczach. Mam wrażenie, że stopniowo robi się coraz mniejsza. Najchętniej wzięłabym ją teraz w ramiona i ochroniła przed całym złem, które jeszcze ją czeka. Jak ta kruszyna wytrzyma jeszcze chemioterapię?

Nagle przychodzi mi do głowy Piet. Muszę do niego zadzwonić. Piet Dijs, mój mistrz i nauczyciel, który wprowadzał mnie w tajniki leczenia chorób kości, jest dla mnie jak przybrany ojciec. Znamy się od czasów mojej nauki i w dalszym ciągu utrzymujemy bardzo serdeczne kontakty, aczkolwiek nie widzimy się zbyt często, ponieważ Piet nieustannie zmienia miejsce pobytu. Mieszka na zmianę w Szwajcarii i w Holandii. Basię zna od trzeciego roku jej życia.

Wybieram jego prywatny numer w Zurichu. Gdy podnosi słuchawkę, natychmiast przechodzę do rzeczy. „Hallo, Piet, jestem w Ulm. Basia leży w tutejszej klinice uniwersyteckiej z podejrzeniem choroby Hodgkina”.

Piet -jakżeby inaczej - natychmiast wie, co trzeba robić i udziela mi praktycznych wskazówek, w jaki sposób mam leczyć Basię, wykorzystując w tym celu swoje umiejętności w dziedzinie osteopatii.

„Twoja córka z całą pewnością ma napięcia w okolicach kości czaszkowej. Pamiętaj, musisz koniecznie zwrócić

84

uwagę, żeby kość krzyżowa była wolna od blokad, bo w przeciwnym razie impulsy nerwowe nie będą mogły swobodnie przepływać” - doradza mi naprędce.

No jasne, przecież to oczywiste: kość krzyżowa, która poprzez arterię kręgosłupa ma bezpośrednie połączenie z głową, zawsze powinna być odblokowana, ponieważ tylko wtedy mogą się uaktywnić wewnętrzne siły zwalczające chorobę.

„Dziękuję”! To wystarczy, teraz muszę się tylko grzecznie stosować do jego zaleceń i wskazówek. Ufam mu ślepo, ponieważ mój mistrz od wielu lat żyje osteopatią i specjalizuje się w leczeniu chronicznie chorych dzieci. Nie znam nikogo innego, kto tak jak Piet kochałby swój zawód i żył tak jak on. Czasami naprawdę mu zazdroszczę, ponieważ należy do nielicznej grupki szczęściarzy, którzy w swoim zawodzie znaleźli również powołanie.

Jestem taka rozkojarzona, że nie byłabym w stanie wyczuć, jaka metoda leczenia będzie dla Basi najlepsza - tak jak to robię zazwyczaj z moimi pacjentami. Sama osteopatią nie może wprawdzie uleczyć mojego dziecka, doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ale wespół z innymi

czynnikami może wspierać proces leczenia. Jeśli mogę dorzucić swoją cegiełkę do tego wielkiego dzieła, to zrobię to z wielką ochotą.

Środa, 3 lipca 2002

Basia

Noc była koszmarna, jak zwykle. Ten obrzydliwy nocny pot i trzy ataki kaszlu, które doprowadzają do dławienia się i wymiotów. Te „wynaturzone” ataki kaszlu tylko dla mamy są nowością, bo ja już od dawna żyję z nimi na co dzień.

85

Teraz wiem, że można je znosić o wiele łatwiej - wystarczy, że nie jest się samą. Zaledwie zaczynam kasłać, a już obok mojego łóżka wyrasta mama, spiesząc mi na pomoc. W dzień i w nocy. Kochana mama, zawsze jest dyspozycyjna, zawsze pod ręką, kiedy jej potrzebuję - uzbrojona w jedną z tych ohydnie cuchnących misek w kształcie nerki, które równie dobrze służą do wymiotów, jak i do wyrzucania rozmaitych medycznych odpadków.

Mama - mój dobry duch, siada obok mnie na łóżku, podtrzymuje moje ciało wstrząsane spazmatycznym kaszlem, wprawnym ruchem ręki obejmuje mocno moje ramiona i plecy, a dragą ręką odrzuca do tyłu moje długie włosy. Od razu mi lepiej, gdy czuję jej rękę na głowie. Jej chłodna dłoń na moim rozpalonym czole przynosi miłe ochłodzenie. Jednak pomimo tej pomocy, prawie nigdy nie udaje mi się porządnie zwymiotować w podstawioną mi pod nos miskę. Dlatego co noc trzeba kilkakrotnie wzywać dyżurną pielęgniarkę. Świeża pościel, nowa piżama. W każdym razie, odkąd jestem na szóstym oddziale, mogę przynajmniej spokojnie zasnąć. Wiem, że mama jest obok mnie, i zanim umrę, na pewno przyjdzie jeszcze raz siostra dyżurna i dopilnuje, żebym nie męczyła się zanadto. A jeśli obudzę się rano, to będę bardzo, ale to bardzo szczęśliwa, że Bóg podarował mi jeszcze jeden dzień.

Później mama zabiera się do moich pleców. Usiłuje rozluźnić blokady - tak jak polecił jej Piet. Właściwie to nigdy nie boli, a jeśli już, to tylko troszeczkę. Sam zabieg nie jest mi obcy. Znam go od dawna, ponieważ mama robiła to już wcześniej, kiedy byłam chora.

Masując i opukując moje plecy, mama opowiada mi o swoim wczorajszym spotkaniu z innymi matkami. „Mia-

86

łam wrażenie, że te nieszczęsne kobiety próbowały rywalizować ze sobą, że jedna chciała koniecznie zakasować drugą. Słowo daję, czegoś takiego jeszcze nigdy nie przeżyłam. Niesamowita historia” - relacjonuje mi pełnym niedowierzania głosem. „Moje dziecko ma białaczkę”, „Moje dziecko ma guza mózgu”, „A moje dziecko na pewno nie pożyje tak długo jak twoje!” - naśladuje głos i intonację matek, które poznała wczoraj na balkonie. „To było kompletnie absurdalne. Czyste szaleństwo!” - próbuje opisać mi tę przedziwną sytuację. „Co to za zawody?” - mruczę pod nosem w poduszkę, ponieważ podczas całego zabiegu muszę leżeć na brzuchu i się nie wiercić. - „Tak, dokładnie” - cieszy się mama, że szybko zrozumiałam, jak bardzo była zaszokowana tym, co zobaczyła na balkonie. - „Właśnie takie odniosłam wrażenie. Ten, kto ma najciężej, ten wygrywa. Zupełnie jak w tej głupiej reklamie: mój dom, mój samochód, mój koń”!

Nie mogę powstrzymać się od ironicznego uśmiešku i snuję dalej podchwycony przez mamę wątek: „Z tą różnicą, że tutaj hasło dnia brzmi: „Moje dziecko, jego rak, jego cierpienie!”. - „Coś w tym rodzaju!” - potwierdza mama i opowiada dalej, nie kryjąc swojego zdziwienia: „Wierz mi, siedziałam tam i wydawałam się sobie kompletnym luzakiem pośród wszystkich tych udreńczonych matek. Jeśli się nie mylę, to w ogóle nie potraktowały na serio”. Krótkie prychnięcie, a zaraz potem małpuje ich komentarze: „Co, twoja córka ma tylko Hodgkina? W takim razie jej szanse na wyzdrowienie są naprawdę znakomite!”.

Ruchliwe dotąd ręce mamy zatrzymują się w połowie drogi, odpoczywają na moich plecach. „Sądzę, że to miało być coś w rodzaju pocieszenia. W końcu, jak by nie było, wydzwięk tych zdań jest na wskroś pozytywny, ale w mo-

ich uszach zabrzmiało to raczej tak, jak gdyby chciały mi zakomunikować: «Kto jak kto, ale ty nie możesz brać udziału w naszej rozmowie. Oh, pardon - w naszych zawodach... Tylko my wiemy, co to naprawdę znaczy cierpienie! Droga koleżanko, zostajesz zdyskwalifikowana!»".

Mama szturcha mnie lekko w żebra: „A więc, Basiu, jak mogłaś mi zrobić coś takiego? Tylko Hodgkin! To po prostu niewybaczalne! Na przyszłość proszę nie robić mi takich niespodzianek. To twoja i tylko twoja wina, że zostałam zdyskwalifikowana przez resztę zawodniczek. Fatalna sprawa!”.

Uwielbiam to jej, zabarwione cynizmem, poczucie humoru. Nie mogę odmówić sobie przyjemności i natychmiast odpowiadam w takim samym tonie: „Ach, mamu, tak mi przykro, tak nieskończenie przykro, naprawdę. Wybacz, że cię zawiodłam!” - Mama wybucha śmiechem; wtóruję jej.

No proszę, a jednak to jest możliwe. Mam raka, ale jeszcze żyję. I potrafię jeszcze się śmiać. Czyż to nie wspaniałe? Wprawdzie nadal jestem bardzo słaba i dużo śpię, ale ten dziwny letarg, w jakim znajdowałam się od momentu przywiezienia mnie do kliniki, być może został wreszcie przezwyciężony. Czuję, że wychodzę z ciemnej doliny na jasne światło dnia. Być może jeszcze nie wszystko jest stracone... Jeśli Bóg da, znów wrócę do zdrowia. Na moment przepływa przeze mnie ciepły promień nadziei i ufności.

Po obiedzie jedziemy do kliniki chorób uszu, nosa i gardła, która mieści się w innym budynku rozległej kliniki uniwersyteckiej - tak daleko, że musimy pojechać tam taksówką.

Na tę okoliczność zostaję uwolniona od mojego nieodłącznego towarzysza - stojaka.

Niesłychane, a jednak! Nie mogę uwierzyć własnemu szczęściu. Jak to, bez kroplówki? - pytam z niedowierzaniem siostrę, która odłącza mi rurkę.

„Tak, twój przyjaciel stojak musi tutaj na ciebie poczekać” -mówi z uśmiechem.

„Zamówiliśmy wam taksówkę, a ta nieporęczna, choć bardzo użyteczna rzecz, na pewno się do niej nie zmieści. Wasza wycieczka potrwa najwyżej godzinę. W tym czasie na pewno nam nie zemdlejesz. Jestem pewna, że poradzisz sobie bez twojego dawcy energii” - mruga do mnie porozumiewawczo i macha ręką na pożegnanie.

Mama pomaga mi się ubrać w dresy i T-shirt, a potem wiezie mnie w fotelu na kółkach do taksówki, która już czeka na podjeździe. Jestem taka słaba, że nie mam nawet siły wsiąść sama. Mama znów musi mi pomóc. Ciężko sapiąc, wtlacza mnie na tylne siedzenie. Jakie to straszne, być takim nieporadnym! Beznadziejne uczucie. Znów walczę ze łzami, które cisną mi się do oczu. Tym razem ze złości. Najchętniej rozplakałabym się na cały głos. Jestem wściekła, że jakiś obcy człowiek, ten taksówkarz, może mnie wziąć za jakiegoś rozpieszczonego bachora, bo przecież nie mam wypisane na czole, że jestem ciężko chora.

Albo gotów pomyśleć, że jestem wygłodzona. Wszystko to jest dla mnie strasznie żenujące, natomiast dla mamy nie wydaje się żadnym problemem. Jak bardzo jej zazdroścę.

Całkowicie swobodna i wyluzowana, gawędzi jak gdyby nigdy nic z taksówkarzem i próbuje dodawać mi odwagi, widząc, że wciskam się mruklawie w najdalszy kąt na tylnym siedzeniu, gdzie nikt mnie nie widzi.

„No, głowa do góry! Wreszcie badanie, które nic a nic nie będzie bolało. A zatem, odpręż się, moje dziecko!”.

„Dobrze, dobrze!” - próbuję zmusić ją do milczenia i wyglądam ostentacyjnie przez okno. Po mamie można spodziewać się wszystkiego. Nawet tego, że za chwilę opowie taksówkarzowi o moim raku, czego wcale sobie nie życzę. Jak ognia boję się litościwych spojrzeń, które dorosli

zawsze mi posyłają, gdy słyszą o mojej chorobie. Właśnie tak jak matka Laury, gdy podczas obchodu na czwartym oddziale dowiedziała się, dlaczego leżę w szpitalu. W jej oczach

zobaczyłam wyrok śmierci. Ta kobieta postawiła na mnie krzyżyk, jestem tego pewna. Tak samo jak wszyscy moi krewni, z tatą włącznie, kiedy to po diagnozie doktora Geigera zbiegli się tłumnie do naszego domu, kracząc nade mną jak wrony nad padliną.

Dopiero po przeprowadzce na oddział szósty odzyskałam wiarę, że mimo wszystko mam jeszcze szansę, że mogę być zdrowa. Dzięki mamie oraz niezłomnej pewności lekarzy i sióstr, które się mną tutaj opiekują. Nie chcę sobie tego zepsuć przez jakiegoś obcego faceta, który nie ma o niczym zielonego pojęcia. Muszę się przyznać, że strasznie nie lubię tych współczujących spojrzeń, które sieją tylko w mojej duszy zwątpienie. A upaść na duchu, poddać się - to ostatnia rzecz, której pragnę.

Dzisiaj znów jest bardzo gorąco, żar leje się z nieba, a nieliczni przechodnie, którzy odważyli się wyjść na ten upał, niosą ze sobą sprzęt plażowy. Jak bardzo im zazdroszczę. Ja też poszłabym popływać razem z moimi przyjaciółkami. W taki dzień nie pójść nad wodę to grzech. Ale nie, marsz z jednej kliniki do drugiej! Kolejne badanie na horyzoncie, o przekłętym losie! Mój humor nie chce jakoś się polepszyć, nawet jeśli tak bardzo się staram ze względu na mamę.

Pomimo wyznaczonej godziny wizyty, w klinice chorób uszu, nosa i gardła, zwanej krótko UNG, czekamy prawie godzinę na korytarzu, zanim wreszcie proszą nas do gabinetu. Młoda lekarka najpierw robi badanie ultrasonograficzne mojego gardła. Rzeczywiście, nic nie boli. Pani doktor jest całkowicie pochłonięta swoją pracą i nie odzywa się

90

nawet słowem - ani do mnie, ani do mamy. W gabinecie zalega niemiła cisza, ale to akurat wcale mi nie przeszkadza, ponieważ ja też nie mam szczególnej ochoty na rozmowy. Gdy lekarka jest gotowa, wręcza mi kilka drapiących chusteczek z gazy i poleca, żebym wytarła sobie lepki żel z szyi. Potem świeci mi do prawego ucha i natychmiast cofa się ze wstrętem: „Ależ to ucho jest pełne woskowiny!”. Estetka w białym kitlu najwidoczniej odebrała stosowne wychowanie, bo powstrzymała się od standardowego w takich sytuacjach „O cholera!”, ale wyraz jej twarzy mówi aż nadto wyraźnie, jak bardzo brzydzi się mojego ucha. Czuję się okropnie, cała ta sytuacja jest dla mnie po prostu strasznie żenująca. Na swoje usprawiedliwienie mogę jednak powiedzieć, że w ostatnim czasie moje uszy naprawdę nie były takie ważne.

„Ucho jest w takim stanie, że nie mogę zobaczyć, a już na pewno wykonać testu słuchu. Najpierw muszę to wyczyścić” - zżyma się lekarka, nie kryjąc swojej irytacji i odwraca się skrzywiona od mojego nieprzyzwoicie zabagnionego narządu słuchu.

Początkowo myślę, że wręczy mi pałeczki z waty, żebym sama przetkała sobie te cholerne uszy, ale ona podchodzi do szafki na instrumenty lekarskie i wyławia z niej długą, cienką pałeczkę z lśniącego metalu, na której końcu przymocowana jest maleńka łyżeczka. Cofam się nieufnie od tego dziwnego przyrządu, który wygląda mi na narzędzie tortur.

„Czy mogę to zrobić sama?” - pytam grzecznie, nie dając za wygraną. Przez cały czas patrzę na łyżeczkę jak zahipnotyzowana. - „Nie, w żadnym wypadku” - oponuje młoda lekarka.

„Ten przyrząd jest zbyt niebezpieczny w niewprawnych rękach”.

91

Wobec takiego postawienia sprawy, nie pozostaje mi nic innego, jak zrezygnować z dalszych pertraktacji - i oddać się w jej ręce. Pokornie nadstawiam prawe ucho. - „Ojej, ała!” - krzyczę przerażona w sekundę później, ponieważ ten sadystyczny potwór ukrywający się pod białym kitem tak głęboko grzebie swoim przyrządem w moim przewodzie słuchowym, że zaczynam się bać, czy ta piekielna łyżeczka nie przebije na wylot mojej czaszki i nie wyjdzie z drugiej strony. Kłujący ból, który przeszywa całe moje ciało, pojawia się tak nieoczekiwanie, że nie potrafię się już kontrolować i wybucham głośnym szlochem.

Mama jednym skokiem jest przy mnie i natychmiast staje po mojej stronie. „Czy to naprawdę jest konieczne? Co pani wyprawia?” - pyskuje lekarce, która w takim samym tonie daje jej

kontrę: „To w takim razie proszę mi zaproponować, co mam zrobić, żebym mogła dostać się do jej ucha. Przykro mi, ale ja nie mam innego pomysłu. Z tak koszmarnie zapchanym uchem nie mogę, niestety, pracować!”.

„Ach tak?” - przeciwstawia się jej gwałtownie mama, która ani myśli dać za wygraną. - „Dlaczego przynajmniej pani nie spróbuje? Bardzo możliwe, że Basia reaguje przesadnie, że jest przewrażliwiona, ale proszę tylko spojrzeć na to dziecko! Moja córka jest bardzo chora, czy pani naprawdę tego nie widzi?”.

Przywołana do porządku młoda lekarka dostrzega chyba, że się zagalopowała, więc zmienia front i zaczyna z innej beczki: „No już, nie bądź już taka, nie udawaj, nie popisuj się” - zaczyna bardziej ugodowo. „Przecież jesteś już duża, a duże dziewczynki nie płaczą!”. No i masz ci los, znowu to przekłete zdanie, którego mama i ja nie możemy już słuchać.

Życzę sobie, żeby wszyscy

92

lekarze, którzy mają do czynienia z ciężko chorymi dziećmi, jak najszybciej wykreślili to zdanie ze swojego słownika. Dobrze, mam dwanaście lat, ale przecież trzęsąca się ze strachu dwunastolatka też jest dzieckiem. A dzieci mogą czasem sobie popłakać, zwłaszcza w trudnych chwilach. To zdanie: „No, nie bądź już taka, nie udawaj, przecież jesteś już duża!”, nie podnosi na duchu, nie niesie pociechy. To zdanie obraża, rani i sztydzi.

Siedzę pomiędzy obu kobietami jak kłębek nieszczęścia i w żaden sposób nie mogę przestać łkać. Na domiar złego, łapie mnie czkawka. Masz ci los, tego jeszcze brakowało. To takie żenujące: płakać i czkać przed tą głupią lekarką. Najgorsze, że nic nie mogę z tym zrobić. Mam wrażenie, jakby ktoś nakłuł mi oczy, bo wylewają się z nich teraz całe potoki łez. No i ta przekłeta czkawka... Nic, tylko zapaść się ze wstydu pod ziemię. Pomimo desperackiej obrony mamy, która walczy o mnie jak lwica o swoje młode, czuję się wydana na pastwę tego potwora w białym kitlu. Jak bezbronny królik doświadczalny w rękach szalonego naukowca! Tego mi już za wiele! Czuję, że dotarłam do swoich granic. Wszystko mi jedno, czy umrę, czy nie. Śmierć nie może być gorsza od takiego życia. Ten długi okres, w którym musiałam maskować się i udawać „idealnie zdrową”, kosztował mnie wszystkie moje siły. Więcej nie zniosę. Nie potrafię. Basta!

„Wiesz co, Basiu? Wyjdziemy na dwór” - mama ratuje mnie z tej upokarzającej sytuacji i pomaga mi zejść z leżanki z powrotem na fotel na kółkach. W drzwiach odwraca się jeszcze raz do lekarki i udziela jej krótkiej reprimendy, patrząc na nią karcącym wzrokiem: „A pani może się tymczasem zastanowić, czy przynajmniej nie mogłybyśmy spróbować zrobić testu słuchu!”.

93

Dwadzieścia minut później znów wracamy do tej „katowni”. Na szczęście, trochę się uspokoiłam. Robię test słuchu i zdaję go „na piątkę”, bez żadnych problemów. Moje nieszczęsne ucho zapchane woskowiną wyławia -o dziwo - nawet najcichsze dźwięki. Słyszę je jasno i wyraźnie. To jest moja satysfakcja, moje zadośćuczynienie za ból, czkawkę i całą resztę. Mama chwytając pospiesznie dokumenty z wynikami badań, które musi przedłożyć w klinice dziecięcej, i manewrując zgrabnie fotelem na kółkach, wypycha mnie z gabinetu na ulicę, gdzie już czeka na nas taksówka.

Nie powiedziałam nawet „do widzenia”. Nigdy więcej nie chcę widzieć tej jędzy!

Kiedy wreszcie znów leżę w moim pokoju na moim łóżku, napięcie towarzyszące mi od kilku godzin powoli ustępuje. Czuję, jak moje ciało przyjemnie się rozluźnia. Dopiero teraz spostrzegam, jak bardzo się naprężyło. A wszystko przez tę... W przeciwieństwie do jej upiornego gabinetu, moje szpitalne łóżko jest wysepką bezpieczeństwa i spokoju. Za każdym razem, kiedy muszę je opuścić, dzieją się ze mną straszne rzeczy.

Włączam telewizor. Czas się odprężyć, czas pomyśleć o czymś innym i jak najszybciej zapomnieć o „katowni” w klinice chorób uszu, nosa i gardła. Czyli - czas na sędzinę Barbarę Salesch.

Dzisiejszy program opowiada o małpkach w ZOO. Ich opiekun został oskarżony o to, że otrul jedną z nich. „Cóż to za głupota, dlaczego miałby zabijać swoją podopieczną?” - myślę jeszcze. Potem powieki mi opadają i odpływam w krainę snu, chociaż tak bardzo chciałam się dowiedzieć, kto ma na sumieniu biedną małpkę.

94

Wczesnym wieczorem, po trzech godzinach snu, czuję się tak wypoczęta i zrelaksowana - o ile to w ogóle jest możliwe w moim położeniu! - że mogę upajać się „Zabronioną miłością”, jeszcze jednym z rzewnych seriali telewizyjnych wyprodukowanych gdzieś w Ameryce Łacińskiej. Nikt mi nie przeszkadza. Tata był u mnie w ciągu dnia, kiedy spałam, ale nie chciał mnie budzić i w końcu sobie poszedł. Szkoda! Przyniósł świeżą bieliznę. Upraną przez babcię i „nawet wyprasowaną”. Nie mogłam sobie odmówić tego odrobinę złośliwego komentarza, patrząc z wyrzutem na mamę. Chcę ją trochę pozłościć. W naszym „normalnym” życiu mama nie ma mianowicie czasu, żeby prasować „nieważne sztuki odzieży”. Czyli wszystko to, co nie jest bluzką, spódnicą, spodniami lub T-shirtem. Do tej pory wprawdzie nigdy mi to nie przeszkadzało, ale wyprasowana piżama lub koszula nocna to jednak co innego! „Uważaj sobie, malutka!” - grozi mi mama podniesionym do góry palcem, ale widzę, że wcale się na mnie nie gniewa.

Nie kryjąc radości, szykuję się na jeszcze jedną z tak lubianych przeze mnie, przekornych potyczek słownych z mamą, ale tym razem muszę się obejść smakiem. Zanim zdążyłam otworzyć usta, w drzwiach pojawia się siostra i pyta rzeczowo: „Czy podać ci środek uspokajający na noc, żebyś przed jutrzejszą operacją mogła się dobrze wyspać?”.

O kurczę! Całkiem o niej zapomniałam. A może tylko stłumiłam tę myśl... Chwila zastanowienia. Właściwie wcale się nie boję jutrzejszego dnia. Bo i czego tu się bać? Jeśli usuną mi węzeł chłonny i założą „hickmanna”, to i tak nic nie będę czuła. Przecież dostanę narkozę. A potem wszystko pójdzie już z górki, bo nigdy więcej nie będę już musiała być kłuta.

95

„Nie” - mówię kategorycznie. „Nie potrzebuję żadnego środka - ani na uspokojenie, ani na sen. Chcecie wierzyć czy nie, aleja naprawdę nie boję się tej operacji!”. - Mama i pielęgniarka patrzą na siebie zdumione, po czym przenoszą wzrok na mnie. „Właśnie tak. Wcale się nie boję!” - potwierdzam moją decyzję i z ostentacyjną nonszalancją znów kieruję moją uwagę na telewizor.

Mimo tej śmiałej deklaracji, nie mogę usnąć. Zbyt wiele myśli kołacze się w mojej głowie. Nie boję się operacji, to prawda - tylko ten strach, że po narkozie już się nie obudzę. Mama leży już na swoim składanym łóżku, wszystkie światła są zgaszone. Czy ona już śpi? Zapalam nocną lampkę. Mam nadzieję, że jej nie przeszkadzam. Niech sobie pośpi, bidulka. Płatanina myśli w mojej głowie doprowadza mnie do rozpacz. Przecież muszę się dobrze wyspać przed operacją. A tu, jedna myśl goni drugą, czyste szaleństwo... Nagle z tego chaosu wyłania się jedna klarowna myśl: a może powinnam napisać to wszystko, co mnie porusza? Jeśli w ten sposób będę mogła pomóc sobie choć trochę, to z pewnością warto ukraść godzinkę snu. To będzie streszczenie ostatnich dni. Końcowe zdanie brzmi: „Jestem pewna, że bardzo szybko wyzdrowieję, a to dlatego, że bardzo tego chcę! Żeby jednak czas nie wleókł się jak kulawy zółw, zrobię kilka zdjęć i opiszę wszystko, co się tutaj dzieje. To będzie mój pamiętnik, dziennik mojej choroby”.

O północy przychodzi siostra dyżurna. Jest zdziwiona, że jeszcze nie śpię i proponuje mi ponownie środek uspokajający. A to uparta sztuka! „Nie, dziękuję!” - odpowiadam grzecznie,

ale stanowczo. Pisanie trochę mnie zmęczyło i teraz na pewno nie będę miała żadnego problemu z zaśnięciem.

96

„Od tej chwili nie możesz nic jeść ani pić!” - upomina mnie jeszcze siostra, kiwa dłonią na pożegnanie i wychodzi z pokoju. Jak mogłam się tego spodziewać, w tym samym momencie, jak na zawołanie, zaczyna dręczyć mnie potworne pragnienie.

Czwartek, 4 lipca 2002

Basia

Zaraz po przebudzeniu wyglądam przez okno, a potem łapię za leżącego na nocnej szafce pilota i skaczę po wszystkich programach. „Amerykanie świętują dziś swoją niepodległość” - obwieszcza uroczystym głosem spiker telewizyjnych wiadomości. Na ekranie migocą barwne obrazy parady w Nowym Jorku. Ludzie rzucają miliony skrawków papieru z okien drapaczy chmur. Widzę roześmiane twarze i tańczących na ulicach Amerykanów. Tym to dobrze, myślę z zazdrością. Też bym tak sobie potańczyła... Ale nie, leżę w szpitalu i czekam, aż zawiozą mnie na salę operacyjną. Nie boję się, a mimo to mam w żołądku dziwne, mdłe uczucie. Czy to znaczy, że się denerwuję? A może naprawdę strach mnie obleciał? Mam nadzieję, że kiedy będzie po wszystkim, znowu się obudzę!

W drzwiach pojawia się siostra Sandra. Podchodzi do mojego łóżka i aplikuje mi środek uspokajający. Tym razem nikt nie pyta mnie o zdanie. „Musisz to zażyć” - wyjaśnia mi, uśmiechając się pojednawczo. „Każdy pacjent dostaje coś takiego przed operacją, to normalne”.

Upływa zaledwie parę minut, a moje serce wyraźnie po-wolnieje, już nie wali tak dziko. Dokładnie to czuję. Więc

97

byłam jednak zdenerwowana. Ale już się uspokoiłam, moja „pompka” przestała, na szczęście, wariować. Gorzej z kolanami, mam wrażenie, jakby napełniono je budyniem. Nie mogę utrzymać się na nogach! Mama niesie do łazienki krzesło, a potem mnie - żebym przynajmniej mogła umyć zęby.

O ósmej rano w drzwiach mojego pokoju pojawiają się nagle dwaj sanitariusze z noszami. Muszę mieć dość niemądry wyraz twarzy, ponieważ jeden z nich wyjaśnia mi z uśmiechem: „Zawieziemy cię teraz ambulansem do kliniki przy Safranberg”. A to dopiero niespodzianka! „Super! Przejadę się karetką! W okamgnieniu zapominam o strachu i o tym, co mnie czeka za godzinę. Sanitariusze układają mnie na noszach. Czy ja śnię, czy to dzieje się naprawdę? Mam wrażenie, że znajduję się w pomieszczeniu szokowym z filmu „Alpha team”. Jestem niesiona przez korytarz, i czuję się przy tym tak, jakbym wylądowała w moim ulubionym programie „Na wszystkie wypadki, na wszelki wypadek Stefania”. Tak jak na filmie, obaj mężczyźni lokują mnie razem z noszami do superodlotowego wnętrza karetki ratunkowej. Przypinają mnie mocno pasami - nie mogę uwierzyć własnym oczom, dajcie mi szybko kamerę! A potem pędzimy ulicami miasta w kierunku Szafranowej Góry. Ale jazda! Mama uparła się, żeby siedzieć koło mnie. Nie, żebym jej teraz koniecznie potrzebowała, ale dlatego, że jest to po prostu najfajniejsze miejsce w tej supernowoczesnej karetce, zaprojektowanej z myślą o „chorowitkach”.

„Czy tutaj nie jest bombowo, mam?” - szepczę, uśmiechając się od ucha do ucha. Nie chcę, żeby sanitariusze spostrzegli mój zachwyty. Boję się wyjść na prowincjuskę. „Jest zupełnie tak samo, kropka w kropkę, jak w moich ulu-

98

bionych telewizyjnych serialach. Tam też mają takie odlotowe karetki! - Mama kiwa z zapałem głową, dzieląc mój zachwyty. „Słowo daję, nie liczyłam na takie przeżycia, a tu proszę, jadę sobie jak gdyby nigdy nic tym cudem techniki, chociaż wcale nie jestem chora! Jestem ci bardzo wdzięczna, moje drogie dziecko. Zasłużyłaś na medal!” - szczyrzy do mnie

zęby w uśmiechu i szturcha mnie pod żebro. Czarny humor mamy znam już dostatecznie długo. Dobrze, że powoli znów go odnajduje. Kochana staruszka!

Nasza „filmowa” jazda skończyła się stanowczo zbyt szybko. Teraz szalenie ważna Basia wieziona jest na jeszcze bardziej ważnych noszach zaopatrzonych w kółeczka, przez pomalowane na zielono korytarze, ozdobione ślicznymi okrągłymi okienkami. Nawet wiem, jak się te okienka nazywają - „wole oko”. W pomieszczeniu przygotowawczym muszę, niestety, pożegnać się z mamą. Jaka szkoda! „Cześć, trzymaj się!” - mówi mama na pożegnanie i całuje mnie w czoło. „A ty trzymaj za mnie kciuki” - szepczę jej na ucho. Potem wypadki toczą się tak szybko, że nawet nie mam czasu wpaść w panikę. Zostaje przetransportowana na kolejną z rzędu leżankę, tym razem moim „przenosinom” towarzyszy dziarskie „raz, dwa, trzy i hop”. Potem wita mnie anestezjolog w zielonym kitlu. Jest jeszcze bardzo młody, ma miłe spojrzenie - i figlarnie zadarty nos. Pcha mnie na mojej leżance do niewielkiego pomieszczenia z ogromną lampą u sufitu. Patrzę z podziwem na tego świecącego giganta, a on tymczasem wstrzykuje mi coś do mojego wejścia w żyłę i mówi: „Ale teraz musimy się pospieszyć, ponieważ zaraz zaśniesz. Zastanów się szybko, o czym chciałabyś śnić”.

Naprawdę, bardzo chciałam, ale już nie zdążyłam. Sama nie wiem, kiedy zasnęłam.

99

Mara

Nie do wiary, jak moja dziewczynka dobrze się bawiła podczas jazdy karetką! Zachowywała się naprawdę wzorowo. Gdybym wiedziała, że ta wycieczka karetką pogotowia tak ją uszczęśliwi, to już wcześniej poprosiłabym o ten środek transportu - jak widać znakomicie wspierający leczenie. Basia była w świetnym humorze, oczy śmiały się jej jak za dawnych czasów, i jak za dawnych czasów zaraziła mnie swoją radością. Cieszyliśmy się tą szaloną jazdą jak dzieci. Po raz pierwszy - i z oczywistych przyczyn - wprowadzam w życie moje nowe credo: ciesz się chwilą!

Gdy wieziona na „zmotoryzowanych” noszach Basia znika za drzwiami sali operacyjnej, powraca niepewność. Stoję sama, bezradna jak niemowlę i dziwnie sposepniała. Skazana na czekanie.

Jak w transie stawiam jedną nogę przed drugą, idąc z powrotem drogą, którą kilka minut temu przybyłam tutaj z wesołą, szczebiocącą jak skowronek Basią. Szklane drzwi na końcu korytarza prowadzą na zewnątrz, do ogrodu kliniki. Cóż za cudowny, słoneczny dzień właśnie się zaczyna. Kiedy wychodzę na dwór w promienie słońca, ogarniają mnie niemal wyrzuty sumienia. Dlaczego moja córka musi leżeć na sali operacyjnej, zamiast cieszyć się tym pięknym dniem razem ze mną? Nieopodal, na małym pagórku, dostrzegam stojącą samotnie ławkę. Idę powoli w jej kierunku.

Widok na miasto leżące u stóp wzgórza, na którym stoi klinika przypominająca wielkie mrowisko pełne zabieganych mrówek „w bieli”, jest imponujący. Moje dziecko jest właśnie operowane, ale dla lekarzy to rutynowy zabieg. Wiem, że mniej więcej za godzinę znów powitam Basię.

100

Przyzwyczajona ostatnio tylko do szpitalnego zapachu, wdycham głęboko świeże poranne powietrze. Rozkoszuję się ciepłymi promieniami słońca igrającymi na mojej skórze, czuję jak jego energia przenika mnie od stóp do głów. I nagle, całkiem niespodziewanie, zjawia się wewnętrzny spokój, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłam w całym moim dotychczasowym życiu. Moja świadomość jest jasna i przejrzysta jak nigdy dotąd. I nagle, w ułamku sekundy, doznaję olśnienia. Zrozumiałam: jestem tam, gdzie być powinnam. U boku mojego dziecka. Tutaj właśnie jest moje miejsce. Wszystko inne w tym życiu jest nieważne. Mam dużo czasu, by upajać się tą niezwykłą chwilą, kosztować ją jak smakowitą potrawę. Iść w głąb siebie, zbadać swoje uczucia i wsłuchać się w siebie. Pode mną miasto Ulm, symbol

innego życia. Obok mnie senne łądowisko „helikopterów”. Motyl frunie ociężale z jednego kwiatu na drugi. Delikatne skrzydełka migocą w blasku słońca. Łąka pachnie tak odurzająco; ile tutaj kwiatów i nieznanymi mi ziół. Każdy szczegół tego obrazu przeżywam z nieznaną mi dotąd jasnością. Po co myśleć o jutrze lub o następnym tygodniu, po co tracić czas na snucie planów, po co wybiegać myślą w przyszłość? Czy to ma w ogóle jakiś sens? Jest tylko ta chwila. I ja mam dla niej czas.

Po chwili wstaję z ławki i kieruję się w stronę pobliskiej piekarni, żeby zaopatrzyć się w bułeczki z pełnego ziarna. Obserwuję ludzi kręcących się w rejonie wejścia do kliniki. Powoli, nie spiesząc się, przyglądam się z zainteresowaniem wszystkim tym nieznanym mi kobietom i mężczyznom, zadając sobie pytanie, jaką historię mógłby mi opowiedzieć każdy z nich. Czuję się tak czujna i rozbudzona,

101

tak niezwykle świadoma tego, co się teraz tutaj dzieje, jak jeszcze nigdy w całym moim życiu. Nasycona świadomość! Wszystko jest dobre, życie jest dobre. Jeszcze nigdy nie odczuwałam tego w ten sposób. W moim życiu nie ma już przeszkadzających i ubocznych scen, takich jak praca, zobowiązania i pilne terminy. Czy to one były źródłem mojego wcześniejszego niepokoju, który towarzyszył mi każdego dnia? Po raz pierwszy w życiu czuję, że pogodziłam się ze sobą, ze swoim losem. Jestem dziwnie spokojna, odczuwam głębokie zadowolenie i wiarę, że nic złego nie może mi się zdarzyć.

Skąd się wziął ten, dość nietypowy dla mnie, optymizm? Dlaczego właśnie teraz? Przecież to kompletne szaleństwo! Gdzie podziała się groza, strach przed śmiercią, przed utratą najbliższej mi osoby? Czarna dziura, w którą wpadłam po diagnozie doktora Geigera, znikła nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dokładnie tak samo jak straszne myśli, zarzuty i oskarżenia, które nieustannie sobie stawiałam. I jak koszmarnie sny, które nawiedzały mnie każdej nocy, od kiedy się dowiedziałam, że Basia ma raka w końcowym stadium.

Być może do akcji wkracza teraz automatycznie mechanizm samoobrony - żebym nie zwariowała do reszty. Żebym mogła obudzić drzemiące we mnie siły, które pomogą mi poprowadzić moje dziecko z powrotem do życia. Nie ma już obciążającej mnie w idiotyczny sposób, absorbującej i przykrej codzienności. Nagle mam czas, by zajrzeć w głąb siebie i dowiedzieć się, kim naprawdę jestem. Jedno wiem na pewno: jestem matką. Matką ponad wszystko. Z całą świadomością przeżywam tę chwilę - siedzę w klinice i czekam na swoją córkę, Basię. Jestem jej potrzebna i dobrze mi z tym! To jest moje miejsce w życiu.

102

musi się czuć ktoś, kto wysiada z pociągu zwanego życiem. W moim przypadku jest to jednak duchowa „wysiadka” z mojego dotychczasowego życia, która właśnie dokonuje się w poczekalni kliniki. Każdy z nas ma jakieś zadanie w swoim życiu. Niektórzy^ ludzie odnajdują je < w zawodzie, który sprawia im radość i daje satysfakcję biz Y względu na stan konta, inni znajdują sobie rIIIytrrB pasję, którymi wypełniają życiową pustkę, a jeszcze iflfTl poświęcają się dzillaTHoścI społecznej. Jeśli tylko odnajdziemy swoje miejsce i przyjmujemy je w naturalny sposób, wówczas nie odczuwamy już stresu. Przepenia nas spokój i radość. Nie ma już strachu i wątplenia! Moje miejsce jest tutaj, u boku Basi. Obojętnie, jaką drogą pójdzie, jaki obierze kierunek. Będę jej towarzyszyć, jeśli trzeba - do samego końca. Czuję się z tym tak dobrze, jak jeszcze nigdy w życiu. A reakcja otoczenia, głos „opinii publicznej”... no cóż, tym razem jest mi kompletnie obojętny. , Jaka szkoda, że społeczeństwo trzyma nas tak mocno w ryzach konwenansu - od początku do końca, od naszych narodzin aż do śmierci - bo mało który z umierających ma odwagę przyznać się do swoich prawdziwych myśli, wypowiedzieć je na głos. Dlaczego nie można po prostu powiedzieć: „Tak, chcę teraz odejść i dobrze mi z tym. Nie czuję żadnego lęku”. Tak samo krytycznie oceniani są również bliscy umierającego, którzy mówią otwarcie: „W

porządku, jeśli on chce odejść, to jego wybór. Nam nic do tego!". Nie poddam się tego rodzaju naciskom, temu „uświęconemu tradycją" społecznemu przymusowi. Tak długo jak to możliwe, Basia i ja będziemy cieszyć się życiem - i sobą. Życie jest piękne, i my już od dziś będziemy rozkoszować się każdą daną nam minutą. Dokładnie tak samo jak jazdą w tej „bombowej" karetce.

103

Basia

Kiedy otwieram oczy, widzę mamę siedzącą przy moim łóżku. „Gdzie jestem?" - pytam, z trudem wymawiając słowa. Mam wrażenie, że mój język waży sto kilogramów. „W komnacie przebudzeń, moja ty śpiąca królowo. Pięknie, że znowu jesteś!" - odpowiada mama. Żałuję, że w drodze powrotnej do „mojej" kliniki nie mogę się cieszyć tak jak uprzednio, chociaż jadę w tej samej karetce. W dalszym ciągu jestem odurzona narkozą i czuję się tak, jakbym błędziła we mgle.

Żeby jednak mamie i siostram nie nudziło się zanadto, jeszcze tego samego przedpołudnia dwa razy wymiotuję bez uprzedzenia. Gdy mgła w końcu odpływa i mogę już jasno myśleć, najpierw spoglądam na swoje ręce. Rzeczywiście, nie ma już ani strzykawki, ani dyndającego wężyka kropłówki. Tylko sine plamy na obu nadgarstkach i na wewnętrznej stronie moich rąk przypominają mi o dziesiątkach zastrzyków - prawdziwej zmurze ostatnich dni. Ostrożnie badam pod kołdrą górną część mojego ciała. Jest! Przymocowany do mojego brzucha szerokimi paskami przylepca: „hickman"! Z wielką ostrożnością naciskam na to miejsce, gdzie wężyk cewnika musiał przewiercić skórę, żeby wydostać się na zewnątrz. No tak! Boli całkiem nieźle, ale nie tak bardzo jak zastrzyk!

Pierwszy kontakt z „nieznajomym" mam już za sobą. Teraz, kiedy nabrałam już nieco odwagi, biorę głęboki oddech, żeby mój brzuch się nadał, i odczekuję kilka sekund. W porządku, teraz wcale nie boli. I na sam koniec, uwaga, ostatni eksperyment - w dalszym ciągu nie zmieniając pozycji leżącej, próbuję wykonywać lekkie, powolne ruchy przypominające taniec brzucha.

104

„Co ty wyprawiasz?" - pyta mama, patrząc ze zdziwieniem na moje wyczyny. Wygodnie rozciągnięta na swoim jaskrawo-żółtym leżaku, do tej pory była zajęta lekturą, a teraz spogląda z zaciekawieniem na mój falujący brzuch. - „Testuję mojego hickmana". - „I co?" - „Całkiem nieźle!" - przyznaję. - „Pokaż!" - poleca mama i podnosi się ze swojego leżaka. Podchodzi do mojego łóżka i unosi kołdrę. Zafascynowane, patrzymy obie na cienki wężyk z przezroczystego plastiku mierzący około dwudziestu centymetrów, który wystaje z górnej części mojego brzucha i jest do niego przymocowany szerokim pląstem. Otwarty koniec wężyka jest zatkaany czymś w rodzaju żółtego, plastikowego guzika czy też zatyczki, którą można dowolnie zakręcać lub odkręcać. „Wygląda zupełnie jak zawo-rek tubki z musztardą" - szczerzy zęby mama.

„Basia ma ogonek!" - śpiewa i wybucha śmiechem. Zaczynam chichotać, ale to boli. -

„Przestań mnie rozśmieszać!" - bronię się. „Aua!"

Mama z miejsca poważnieje. „No dobrze, koniec z wygłupami. Ale teraz słuchaj uważnie, co ci powiem: od dzisiejszego dnia nie musisz wprawdzie cierpieć z powodu zastrzyków, ale lekarz powiedział, że nie możesz również się kąpać. Niebezpieczeństwo, że bakterie dostaną się do końcówki cewnika jest zbyt duże. Od dzisiaj możesz się tylko myć. Żadnych kąpieli, żadnych pryszniców. Jasne?"

Trochę to trwa, zanim mogę przetrwać w pełni sens tej informacji. O ile dobrze mi wiadomo, będę musiała nosić tę rzecz jeszcze wiele tygodni, a może nawet miesięcy. Czy to znaczy, że już nigdy nie będę mogła się wykąpać? Już nigdy nie wejdę pod prysznic? - „Ale jak ja to wytrzymam?" -wybucham głośnym lamentem, kiedy wreszcie uzmysławiam sobie z całą

porażającą jasnością doniosłe skutki tego zakazu. „Przecież wiesz, jaka jestem przepecona i jak

105

okropnie lepię się każdego ranka. A jak cuchnę!". Ale mama wzrusza tylko ramionami i jak gdyby nigdy nic występuje z dość idiotyczną - jak na mój gust - propozycją: „Może poprosisz któregoś z lekarzy, żeby usunął ci cewnik. Przecież to żaden problem. Twój wybór!".

To natychmiast skutkuje. „Dobrze, w takim razie tata będzie musiał kupić jak najszybciej kilka ściereczek i gąbek do mycia, a potem przynieść je tutaj, do kliniki" - mruczę pod nosem i włączam telewizor. Krótco potem zjawia się młody lekarz, niosąc w ręku woreczek wypełniony płynem do infuzji, którym rażno potrząsa.

„No, jak tam, gdzie jest twój hicky?" - pyta wesoło.

„Mój co?". „Ach, myślałem, że dziś po południu założyli ci cewnik". Mój gość wydaje się bardzo rozczarowany. „No to jak, założyli czy nie? Nie.... to w takim razie będę musiał znów znaleźć na twojej ręce jakąś przyjemną żyłę, w którą zaraz się wkłujemy!".

„Nie, tylko nie to!" - bronię się przerażona. - „Oczywiście, że mam cewnik. Hickmana!". -

„No, przecież mówię wyraźnie! Hicky! Tak nazywamy to „ustrojstwo" na naszym oddziale. A wiesz czemu? Ponieważ dzieciom ta nazwa podoba się znacznie bardziej niż hickman" - wyjaśnia z uśmiechem. - „Ach tak! Skąd miałam o tym wiedzieć?" - fukam na mojego rozmówcę. - „Czy to naprawdę nie będzie nic bolało?" - pytam wystraszona. - „Nie boli nic a nic!" - uspokaja mnie. - „A co się stanie, kiedy będziecie pompować ten zimny płyn bezpośrednio do mojego serca? Ciekawa jestem, jakie to uczucie? - „Nawet tego nie zauważysz, możesz mi wierzyć!" - uspokaja mnie w dalszym ciągu młody lekarz.

Wzdycham zrezygnowana, teatralnym ruchem podnoszę do góry moją kołdrę i z głupią miną prezentuję swój nowy ogonek zakończony zaworkiem do musztardy. - „Do czego

106

służy ten zaworek?" - pytam zaciekawiona. - „Do tego, żeby bakterie nie mogły się dostać do twojej żyły. Musisz bardzo uważać, żeby ta rurczka była zawsze zamknięta. Oczywiście, będziemy regularnie ją czyścić i dezynfekować, ale pamiętaj - ty też jesteś współodpowiedzialna za swojego hicky. Zrozumiano?". - Kiwam głową na znak, że „zrozumiano", czekając z napięciem, czy coś poczuję, kiedy zimny płyn zacznie się sączyć pod moją skórę. Nic jednak nie czuję.

To jest naprawdę super! Dlaczego dopiero dziś dostałam to чудо, tego po prostu nadzwyczajnego hicky? Lekarze mogli przecież wpaść na ten pomysł znacznie wcześniej i w ten sposób zaoszczędzić sobie całego stresu i zamieszania ze mną i z moimi zastrzykami. A mnie - całego mnóstwa bólu.

Nigdy więcej zastrzyków! Hurra!

Piątek, 5 lipca 2002

Basia

Obchód - czy oni nigdy nie wiedzą, kiedy mają przyjść?! Doba, o ile mi wiadomo, ma dwadzieścia cztery godziny. Tym razem znów przyszli nie w porę, przeszkadzając mi w ostatnich, i najbardziej pasjonujących pięciu minutach „Doktora Stefana Franka". Właśnie w tej chwili rozstrzyga się, czy Simone, dziesięcioletnia dziewczynka z twarzyczką aniołka i długimi jasnymi włosami, po przeprowadzonej przez doktora Franka operacji będzie mogła znów biegać, czy też na resztę swojego życia zostanie przykuta do wózka inwalidzkiego. I będzie mogła tylko poruszać głową. Jakie to straszne! Cholera!

107

Klnę w duchu, na czym świat stoi, jednak zmuszona koniecznością - dobre wychowanie i te sprawy - odwzajemniam miłe pozdrowienie lekarza naczelnego, doktora Stahnke, który wita mnie serdecznym uśmiechem. Odczuwam głęboką wdzięczność, kiedy odwraca wzrok od

mojej skromnej osoby, przenosząc go na zakrętaszy mojej temperatury widniejące na tabliczce w nogach mojego łóżka i rzucam ukradkowe spojrzenia na cierpiącą na ekranie małą Simone. Tak! Porusza lekko palcami i otwiera oczy! Rodzice są w siódmym niebie i płaczą ze szczęścia. A ja razem z nimi. Doktor Stahnke spogląda na mnie spod oka i najwidoczniej źle interpretuje wilgotne migotanie w moich oczach. - „Posłuchaj mnie, dziecko, tym razem naprawdę nie masz się czego bać. To tylko drobny „zabieg kosmetyczny” - próbuje mnie pocieszyć. „Najgorsze badania masz już za sobą!”. Kiwam grzecznie głową, ponieważ nie mam zielonego pojęcia, o czym on mówi, ale też nie mam odwagi wyjaśniać tego nieporozumienia.

Kiedy zostajemy same, zwracam się do mamy ze „standardowym” już pytaniem: „I jak tam, czego tym razem ode mnie chcieli?”. - „O jedenastej jedziemy do kliniki stomatologicznej. Trzeba wyjąć ci aparat” - wyjaśnia mama.

Czuję, jak włoski na karku stają mi dęba. Jeśli wyjęcie aparatu będzie tak samo nieprzyjemne jak jego nałożenie, to perspektywa wizyty w gabinecie dentystycznym wcale mnie nie cieszy. „Skąd ten pomysł?”, dopytuję się. - „Ponieważ często wymiotujesz, więc istnieje niebezpieczeństwo, że resztki zwróconego przez ciebie jedzenia będą osadzały się pod aparatem, powodując próchnicę. Jeśli aparat zostanie, to prędzej czy później twoje piękne zębki zaczną się psuć. Bez względu na to, jak często je myjesz” - kończy swój „stomatologiczny” wykład i dodaje z wyrzutem:

108

„Przecież doktor już ci to wytłumaczył. Naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego nigdy nie słuchasz tego, co mówią na obchodzie”.

„Och, mamo” - kryguję się, wydymając usta. - „Dobrze wiesz, dlaczego! Moim zdaniem, lekarze wcale nie chcą, żeby dzieci ich rozumiały!”.

Po południu znów przychodzi tata, tym razem obładowany jak wielbłąd świeżo upraną i zapewne starannie uprasowaną bielizną. Uwolniona od aparatu na zębach, witam go szerokim uśmiechem. Tata zastępuje dziś mamę, która ma spotkanie z panią Gampert, a poza tym chce też na krótko pojechać do domu, żeby odsłuchać automatyczną sekretarkę i przeczytać swoje e-maile.

Tata wciąż patrzy na mnie tak smutno. Biedny, pewnie myśli, że tego nie widzę. Aleja aż nadto dobrze wyczuwam jego strach, jego panikę, że mogłabym umrzeć. Dlaczego dorośli tak bardzo boją się śmierci? Naprawdę, bardzo mi taty żal. Ale brakuje mi sił, żeby go pocieszyć. Poza tym, boję się, że on natychmiast się rozpłaczę, kiedy mu powiem, iż czasami myślę sobie, że umieranie wcale nie jest takie straszne, że można niekiedy odczuwać raczej jako wybawienie. Zresztą, to nie jest moje zadanie - staram się wytłumaczyć sama przed sobą tę, dość nietypową dla mnie, powściągliwość. Kiedy myślę o śmierci, zawsze widzę przed sobą tatę, który już teraz jest taki smutny, chociaż ja jeszcze żyję. Nie, za nic w świecie nie mogę umrzeć, ponieważ nie chcę, żeby mój tata był jeszcze bardziej smutny. Nie mogę mu tego zrobić, to byłoby po prostu nie fair.

Tylko z mamą mogę jeszcze normalnie rozmawiać. Sądzę, że ona jest jedyną osobą, która na dźwięk słowa „rak” nie myśli od razu o śmierci. A przede wszystkim, nie ma

109

„hopla” na jej punkcie. To bardzo pocieszające. Nie rozumiem dorosłych. Od kiedy jestem tutaj, na oddziale szóstym, wiem, że jestem w najlepszych rękach, że wszyscy tutaj chcą mi pomóc. Już nie muszę chować się po kątach ze swoimi atakami kaszlu, nie muszę udawać, że nie dzieje się nic złego, że jestem superzdrowa i w ogóle. Ludzie w klinice są naprawdę zainteresowani tym, żebym wyzdrowiała. I nie tylko zainteresowani, ale robią coś w tym kierunku. A może tata wcale nie wierzy w tę pomoc? Ta myśl sprawia, że robię się niepewna. Ale przecież nie mogę powiedzieć tego na głos. Na wszelki wypadek, żeby nie dawać pożywki budzącej się we mnie niepewności, chwytam za pilota i śledzę z uwagą kolejne „talk

showy" i fabularyzowane dokumenty z sali sądowej, które, jak każdego popołudnia, królują na małym ekranie. Grunt, że tata tutaj jest. Kiedy jeszcze byłam w internacie i musiałam radzić sobie sama, często bałam się, że mogę umrzeć - i nikt nawet tego nie zauważy. Ten lęk minął. Teraz zawsze ktoś jest przy mnie. Już nie jestem sama - czyż to nie piękne? Zwłaszcza w ciągu dnia czuję się dzięki temu bardziej pewna i bezpieczna. Tylko nocą, tuż przed zaśnięciem albo po ataku kaszlu, kiedy telewizor jest już wyłączony i mama śpi, nawiedzają mnie demony. Kiedy leżę w ciemnościach, w mojej głowie kłębią się najbardziej ponure myśli, a wyobraźnia podsuwa mi najczarniejsze scenariusze. Wyobrażam sobie, na przykład, jak będę umierać. Wtedy widzę mamę i tatę płaczących u wezłowania mojego łóżka, i wiem, że to będzie tak strasznie ciężkie - odejść i zostawić ich samych, ponieważ tak bardzo mi ich żal. Albo myślę, że uduszę się podczas ataku kaszlu - i widzę przed sobą zrozpaczoną twarz mamy, która nie może mi pomóc. Jednak najgorsze ze wszystkich jest wyobrażenie, że umieram oto-

110

czona przez lekarzy, którzy próbują mnie ratować, a ja nie mam już siły, żeby im powiedzieć, że tak bardzo chciałabym jeszcze raz, jeszcze tylko raz zobaczyć moją mamę.

Ta choroba jest jak gra w ruletkę. Mam tylko dwie możliwości - wygrać albo przegrać. Nie mam władzy nad kulką, nie mogę nią kierować. Ta sprytna bestyjka wpada tam, gdzie chce. Na tym polega gra - albo ma się szczęście, albo się go nie ma. I podobnie jak gracz, który wciąż na nowo ufa sobie i swojemu szczęściu, mogę zaufać tylko mojej własnej woU i umiejętnościom lekarzy. Nie mam duszy hazardzisty, ale jedno wiem na pewno: będę robić wszystko, żeby nie przegrać.

Mama

Basia nie wie, dlaczego muszę koniecznie sprawdzić moje e-maile.

Od kiedy jest w szpitalu, telefonuję codziennie do pani Gampert, ale nawet ona nie zna odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Dlaczego właśnie Basia? Czy to moja wina? Co mogę i powinnam teraz zrobić?

Dlatego już na początku tygodnia pani Gampert zaproponowała mi, że zwróci się do Elmera i zasięgnie jego rady. Dlaczego sama nie wpadłam na ten pomysł? Wtedy, przed rokiem, kiedy rozpadł się ostatecznie mój związek z Alekssem, to właśnie Elmer pomógł mi się podnieść z głębokiego kryzysu duchowego i wyprowadził na prostą. A przecież choroba Basi to coś znacznie bardziej poważnego. Tamta historia narobiła sporo zamieszania w moim życiu, ale w końcu jakoś się z nią uporałam. Ta przewróciła do góry nogami całą naszą dotychczasową egzystencję. Elmer będzie wiedział, co robić. Jestem o tym przekonana.

111

Dlatego muszę skorzystać z nadarzającej się sposobności i jak najlepiej spożytkować moje pierwsze wolne popołudnie. Żegnam się więc z Basią i jadę do domu, żeby w spokoju przeczytać moje e-maile. Nie odważyłam się poprosić o to Klausa. Ze strachu, że tę, tak bardzo ważną dla mnie „akcję ratunkową”, oceni jako szwindel lub zwykłe wariactwo albo w ogóle odmówi dostarczenia mi wiadomości od mojego „sojusznika”. Mój były mąż to realista, dlatego mocno powątpiewam w to, czy znajdzie zrozumienie dla tej -dość kontrowersyjnej - drogi szukania pomocy dla naszej córki. Biorę to na siebie!

Sobota, 6 lipca 2002

Basia

Wreszcie dzień bez badań! Nie mogę uwierzyć własnemu szczęściu. Na dzisiejsze popołudnie zapowiedzieli swoją wizytę dziadkowie. Szkoda, że moje przyjaciółki z internatu nie mogą mnie odwiedzić. Dzieci poniżej 14 lat nie mają wstępu na ten oddział. Ma się rozumieć, mama powiedziała mi o tym zakazie natychmiast po powrocie ze swojego obchodu z siostrą Sandrą. O ile dobrze pamiętam, było to we wtorek.

„Mamo, chcę zadzwonić do internatu. Czy mogę?”. Mama podnosi brwi. - „Czy jesteś pewna? Co chcesz im powiedzieć?” - pyta lekko zdziwiona. - Teraz ja z kolei zaczynam się dziwić: „No... prawdę!”.

A może, jeśli ma się raka, nie należy opowiadać o tym całemu światu? Może to nie wypada? Czy moja choroba jest

112

tajemnicą? Ale przecież ja chcę opowiedzieć o niej tylko moim przyjaciółkom! Mama próbuje mi zasugerować, że z pewnością byłoby lepiej pozostawić to moim wychowawczyniom. Sprawa jest bardzo delikatna. Nie mam zamiaru tego słuchać. Jestem rozżalona i zła. - „Moim najlepszym przyjaciółkom, dziewczynom z mojego pokoju, chcę powiedzieć o tym sama, słyszysz?! Chyba mam do tego prawo! I chcę usłyszeć trochę ploteczek. Chcę znów, tak jak dawniej, pogadać z moimi rówieśniczkami, powygłupiać się i poprzekomarzać, żebym nie zapomniała do reszty normalnego życia!”.

Dopiero kiedy to powiedziałam, uświadomiłam sobie znaczenie tych słów. To, co się tutaj dzieje, to nie jest prawdziwe życie. Przypomina raczej koszmarny sen, z którego być może już nigdy się nie obudzę. Najchętniej zagrzebałabym się w moje poduszki i nigdy więcej z nich nie wynurzyła. Moje nowe życie rozgrywa się w łóżku. A to łóżko stoi w pokoju, którego ściany - na całe szczęście! - nie mogą mówić. Jak wiele cierpiących dzieci widziały? Ilu aniołów śmierci już tutaj było? Ja bardzo plastycznie wyobrażam sobie umieranie. Tak jak na filmie „Miasto aniołów”, gdzie do umierających przychodzą ubrane na czarno anioły i zabierają ich do swojego świata. Towarzyszą im do samego końca, a potem pomagają przejść na drugą stronę.

Świat za moim oknem jest tak samo nieosiągalny jak raj dla Adama i Ewy, kiedy ten pierwszy w historii „słaby mężczyzna” połakomił się na owoc z drzewa poznania dobra i zła. Być może normalne życie jest mi wzbronione tylko chwilowo, być może jednak -już na zawsze. Rak pustoszy nie tylko moje ciało, ale też kradnie stopniowo moje siły. Podstępny drań. Dawniej, zanim jeszcze zachorowałam, chodzenie, bieganie, skakanie było dla mnie sprawą oczywistą. Teraz, wszystkie te, wydawałoby się, banalnie pro-

113

ste czynności, leżą poza zasięgiem moich fizycznych możliwości. Teraz wszystko to jest dla mnie zbyt męczące. To naprawdę budzi lęk.

Muszę zakasłać. No nie, znowu!

Mama reaguje błyskawicznie - no cóż, ćwiczenie czyni mistrza. Natychmiast jest przy mnie i podkłada mi pod nos ohydnie cuchnącą miskę. Kiedy wreszcie żołądek przekreca mi się do góry nogami i moje śniadanie w postaci obrzydliwej brei, chlustając na wszystkie strony, ląduje w tej głupiej misce, po raz pierwszy czuję z przerażającą jasnością: z każdym takim atakiem tracę trochę więcej energii życiowej. Któregoś dnia wyrzgam resztki tego, co mi jeszcze pozostało.

Teraz nareszcie wiem, jak umrę.

Opadam z powrotem na poduszkę. Apatycznie wlepiam wzrok w sufit. Mama idzie po nową powłoczkę, potem przysiąda na krawędzi mojego łóżka i powleka świeżo kołdrę. Zmagając się ze sztywną, wykrochmaloną poszwą, przemawia do mnie łagodnym głosem. Jestem taka słaba, że nawet nie mogę zrozumieć, co do mnie mówi. Czuję, że odpływam. A więc tak to jest, kiedy się umiera. Wszystko .stoję się obojętne.

i JCzy teraz mam podziękować ci za to, że odpowiadasz na moje pytania, które od wielu nocy ci zadaję - zwracam się do Boga. CzyiHpTawdgxfacesz^6ZWóTić7zerJym sięliffiisl"-ła własnymi rzygami? Któregoś fatalnego dniaHaedy-^a-braknie mi srl, aby je z siebie wyrzucić? Dlaczego nie zabierzesz mnie od razu? Na co jeszcze czekasz? Co ci zrobiłam, że tak mnie karzesz? Czy nie byłam zawsze miła i grzeczna? Czy nie starałam się dopasować do

moich bliźnich, nawet jeśli w ogóle mi to nie pasowało? Czy nie zachowywałam się zawsze tak, jak tego oczekiwali inni?

114

Nie chcę tak umierać. Proszę, błagam, pozwól mi po prostu tylko zasnąć i już więcej się nie obudzić - wznoszę modły do tego, który jest panem mojego życia - i mojej śmierci! Siostra Sandra nadciąga z nową kroplówką i zaczyna majstrować przy moim „hicky”. Patrę obojętnie na jej szybkie, wprawne ruchy. Jeszcze nigdy nie byłam taka cierpliwa. Niech już będzie, co ma być. Nie chcę nic więcej słyszeć ani nic więcej widzieć. Powieki mi opadają, oczy same zamykają się do snu, jestem taka zmęczona, a może raczej zrezygnowana? Spać. Nic, tylko spać. A jeśli nawet nie obudzę się już następnego ranka, to też wszystko mi jedno. Jestem gotowa do drogi. Odejść czy zostać -jaka to różnica?

A jednak znów się budzę. Więc to jeszcze nie koniec? Moje spojrzenie pada na preżący się koło mnie stojak z kroplówką. Życiodajna ciecz, kropla po kropli, spływa do mojego wnętrza. Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu. Przecież to takie proste. Woda jest życiem. To brzmi jak slogan reklamowy, który już gdzieś słyszałam. Tylko że spece od reklamy, którzy wymyślili to piękne hasło, z pewnością nie myśleli o chorych, którzy dzięki wodzie mogą znów być zdrowi. Ale ja nawet od tego nie będę zdrowa.

Dlaczego to wszystko tak długo trwa? Kiedy wreszcie zaczną tę chemioterapię?

W jednym z odcinków serialu „Klinika miejska”, który opowiadał historię chorego na raka chłopca, wszystko szło rach ciach. Raz, dwa, trzy i po krzyku. Diagnoza, chemioterapia, wypadanie włosów, dziecko nie żyje. Jeśli będą dalej zwlekać, zastanawiając się Bóg wie nad czym, to umrę jeszcze przed początkiem tej chemioterapii. Dłużej nie mogę już czekać.

Dokładnie to czuję. Mój żołądek bur-

115

czy rozzłoszczony, puste kiszki grają mi marsza. „Mamo, chce mi się jeść!” - „I chwała Bogu! Bo też najwyższy czas coś przekąsić!” - dobiega mnie wesoła odpowiedź. „Przespałaś obiad, ale siostry przechowały go dla ciebie. Zaraz ci przyniosę”.

Kiedy mama wychodzi z pokoju, włączam moją „migocącą skrzynkę”. „Bravo TV”. Ten program zawsze ściągałyśmy przez internet. Świetna sprawa, po prostu super. Interesujące reportaże, spokojna muzyka, a od niedawna również „Bravo-story”. Kiedy mama wraca po kwadransie, jestem już zanurzona po uszy w życiu tej zupełnie normalnej, zdrowej młodzieży z jej zupełnie normalnymi problemami, mniej lub bardziej nieszczęśliwymi miłościami, markowymi ciuchami, problemami w szkole i pirackimi kopiami.

Nie odrywając oczu od ekranu, odbieram od mamy tacę z jedzeniem, i rejestruję tylko mimochodem, co jest na talerzu. Zupa jarzynowa z pokrojonym omletem, kurczak w potrawce, a na deser kompot jabłkowy. Całkiem niezłe. Wpycham w siebie wszystko po kolei, potem odstawiam tacę i opadam na poduszkę z błogim wyrazem twarzy. Uff, od razu lepiej!

Ponure myśli pierzchły jak zdmuchnięta banka mydlana. Czuję wyraźnie, że wraca mi dobry humor. No i proszę, czego to może dokonać trochę snu i pełny żołądek. Ale teraz naprawdę chcę zadzwonić do internatu. Wysyłam mamę z pokoju na „zasłużonego” papierosa i wybieram numer. Każda grupa uczennic w naszym internacie ma swój własny telefon. To bardzo praktyczne, nie powiem. Rzecz w tym, że ten telefon stoi na korytarzu i każdy może podnieść słuchawkę, gdy usłyszy donośne brzęczenie.

Mam szczęście i trafiam na Marysię.

116

„Basiu!” - krzyczy, gdy rozpoznaje mój głos. - „Hej, jak ci tam? A w ogóle, to gdzie jesteś? Kiedy do nas wrócisz? Wiesz, bardzo nam ciebie brak, bo...!”. - Gada jak najęta, nie dając mi dojść do słowa. „Marysiu, właśnie dlatego dzwonię. Posłuchaj, raczej na pewno nie będzie mnie przez dłuższy czas. Tak naprawdę to nie wiem, kiedy do was wrócę. Jestem w szpitalu

w Ulm!". - „W szpitalu? Co takiego?! Dlaczego? Co ci dolega? Chyba nie jesteś chora?!" - wypytuje przestraszona. - Nabieram w płuca wielki haust powietrza i mówię jednym tchem: „Mam raka, ale lekarze jeszcze nie wiedzą dokładnie jakiego. Przypuszczalnie to choroba Hodgkina czyli rak węzłów chłonnych, wiesz?". Cisza na drugim końcu linii. „Marysiu, jesteś tam jeszcze?". - „Och, Basiu, czy jesteś pewna? To przecież straszne!". Jej głos się załamuje. Marysia płacze w słuchawkę. Tego się nie spodziewałam. A może powinnam... - „Hej, Marysiu. Proszę cię, nie płacz. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Tutaj, w klinice, naprawdę mi pomagają. To wspaniali specjaliści. Poradzą sobie z tym świństwem!". Próbuję jej wyjaśnić, że teraz wszystko jest o wiele lepiej niż przedtem. Potem opowiadam jej, jak strasznie czułam się w ostatnich tygodniach swojego pobytu w internacie i co się wtedy ze mną działo. Gdy kończę swoją opowieść, proszę Marysię, żeby nie opowiadała od razu wszystkim po kolei, że mam raka. „Chcę tylko, żebyście ty, Hela i Iris wiedziały, co się ze mną dzieje, ponieważ jesteście moimi najlepszymi przyjaciółkami" - zaklinam ją na wszystkie świętości. Marysia słucha wprawdzie, co do niej mówię, ale jest tak wytracona z równowagi, że nie może wykrztusić z siebie niczego sensownego, a już w żadnym razie odpowiedzieć na moje pytania. A ja tak bardzo chciałabym wiedzieć, co się tam u nich dzieje. Jestem taka ciekawa, co słyhać w internacie.

117

„Daj mi Iris! Możesz? Bardzo cię o to proszę" - mówię lekko zirytowana. Ale i ona, moja dzielna Iris reaguje tak samo jak Marysia. Płacze i powtarza w kółko jedno zdanie: „O Boże, zupełnie nie wiem, co mam powiedzieć!". „Opowiedz mi po prostu, co u was słyhać!" - próbuję jeszcze raz. Najwidoczniej jednak w tym momencie jest to ponad jej siły. Iris żegna się pospiesznie, mówiąc zdławionym głosem „wszystkiego dobrego" i przekazuje słuchawkę Heli. Trudno, muszę po raz kolejny „zarzucić" ten sam tekst. Może tym razem uda mi się czegoś dowiedzieć. Mówię więc: „Cześć Hela, leżę w szpitalu, bo mam raka. Ale na pewno wyzdrowieję!". „Aha" - głos Heli brzmi dziwnie beznamiętnie. - „Wobec tego, życzę ci wszystkiego dobrego. Muszę już iść, bardzo się spieszę. Zadzwoń jeszcze kiedyś. Na razie!" Tut, tut, tut - Hela odłożyła słuchawkę. Ona rzeczywiście to zrobiła. Patrzę na swoją słuchawkę, nie posiadając się ze zdumienia. Trwa to dłuższą chwilę, zanim odkładam ją na widełki.

Nic z tego nie rozumiem. Właśnie Hela, która zawsze była dla mnie taka ważna. Jestem chora na raka, a ona w dalszym ciągu zachowuje się jak primadonna. Patrzę na telefon jak zahipnotyzowana. Czy ja śnię? Powoli wzbiera we mnie wściekłość. Co ta głupia krowa sobie wyobraża? To niemożliwe, żeby ktoś mógł być aż tak bezczelny! Taki impertynencki i podły! Zero empatii, zero wycucia. Po prostu zero uczuć! Koniec mojego pięknego snu, że ta - pożałuj Boże - przyjaciółka będzie mi współczuć, a może nawet mnie pocieszy. Czy nie mogła okazać mi choć trochę miłosierdzia? Odrobinę serca... Czy naprawdę żądam zbyt wiele? Ciekawe, czy dobrze się z tym czuje? Ale co ja tu sobie roję, przecież ona w ogóle się nad tym nie zastanawia!

118

Jestem niepokieszona. Dlaczego mi to zrobiła? Jak mogła? A ja - idiotka! - tak uwielbiałam tę „piękną Helę", kiedy byłam jeszcze w internacie. Doskonale pamiętam, jak za nią przepadałam, jak jej słuchałam, gdy była tak łaskawa i zniżyła się do tego, żeby mi coś opowiedzieć, i jak wielka była moja radość, gdy chciała pójść ze mną na lody albo do kina. Najczęściej jednak była arogancka, wyniosła i nieprzystępna. Prawdziwa bogini. Dzień po dniu budowała między nami mur, którego w żaden sposób nie mogłam pokonać, bez względu na to, jak bardzo się starałam. Znowu czuję ten bezradny smutek, ponieważ nie potrafię radzić sobie z tego rodzaju szorstkim odtrąceniem, niestety. Wprawdzie nie po raz pierwszy zdarzyło jej się urazić mnie do żywego, ale ja - jak to ja - cierpię w milczeniu i potajemnie

łykam łzy, żeby nikt nie widział, jak bardzo mi smutno. „Głupia koza”, zżymam się w duchu. Sama już nie wiem, na kogo bardziej jestem zła: na nią czy na siebie.

Być może, powinnam była mimo wszystko posłuchać mamy, która twierdziła, że to wychowawczyniom należy pozostawić wcale niełatwą - jak się okazało - misję poinformowania dziewcząt w internacie o mojej chorobie. Tak, to byłoby chyba najbardziej rozsądne rozwiązanie, teraz i ja tak to widzę. Choć z drugiej strony... Czy naprawdę głupotą było wierzyć w to, że najpierw mogę powiedzieć moim najbliższym przyjaciółkom o mojej chorobie, a potem, jak gdyby nigdy nic, przejść do ploteczek internatowych? Naprawdę, bardzo mi teraz przykro, że tak napadłam na Marysię i Iris z całą tą moją, pożałowania godną, historią. Ale przynajmniej ich reakcja udowadnia mi, że naprawdę mnie lubią i martwią się o mnie. Kochane dziewczyny.

119

Natomiast zachowanie Heli jest po prostu bezczelne i chamskie. To chyba najbardziej właściwe przymiotniki. Im dłużej zastanawiam się nad całą tą sprawą, tym bardziej robię się wściekła.

Gdybym nie zaprosiła jej na Wielkanoc i nie zaproponowała, żeby spędziła u nas również ferie, musiałby zostać w internacie. Sama, samiuteńka jak palec. Jej rodzice mieszkają w Meksyku, a ona nie ma żadnych krewnych w Niemczech. W czasie tych ferii po raz pierwszy pokazała mi swoją prawdziwą twarz. Przypodchlebiała się mojej mamie, wkradła się w jej łaski i przy każdej możliwej okazji donosiła na mnie, plotkowała albo robiła w konia. Podła zdrajczyń! Nie chciałam wierzyć, gdy zobaczyłam na własne oczy, do czego ta rzekoma przyjaciółka może być zdolna. Byłam bardzo rozczarowana i smutna, bo wreszcie przekonałam się, że wcale nie jest taka wspaniała, jak zawsze myślałam.

Z mamą nie mogłam porozmawiać na ten temat, ponieważ w swoich opowieściach zawsze wychwalałam Helę pod same niebiosa, a wszystko po to, żeby mogła spędzić z nami Wielkanoc i ferie. Tym sposobem sama zapędziłam się w kozi róg.

I tak pozostał mi tylko Fritzi, mój zajaczek. Kiedy miałam dość Heli, szłam do ogrodu, szukając pociechy u mojego małego przyjaciela kucającego wśród rabatek. Suszyłam łzy na jego jedwabistym futerku i wyrzucałam smutek z mojej zbolącej duszy. Potem wracałam do domu z uśmiechem na ustach i zachowywałam się tak, jakby nic się nie stało. Hela szybko się zorientowała - w końcu nie jest głupia - że trzymam buzię na kłódkę, że nie powiedziałam niczego mojej mamie, i w dalszym ciągu prowadziła swoją podstępą grę, szykanując mnie na różne sposoby.

120

W tym czasie poprzysięgłam sobie, że po tych feriach, kiedy już wrócimy do internatu, nie zamienię z nią nawet jednego słowa. Czara goryczy wreszcie się przelała. Miałam po dziurki w nosie takiej przyjaźni. Niestety, nie wytrzymałam długo i złamałam swoje przyrzeczenie. Ona bowiem, jak tylko zobaczyła, że stopniowo się od niej odsuwam, znowu stała się miłą kochaną Helę. Prosiła mnie nawet o wybaczenie i przepraszała za swoją szorstkość, tłumacząc się - oj, bo pęknę ze śmiechu! - tęsknotą za domem rodzinnym. Wtedy od razu zrobiło mi się jej żal i na pewien czas - dość krótki zresztą - znów byłyśmy jednym sercem i duszą. Słowo daję, do dzisiejszego dnia nie wiem, dlaczego tak bardzo zależało mi na przyjaźni z tą wredną, dwulicową zmiłą. W każdym razie, tak czy inaczej znów się jej udało. A teraz... Teraz czuję się po prostu okropnie. Tak bardzo zaboląła mnie jej obojętność. Chwytam za pilota i skaczę wściekle po kanałach, ale jak na złość nie znajduję niczego, co mogłyby poprawić mi nastrój. Całe szczęście, że mam wizytę. Może choć na chwilę uda mi się przegnać ponure myśli. To tata! Tym razem przyprowadził ze sobą dziadków. Babcia i dziadek objuczeni są prezentami. Powinni mieć jeszcze wielki worek i czapki Świętego Mikołaja; strasznie dużo tych prezentów.

W jakiś czas potem przybywają Nana i Manę, rodzice mojej mamy. Niemal duszę się od tego napęczniałego ładunku współczucia, sympatii, opiekuńczości, wsparcia i serdecznej troski, ale też w jakiś sposób upajam się tym.

Jest jeszcze na tym świecie dość ludzi, którzy mnie lubią i dobrze mi życzą. I którzy naprawdę martwią się o mnie - myślę z przekorą, uśmiechając się z wdzięcznością do swoich gości.

121

Niedziela, 7 lipca 2002

Basia

Jest szósta rano. Czas na rutynowe mierzenie temperatury. Czuję chłód termometra pod pachą, ale nadal leżę w półśnie, nie otwierając oczu. Potem moja kołdra zostaje odchylona, a piżama energicznie podniesiona do góry. Ruchliwe ręce siostry manipulują przy moim „hicky”. Mamy przed sobą jeszcze cały dzień, nie muszę nigdzie iść, nikt mnie nie zaprasza o tej porze do swojego gabinetu, a mimo to siostry muszą ciągle tak wcześnie robić zamieszanie. Po co się tak spieszą? Okropnie mnie to denerwuje!

Ani myślę otwierać oczu. W końcu jest wczesna godzina - kilka minut po szóstej! Kiedy siostra wychodzi z pokoju, w dalszym ciągu mam zamknięte oczy. Może uda mi się jeszcze zasnąć, oby tak było! W tej chwili nie pragnę niczego bardziej, jak tylko pograć się w bezmyślnej nirwanie, choćby tylko na parę minut. Ale nie, skończyło się. One znów tutaj są, te straszne obrazy, które dręczą mnie zawsze wtedy, kiedy nie mogę usnąć - albo kiedy ktoś budzi mnie o szóstej rano!

„Mamo?” - pytam w ciszy pokoju.

„Tak, skarbie” - odpowiada zaspany głos. Słyszę szuranie kapci. Mama wstaje i podchodzi do mojego łóżka, żebym mogła ją zobaczyć. Właściwie mogłabym tylko przekreślić głowę w stronę jej leżanki stojącej tuż obok mojego łóżka, ale nawet na to brakuje mi sił.

Noc znów była okropna, i mama spała jeszcze mniej niż ja. Od pewnego czasu kaszlę i wymiotuję w półśnie. Wiem, że coś się dzieje, ale uczestniczę w tym tylko „półświado-mie”. Podczas gdy mama, z pomocą siostry dyżurnej, zmie-

122

nia pościel na moim łóżku i wpycha mnie w świeżą piżamę, znowu zasypiam. Wyczerpanie? Słabość? Wysoka gorączka? A może to jest po prostu przyzwyczajenie? A może strach przed leżeniem w ciemnościach? Przed myślami, które napawają mnie lękiem i kradną nadzieję? Dlatego nic, tylko spać.

Wizyta dziadków nie poprawiła mi nastroju. Przeciwnie, czuję dziwny smutek, chociaż z początku tak bardzo się cieszyłam, że ich widzę. Kochani staruszkowie, byli tacy zatroskani, tak bardzo mi współczuli, że teraz zadaję sobie pytanie, czy nie jestem bliższa śmierci, niż myślałam.

Z mamą jest zupełnie inaczej. Jej dobry humor sprawia, że zawsze wypływam na powierzchnię, kiedy już wydaje mi się, że zaraz utonę. Mama wyciąga mnie z każdej uczuciowej głębi i jak wykwalifikowany ratownik holuje do brzegu. Tylko ona to potrafi. Dzięki niej czuję się pewnie i bezpiecznie. I wiem, że dopóki jest przy mnie, nie stanie mi się nic złego, ponieważ mocno wierzę, że mama nie dopuści do tego, żebym umarła. Ale babcia i Nana, one już postawiły na mnie krzyżyk. Oddały mnie Panu Bogu i nawet już pochowały... Czuję wyraźnie, że tak jest i zaczynam się bać. Może już czas powiedzieć to, czego tak bardzo się boję? Tak! Muszę wreszcie wyrzucić to z siebie, muszę wymówić na głos to straszne pytanie: „Mamo, czy ja umrę?”. Uff, nareszcie to powiedziałam. Odkąd jesteśmy w tej klinice, za wszelką cenę próbowałam uniknąć tego pytania. Do tej pory jakoś mi się udawało. Szczerze mówiąc, nie było to wcale takie trudne, biorąc po uwagę zawrotne tempo tutejszego życia. A mówią, że w szpitalu można sobie odpocząć... Wszystkie te badania,

pobrania krwi, regularne wizyty w gabinecie rentgenowskim, zajmują naprawdę masę czasu. Do tego jeszcze obie operacje, i każdego dnia

123

„wycieczka” do innej kliniki uniwersyteckiej w celu wyjaśniania jakichś tam ważnych pytań lekarzy i rozwiewania ich wątpliwości za pomocą kolejnych testów. Po każdej takiej wyprawie byłam zawsze bardzo zmęczona i od razu zasypiałam jak kamień. Telewizor załatwił resztę. Skierowanie uwagi na inne tory. Losy i dramaty bohaterów na ekranie prawie zawsze dobrze się kończą. Dlaczego również mój dramat nie może się tak skończyć? Hej tam, gdzie podziewa się autor, który lubi pozytywne zwroty akcji i który dopisze mi happy end! Czy będzie nim profesor Debatin, który obiecał mi, że „na sto procent” wyzdrowieję? W końcu to on jest tutaj szefem i wie, co mówi. Czy to będzie mama, która nie odstępowała mnie na krok, otacza mnie czułą opieką, i daje mi poczucie bezpieczeństwa i wsparcie, których tak bardzo teraz potrzebuję? A może jest nim Bóg, który właśnie gra ze świętym Piotrem w kości o moje życie? Kto wygra, kto przegra? Bóg jeden wie...

„Nie wiem, Basiu” - mówi mama. „Nie wiem, jaką drogą pragnie iść twoja dusza. Ale zrobimy wszystko, żebyś znów była zdrowa”. - „Ale co to znaczy wszystko?” - pytam ją trwożliwie, ponieważ nie jestem pewna, czy rzeczywiście chcę usłyszeć odpowiedź. - „To znaczy, że mamy do dyspozycji całą paletę medycyny konwencjonalnej: chemioterapię, lekarstwa, naświetlania. To naprawdę bardzo dużo. Ale tą metodą zwalczamy samą tylko chorobę: przerzuty i guzy w twoim ciele. Jednakże, zgodnie z zasadami medycyny całościowej, czyli niekonwencjonalnej, powinniśmy poszukać również przyczyn twojej choroby. A nie tylko leczyć jej skutki...”. - „Ale jak to zrobimy?” - pytam, patrząc na nią wyczekująco. Podoba mi się to, co mówi mama. Wspieram się wygodnie na poduszce i zamieniam

124

w słuch. - „Tego jeszcze nie wiem” - przyznaje mama, a widząc rozczarowanie w moich oczach kontynuuje z tajemniczą miną: „Ale poprosiłam już kogoś o radę... Ten ktoś może nam bardzo pomóc”. - „Opowiadaj!” - wykrzykuję, zachęcając mamę, żeby się streszczała i nie mogę pojąć, dlaczego nagle stała się taka tajemnicza i trzeba ciągnąć ją za język. Do tej pory wcale nie znałam jej z tej strony. Tajemnice, sekrety - to coś zupełnie nowego! Mama starannie rozważa każde słowo. - „Wiesz Basiu, ja wierzę w istoty jyyjsze, które nam towarzyszą, ochraniają nas i które również nami kierują, o ile jesteśmy gotowi, aby ich słuchać”. Patrzę na nią pytająco. W dalszym ciągu nic nie rozumiem. - „Ale widzisz, moja kochana. Z tym słuchaniem sprawa nie jest wcale taka prosta, jakby się to mogło w pierwszej chwili wydawać. Szczerze mówiąc, dla nas, zwykłych śmiertelników, jest to szalenie trudne. Dlatego istnieją ludzie, którzy spełniają rolę osób kontaktowych, czyli pośredników pomiędzy ludźmi a tymi istotami duchowymi”. - „Istotami duchowymi? Masz na myśli anioły?!” - pytam zafascynowana, bezwiednie zniżając głos. - Mama kiwa twierdząco głową. - „I ty naprawdę znasz kogoś takiego... kto rozmawia z aniołami?” - nie mogę się nadziwić. To naprawdę niesamowite! - „Ja nie. Ale pani Gam-pert zna taką kobietę we Frankfurcie. Poprzez medytację nawiązuje ona kontakt z istotą wyższą, aniołem - jeśli tak wolisz. Jeśli ktoś jest w naprawdę trudnej sytuacji życiowej, z której nie może sam znaleźć wyjścia i nie wie, jak sobie poradzić, to wówczas może prosić o radę i wsparcie medium. Czyli pośrednika, takiego właśnie jak ta kobieta z Frankfurtu, o której ci mówiłam”.

Jestem ogromnie podekscytowana i swoim zwyczajem zaczynam obgryzać paznokcie. Cóż to za wspaniały po-

125

myśl! Tylko mama mogła wymyślić coś takiego! Poprosimy o pomoc anioła. Całkiem realnie. Gdybym wcześniej wiedziała, że istnieją ludzie, którzy kontaktują się z aniołami, to być może nie musiałabym tak długo męczyć się samotnie w internacie. Ale na żalowanie jest teraz za

późno. Nie czas płakać nad rozlanym mlekiem. Trzeba szybko działać! Chcę to zrobić. - „Teraz, natychmiast!”, wykrzykuję w euforii, pospieszając mamę. - Ale ona tylko uśmiecha się „pod nosem”, potrząsa głową i zaczyna grzebać w swojej ogromnej torebce, którą zawsze ma na podorędziu. - „Dlaczego nie?” - napieram na guzdrzącą się mamę i kręcę się podniecona na moim łóżku. Jeśli teraz mama mi powie, że musimy w tym celu iść do telefonu na korytarzu kliniki, to niech się dzieje, co chce - na pewno to zrobię!

Do tej pory nawet w dziesięć koni nie zdołaliby mnie wywlec dobrowolnie z mojego pokoju, poza jazdą fotelem na kolejne badanie, rzecz jasna. Ale to zupełnie inna historia. Normalnie nie wychylam nosa za próg, ponieważ nie chcę mieć żadnego kontaktu z innymi dziećmi przebywającymi na tym oddziale albo z ich rodzicami. Nie chcę słuchać opowieści o ich chorobach. Może brzmi to trochę arogancko, ale tak właśnie jest.

Tej odrobinki siły, która jeszcze mi pozostała, potrzebuję dla siebie samej. Moje seriale telewizyjne prawie zawsze kończą się happy endem, a jeśli nawet ktoś tam umiera, to wiem, że ten rzekomy truposzczak wcale nie umarł, a tylko udaje i po wyłączeniu kamery wstanie - lub raczej „zmartwychwstanie” - i jak gdyby nigdy nic pójdzie sobie do domu.

Mama znalazła wreszcie to, czego szukała. - „Tutaj jest! Widzisz? Odpowiedź na moje pytania, które przedstawiłam temu medium przez panią Gampert. Zrobiłam to już

126

w ostatni poniedziałek!”. Patrzy na mnie triumfalnie, powiewając mi przed nosem kilkoma stronami zadrukowanego papieru. „To jest odpowiedź od Elmera!”. - Jestem oszołomiona i szczęśliwa, aczkolwiek jeszcze nie wiem, co mnie czeka. - „Kto to jest Elmer?”. - „No, nasz anioł. Nazywa się Elmer. Podoba ci się? Medium we Frankfurcie przekazało mi jego odpowiedzi mailem. A w piątek, kiedy byłam w domu, odebrałam je”.

To jest naprawdę super! Anioł o imieniu Elmer pisze do nas e-maile. Tego jeszcze nie było! Jestem tak oszołomiona, że w pierwszym momencie w ogóle nie chcę wiedzieć, co on tam pisze. W mojej głowie wiruje jedna myśl: mama nawiązała dla mnie kontakt z aniołem!

Ogarnia mnie euforia. Cóż to za niezemska wiadomość - w całym tego słowa znaczeniu! Ale już po chwili powraca ciekawość: „A co pisze Elmer?”. - „Czy chcesz sama przeczytać?” - pyta i podsuwa mi pod nos drobnutko zapisane kartki. - „Nie”, bronię się, ponieważ czuję się zbyt słaba, żeby czytać. A poza tym, boję się, że z nadmiaru emocji nie będę mogła nawet utrzymać kartki w rękach. „Opowiedz mi tylko to, co najważniejsze”. - „Zapytałm anioła, co sądzi o całej tej sprawie. To znaczy, jak naprawdę z tobą jest. I jak będzie... A tu masz jego odpowiedź”. Zaczyna czytać na głos:

Od strony medycznej to stadium, które jest ze wszech miar godne zastanowienia, by nie rzec niepokoju, ale wiedzcie kochane ziemskie istoty: gdy przełamie się własna siła decyzji, by zmienić jakąś sytuację, wówczas wszystkie drogi są otwarte. Tak jest również i tutaj. Główna przeszkoda polega na tym, że pojawił się swego rodzaju „letarg”, ciało prawie nie może odnaleźć swoich własnych sił samo-wyleczenia - wewnątrz wszystko jest zamarłe, zdrtwiałe, wszystko przenika strach przed życiem...

127

Pokazuje się również, że Basia jest w tym czasie nawiedzana przez marzenia senne, które po części przemilcza albo nie może lub nie chce o nich powiedzieć ze wstydu. Są to po części obrazy, które wyrażają jej niepokój, oszołomienie, zakłopotanie, dlatego należy dać jej poczucie (o ile robi to sama z siebie, bez przymusu), że może rozmawiać po prostu o wszystkim. Może śmiać się, płakać, żartować, a nawet odmawiać - wszystko to jest częścią jej obecnej sytuacji i wszystko powinno wyjść na zewnątrz, wszystko! Dzięki temu, organizm zostanie do pewnego stopnia uwolniony od obciążających go energii, tak iż odczuwanie może być również inne.

Basia ma opiekę z bardzo wysokiego pułapu, nad nią trzymana jest straż bardzo, ale to bardzo czuła i serdeczna. Przez cały czas okrywają ją płaszczy miłości - mimo to, jeszcze raz należy

zwrócić uwagę na to, że myśli Basi idą w dwóch kierunkach: w kierunku samowyleczenia i w kierunku rozpacz, zwątpienia i wzbraniania się przed tym wyleczeniem.

Patrzę na mamę, nie rozumiejąc. Zdaje się, że ten anioł jest strasznie mądry. A ja chyba strasznie głupia... W końcu pytam nieśmiało: „Zrozumiałam tylko, że mam opiekę z bardzo wysokiego pułapu. Czyli z nieba! To chyba dobrze, prawda?” - „Oczywiście, nawet bardzo dobrze!” - potwierdza mama, po czym wyjaśnia mi cierpliwie słowa Elmera, które - co tu dużo kryć - są dla mnie prawdziwą zagadką. W końcu jestem najzwyczajszą w świecie dwunastolatką, więc nie muszę wszystkiego rozumieć. „Elmer uważa, że chwilowo jesteś słaba i zniechęcona, że nie wierzysz we własne siły oraz w to, że uda ci się pokonać chorobę. Tracisz nadzieję i zaczynasz wątpić, że możesz wyzdrowieć...”. Mama zawiesza na chwilę głos, po czym kontynuuje w bardziej stanowczym tonie: „Twój opiekun

-

128

uważa, że powinnaś dawać upust swoim uczuciom, to znaczy musisz nauczyć się wypuszczać na zewnątrz wszystkie swoje uczucia - zarówno dobre, jak i złe - i wcale się tego nie wstydić. Jeśli masz ochotę śmiać się, płakać, złościć, a nawet wściekać, to rób to!

Najważniejsze, żebyś nie tłumiła swoich emocji - nawet tych najgorszych, nie chowała ich do środka, tylko uzewnętrzniała, wypowiadała je na głos. Przede wszystkim jednak musisz wierzyć w to, że znów będziesz zdrowa! To dla ciebie najważniejsze!”.

Patrzy na mnie swoimi przenikliwymi oczyma, jakby chciała przejrzeć mnie na wylot i zajrzeć w głąb mojej duszy, a ja czuję rosnącą we mnie radość i zaczynam się uśmiechać, coraz szerzej i szerzej... „Przecież to dobrze, tak czy nie? No powiedzże wreszcie coś! Przecież ty też myślisz tak samo jak Elmer, prawda?”. Teraz mama zaczyna się uśmiechać. „To cudownie, mamó! To znaczy, że naprawdę mamy szansę!”.

Być może Elmer jest tym autorem, który może mi dopisać mój wytęskniony happy end.

Mama

Na myśl o tym, że mam powiedzieć mojej córce o Elmerze, ogarnia mnie trema. Jakoś dziwnie się z tym czuję. Opowiadać o aniele, który sprowadzi z nieba pomoc i pomoże jej wyzdrowieć. To brzmi jak bajka, a ja już dawno temu przestałam jej czytać bajki na dobranoc... Jak zareaguje Basia? Co powie? Wolę już, żeby popukała się w czoło, żeby mnie wyśmiała, żeby tylko nie pomyślała, że nawiązuję kontakt z „tamtą” stroną, ponieważ wierzę w to, że ona umiera. Tak czy inaczej, musiałam ją jakoś przekonać, że Elmer może nam pomóc przyprowadzić ją z powrotem do życia.

129

Zeszłej nocy źle spałam. Właśnie z powodu czekającej mnie nazajutrz rozmowy. Jak mam powiedzieć o tym mojemu dziecku? Przecież to nie jest takie sobie zwykłe coś! Ułożyłam sto różnych scenariuszy tej rozmowy - i wszystkie odrzuciłam. Przekopałam się przez wszystkie znane mi psychologiczne, parapsychologiczne i spirytystyczne teorie. Sprawdziłam wszystko, co tylko mogłoby mi się przydać, choćby w załączku. I wciąż nic. Nadal znajdowałam się w punkcie wyjścia.

Podobnie jak inni fizjoterapeuci, wywodzę się z medycyny konwencjonalnej. Jeśli jednak chodzi o wybór metody leczenia, to zawsze staram się iść również drogą medycyny alternatywnej. Według mnie medycyna naukowa i naturalna wcale się wzajemnie nie wykluczają, a wręcz przeciwnie - cudownie się uzupełniają. Zaraz po fatanej diagnozie zdałam sobie sprawę, że nie pozostaje nam nic innego, jak pójść z Basią drogą medycyny konwencjonalnej, a z drugiej strony nie chciałam ograniczać się do tego tropu. Zamierzałam działać dwutorowo - leczyć jej ciało, zdając się całkowicie na lekarzy w klinice - jednocześnie zabrać się za badanie źródeł jej choroby i leczenie jej chorej duszy. Ponieważ dusza mojego dziecka jest bez wątpienia chora.

A potem wszystko poszło jak z płatka. Rozmowa, która przez kilka nocy z rzędu spędzała mi sen z powiek, okazała się dziecinnie prosta. I to w dosłownym sensie. Zapomniałam, że w przeciwieństwie do „twardogłowych” dorosłych, dzieci mają wielką łatwość przyjmowania rzeczy duchowych, ponieważ są z natury mistykami. Dopóki nie dorosną... Ich pojmowanie świata jest całkowicie naturalne i nieskażone sceptycyzmem.

Przyznaję, było mi bardzo na rękę, że Basia nie chciała sama przeczytać całego tekstu, ponieważ są w nim również

130

takie fragmenty, których w tym momencie wołałam jej oszczędzić. Wyłącznie dla jej dobra. Nie dlatego, żebym chciała ją oszukiwać lub wprowadzać w błąd, ale żeby ją chronić przed negatywnymi myślami i lękami. Dlatego przeczytałam jej tylko pozytywne i niosące otuchę wypowiedzi Elmera.

Odkąd Basia leży w tej klinice, czuję przez skórę, jak z każdym dniem wycofuje się z życia. Aż chciałoby się powiedzieć „rakiem”... Ten odwrót jest dla mnie wysoce niepokojący. Moja chora córka o nic nie pyta, dużo śpi i ogląda telewizję. Nieustannie zadaję sobie pytanie, dlaczego dwunastoletnia dziewczynka w tak ostentacyjnie bierny sposób reaguje na diagnozę: rak. A nawet należałoby powiedzieć - nie reaguje w ogóle! Basia zachowuje się tak, jakby cała ta sprawa w ogóle jej nie dotyczyła. Ale sama zabroniłam sobie obciążać ją rzeczami, o których, jak się wydaje, moja córka wcale nie chce wiedzieć. I - jak wiem to teraz od Elmera, który oświecił mnie również w tej kwestii, moje na wskroś intuicyjne działania były słuszne. W Matka powinna tylko słuchać, tylko przysłuchiwać się i wszystkiemu, co mówi jej córka. Bez oceniania i bez uspokajania jej. Współodczuwanie jest cudownym darem i płaszczyzną, na której może postępować proces zdrowienia, natomiast litość jest na wskroś negatywnym instumentem, przed którym powinna się bronić. |

Niekiedy mam uczucie, że BasiaTriTsię wymyka, że zamierza wynieść się chyłkiem na drugą stronę - potem znów wraca jej dobry humor, tryska optymizmem, żartuje, dowcipkuje i śmieje się razem ze mną, jakby pobyt w tej klinice nie był niczym więcej, jak tylko miłą wizytą w sanatorium lub kurorcie. Przygotowałam się wewnętrznie na to, że będę musiała odpowiedzieć na tysiące jej pytań dotyczą-

131

cych jej choroby, terapii oraz działań ubocznych, ale ona nie zadała ani jednego.

Basia ogrodziła się wysokim murem; wydaje się całkowicie pochłonięta telewizją i badaniami. Do tej pory nie wystawiła z własnej woli nawet jednej nogi za próg swojego pokoju, i wszystko wskazuje na to, że jest zupełnie nie-zainteresowana tym, co dzieje się na zewnątrz. W innych pokojach też leżą chore dzieci. Ale ona najwyraźniej nie ma zamiaru nawiązywać tutaj żadnych znajomości, nie chce poznawać innych dzieci na tym oddziale. Z ledwością toleruje personel. Nie mam odwagi zapytać, w jaki sposób działają na nią łysy dzieci, które widzi każdego dnia przez szklane drzwi swojego pokoju, kiedy przechodzą korytarzem. Mam dziwne uczucie, że się ich boi.

Mogę wprawdzie opowiadać jej o innych dzieciach, o historiach zasłyszanych od ich matek, ale na tym koniec. Basia broni się przed nawiązaniem bliższej znajomości ze swoimi koleżankami i kolegami z kliniki i unika wszelkiego osobistego kontaktu.

Moja córka wydaje się „zafiksowana” wyłącznie na mojej osobie, wszystko inne odbija się od niej jak od tarczy, jakby nie była całkowicie obecna. Podczas obchodu ta „programowa duchowa absencja” bywa czasem naprawdę zenująca. Czuję się bardzo niezręcznie, ponieważ ona dalej gapi się w telewizor, całkowicie ignorując lekarzy, którzy starają się w jasny i przystępny sposób wytłumaczyć jej, co się aktualnie dzieje z jej ciałem. Nie wierzę, żeby moja córka nie była w stanie zrozumieć tego, co mówią. Zbyt dobrze ją znam. Ona po prostu nie chce ich słuchać, to dla mnie oczywiste.

„Letarg” Basi, o którym mówi Elmer, opisując jej chwilowy stan, jest dla mnie bardzo niepokojący. Szczerze mówiąc, to właśnie on napędza mi najwięcej strachu. Dlatego

132
jeszcze przed rozpoczęciem chemioterapii musiałam opowiedzieć jej o Elmerze. Basia powinna wiedzieć, że wierzę w moce niebieskie, które nad nami czuwają, i które możemy prosić o pomoc w trudnych sytuacjach życiowych. Nie tylko przez modlitwy, ale również w osobistym kontakcie za pośrednictwem medium.

Jak tylko będziemy mogły opuścić szpital, to „samonisz-czycielskie siły”, które według Elmera szaleją w Basi, muszą być leczone terapeutycznie. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. I oczywiście chciałabym wierzyć, że już sama tylko świadomość, że jest anioł, który troszczy się o nią, i który zapewnia jej „opiekę z wyższego pułapu”, da jej siłę konieczną do stawienia czoła czekającym ją jeszcze trudom dalszej kuracji.

Nie przeczytałam Basi, że Elmer proponuje zrezygnować z agresywnych metod preferowanych przez medycynę konwencjonalną, i zaufać całkowicie medycynie naturalnej. Mnie samej przebiegł zimny dreszcz po plecach, kiedy przeczytałam te linijki. Elmer jest dla mnie wielkim autorytetem, to oczywiste, ale myśl, że medycyna konwencjonalna może nie być właściwym torem dla Basi, w tym momencie była dla mnie nie do zniesienia. Zbyt ryzykowne przedsięwzięcie - boję się, że jestem na to za słaba. A może to moja wiara jest zbyt słaba? Tak czy inaczej, jeśli chodzi o mnie, to w tej klinice czuję się tak samo dobrze prowadzona i troskliwie pielęgnowana jak Basia. Moja córka i ja zaufałyśmy bez reszty tutajszym lekarzom. I wcale tego nie żałujemy.

Być może Elmer chce nam w ten sposób zasugerować, że moje dziecko nie przetrzyma tej agresywnej terapii, ponieważ już we wcześniejszym okresie, zanim znalazłyśmy się w klinice, Basia zużyła wszystkie swoje siły, wyekspl-

133
atowała się i więcej nie da się już z niej „wycisnąć”. Po wielogodzinnych namysłach i rozbieraniu całej kwestii na czynniki pierwsze, doszłam do wniosku, że Basia nie zaakceptuje Elmera jako „nadrzędnej instancji”, jeśli posłucham jego rady. Tym bardziej że moja córka jest głęboko przekonana, iż chemioterapia naprawdę jej pomoże. I ja również w to wierzę. Dlatego uważam, że powinnam zgodzić się na tę formę leczenia Basi. Sądzę, że Elmer wie doskonale, jaką podejmę decyzję. Jego zdanie końcowe w tej kwestii brzmi bowiem: Iść alternatywną drogą oznacza ni mniej, ni więcej, tylko: oddać się w ręce uzdrowiciela ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami, co idzie również w parze z podjęciem decyzji dla samej siebie. I tutaj zaczynają się wątpliwości.

Nie sądzą, aby dziecko - ponieważ moja dwunastoletnia córka jest jeszcze dzieckiem! - mogło podjąć taką decyzję. Mój wewnętrzny głos podpowiada mi, że podobny eksperyment byłby stanowczo zbyt ryzykowny. A jeśli Basia będzie się bała, jeśli nie będzie czuła się pewnie, to wówczas przegramy walkę z rakiem. Nie mogę i nie chcę ponosić odpowiedzialności za coś takiego.

Wtorek, 9 lipca 2002

Basia

Nareszcie! Mamy już wynik testu próbki węzłów chłonnych. I teraz również lekarze uwierzyli wreszcie w to, co nam od dawna już jest wiadome: mam chorobę Hodgkina, czyli raka węzłów chłonnych.

134

Lekarz naczelny, Classen, obwieszcza nam tę diagnozę jako wielką nowinę. Dla mnie rak jest faktem, od kiedy lekarze mówią o „99-procentowym prawdopodobieństwie”, a to będzie już jakiś tydzień. Moje znudzone spojrzenie -zrobiłam to z całą premedytacją - wyprowadza lekko z równowagi doktora Classena. Zdaje się, że przygotował się wewnętrznie na tysiące

pytań, którymi go zasypujemy na wieść o Hodgkinie, ale mama i ja chcemy tylko wiedzieć, kiedy rozpocznie się właściwa kuracja.

„Jutro!” - oznajmia krótko doktor Classen ze wzrokiem utkwionym w swoich papierach. Hurra! Pierwsza poprzeczka pokonana. Jeszcze żyję i będę mogła przynajmniej rozpocząć chemioterapię. Teraz dobiorą się wreszcie do przerzutów w moim organizmie. Tak długo na to czekałam i teraz naprawdę się cieszę, że w końcu coś zaczyna się dziać. Równocześnie jednak bardzo się tego boję, to zrozumiałe. Nie samej chemioterapii, ale nowych cierpień i bólu. Wiem, że w większości przypadków chemioterapia wywołuje również nudności i wymioty, ale akurat tego się nie boję. Zbyt dobrze je znam. Nie ma w tym nic więcej, jak tylko płucie.

„Właściwie, co to takiego, ta chemioterapia, o której tyle się mówi?” - pytam mamy, jak tylko obchód wyniósł się z mojego pokoju, pozostawiając nas same. - „To kok-tail agresywnych substancji trujących, subtelnie dostrojony do każdej odmiany raka. Ty, rzecz jasna, otrzymasz swoją, całkowicie indywidualną kompozycję” - mama udaje barmana z wyimaginowanym „shakerem” w ręce, którym potrząsa z ważną miną. „Ten koktail będzie bombardował chore komórki w twoim organizmie tak długo, aż je wszystkie wykończy. Naszym celem jest ich totalna zagłada!” - ciągnie teatralnie, potrząsając bojowo „sha-

135

akerem”. W ten sposób mama osiąga pożądaną efekt - zaczynam się śmiać. - „Niestety, przy tej okazji zostaną również zaatakowane zdrowe komórki i organy w twoim ciele. Dlatego, w najbliższym czasie, w dalszym ciągu będziesz musiała zaliczyć wiele badań - bez tego ani rusz, moja droga - żeby lekarze mogli szybko zareagować, jeśli zajdzie tak potrzeba” - dodaje pospiesznie, patrząc na mnie kątem oka.

Wszystko mi jedno. Teraz, kiedy wreszcie się to zacznie, czuję się znowu silna i w prawdziwie bojowym nastroju. - „Poradzę sobie, zobaczysz! Musi się udać!” - zapewniam mamę przepelniona ufnością i wiarą w powodzenie chemii. A w myślach dodaję jeszcze: ...w końcu nie jestem sama, mam opiekę z góry, z „bardzo wysokiego pułapu”... Na chwilę zamykam oczy i myślę intensywnie o moim aniele Elmerze, który razem ze swoim przyjaciółmi czuwa nade mną gdzieś tam, hen, hen wysoko...

Późnym popołudniem zagląda do mnie profesor Debatin, jak w niemal każdy dzień tygodnia. Ale dzisiaj już od samego rana czekałam na niego z wielką niecierpliwością. To zrozumiałe. Mama i ja chcemy się oczywiście dowiedzieć, co się będzie działo w ciągu następnych tygodni, podczas mojej chemioterapii. Jakie niespodzianki mają dla mnie w zanadrzu kochani medycy?

Profesor Debatin, nie zwlekając, wyjaśnia nam punkt po punkcie: pierwszego dnia, a zatem już jutro, dostanę tylko jeden zastrzyk. Potem przez cały tydzień będę łykała tabletki. Siódmego dnia doustna chemioterapia zostanie zamieniona na dożylną, czyli „lekarstwo” będzie wlewane bezpośrednio do mojego „hicky”, a potem - do czternastego dnia jeszcze tabletki.

136

Dwa tygodnie przerwy. W tym czasie co tydzień będzie kontrolowana moja krew, a kiedy po czternastu dniach nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, wszystko zacznie się znów od początku.

„Zrobimy ci sześć bloków chemioterapii, a potem jeszcze naświetlania” - komunikuje nam profesor Debatin na zakończenie.

O mój Boże! Coś mi się zdaje, że nie będę „błyskawicznie i od razu zdrowa”. Żegnaj piękny śnie o szybkim powrocie do zdrowia - i do domu. Jeśli dobrze liczę, to do końca tego roku będę bardzo zajęta. A razem z naświetleniami, cała kuracja potrwa aż do wiosny przyszłego roku. Straszny kawał czasu, ale nie chcę wybiegać myślą aż tak daleko. Wolę skoncentrować się na tym, co się dzieje teraz.

Z początku wszystkie moje myśli krążą wokół czekającego mnie jutro zastrzyku - mojego pierwszego zastrzyku chemioterapii. Samego zabiegu wcale się nie boję, ale jak na ten potężny ładunek trucizny zareaguje mój organizm? Czy będę skręcała się z bólu? A może w ogóle nic nie pocuję? Zatem, znowu ruletka...

„Czy będzie mnie bolało?” - pytam cicho. - Profesor patrzy na mnie ze zdziwieniem. - „Ach, młoda dama umie jednak mówić - żartuje, ponieważ do tej pory nigdy nie mieszałam się do jego wykładów. Tak było „bezpieczniej”. - „W normalnych warunkach w ogóle nie boli!” - odpowiada na moje pytanie profesor.

Co to znaczy normalne warunki? Więc jednak ból. Ale też niekoniecznie. No i masz ci babo placek. Teraz jestem tak samo mądra jak uprzednio. Do tego wszystkiego będę jeszcze musiała łykać tabletki. Kiedy profesor Debatin mówi o tabletkach, w jego ustach brzmi to tak, jakby ich

137

łykanie było jakimś szczególnym przywilejem. Skąd może wiedzieć, jak bardzo tego nienawidzę, jak się męczę z przełknięciem nawet maleńkiej tabletki paracetamolu? Nawet do takiej drobiny potrzebuję połowę butelki wody i około trzydziestu minut czasu.

Teraz mam wreszcie mojego „hicky”, w którego można wpuścić dosłownie wszystko i nie muszę się o nic martwić. Skąd więc pomysł z łykaniem tabletek? A może powinnam po prostu powiedzieć mu prawdę?

„No więc, z tabletkami to jest taka sprawa...”. Nie wiem, od czego zacząć, jak wytłumaczyć temu mądrymu człowiekowi, co mnie gnębi. Mama opowiedziała mi jakiś czas temu, że profesor Debatin jest wielką osobistością w świecie medycznym i znakomitym specjalistą w dziedzinie leczenia raka u dzieci. Od tej pory darzę go wielkim respektem. Ale w jaki sposób mam wyjaśnić temu znakomitemu specjalistcie, który na pewno pomógł już całej masie dzieci, że okropnie brzydę się tego gorzkiego, „futrzanego smaku” tabletek. Ale profesor czeka cierpliwie, patrząc na mnie zachęcająco. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak powiedzieć mu całą prawdę i przyznać się do tej swojej „tabletkowej awersji”. Raz kozie śmierć!

„No więc dobrze, powiem już...Gdybym mogła w dalszym ciągu dostawać wszystkie lekarstwa przez swojego „hicky”, to tak bym wołała! Panie doktorze, czy to byłoby możliwe?” - odważyłam się wreszcie wymówić na głos moje życzenie. Czuję, że moja twarz płonie jak pochodnia. Nie mam wprawdzie lusterka, ale wiem na pewno, że tak jest i strasznie się tego wstydzę. Poza tym, uważam, że to naprawdę żenujące zamęczać go moimi idiotycznymi fobiami. Wbijam wzrok w posadzkę i czekam na reprimendę. Ale profesor wcale nie jest na mnie zły. Mam nawet uczu-

138

cie, że ucieszył się z mojego pytania. - Przyciąga jedyne krzesło stojące w naszym pokoju do mojego łóżka i siada na nim. „Niestety, to niemożliwe” - wyjaśnia mi spokojnie. - „W trakcie chemioterapii zaaplikujemy ci między innymi takie lekarstwa, które muszą być wchłaniane przez jelita, żeby mogły powoli rozwinąć swoje działanie. Środek wstrzyknięty bezpośrednio w żyłę bardzo szybko osiąga najwyższy poziom działania, który potem równie szybko się obniża. Ale na tym nie koniec. Dostaniesz również specyfiki, które - podobnie jak te, o których przed chwilą wspominałem - muszą szybciej opuścić twój organizm, żeby nie mogły wyrządzić zbyt wielkiej szkody zdrowym komórkom. Począwszy od trzeciego bloku chemioterapii, otrzymasz mieszanek, która obciąża nerki. W tym przypadku wydalanie niektórych lekarstw z organizmu musimy wspierać dużą ilością płynów”.

Sądzę, że na dzisiaj usłyszałam już dość.

Profesor przygląda mi się z uwagą. Najprawdopodobniej wyglądam dość nieszczęśliwie, ponieważ uśmiecha się do mnie po ojcowsku i próbuje pocieszać: „Spójrz Basiu, dzisiaj czujesz się bardzo źle, jesteś słaba i wymizerowana, ale już za dwa tygodnie poczujesz się znacznie lepiej. I właśnie o to tutaj chodzi. Jestem pewien, że po upływie tego czasu twój

kaszel zniknie bez śladu. Odtąd wszystko będzie szło ku lepszemu, zapewniam cię. Już wkrótce nie będziesz potrzebowała fotela na kółkach. A jeśli wypadną ci włosy, co też może się zdarzyć, to w danym momencie nie będzie to może szczególnie piękne, ale będzie to znak, że chemia działa. A przecież wszyscy chcemy, żeby tak było, prawda moje dziecko?" Potakuję mu ze spuszczoną głową, ponieważ oczy mam pełne łez, a nie chcę, żeby profesor je widział. Profesor

139

Debatin wstaje z krzesła, żegna się z mamą i ze mną i na koniec życzy mi powodzenia. Stojąc już w drzwiach, odwraca się i woła: „Jutro o ósmej rano zaczynamy!". Jutro o ósmej rano zaczynamy, powtarzam w myślach. Czy też to słyszałeś, Elmer? Mam nadzieję, że będziesz przy mnie.

Środa, 10 lipca 2002

Basia

To już dziś! Przede mną mój pierwszy dzień pierwszego bloku chemii! Jestem bardzo podekscytowana - „podminowana", jak powiedziałyby moja babcia. Śniadania nawet nie tknęłam. Nie mogłabym nic przełknąć, dlatego wypiałam tylko kilka łyków ciepłej herbaty. Zrobiłam to z całym rozmysłem, ze względu na środki ostrożności, że tak powiem. Gdy mój żołądek będzie pusty, to siłą rzeczy nie będzie mógł zbyt wiele zwrócić, w przypadku gdyby po chemii zrobiło mi się niedobrze. Wszyscy, mniej i bardziej wtajemniczeni, mówią, że po chemii zawsze robi się niedobrze.

Nie boję się chemioterapii. Motyle w moim brzuchu trzepocą tak niespokojnie tylko dlatego, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak bolesne będzie to „radikalne niszczenie przerzutów". Mycie, wkładanie spodni od dresu i podkoszulka jest dzisiaj bardziej mozolne niż zazwyczaj. Jestem tak zdenerwowana, że ręce mi drżą jak listki osiki, i mama musi się mocno napracować, żeby wyszykować mnie jak należy. Potem, „zwarta i gotowa", leżę w łóżku, próbując jakoś przepędzić czas do ósmej. Ponieważ nie mam lepszego pomysłu, włączam telewizję. Tym razem jednak nawet powtórki moich ulubionych progra-

140

mów nie zdołały przykuć mojej uwagi. Nie mogę się skupić - ach te emocje! - i przez cały czas denerwuję mamę pytaniami o godzinę.

O wpół do ósmej w moim pokoju nagle pojawia się tata. - „Niespodzianka" - woła rażno i cieszy się, widząc moje zdziwienie. - „Nie mogłem zostawić cię samej w tak ważnej chwili, chyba to rozumiesz..." - wyjaśnia mi swoją niespodziewaną wizytę. - „I tak przez cały czas myślałbym tylko o tobie i nie mógłbym skoncentrować się na pracy. Dlatego, zamiast iść do biura, postanowiłem przyjechać tutaj. Zresztą, jak mówią mądrzy ludzie - praca nie zajac, nie ucieknie!".

Oczy mam wilgotne od łez, czuję, że za chwilę się rozplacę - tym razem jednak z radości. W końcu otwierają się drzwi i pojawia się doktor Classen, a za nim siostra Sandra, która niesie czarną skrzyneczkę i strzykawkę. - „Dzień dobry" - doktor uśmiecha się od ucha do ucha, pozdrawiając całe towarzystwo. Potem, patrząc na mnie z powagą, zadaje mi decydujące pytanie: „No, Basiu, czy jesteś gotowa?".

Gwałtowne skinięcie głową z mojej strony. Na wszelki wypadek wołam nic nie mówić, ponieważ boję się, że mój głos może „podejrzenie" zdrzeć lub, co gorsza, w ogóle odmówi mi posłuszeństwa. W życiu nie widziałam tak ogromnej strzykawki, którą doktor Classen właśnie położył na mojej nocnej szafce w jednej z nerkowatych misek. Obok tej monstrualnej strzykawki leży jeszcze jedna, zupełnie maleńka strzykaweczka, ale ja patrzę jak zahipnotyzowana tylko na tego giganta. Trzydzieści centymetrów długości i chyba z dziesięć centymetrów średnicy. Wygląda jak szpryca do dekorowania tortów, którą mama wyciąga z szuflady kredensu tylko raz w roku, na moje urodziny. I ten

141

obrzydliwy kolor płynu, który prześwieca przez przezroczysty korpus strzykawki. Ohyda! Sraczkowaty brąz i, zdaje się, że dość gęsta, zawieszista konsystencja. Brrr!!! Kiedy pomyślę, że to świństwo będzie teraz pompowane do mojego ciała... O Boże, nie chcę! Mam ochotę wrzasnąć na cały głos: zabierzcie to czym prędzej z moich oczu! Ale jest już za późno, za późno żeby się wycofać, przecież sama się zgodziłam... Próbuję nie patrzeć w tamtą stronę, co wcale mi się nie udaje, ponieważ to świństwo w jakiś magiczny sposób przyciąga mój wzrok. Siostra Sandra zawiesza czarną skrzyneczkę na moim stojaku do kroplówek, gdy tymczasem doktor Classen rozkręca mojego „hicky”. Potem wstrzykuje jasnoczerwoną ciecz w mój cewnik. Siostra Sandra przymocowuje tę wielką strzykawkę do uchwytu czarnej skrzyneczki, a następnie wtyka przednią jej końcówkę w wężyk kroplówki.

W pokoju panuje absolutna cisza. Moi rodzice i ja przyglądamy się w nabożnym skupieniu wszystkim tym przygotowaniom.

„A zatem, otwieram kroplówkę, Basiu” - przerywa ciężkie milczenie doktor Classen. Znowu mogę tylko skinąć głową, prawie nie mogę oddychać z wrażenia. Poddaję się swojemu losowi - i doktorowi, mając w głębi duszy nadzieję, że ani jeden, ani drugi nie spletają mi żadnego głupiego figla. Najchętniej uciekłabym stąd, gdzie pieprz rośnie, ale na to jestem, niestety, za słaba. Nie kryjąc obrzydzenia, przyglądam się czerwonawobrazowej cieczy, która wolno, milimetr po milimetrze, przesuwa się przez długi cienki wężyk do otworu mojego „hicky”. Wszystkie mięśnie kurczą mi się jak na komendę, broniąc się przed tą ohydłą glistą. Kochany Elmerze, jeśli nie wytrzymam bólu i zemdleję, wtedy proszę cię z całego serca: zabierz mnie od razu do

142

siebie - zaklinam w duchu mojego anioła, który, jestem tego najzupełniej pewna, siedzi sobie na krawędzi mojego łóżka, na telewizorze albo parapecie.

Jestem tak zdenerwowana, że mam wrażenie, jakbym dostała szczękościsku. Cholera, tego jeszcze brakowało! Przecież zapomniałam zupełnie o dość istotnym szczególe: „Jak długo to potrwa?” - pytam wreszcie, z trudem wydobywając słowa ze skurczonej krtani. - „Trochę więcej niż godzinę, a zatem odpręż się!” - uspokaja mnie doktor Classen, przesyłając mi promienny uśmiech, po czym żegna się z nami i wychodzi z pokoju.

Tymczasem wężyk zrobił się cały brązowy. Jeszcze kilka minut i to lepkie świństwo pod moją skórą dotrze aż do żyły. Potem strumień krwi będzie rozprowadzał ten obrzydliwy sok po całym moim organizmie. Leżę z zamkniętymi oczami i czekam na ból. Ale nic się nie dzieje. Nadal nie otwieram oczu, tak będzie lepiej. W końcu rzucam w napiętą ciszę pokoju krótkie pytanie: „Która godzina?”.

Mama najpierw chrząka, a dopiero potem odpowiada mi dziwnie piskliwym głosem:

„Dwadzieścia po ósmej. Jak się czujesz?”.

Dwadzieścia po ósmej! Jestem pewna, że chemia zaczęła już krążyć po moim ciele. Aleja nadal nic nie czuję. Żadnego bólu, żadnego kłucia. Czyżby, bombardowanie przerzutów było całkowicie bezbolesne? Ja w każdym razie nic nie czuję. Otwieram oczy i uśmiecham się radośnie do moich rodziców. - „Dobrze!” - odpowiadam z ulgą. „To naprawdę w ogóle nie boli!”.

Teraz również mama i tata zaczynają się uśmiechać. Widzę, że też im ulżyło. No, to przynajmniej jedną sprawę mamy załatwioną, myślę z zadowoleniem. Ostrożnie przekręcam głowę i zaczynam obserwować tłok strzykawki,

143

który posuwa się do dołu w ślimaczym tempie, ale to szybko robi się nudne.

„Czy nie będziecie się na mnie gniewać, jeśli włączę telewizor?” - pytam rodziców.

Gawędzimy jeszcze przez chwilę, zgadując, kiedy może zrobić mi się niedobrze, ale oto zaczyna się Doktor Stefan Frank i prawie zapominam, że wisi nade mną strzykawka pełna trucizny.

Po upływie dwudziestu minut strzykawka jest wreszcie pusta i siostra Sandra wymienia ją na okazałych rozmiarów worek wypełniony przezroczystym płynem. „Do wypłukania” - wyjaśnia mi. „Ta chemia działa bardzo szybko i powinna tak samo szybko zniknąć z twojego organizmu”.

Jest południe, a ja wciąż jeszcze czekam na skutki porannej chemioterapii. Ale ku mojemu zaskoczeniu, czuję się zadziwiająco dobrze. Lepiej niż zwykle, ponieważ dzisiaj przez cały dzień jeszcze nie kasłałam ani nie wymiotowałam.

„Tatusiu” - przypodchlebiam się - „Byłam bardzo dzielna, prawda? A teraz mam wielką ochotę na McDonalda. Przecież zasłużyłam na nagrodę?!”.
144

Mam wrażenie, że tata jest bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy. Po pierwsze, może wreszcie coś dla mnie zrobić, a po drugie - w ogóle może coś robić, zamiast siedzieć tutaj bezczynnie. Chyba się nie mylę, bo natychmiast podskakuje do góry i zaczyna szykować się do wyjścia. Mama nie podziela jego entuzjazmu. Szczerze mówiąc, jest raczej zdziwona moją prośbą. „Czy jesteś zupełnie pewna, Basiu?” - pyta mnie z niedowierzaniem, ponieważ w ostatnich dniach nie miałam apetytu. - „Zupełnie pewna. Na sto dwadzieścia procent!” - potwierdzam z uśmiechem. „Dzisiaj jeszcze nie wymiotowałam, a McDonald jest tak samo dobry do jedzenia jak do wymiotowania. Czy dobrze się

wyraziłam?”. - „Jak to - czy to znaczy, że są jakieś różnice? Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli?”. - Mama wydaje się szczerze zainteresowana tą kwestią. - „No jasne, że są różnice. I to jakie!” - potwierdzam ochoczo.

Tata uciekł z pokoju, zanim zdążyłam przystąpić do moich wyjaśnień. Nie mogę się doczekać jego powrotu. Kiedy wreszcie kładzie na mojej kołdrze smakowicie pachnące tutki z emblematem McDonalda, rzucam się na ich zawartość jak dzikus. Tak mawia moja babcia, kiedy ktoś nie umie zachować się przy stole.

Cudowne! Po prostu przepyszne! Niebo w gębie!

Kiedy mój żołądek jest już wypełniony po same brzegi, odchylam się do tyłu, wspieram na mojej poduszce i gładzę z zadowoleniem po brzuchu. Mam świetny humor. I to ma być ta straszna chemia? Wolne żarty. Gawędzę wesoło z moimi rodzicami i co jakiś czas spoglądam na „Arabelle”.

W środku zdania i całkiem bez uprzedzenia - zaczyna się. Strumień niestrawionych mcdonaldowskich pyszności, które przed kwadransem pałaszowałam z takim apetytem, wystrzeliwuje z moich ust jak fontanna i leje się po całej kołdrze. Nikt nie był na to przygotowany, nawet ja, ale ner-kowata miska, która zawsze jest na podorędziu, i tak okazałaby się w tym przypadku za mała...

Wpatrujemy się wszyscy z przerażeniem w ten „podarunek”. Przez moment nikt nie reaguje. Mama pierwsza dochodzi do siebie, dopada do guzika nad moim łóżkiem i dzwoni po siostrę, po czym łapie miskę i podstawia mi ją pod brodę. Niestety, za późno. To się nazywa spóźniony refleks, ot co!

„Mamo, już za późno!” - skrzeczę. „Ale nie martw się. Wszystko jest w najlepszym porządku. Naprawdę nic się nie stało. Czuję się świetnie!”.

145

Rzeczywiście, w ogóle nie czuję nudności. Pochylona nad „zmasakrowaną” bezlitośnie kołdrą, patrzę ponuro na nieapetyczną breję, resztki mojego, właśnie skonsumowanego, obiadu. - „Tato, przepraszam... Naprawdę bardzo mi przykro” - jęczę płaczącym głosem. - „Takie drogie jedzenie i wszystko poszło na marne!”.

Tata odpowiada, że to w ogóle nie ma znaczenia i że w ogóle nie chodzi o to, czy jedzenie było drogie, czy tanie, ale ja, mimo jego zapewnień, jestem niepokieszona. Tyle zmarnowanego dobra; co ja narobiłam najlepszego! Równocześnie dziwię się, że nie jest mi wcale niedobrze. Bardzo dziwna sprawa. Tylko mój żołądek jest, niestety, znowu pusty. I ja

to dokładnie czuję... Nadchodzi z odsieczą siostra. Rzuca przelotne spojrzenie na „podarek”, po czym oddala się w pośpiechu. Gdy po chwili wraca z nową pościelą, pytam tej fachowej kobiety:

„Czy zawsze tak jest po chemioterapii? Nie miałam żadnych nudności, to wszystko podeszło do góry zupełnie bez ostrzeżenia”. - „No, to możesz się cieszyć” - mówi siostra. - „Ale czy zawsze będzie tak komfortowo, tego, niestety, nie mogę ci zagwarantować”.

Z drugiej strony wcale nie uważam, żeby to było aż takie wspaniałe - tak zupełnie bez zapowiedzi. Mimo wszystko, grzechem byłoby narzekać, przecież mogło być jeszcze gorzej. W głębi duszy odczuwam zadowolenie - że nie jest mi niedobrze, że nie mam nudności i że ogólnie czuję się całkiem nieźle. Gdy idę do łazienki, żeby się przebrać i umyć zęby, tylko trochę chwieję się na nogach.

Zaledwie - świeża i pachnąca - położyłam się z powrotem do łóżka, ktoś puka do moich szklanych drzwi.

146

Zazwyczaj robią to tylko odwiedzający, ale ja - o ile dobrze sobie przypominam - na nikogo już dzisiaj nie czekam. Kto to może być?

To clowni kliniki! Oczywiście! Przychodzą w każdą środę, ale w zeszłym tygodniu akurat mnie nie było. W tym czasie składałyśmy z mamą wizytę w klinice otorynolaryngologicznej. U tej okropnej młodej wiedźmy. Zaczyna się całkiem nieźle. Moi goście stoją na progu i spoglądają na siebie z głupimi minami. Potem nagle, jak na komendę, zaczynają się przepychać jeden przez drugiego. Drocą się, poszturczą, wygrażają sobie pięściami, i rzeczywiście, udaje się im tak skutecznie zablokować szerokie jak wrota stodoły drzwi wejściowe, przez które swobodnie przejeżdża każde szpitalne łóżko, że ani rusz nie mogą wejść do mojego pokoju. Zacieram ręce z uciechy, uwielbiam clownów i ich wygłupy!

„Haloooo!” - pozdrawiają mnie ceremonialnie. Męski clown przedstawia się jako profesor doktor Pinkel, po czym wskazuje na towarzyszącą mu „dame”, nazywając ją swoją asystentką. Oboje posługują się jakimś dziwnym dialektem, który brzmi jak pijacki bełkot. Naprawdę są bardzo śmieszni. „Profesor” podchodzi zamaszystym krokiem do mojego łóżka, chwyta za kartkę, na której widnieją zakrętasy mojej gorączki. Próbuje je rozszyfrować, ale najwidoczniej rozumie z tego tyle samo co ja, ponieważ z rozpaczą drapie się w głowę i w końcu macha ręką zniecierpliwiony. Potem osłuchuje mnie ogromnym stetoskopem i oczywiście nic nie słyszy. Wznosi oczy do nieba i robi strapioną minę, ale już za chwilę promienny uśmiech rozjaśnia jego oblicze. Podaje mi stetoskop i gestykułując energicznie, zachęca mnie, żebym go skontrolowała. Ależ ze mnie gapa! Mogłam się domyślić, że

147

szykuje jakąś niespodziankę. Niestety, daję się nabrać i wpadam w pułapkę - strumień wody trafia mnie prosto w twarz. Profesor i jego asystentka turlają się ze śmiechu i fikają koziołki, nie mogąc się nacieszyć swoim figlem. Potem profesor Pinkel nagle poważnieje i zaczyna mnie wypytywać: jak się nazywam, jak długo już tutaj jestem i jak się czuję. Opowiadam mu, że dzisiaj miałam pierwszą chemię. „Ach, rozumiem...” - udaje całkiem ważnego - „wobec tego, mamy dla ciebie, słoneczko, coś bardzo odpowiedniego!”.

Oboje grzebią niezdarnie w wielkiej torbie, którą przytar-gali ze sobą i wreszcie wyciągają z niej okazałych rozmiarów kubek w kolorze jaskrawożółtym. Asystentka potrząsa kubkiem na wszystkie strony, strojąc przy tym ucieszne miny. Kiedy podnoszą przykrywkę, z kubka wylatują setki mydlanych baniek. Cały pokój w jednej chwili wypełnia się ogromnymi, przezroczystymi kulami. W promieniach słońca mieniają się wszystkimi barwami tęczy. Patrząc zafascynowana, nie mogę oderwać oczu od tego widowiska.

„To są banieczki zdrowia” - poucza mnie profesor doktor Pinkel. „A każda taka banieczka, która na ciebie upadnie, sprawi, że będziesz odrobinę zdrowsza”.

Tata wyciąga z teczki aparat fotograficzny i robi nam zdjęcie. W tej samej chwili rozlega się piekielny gwizd, przywodzący na myśl wycie klaksonów samochodowych na głównej ulicy miasta w godzinach szczytu. Natychmiast przybiega siostra. „Profesor” i jego asystentka stoja jak skamieniali, patrząc wokół nic nierozumiejącym wzrokiem. My też rozglądamy się bezradnie, bo też nie wiemy, co się naprawdę stało. Czyżby nowy figiel? - „Aha” - mówi siostra, spoglądając srogo na aparat taty. - „To pan fotografował... W takim razie mamy winowajcę. Przyrząd do wlewu nie znosi światła lampy błyskowej. Na przyszłość proszę o tym pamiętać”. Profe-

148

sor Pinkel i jego asystentka żegnają się, posyłając mi w drzwiach całusa. Szkoda, że muszą już iść. Było tak wesoło.

Około czwartej po południu przychodzi profesor Debatin.

„No i jak się czujesz? Dobrze zniosłaś chemię?” - pyta mnie na wstępie. - „Nie było wcale aż tak źle” - przyznaję. „Czuję się zupełnie dobrze. Za wyjątkiem jednej rzeczy... Mam uczucie, że śmierdzą ze wszystkich porów mojego ciała. Właśnie się umyłam, ale to w ogóle nie pomaga. Czy to normalne?”. - Profesor wyjaśnia, że chemioterapia -oprócz wielu niekwestionowanych korzyści - ma również rozmaite działania uboczne, z których wystąpieniem zawsze należy się liczyć. Jednym z takich efektów ubocznych jest chwilowa zmiana zmysłów smaku i zapachu. To tłumaczy również, dlaczego mama upiera się, że naprawdę, ale to naprawdę nic nie czuje, podczas gdy ja po prostu nie mogę znieść odoru bijącego z mojego ciała. Brzydzę się samej siebie. Ale dopóki jestem jedyną osobą, która czuje ten okropny fetor, mogę to jeszcze znieść. Grunt, że nie muszę za każdym razem oblewać się rumieńcem wstydu, kiedy ktoś podchodzi do mnie zbyt blisko. Inni nic nie czują, powtarzam sobie przez cały czas i to naprawdę pomaga.

Czwartek, 11 lipca 2002

Basia

Przez całą noc kaszlałam i wymiotowałam, jak zwykle. W tej kwestii nic się nie zmieniło. Muszę przyznać, że czuję się trochę zawiedziona. Miałam nadzieję, że moje ataki kaszlu nie będą już tak intensywne jak uprzednio, ponieważ

149

w ciągu dnia kaszlałam mniej niż zazwyczaj. Najrawdopodobniej jednak przyczyna kryje się w moim podekscytowaniu pierwszym seansem chemioterapii.

Moje ataki wymiotów są teraz bardziej podstępne, ponieważ zwykle nadchodzą bez ostrzeżenia. Najgorsze, że teraz wszystko to, co zwracam, ląduje na mnie i na mojej pościeli. Mama i siostry mają ze mną masę roboty. Zwłaszcza że sprzątanie całego tego kramu jest raczej mało wdzięcznym zajęciem. Naprawdę szczerze im współczuję.

O ósmej rano przychodzi siostra Sandra, niosąc na tacy dziewięć (!) tabletek, które muszę połknąć. O nie! Właśnie myślałam, że najgorsze mam już za sobą. Z przerażeniem obserwuję kolorową mieszankę mniejszych i większych tabletek oraz podejrzanie dużych kapsułek. „Jak to? Co to znaczy” - pytam w osłupieniu. Czuję się wystrychnięta na dudka. - „Kiedy mam zażyć to wszystko?”. - „Natychmiast” - słyszę wesołą odpowiedź. Rzeczywiście, bardzo dowcipne! - „Acha, w takim razie proszę nam przynieść najlepiej od razu dwa litry wody!”. Ten mamy „angielski” humor! Ale mnie wcale nie jest do śmiechu. - „Dlaczego potrzebuję aż takiej ilości tabletek? I po co to wszystko!” - próbuję zyskać na czasie. - „Jeden antybiotyk jako ochrona przed infekcjami, paracetamol przeciwko gorączce, kortyzon do wspierania terapii, ponieważ osłabia ogniska zapalne, i natulan to tabletki chemioterapii. Poza tym, masz jeszcze tabletki zmniejszające ilość bakterii w przewodzie pokarmowym, a ściśle mówiąc w żołądku i jelitach, oraz środek przeciwko wymiotom” - deklamuje monotonnym głosem siostra Sandra.

Mówi mi to już nie po raz pierwszy! Jestem zdruzgotana. W niemym przerażeniu wpatruję się w duże i małe pigułki. „Nigdy tego nie dokonam!” - wykrzykuję wreszcie

150

z rozpaczą. „Może ktoś inny, aleja na pewno nie! Czy siostra wie, że ja nie mogę sobie poradzić nawet z jedną raa-ciupeńką tabletką? Żeby ją połknąć, potrzebuję całej wieczności. Przysięgam!”.

„Zacznij od kapsułek natulanu. Dobrze ci radzę!” - proponuje z całym spokojem siostra Sandra i podaje mi ogromną pigułę. - „One tylko tak groźnie wyglądają, ale naprawdę dobrze przechodzą przez gardło. No, śmiało!”.

Niechętnie chwytam palcami tę pigułę, i patrzcie tylko, to naprawdę działa. Potrzebuję wprawdzie całej szklanki wody, żeby ją połknąć, ale gorzki smak, który zwykle pozostaje w ustach, kiedy tabletki przyklei się do języka lub podniebienia, tym razem się nie pojawia. Czary czy co?

„No widzisz” - mówi siostra Sandra z zadowoleniem i wychodzi z pokoju, pozostawiając mnie „sam na sam” z ośmioma małymi i dużymi tabletkami oraz kapsułkami, które jeszcze mi zostały. Kiedy udaje mi się wreszcie połknąć wszystkie po kolei, moje wnętrzności chlupoczą i bulgoczą przy każdym ruchu, ponieważ podczas całej tej operacji wlałam w siebie hektolitry wody. Teraz wiem przynajmniej jedno: zdecydowanie bardziej wolę łykać kapsułki od tabletek. Te ostatnie mają bowiem zazwyczaj szorstką, lekko chropowatą powłokę, która sprawia, że z dużą łatwością przywierają do języka, podniebienia lub do przełyku. A wtedy zawsze się dławię.

Mama przez cały czas przygląda się z uwagą temu teatrowi, marszcząc przy tym czoło, jakby się nad czymś zastanawiała. A potem wpada na wspaniały pomysł. - „Wiesz, co mi przyszło do głowy? Posłuchaj tylko, to prawdziwa bomba! Gdyby tak można było specjalnie dla ciebie wkładać tabletki w kapsułki - żebyś już nie musiała męczyć się z łykaniem „gołych” tabletek - to byłoby już coś! Nie uważasz?”.

151

Powiedziała to tylko ot tak, ale widząc moje pełne nadziei spojrzenie, snuje dalej swój wątek. „Muszę się dowiedzieć, czy w aptece można kupić również puste osłonki. To znaczy puste kapsułki. Jeśli tak, wówczas będę rozdrabniała twoje tabletki i napełniała nimi kapsułki. Co ty na to?!”.

Dzwoni po siostrę i pyta, czy taka „operacja” byłaby możliwa. Dowiadujemy się, że na puste osłonki potrzebna jest recepta. Jeśli się ją ma, wtedy rzeczywiście można je kupić w każdej aptece. To najlepsza wiadomość tego dnia!

„Kiedy przyjdzie tata, a ma tutaj zajrzeć po południu, natychmiast poślę go do apteki” - postanawia mama. „A teraz leż grzecznie i czekaj na mnie. Lecę załatwić receptę!”.

O dwunastej w południe siostra Sandra przynosi następną porcję tabletek. „Co, znowu to samo? Ile razy w ciągu dnia muszę brać tę końską dawkę?” - pytam z niedowierzaniem. - „O ósmej rano, o dwunastej, o czwartej i o ósmej wieczorem” - terkocze jak katarzynka. „I nie zapominaj: zawsze musisz trzymać się co do minuty wyznaczonego czasu. To bardzo ważne. Tutaj w klinice zawsze o tym pamiętamy, ale kiedy będziesz mogła iść do domu, wtedy musisz sama uważać, żeby nie przegapić godziny” - poucza siostra.

Cztery razy po dziewięć tabletek. To daje w sumie trzydzieści sześć sztuk na dzień! Fatalna sprawa. Za jakie grzechy muszę tak cierpieć? Nagle w mojej głowie pojawia się nowa, straszna myśl: „A jeśli zaraz zwymiotuję.... i wszystkie tabletki szlag trafi? To co wtedy?”. - „Wtedy przyjrzymy się dokładnie, które tabletki zwymiotowałaś i potem dostaniesz je jeszcze raz” - odpowiada siostra bez mrugnienia okiem. Nielitościwa kobieta!

Z ciężkim westchnieniem poddaję się okrutnemu losowi i sięgam po wielką butlę wody stojącą na szafce nocnej. Kiedy około trzeciej wraca z apteki tata, niosąc woreczek

152

pustych osłonek, nie posiadają się z radości. Cieszę się jak dziecko, które wreszcie doczekało się upragnionego prezentu urodzinowego. O czwartej po południu mama wyrusza do kuchni z trzecią porcją leków na ten dzień, żeby je rozdrobnić i napełnić nimi puste osłonki, podczas gdy ja dzielnie atakuję wielkie kapsułki przynależne do chemioterapii. Pomimo ogromnych łyków wody, te „potwory” pływają wprawdzie całe wieki w moich ustach, broniąc się przed wypluciem, ale przynajmniej nie powodują odruchu wymiotnego i w końcu przesuwają się w dół.

Na uporanie się z pozostałymi kapsułkami, które mama napełniła dla mnie sproszkowanymi tabletkami, potrzebuję jeszcze tylko pół godziny. Nie da się ukryć, że nie jest to szczególnie przyjemne zajęcie, ale życzenie, żeby znów być zdrową, jest silniejsze niż moja awersja do łykania leków.

Wtorek, 16 lipca 2002

Basia

Dzisiaj mamy siódmy dzień pierwszego bloku chemioterapii. Dzień zastrzyków! Albo, jak mówią lekarze: chemioterapia dożylna. Na szczęście, dostanę tylko „vincristin”, ja-snoczerwony specyfik w małej kaniuli, którą ostatnim razem błędnie sklasyfikowałam - zapewne z powodu jej „mikrych” rozmiarów. Skąd mogłam wiedzieć, że to maleństwo jest strzykawką stosowaną właśnie w chemioterapii dożylniej? Wygląda tak niewinnie...

Z samego rana, punkt ósma, doktor Stahnke aplikuje mi „vincristin” przez „hicky”. W ciągu dosłownie kilku sekund jest po wszystkim.

153

Mara

Dni biegną, jak z bicza strzelił. Znalazłyśmy swój rytm. Cztery razy w ciągu dnia, podczas łykania kapsułek, służę Basi za „trenera mentalnego” i poganiacza.

Ze względu na swoje ataki wymiotów, Basia w dalszym ciągu potrzebuje około sześciu misek na dzień i trzech na noc. Te miski w kształcie nerki wykonane z papy są właściwie o wiele za małe dla ilości, które moja dziewczynka za każdym razem z siebie wyrzuca. Dlatego po każdym wymiotach musimy zmieniać jej pościel i ubranie. To znaczy -jakieś dziesięć razy na dobę. Imponujący rezultat, bez dwóch zdań.

Cierpię na chroniczny niedobór snu i dlatego często ucinam sobie drzemkę w ciągu dnia na moim leżaku. Teraz wiem już na pewno, dlaczego pozbawienie kogoś snu jest tak skutecznym narzędziem tortur.

Pomimo wszystko: wewnętrzny spokój, który odczułam po raz pierwszy podczas operacji Basi, pozostał. Nikt i nic nie może mi go zabrać, nikt i nic nie wyprowadzi mnie z równowagi, to pewne. Moja cierpliwość, wszystko jedno, czy to przy napełnianiu kapsułek drobnitko posiekanymi tabletkami, czy też przy niekończącym się zmienianiu ubrania i pościeli, jest po prostu bezgraniczna. Nie mogę pojąć, jak to się dzieje, ale tak właśnie jest. Nie mam żadnych mniej lub bardziej ważnych terminów i żadnych zobowiązań. Nikt mnie nie pogania, nie obliguje do jakichś tam szalenie ważnych spraw. Nie ma powodu, żeby się spieszyć, pędzić, gonić do upadłego. To tak dobrze robi - być tylko dla mojej córki. I mieć dla niej cały czas tego świata. I kto tu mówi o wyrzeczeniach i poświęceniu. Przecież to takie naturalne!

154

Basia stała się wielką fanką telewizji. Również ten fakt przyjmuję ze stoickim spokojem. Chce, to niech sobie patrzy w ten szklany ekran. Wcale mi to nie przeszkadza. Na rozmowy zawsze mamy jeszcze dość czasu. Dzisiaj na przykład, opowiada mi wreszcie, dlaczego do tej pory nie nawiązała żadnych kontaktów z innymi dziećmi na oddziale.

„Wiem, że tutaj mi pomagają. I wierzę, że kiedyś będę zdrowa. Boję się, że cierpienie innych dzieci pociągnie mnie do dołu. Że mnie przygnębi i odbierze nadzieję. A ja tego nie chcę. Właśnie dlatego unikam z nimi kontaktu. Muszę mieć dystans” - zwierza mi się cichym

głosem. Kiedy kiwam głową w zadumie, pyta mnie niepewnie: „Czy to źle, mamó?”. Mówię jej, że wcale nie, że w gruncie rzeczy bardzo się cieszę, ponieważ to oznacza, że jej mechanizm samoobrony funkcjonuje jak należy. I dodaję, że uważam to za absolutnie, ale to naprawdę absolutnie w porządku. Basia przyjmuje z ulgą moje słowa. Widzę to wyraźnie po jej minie.

Basia

Podczas obchodu lekarz naczelny doktor Classen informuje nas, że jutro pojedziemy taksówką do kliniki przy Elsenberg na jeszcze jedno, bardzo ważne badanie. Słucham go z zaciekawieniem. Kiedy milknie, nie mogę powstrzymać się od zadania mu pytania, które od dawna nie daje mi spokoju: „Dlaczego właściwie zawsze jesteśmy wysyłane do innych klinik, przecież wasza klinika jest taka ogromna?”.

Doktor Classen wyjaśnia mi, że Ulm jest otoczone trzema wzgórzami i na każdym z tych wzgórz stoi część ogromnej kliniki uniwersyteckiej, A ponieważ wszystkie te części stanowią jedną całość, jeden wielki szpital, to drogą

155

aparaturę badawczą kupuje się tylko raz. Teraz już wiem, dlaczego na niektóre badania muszę jeździć do innej części kliniki uniwersyteckiej.

„PET (pozycyjno-emisyjna tomografia komputerowa), nazywana również metodą kontrastową, jest niezwykle ważnym badaniem” - doktor Classen stara się przybliżyć mi tę supernowoczesną metodę diagnostyczną, starannie dobierając słowa. „Dzięki niej możemy wykryć każdy kolejny przerzut, szczególnie trudny do wykrycia innymi metodami. Podczas tego badania otrzymasz radioaktywną substancję, która zafarbuje na inny kolor twoje komórki rakowe, dzięki czemu staną się one widoczne na zdjęciach rentgenowskich”.

Spoglądam na mamę, mrugam do niej porozumiewawczo i mówię zarozumiałym tonem: „Z tym też sobie poradzimy, prawda mamó?”.

„Zuch dziewczyna!” - chwali mnie doktor Classen, po czym żegna się i wychodzi z pokoju na czele swojej świty.

Środa, 17 lipca 2002

Basia

Cóż za nieprawdopodobnie gorący dzień. A może po prostu odzwyczaiłam się od letnich upałów... Z mojego okna widzę wprawdzie, że świeci słońce, że na niebie nie ma ani jednej chmurki, ale temperatura w moim pokoju jest przez cały czas tak samo przyjemna.

Kiedy miły, młody lekarz wita nas w klinice przy Elsen-berg, i oznajmia na wstępie, że środek kontrastowy musi być wstrzyknięty w żyłę przebiegającą w okolicach stawu łokciowego, nie mdleję już tak jak kiedyś. Coś się jednak

156

zmieniło... całe szczęście, że doktor Classen nie powiedział mi o tym wczoraj, bo znów nie spałabym całą noc.

Próbuję robić dobre wrażenie, rozglądam się po gabinecie z nonszalancją, której mógłby mi pozazdrościć ten i ów bohater westernu, i tylko ukradkiem szukam ręki mamy. Kiedy lekarz wstrzykuje mi kontrast, ściskam ją tak mocno, że biedna mama krzywi się z bólu jeszcze bardziej niż ja. A to dopiero heca! Wybucham głośnym śmiechem. Mama patrzy na mnie zdumiona. - „Co, naprawdę cię nie boli?” -pyta z niedowierzaniem. „Nic a nic?”. - „Pewnie, że boli. A na dodatek piecze jak sto diabłów, ale tak śmiesznie wyglądałaś przed chwilą. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Chyba się na mnie nie gniewasz?”.

Potem musimy czekać, aż środek cieniujący, czyli kontrast rozejdzie się po całym moim ciele, docierając w nawet w najbardziej odległe zakamarki. Trwa to całą wieczność, ale nasza cierpliwość zostaje w końcu wynagrodzona. Zostajemy zwolnione i skierowane do pomieszczenia, w którym stoi tomograf. Czuję, jak przenika mnie lodowate zimno. Swoją drogą, po upale panującym na dworze tert arktyczny chłodek jest bardzo przyjemny.

Muszę się położyć z podniesionymi do góry rękami w czymś w rodzaju wielkiej otwieranej rury, która przypomina łóżko w solarium. „Teraz nic nie mów i nie ruszaj się, dopóki nie przyjdę” - upomina mnie siostra, która odebrała nas z poczekalni. „Ten aparat będzie cię sprawdzał centymetr po centymetrze - od góry do dołu”.

No to kapitalnie, leżę w tej rurze jak rozdeptana żaba i zastanawiam się, co dalej. Początkowo nawet mnie to bawi. Nasłuchuję terkotania aparatu zdjęciowego przesuwającego się powoli nade mną, od głowy w kierunku stóp, i wyobrażam sobie, że to jakiś tajemniczy przybysz z kosmosu.

157

Cała ta zabawa dość szybko przestaje być jednak taka kapitalna. Panujące wewnątrz tomografu zimno już po pięciu minutach staje się po prostu nie do zniesienia. Moje ciało pokrywa się z wolna gęsią skórką. Zaczynam drżeć, a co gorsza, czuję, że mdleją mi ręce. Mama jest wprawdzie tuż obok, ale nie mogę dać jej znaku, jak okropnie marznę, ani też jak nieprzyjemna stała się moja pozycja leżąca. Siostra powiedziała przecież, że nie mogę mówić. Więc leżę - i nic nie mówię.

Czuję narastającą we mnie panikę. Chcę stąd wyjść! -krzyczę bezgłośnie całą swoją osobą. Ale nie mam odwagi otworzyć ust i powiedzieć tego na głos. Jeśli to zrobię, wówczas najprawdopodobniej trzeba będzie zacząć wszystko od początku. Myśl o kolejnym zastrzyku mobilizuje mnie do zachowania spokoju i każe mi wytrwać do samego końca z zaciśniętymi zębami. Z bezsilnej wściekłości i kompletnego niezrozumienia moich bezdźwięcznych sygnałów alarmowych, łzy napływają mi do oczu. Płyną z kącików oczu po policzkach i wpadają mi do uszu. Dlaczego mama nie widzi, że potrzebuję pilnie jej pomocy? Przecież musi czuć, że tutaj jest tak strasznie zimno.

Dopiero po długich jak cała wieczność dwudziestu męczeńskich minutach zostaję uwolniona z tego arktycznego piekła. Jestem zmarznięta na kość i dokładnie tak samo sztywna. Mama musi mi pomagać przy opuszczaniu rąk i przy siadaniu.

Mama

Skazana na nicnierobienie, siedzę w tej „lodówce” i wyobrażam sobie, jak musi się teraz czuć Basia. Nie mam jednak odwagi zapytać ją o to. Tak będzie lepiej. To badanie

158

jest szalenie ważne, a poza tym boję się, że moja zdesperowana i zmarznięta córka mogłaby odmówić jego powtórzenia, jeśli teraz przerwiemy.

Dlatego razem z nią znoszę pokornie to paraliżujące zimno, mając w głębi duszy nadzieję, że jakoś to przetrzyma, że wytrwa do końca. Gdyby nie skostniałe dłonie, pewnie trzymałabym za nią kciuki.

„Jestem z ciebie bardzo dumna” - szepczę jej do ucha, kiedy wreszcie wchodzi lekarz i uwalnia Basię.

Wynik tych, dość niezwykłych jak na porę roku, tortur otrzymujemy w wielkiej, brązowej kopercie. Niestety, koperta jest zaklejona, tak więc - chcąc, nie chcąc - muszę powściągnąć moją ciekawość.

Upał, na który wcześniej narzekaliśmy, odczuwamy teraz jako prawdziwe dobrodziejstwo. Po pobycie w tej „lodówce”, dotyk promieni słonecznych na przemarzniętej skórze jest doprawdy boski.

„Przerzuty w prawym udzie” - informuje nas profesor Debatin po południu.

Moja córka i ja jesteśmy zahartowane w bojach i właściwie - jakkolwiek nieprawdopodobnie by to brzmiało - nic nie może nas już wzruszyć, ale oczywiście chcemy wiedzieć, co to oznacza. - „To nie pogarsza bynajmniej twoich rokowań. Nawet w najmniejszym stopniu. Innymi słowy, twoje szanse na całkowite wyleczenie są nadal bardzo dobre” - zwraca się profesor do Basi. - „Ta informacja jest dla nas bardzo cenna. Dzięki niej będziemy mogli odpowiednio dopasować chemioterapię”.

159

Sobota, 20 lipca 2002

Basia

Jest druga w nocy, a ja znowu zwymiotowałam. Kiedy zaspana ześlizguję się z łóżka, żeby mama i siostra dyżurna mogły powlec na nowo kołdrę, moja prawa noga niespodziewanie się ugina.

W mgnieniu oka otrząsam się z resztek snu. Co to może znaczyć? „Mamo!” - krzyczę histerycznie. „Nie czuję mojej nogi. Tej z przerzutami. Jestem sparaliżowana! Nie mogę chodzić!”.

Wpadam w straszną panikę! Mama i siostra, widząc co się święci, przenoszą mnie wspólnymi siłami na przyprowadzony czym prędzej fotel na kółkach. Jestem w takim szoku, że mogę tylko bełkotać bez sensu, co wcale nie ułatwia sprawy. Mama nie rozumie ani słowa. Patrzy na mnie, wytrzeszczając oczy. Biorę się więc w garść i łkając, krzyczę rozdierająco:

„Dopiero co zaczęłam znów chodzić, a teraz takie coś! Nie chcę być sparaliżowana! Nie chcę jeździć na wózku inwalidzkim!”. Przez cały czas bębnię pięścią w udo, ale nic nie czuję.

Noga jest drętwa jak kłoda. O Boże, czy ten koszmar nigdy się nie skończy!?

„Basiu, uspokój się, bardzo cię proszę, i posłuchaj mnie!” - wtrąca się siostra dyżurna.

Zupełnie o niej zapomniałam i teraz patrzę na nią w osłupieniu jak na zjawę nie z tego świata.

- „Nie bój się, nie jesteś sparaliżowana. Takie rzeczy czasami się zdarzają. To nic groźnego, naprawdę. Twój rzekomy paraliż to uboczne działanie zastrzyku „vincristin”, który wczoraj dostałaś!”.

Nie wierzę w ani jedno jej słowo. Ta kobieta chce mnie tylko pocieszyć. „Taka maleńka rzecz?” - łkam z niedowie-

160

rzaniem. - „Ta maleńka rzecz, jak mówisz, to wysoko skoncentrowana chemia, która znana jest z tego, że wywołuje chwilowe uczucie paraliżu w nogach”. Celowo podkreśla słowo „chwilowe”, jakbym była głucha. - „Czy pani jest tego zupełnie pewna?”.

„Oczywiście, ale jeśli chcesz, zaraz przyprowadzę tutaj lekarza, który obejrzy twoją nogę” - proponuje siostra.

To już coś. Kiwam smętnie głową. „Tak, poproszę”.

Siostra pomaga jeszcze mamie położyć mnie z powrotem do łóżka i wychodzi szybkim krokiem z pokoju. Zdenerwowana i wcale niepocieszona, wypłakuję cały swój żal. Mama trzyma mnie w ramionach i przemawia łagodnym głosem, pragnąc mnie uspokoić. Ale wszystko na nic. Tym razem nawet ona nie może mnie pocieszyć. Nie mogę przestać płakać. Wszystkie te napięcia, to wieczne branie się w garść i bycie za wszelką cenę dzielną i silną w ciągu ostatnich dwóch tygodni, teraz nieoczekiwanie się załamuje. Czuję, że coś we mnie pękło, że dochodzę do granic swojej psychicznej „wyporności”. Więcej nie zniosę! To naprawdę za dużo dla jednej małej Basi. Nie chcę być silna i dzielna, nie chcę przez cały czas brać się w garść. Jestem taka nieszczęśliwa, tak bardzo pokrzywdzona przez los. Nie dbam o to, co o mnie pomyśla. Zanoszę się głośnym szlochem i pławię we współczuciu dla samej siebie.

„No panienko, co się tutaj dzieje?” - doktor mówi podniesionym głosem, chcąc zwrócić na siebie uwagę, ponieważ obie jesteśmy tak zajęte sobą, że zapomniałyśmy o całym bożym świecie. Nawet nie zauważyłam, kiedy wszedł do pokoju.

Podnoszę głowę z wilgotnego od moich łez ramienia mamy i w tym samym momencie parskam śmiechem. Widok, jaki prezentuje doktor Classen, jest doprawdy bardzo pocieszny.

161

Siostra dyżurna musiała go wyrwać z głębokiego snu, zanim go tutaj przyprowadziła. Jego jasne loki sterczą w wielkim nieładzie na wszystkie strony świata, okulary siedzą krzywo na nosie, a jego duże, błękitne oczy, teraz zaspane i prosto „od poduszki”, wyglądają jak dwie

szparki. Najśmieszniejsze jednak jest to, że najwidoczniej w wielkim pośpiechu nałożył swój kitel na lewą stronę. Szacowny pan doktor wygląda naprawdę przekomicznie. Jak „szaleniec z siódmego laboratorium”. Albo profesor doktor Pin-kel... Taka terapia - to rozumiem. Wcale tego nie zamierzając, niemal w sekundę udało mu się dokonać tego, czego mama nie zdołała w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Moje łyzy zostały pokonane.

Ale nie tak szybko, moi kochani, przecież nadal nie wiem, co jest grane. Obrażona na cały świat wskazując wymownym gestem na moją drętwą nogę, robiąc przy tym „odpowiednią” minę.

„Siostra już mi wszystko opowiedziała” - mówi doktor, lekceważąc moje gesty i miny, po czym podchodzi do mojego łóżka i odrzuca kołdrę. Zgina i rozprostowuje moją nogę, opukuje ją kilkakrotnie, a potem pyta, czy coś czuję, a jeśli tak, to gdzie. - „Całkiem jednoznaczne działanie vin-cristinu” - potwierdza przypuszczenie siostry poważnym głosem. - „Ale to przecież noga z przerzutami” - oponuję. - „Tym lepiej!” - śmieje się doktor. - „To znaczy, że zabójcy raka dobrze się spisują. Chemia zaczyna działać! Dziewczyno, zamiast płakać, powinnaś się cieszyć!”.

Powoli zaczyna mi świtać. - „A jak długo ta noga będzie jeszcze sparaliżowana?”.

Doktor Classen wzdycha z udawaną rozpaczą. „Moja droga, zrozum wreszcie - nie jesteś sparaliżowana, to tylko chwilowe uczucie porażenia. Jutro z pewnością będzie już

162

lepiej, brak czucia w nodze zacznie powoli ustępować, a za dwa, trzy dni będziesz biegać jak fryga! W najgorszym razie za tydzień. No Basiu, uszy do góry!”.

Oddycham z ulgą. Z tym da się jakoś żyć. Doktor powiedział, że zabójcy komórek rakowych spisują się na medal. Chemia działa! Jeśli takie właśnie jest przesłanie mojej drętwej nogi, to niech już jej będzie - na jakiś czas mogę zrezygnować z jej usług.

Wyczerpana całym tym niepotrzebnym, jak się okazało, zamieszaniem, opadam z powrotem na poduszkę. Podniecenie powoli mija, jestem spokojna i zadowolona. Mama całuje mnie w czoło, a ja natychmiast zasypiam.

Środa, 24 lipca 2002

Basia

Dzisiaj piętnasty i ostatni dzień mojego pierwszego bloku chemii. Jutro zostanę zwolniona z kliniki. Mogę jechać do domu!

Wszystko idzie zgodnie z planem. Czyli - znów mały, „słodki” vincristin i wielka strzykawka, dokładnie tak samo jak pierwszego dnia. Niechętnie poddaję się „wyższej konieczności” - w końcu czego nie robi się dla zdrowia - próbując ignorować wielką strzykawkę, której nienawidzę z całego serca. Od samego tylko spojrzenia na tę obrzydliwą, czerwonobrazową ciecz robi mi się niedobrze. Pomimo całej niechęci muszę przyznać tym głupim strzykawkom, że znają się na rzeczy. Doktor nie kłamał.

Mój kaszel znikł jak zły duch potraktowany kropidłem. Po dwóch tygodniach chemii. Nie do wiary, ale to najświęt-

163

sza prawda! Również mój ogólny stan fizyczny znacznie się poprawił. Wprawdzie jeszcze nie odważyłabym się na dłuższy spacer, ale już nie potrzebuję fotela na kółkach, żeby dotrzeć z punktu A do B. Czyż to nie piękne? I dlatego jutro mogę naprawdę iść do domu. Niemal nie mogę w to uwierzyć! Muszę wyraźnie uzmysłwić sobie wszystkie te postępy, zakodować je w swojej łepety, żebym nie uciekała ze wstrętem od tej śmierdzącej rzeczy. Kiedy tylko pomyślę o tym przeklętym smrodzie, który będę znów rozsiewać, robi mi się niedobrze. Z mojego fatalnego stanu ogólnego sprzed dwóch tygodni zostało mi tylko wieczne płucie. Przedtem były za nie odpowiedzialne skurcze gardła wywoływane atakami kaszlu. Teraz to jest chemia.

Czasami pojawiają się nudności, które są zwiastunami zbliżających się wymiotów. W takich przypadkach mdłości nasilają się powoli, aż do kulminacyjnego momentu, w którym wreszcie mogę zwymiotować. A przedtem, odpowiednio przygotować... Nie zawsze jednak mam to „szczęście”. Od czasu do czasu zdarzają mi się również, niestety, wymioty nadchodzące bez ostrzeżenia, niczym podstępna lawina. Takie niespodzianki bywają niekiedy dość przykre, jak na przykład podczas ostatniego pobrania krwi, kiedy to młody lekarz asystujący oberwał cały „ładunek”, ponieważ właśnie pochylał się nade mną, żeby ukłuć mnie w palec. Boże, jak okropnie się wtedy wstydziłam. Było to dla mnie strasznie żenujące, równocześnie jednak nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, ponieważ widok był naprawdę komiczny - biedak stał jak zaczarowany, nie mogąc ruszyć się z miejsca, na jego twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie, a tymczasem cuchnąca breja wolno spływała po jego kitlu na podłogę.

164

Od tej pory nigdzie się nie ruszamy bez nerkowatej miski.

Mama nazywa mnie tymczasem swoim „ekspertem od rzygania”, ponieważ wiem dokładnie, co mogę jeść, a czego nie, wiem jakie potrawy podchodzą mi do gardła lekko i bez komplikacji, a jakich muszę bezwzględnie unikać, ponieważ albo okropnie smakują - w postaci rzygów, oczywiście! - albo blokują się w żołądku i trzeba się nieźle namęczyć, żeby je zwrócić.

Basi ranking wymiotów:

Te potrawy są w porządku:

1. Zupy wszelkiego rodzaju, ponieważ podchodzą do góry strumieniem i wcale nie boją!
2. Kluski i sosy, ponieważ są nieskomplikowane (patrz wyżej), a poza tym, jest to w miarę krótka i bezbole-sna procedura!
3. Banany, ponieważ wcześniej się zapowiadają, dzięki czemu można szybko podstawić naczynie. Poza tym, patrz punkt 1.

Te dania są potworne:

1. Żelkowe misie, ponieważ przeważnie utykają w gardle.
2. Frytki i kurczak, ponieważ trwa to całą wieczność, zanim się skończy, a poza tym od okropnego smrodu człowiekowi robi mi się jeszcze bardziej niedobrze!
3. Wszelkiego rodzaju owoce (oprócz bananów), ponieważ palą w gardle jak diabli i cholernie boją!

165

Później, podczas obchodu zasypują nas istnym gradem reguł postępowania, których bezwarunkowo musimy się trzymać, kiedy już będziemy w domu. Ponieważ, za sprawą chemii, moje siły odpornościowe zostały w znacznym stopniu osłabione, musimy kategorycznie unikać większych i mniejszych skupisk ludzi. A to oznacza, że powinniśmy wystrzegać się jak ognia jazdy środkami komunikacji miejskiej, kina, teatru, domów towarowych (!!!), aż do każdego rodzaju wielkich imprez. Wszystko to jest surowo zabronione. Czyli po prostu wszystko!

Ta perspektywa wcale mi się nie podoba. Czuję się niemal jak trędowata. - „To znaczy, że przez cały czas muszę siedzieć w domu jak w więzieniu” - mruczę pod nosem.

Doktor Stahnke ignoruje moje pomruki i ciągnie dalej: „Żadnych wizyt przyjaciółek, krewnych lub znajomych z przeziębieniem, katarem lub innymi, choćby najbardziej niewinnymi chorobami. Dla ciebie te choroby wcale nie są nieszkodliwe, przeciwnie. Kolejna sprawa: Unikać małych dzieci, ponieważ nigdy nie wiadomo, co się w nich właśnie wylęga. Przy każdej, nawet pozornie nic nieznaczącej, infekcji natychmiast przyjechać do kliniki. Przy najmniejszych zmianach, obojętnie czy to podwyższona gorączka, krwawienie z nosa, wysypka lub bóle: zadzwonić albo jechać na ostry dyżur do kliniki, wszystko jedno czy w nocy, czy w dzień!”.

Dobitność, z jaką wbija nam do głowy wszystkie te reguły, jest zatrważająca. Nic z tego nie rozumiem. Przecież czuję się o wiele lepiej. Muszę jak najszybciej wyjaśnić tę kwestię, nawet jeśli wcale mu się to nie spodoba. Biorę się na odwagę i mówię głośno o moich wątpliwościach. Doktor Stahnke robi się jeszcze bardziej poważny, patrzy na mnie przenikliwie, a potem mówi: „Przyszłaś do nas w bar-

166

dzo złym stanie, Basiu, przypomnij sobie... Ale dzięki wielu infuzjom i chemioterapii twój ogólny stan znacznie się polepszył. Właśnie dlatego możesz teraz iść do domu. W dalszym ciągu jednak jesteś ciężko chora. Nie zapominaj o tym. Rak to twardy przeciwnik, nie pokonasz go tak szybko. Masz jeszcze przed sobą mniej więcej pół roku chemioterapii i naświetlań. Z każdym blokiem chemii przerzuty w twoim ciele będą się zmniejszać, i bardzo dobrze! -ale za to twój układ immunologiczny będzie stopniowo coraz słabszy. Coś za coś. Mogą wystąpić też wszelkie możliwe działania uboczne i nawet małe przeziębienie może mieć w twoim przypadku bardzo poważne konsekwencje. W najgorszym razie może się przekształcić w zapalenie płuc ze śmiertelnym skutkiem. Bakterie, które za pośrednictwem zakazanych przez nas środków żywnościowych, przenikają do twojego przewodu pokarmowego albo dostają się do krwi poprzez błonę śluzową ust, również mogą być dla ciebie bardzo niebezpieczne - w przeciwieństwie do zdrowych ludzi, którym te bakterie nie mogą zaszkodzić. Dlatego bardzo cię proszę, nie ignoruj wszystkich tych zaleceń. Nie wpadaj w samozachwyty tylko dlatego że najgorsze skutki twojego stadium choroby uległy złagodzeniu. Dobrze ci radzę, Basiu - nie szarżuj! Przed tobą jeszcze długa droga. Dlatego jeszcze raz powtarzam: musisz z żelazną konsekwencją trzymać się naszych reguł. Jeśli naprawdę zależy ci na zdrowiu, w co zresztą nie wątpię".

Gdy skończył, w pokoju zapadła speszona cisza. To było wyraźne. Patrzę niepewnie na mamę. Kiwa mi głową na pocieszenie, jej oczy mówią: tak trzeba córko, tak trzeba. Tymczasem doktor Stahnke wyjmuje z pliku swoich dokumentów listę i kładzie ją na nocnej szafce. Potem zwraca się do mamy: „A więc, szanowna pani, na tej liście zostały

167

wyszczególnione wszystkie rodzaje żywności, których Basia musi kategorycznie unikać. Z tego względu, ustalając menu na cały tydzień i przygotowując codzienne posiłki, należy zawsze zwracać uwagę na to i owo...".

Podobno ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale w tej chwili wcale mnie to nie obchodzi. Chwytam listę i zaczynam czytać: „Zredukowane ze względu na zarazki chorobotwórcze pożywienie dla pacjentów poddanych chemioterapii". „To i owo" -jak to ładnie ujął doktor Stahnke, zawiera trzy strony formatu A4, podzielone na dwie kolumny, nad każdą z nich widnieje tytuł „przydatne" i „unikać". Przelatuję oczami wszystkie strony po kolei. Żadnego surowego mięsa, żadnych surowych warzyw, żadnych surówek. Gotowana ryba - tak, skorupiaki - nie. Przemysłowo produkowane torty lodowe mogę jeść, ale lodów z budki nie. Jakie to podłe, przecież ja tak bardzo kocham włoskie lody!

Ale prawdziwy cios przychodzi dopiero na koniec: żadnego masła orzechowego, żadnego kremu orzechowego, żadnej czekolady z orzechami. Słowem - żadnych orzechów!

„Co takiego, nie mogę jeść nutelli?" - z moich ust wyrывa się okrzyk przerażenia i w ten sposób przerywam rozmowę mamy z doktorem Stahnke, który, słysząc desperację w moim głosie, potrząsa z żalem głową. - „Niestety, moja droga, w najbliższym czasie będziesz musiała z niej zrezygnować" - mówi doktor kategorycznym tonem.

Natychmiast protestuję: „No nie, czego jak czego, ale tego po prostu nie zniosę! Kocham nutellę i przysięgam, że tutaj brakowało mi jej najbardziej ze wszystkiego. Marzyłam o tym, że kiedy wrócę do domu, natychmiast rzucę się na te pyszności i wepchnę w siebie cały słoik!". Patrzę na niego błagalnie, łudząc się, że doktor zmięknie, że zrobi dla mnie wyjątek, kiedy się dowie, jak bardzo jestem spragniona nutelli.

Nic z tego, żegnaj mój słodki, orzechowy śnie. Doktor Stahnke jest niewzruszony. Prawdziwa skała. I ma powody, jak się okazuje: „Warstwa pleśni na orzechach często jest niewidoczna ani nie czuć jej w smaku. Dla ciebie ów nalot stanowi jednak wielkie zagrożenie, a mówiąc wprost, może być nawet niebezpieczny dla twojego życia. Dlatego zakazujemy naszym pacjentom spożywania orzechów oraz wszelkich produktów z dodatkiem orzechów. W tym również twojej ukochanej nutelli!” - wyjaśnia mi spokojnie, ale stanowczo. No cóż, jeśli on tak wyraźnie to mówi, to będę musiała się tego trzymać. Dlatego - zero orzechów. Czy mi się to podoba, czy nie.

Czwartek, 25 lipca 2002

Basia

W domu wszystko wydaje mi się nowe i jakieś niezwykle. A przecież nic się tutaj nie zmieniło. Chociaż byliśmy w klinice bite trzy tygodnie, wszystko jest czyste, świeże i pachnące. Żadnej grubej warstwy kurzu na meblach, mój zając Fritzi i ukochane rośliny mamy mają się naprawdę dobrze. Nawet trawnik w ogrodzie jest pięknie przystrzyżony, a kwiaty na tarasie kwitną na wyścigi, jak gdyby mama podlewała je codziennie.

Nasze dobre duszki tworzą dziś komitet powitalny. Gdy wraz z mamą i tatą przybywamy do domu, witają nas w drzwiach gromkimi brawami. Dziadek i babcia, Nana i Mannę, jak również siostra mamy, Magda. Babcia i Nana zaczynają płakać. Ale tym razem są to łzy radości, zapew-

169

niąją mnie obie. Nie posiadają się ze szczęścia, że znów mogę chodzić i że tak zdrowo wyglądam - twierdzą nawet, że trochę przytyłam.

Widząc ich radość, milczę przezornie i nie mówię, że tajemnica mojej lekko zaokrąglonej twarzy kryje się zapewne w kortyzonie. Niech się cieszą. Kiedy widzę, że są takie szczęśliwe, rosną mi skrzydła.

Mama

Wszystkie te reguły, nakazy i zakazy, które dostałyśmy do domu, dają mi nieźle w kość. Powrót z chorym dzieckiem przypomina mi o mojej panice w pierwszych dniach po porodzie, kiedy wróciłam do domu z maleńką Basią na rękach.

Jestem niesamowicie spięta, mój mózg pracuje na najwyższych obrotach. Teraz wszystko się zmieniło: jestem z Basią sama. Kiedyś wystarczyło zadzwonić po siostrę, gdy córka źle się poczuła. Teraz strasznie się boję, że mogę coś źle zrobić lub - dla odmiany - przedobrzyć, że w nagłym przypadku zareaguję nie tak, jak trzeba, albo zbyt późno zauważę pogorszenie lub całkiem je przeoczę.

Gdy już wszyscy sobie poszli i zostaliśmy same, zrobiło się naraz strasznie cicho. Żeby nie wpaść w melancholię, muszę szybko znaleźć sobie jakieś zajęcie. Najpierw idę do pokoju i szykuję na kanapie wygodne „leże”, na które moja córka natychmiast wskakuje z wielką ochotą. Włączam telewizor i pozostawiam ją z jej ulubionym show z sali sądowej.

Idę do kuchni, żeby rozdrobnić tabletki dla Basi. Kiedy je siekam, moje spojrzenie pada w pewnej chwili na lodówkę. Nie potrzebuję jej otwierać, żeby wiedzieć, co się tam

170

dzieje. Zgroza! Teraz, kiedy przeszłam już stosowne „szkolenie”, nietrudno mi sobie wyobrazić, że panują tam wprost rajskie warunki dla zarazków chorobotwórczych. Skrzętna czyścioszka, szwabska gospodyni domowa tu i tam, ale to urządzenie od wielu miesięcy nie było rozmrażane i czyszczone! W klinice mieliśmy plan czyszczenia lodówki rozpisany na wszystkich rodziców po kolei, którzy zmieniali się co tydzień. Dzięki temu lodówka była regularnie myta i dezynfekowana.

Wracam do Basi i wręczam jej napełnione kapsułki oraz butelkę wody do popicia. Tym razem musi to zrobić sama, bez mojej zachęty. Nie mam czasu jej dopingować, ponieważ muszę

natychmiast stawić czoło armii zarazków w naszej kuchni. Żarty się skończyły! Nie do wiary, co też wychodzi na jaw przy tej okazji. Otwarte słoiki, od marmolady począwszy, poprzez nutellę, aż do ogórków w occie. Precz z tym! Wszystkie jogurty i zapleśniałe marchewki w torebce foliowej - precz! Myję, ścieram i dezynfekuję z obłędem w oczach. W głowie wiruje mi jedna myśl - śmierć zarazkom! Po godzinie siadam na krześle piekielnie zmęczona, ale też bardzo zadowolona z efektów.

Do lodówki mogą wrócić wyłącznie absolutnie „czyste” produkty. Natomiast wszystkie „trefne” świństwa lądują w kubie, który wynoszę na koniec do kontenera na śmieci. Z czystym sumieniem pozostawiam zakupione dzisiaj przez mojego byłego męża podstawowe produkty żywnościowe, takie jak jaja, masło i ukochane miniaturowe jogur-ciki Basi. Świeże mleko w kartonie - uwaga czteropak! -od razu wylewam do zlewu. Mleko i soki - tylko w butelkach! Tak brzmi jedna z podstawowych reguł! Zawartość otwartych butelek i słoików musi być zużyta w ciągu dnia. Resztki należy bezwarunkowo usunąć, ponieważ już przez

171
noc tworzą się na nich szkodliwe zarazki, które mogą być dla Basi bardzo groźne, a w wyjątkowo niesprzyjających okolicznościach - zagrażać nawet jej życiu! Tego rodzaju drastycznych środków ostrożności nie musi przestrzegać żaden zdrowy człowiek. My musimy...

Tego wieczoru postanawiam sobie, że również w swoim domu zachowam - przywieziony z kliniki - dobry zwyczaj regularnego czyszczenia lodówki. Strzeżonego Pan Bóg strzeże...
Sobota, 27 lipca 2002 Basia

Świętujemy trzy dni bez wymiotów!

Odkąd jesteśmy w domu, w dalszym ciągu nie czuję się tak znakomicie, jak bym sobie tego życzyła, ale mimo to zamierzam zrealizować pewien bardzo ambitny plan: Nie chcę już więcej wymiotować! Nigdy! Wprawdzie dławi mnie czasami potężnie, ale wtedy przywołuję całą swoją wolę, żeby do tego nie dopuścić. I patrzcie tylko: to naprawdę działa! Niech żyje autosugestia! Jestem tym niezwykle podekscytowana i wcale nie kryję dumy z tego spektakularnego sukcesu, a dzisiaj rano mama wpadła na pomysł, żeby to odpowiednio uczcić. Kurczakiem z najlepszej smażalni w Biberach. Jak szaleć, to szaleć!

Boże, ile to już czasu odmawiałam sobie pieczonego kurczaka? To wyrzeczenie strasznie dużo mnie kosztowało. Uwielbiam pieczone kurczaki, a dzisiaj mam na nie taki apetyt, że najchętniej jadłabym i jadła przez cały dzień - od rana do wieczora albo jeszcze dłużej! Mięso rozpływa się

172

w ustach, przypieczona skórka jest taka delikatna i chrupiąca, i absolutnie fantastycznie przyprawiona. Dla mamy i dla mnie to prawdziwie świąteczna ucztka. Nigdy nie pomyślałabym, że pieczone kurczaki mogą mieć taki wielki wpływ na radość życia!

Niedziela, 28 lipca 2002

Basia

Niewiarygodne, ale udało mi się zachować w całości tego nadzwyczajnego kurczaka. Syta i zadowolona, próżnuję w wielkim łóżku mamy. Odkąd znów jesteśmy w domu, mogę z nią spać. Nie omówiliśmy tego wcześniej, ponieważ od samego początku było dla mnie oczywiste, że przez jakiś czas będę korzystała z sypialni mamy, ponieważ mój pokój jest na parterze i mama nie słyszałaby, gdybym nocą jej potrzebowała. Chociaż ostatnie trzy noce przespiałam bez żadnych problemów, to w dalszym ciągu nie chcę być w nocy pozostawiona sama sobie. Wiadomo, różnie to bywa. Świadomość, że mama jest w pobliżu, daje mi poczucie bezpieczeństwa i pewność, że nic złego nie może mi się zdarzyć.

Teraz nie otwieram oczu, więc mogę się tylko domyślać, że mama wstaje po cichu, żeby przygotować w kuchni moją poranną porcję tabletek. Nawet w czasie dwutygodniowej przerwy w chemioterapii muszę zażywać cztery razy dziennie po sześć tabletek.

Życie jest takie piękne bez tego idiotycznego rzygania. -Zaledwie to pomyślałam, chlusta ze mnie jak fontanna. Wszystkie posiłki ostatnich trzech dni łącznie z moim uko-

173

chanym pieczonym kurczakiem z poprzedniego wieczoru. O kurczę! Jestem przerażona. To, co się stało, jest potworne! Nowa kołdra mamy jest doszczętnie zarzygana! Fatalna sprawa. Mama musiała usłyszeć tak dobrze jej znane odgłosy dławienia, bo właśnie nadciąga z wielką miską. Wszystko za późno! Łzy rozczarowania tryskają mi z oczu. Dlaczego? Przecież było już tak dobrze! Jednocześnie próbuję przeproszać ją za tę ohydną niespodziankę. Mama tylko macha ręką, po czym wyciąga mnie ostrożnie z nieprzyzwoicie zaświnionego łóżka. - „Mamo, tak mi niedobrze. I kręci mi się w głowie” - jęczę płaczącym głosem. Na potwierdzenie tych słów kładę się na dywanie, bo z ledwością mogę utrzymać się na nogach. O Boże, znowu się zaczyna! Mama przynosi mi świeże ciuchy, pomaga mi się przebrać, a następnie wlecze mnie do pokoju i tam kładzie na kanapie. Potem idzie z powrotem do sypialni, żeby zmienić zabrudzoną pościel na swoim łóżku. Jestem bardzo słaba, kręci mi się w głowie; zamykam więc oczy w nadziei że to minie. Ale nic z tego. Czuję rozczarowanie i wściekłość. Cholera jasna, znów nie dopisałam. Mój ambitny plan szlag trafił! Dlaczego? Czy porzygałabym się również wtedy, gdybym wczoraj nie rzuciła się tak łapczywie na tego kurczaka?

Na liście zakazanych potraw i produktów kurczak wprawdzie nie figuruje, ale na mojej prywatnej liście rzygania, owszem. Może właśnie dlatego w dalszym ciągu tak źle się czuję, chociaż zrzuciłam wszystko, co miałam na żołądku.

Gdy mama staje nagle koło kanapy i zagaduje mnie, zrywam się przestraszona. - „Basiu, pojedziemy teraz na ostry dyżur do dziennej kliniki. W tym, co zwymiotowałaś było coś czerwonego. To może być krew. Lekarz, z którym rozmawiałam już przez telefon, powiedział, że musimy na-

174

tychmiast przyjechać. I muszę też wziąć ze sobą próbkę twoich rzygowin”.

„O nie, proszę, tylko nie to!” - myślę w popłochu. Ale na głośny protest chwilowo nie starcza mi sił. Jestem strasznie słaba. W drodze do samochodu mama musi mnie nawet podtrzymywać.

Przybywamy do dziennej kliniki onkologii dziecięcej w Ulm. Mama pomaga mi wysiąść z samochodu.

„Czy możesz iść sama?” - pyta, spoglądając na mnie baczny wzrokiem. W odpowiedzi uginają się pod mną kolana. Nic dodać, nic ująć. Mama bierze głęboki oddech, chwytając mnie mocno pod obie pachy i wlecze do kliniki niczym bohater westernu swojego rannego kumpla. Na szczęście nie musimy czekać. Doktor otwiera nam drzwi i łapie mnie z drugiej strony. Zaraz przy wejściu znajduje się gabinet przyjęć. Całe szczęście, ponieważ nie uszła-bym ani kroku dalej. Czuję się tak nędznie jak pies z kulawą nogą.

„Jesteś blada jak ściana” - głos lekarza dobiega jak zza ściany. Moje uszy znów są wypełnione watą. Psiakość, czy to nigdy się nie skończy?! Pan doktor natychmiast wstrzykuje mi coś do mojego „hicky”. To środek „aktywizujący układ krążenia” - wyjaśnia pospieszenie mama. Jestem tak osłabiona, że nawet nie wiem, co się dzieje. Znów zaczyna mi wirować w głowie, a co gorsza - znów chce mi się wymiotować. - „Miska, dajcie mi miskę...” - ledwie zdążyłam wycharzczyć i znowu się zaczyna. - „Coś mi się zdaje, że będziemy musieli zatrzymać cię tutaj na jakiś czas” - postanawia lekarz, gdy tymczasem ja wymiotuję bezradnie w miskę z papy.

Mama wzięła na wszelki wypadek nasz kuferek. Zawołana pielęgniarka sadza mnie w fotelu na kółkach i pcha

175

przez długi oszklony korytarz łączący klinikę dzienną z dziecięcą onkologią. I wcale mi się nie podoba, że ląduję w tym samym pokoju, co poprzednio.

Nie i jeszcze raz nie! Nie chcę, żeby znów wszystko zaczęło się od nowa, żebym znów czuła się tak makabrycznie jak na samym początku, kiedy przywieźli mnie na ten oddział. Do tego pokoju! Mój wewnętrzny bunt jest jednak tylko chwilowy, potem moja wola znów kurczy się jak przekłuty balonik, bo naprawdę straaaasznie źle się czuję. Ale już po pół godzinie jest znacznie lepiej. Na tyle dobrze, że potrzebuję telewizora. Sięgam więc po pilota i zaczynam wędrować niespiesznie po kanałach. Potem do pokoju przychodzi nieznana mi lekarka i oznajmia grobowym głosem, że w przywiezionej przez mamę próbce rzeczywiście była krew. „W takim razie musimy ci zrobić sondę żołądka, czyli gastroskopię. Bez tego się nie obejdzie, niestety...” - wyraża swoje ubolewanie, patrząc na mnie współczująco i zaraz wyjaśnia, na czym ów „osławiony” zabieg polega. Tym razem słucham z wielką uwagą, nie chcę przegapić ani jednego szczegółu.

Jestem przerażona tym, co usłyszałam. To naprawdę brzmi fatalnie! Nie chcę mieć żadnej sondy żołądkowej! Ani chybi, uduszę się przy tym. Do diabła, przecież nie jestem tuczną gęsią!

Elmer, gdzie jesteś? Pomóż mi, proszę!

Gdy lekarka wreszcie sobie poszła, zaczynam płakać. - „Mamo, zlituj się, ja nie chcę żadnej sondy! Nie chcę, żeby pchali mi jakąś okropną rurę do żołądka, nie wytrzymam tego!”, a zaraz potem: „Czy myślisz, że to może być kara za to, że tak bardzo się starałam? Że nie chciałam już więcej mieć wymiotów?”.

176

Mama próbuje mnie uspokajać. Przysiada na moim łóżku z zamiarem wyjaśnienia mi konieczności takiego zabiegu. Gadaj zdrow! Kiedy ja wcale nie chcę być mądra. Albo rozsądna. Chcę jechać do domu!

Poniedziałek, 29 lipca 2002

Basia

Podczas przedpołudniowego obchodu doktor Classen oznajmia mi z żalem w głosie, że w najbliższych dniach nie mają „niestety”, żadnego wolnego terminu w pracowni gastrokopii. A ponieważ od czasu przywiezienia mnie tutaj nie odkryto nawet śladu krwi w moich wymiocinach, muszę więc póki co zadowolić się testem żołądkowym. Wspaniała wiadomość! Wznoszę oczy do nieba, posyłając mojemu aniołowi krótkie, ale żarliwe „dziękuję Elmer!”. Dopiero potem zwracam się w stronę doktora, pytając nieufnie, co to takiego ten test żołądkowy. Do tej pory nigdy o nim nie słyszałam.

„Musisz tylko dmuchać w rurczkę” - słyszę uspokajającą odpowiedź.

Aby wykonać ten test muszę udać się do laboratorium analitycznego, znajdującego się na ogólnym oddziale dziecięcym. Mama jak zwykle dotrzymuje mi towarzystwa. W laboratorium otrzymuję coś w rodzaju słomki z przyczepioną u dołu plastikową tutką, w którą muszę dmuchać. Na podstawie analizy wydmuchanego przeze mnie powietrza, które teraz jest przechowywane w plastikowym woreczku, będzie można się zorientować, jakie zarazki chorobotwór-

177

cze znajdują się w moim żołądku i jelitach. Lekarze są zdania, że te małe dranie będą mogły nam wyjaśnić, dlaczego w moich wymiocinach jest krew.

Na szczęście, nie znaleźli w moich „bebechach” żadnego złośliwego świństwa. I teraz dochodzą do wniosku, że moje błony śluzowe są nadmiernie podrażnione od wiecznego plucia i wymiotów. Jakie to proste.

Cóż za ulga! Od razu czuję się lepiej. Pomimo to, chcą zatrzymać mnie w klinice na całe pięć dni. Nigdy więcej nie będę tłumiała odruchu wymiotnego. Chce mi się wymiotować - będę wymiotować! To była dla mnie nauka.

Środa, 31 lipca 2002

Basia

Eva, wychowawczyni na naszym oddziale, też zauważyła, że czuję się znacznie lepiej. Pewnie dlatego podczas obchodu nie omieszkła mnie poinformować, że dzisiaj po południu odbędzie się kurs malowania na szkle.

„Czy masz ochotę do nas dołączyć?” - pyta, uśmiechając się zachęcająco.

Propozycja wydaje mi się dość kusząca, ale muszę zastanowić się przez chwilę, czy naprawdę czuję się na siłach stanąć oko w oko z innymi dziećmi chorymi na raka. Czy dojrzałam wreszcie do tej konfrontacji?

Teraz, kiedy znów dobrze się czuję, powoli zaczynam się nudzić. Leżeć przez cały dzień w łóżku? Dziękuję, już mnie to nie bawi. „Tak, bardzo chętnie!” - odpowiadam, budząc powszechne zdumienie. Mama i towarzystwo w białych ki-

178

tlach są wyraźnie zaskoczeni moją decyzją na tak, ale widzę, że bardzo się cieszą.

„Świetnie. A zatem spotykamy się o czternastej w naszej świetlicy. Do zobaczenia!” - rzuca mi na pożegnanie Eva i wychodzi z pokoju razem z innymi.

Jestem odrobinę podenerwowana, kiedy po południu szykuję się na kurs. Mama idzie razem ze mną. Po raz pierwszy mam się spotkać z moimi „towarzyszami niedoli”. Z

współcierpiącymi bliźniami, jakby to ujął filozof. Mam nadzieję, że nie będą opowiadać żadnych ponurych historii, że nie usłyszę ani jednego słowa na temat ich chorób i strasznych skutków chemioterapii. Nie chcę nic o tym wiedzieć, nie chcę czuć się winna i przysłuchiwać się z oczami wbitymi w posadzkę, jak opowiadają o tym, co już przeszli. Czuję przez skórę, że mogłoby to doprowadzić do zachwiania mojego - z takim mozołem odbudowywanego - optymizmu, a tego nie chcę za nic w świecie.

Potem wszystko jest zupełnie inaczej. Jestem mile zaskoczona i bardzo się cieszę, że skorzystałam z propozycji Ewy. Mogłam oszczędzić sobie wszystkich tych bezpodstawnych obaw. W świetlicy dostrzegam małego, mniej więcej czteroletniego chłopca z łysą głową, który czasami machał w moją stronę, śmigając korytarzem swoim samochodzikiem na pedały. Leżąc w łóżku, widywałam go przez szklane drzwi mojego pokoju. Wężyk jego „hicky” wygląda z dekoltu błękitnego T-shirtu, co mnie trochę dziwi, ale nie mam zamiaru zagadywać go na ten temat. Malec szczerzy do mnie zęby w powitalnym uśmiechu i zaraz potem wraca do swoich bohomazów, które fabrykuje na wielkim talerzu.

Obok niego siedzi mniej więcej ośmioletnia dziewczynka. Elisabeth, jak ją nazywa matka, przedstawia dość osobliwy widok. Wygląda ni mniej, ni więcej, tylko tak, jakby

179

się pierzyła: wielkie, łyse miejsca na głowie i resztki jej długich do ramion włosów sprawiają - delikatnie mówiąc - niechlujne wrażenie. Czyżby moja sąsiadka nie cesała się od kilku tygodni? Obserwuję ją ukradkiem i przysięgam sobie, że nigdy nie będę biegać z taką fryzurą. Jeśli zaczną mi wypadać włosy, to od razu każę ostrzyć się na zero, postanawiam natychmiast.

Trzecia dziewczyna w naszej małej grupce „artystów” jest -jak na moje oko - znacznie starsza ode mnie. Sprawia wrażenie bardzo poważnej, niemal dorosłej. Ona również tylko na chwilę podnosi oczy i przygląda mi się z uwagą, gdy siadam do stołu, a potem wraca do swojego wazonu. Zamalowuje go kolorowymi farbami, wyczarowując pędzelkiem fantazyjne esy-floresy. Muszę przyznać, że całkiem nieźle sobie radzi.

Prowadząca kurs przedstawia się jako pani Leitner, a potem zadaje mi pytanie, na czym chciałabym malować. Chwila zastanowienia i wskazuję na duży porcelanowy talerz.

Instruktorka wręcza mi go i wyjaśnia, że mogę korzystać ze wszystkich farb, które stoją na stole, i na co muszę zwracać uwagę, żeby nie starła tego, co już namalowałam.

„Kiedy będziecie gotowi, zabiorę wasze dzieła do mojej manufaktury w Ulm i wypalę je dla was. Jutro dostaniecie je z powrotem, a potem będziecie mogli zrobić z nimi, co tylko się wam podoba”.

Patrzę na talerz, który wręczyła mi pani Leitner, ale nie zastanawiam się zbyt długo. Sięgam po pędzelek i zaczynam malować. Najpierw czterolistną koniczynę, potem świnkę i na koniec biedronkę. Wszystkie te motywy są tradycyjnymi symbolami szczęścia, ale to uświadamiam sobie dopiero wtedy, kiedy po skończonej pracy przyglądam się z zadowoleniem swojemu dziełu.

180

Rozmów, których tak bardzo się obawiałam, tutaj po prostu nie ma. Każdy z nas - młodych artystów-amatorów - jest całkowicie pochłonięty swoją pracą. W szpitalnej świetlicy panuje prawdziwie twórcza atmosfera. Pochyleni nad swoimi naczyniami, machamy z zapałem pędzlami, dobieramy wzory i kolory i cała reszta nas nie interesuje. Od czasu do czasu podłapuję ukradkowe spojrzenie kogoś z uczestników kursu. Być może, wszystkich nas dręczą te same strachy i dlatego nikt nie chce rozmawiać o chorobach. Ale innego tematu do rozmowy jakoś nie możemy znaleźć. Do tego dochodzą jeszcze różnice wieku. Jak na mój gust, są zdecydowanie zbyt duże. Skupienie się na malowaniu jest dobrym pretekstem, żeby nie musieć mówić. Taka „zmowa milczenia” jest nam wszystkim bardzo na rękę.

Czuję ogromną ulgę i stopniowo zaczynam się odprężyć. A poza tym, malowanie naprawdę sprawia mi radość.

Mama

Tak się cieszę, że Basia wreszcie odważyła się opuścić swój pokój. I robi to coraz częściej. Z drugiej strony jednak, bardzo mnie dziwi jej niespodziewana nieśmiałość. To do niej zupełnie niepodobne. Kiedy przysiadła się do innych dzieci w świetlicy, nie powiedziała ani jednego słowa. Muszę przyznać, że nie znałam swojej córki z tej strony. Milcząca i onieśmielona - to doprawdy zastanawiające.

Basia jest promykiem słońca. Tak otwarta, przystępna i komunikatywna, również w stosunku do obcych. Do tej pory musiałam ją raczej hamować. Zawieranie nowych znajomości nigdy nie stanowiło dla niej problemu. Jestem bardzo zaskoczona, że trójka dzieci przy stoliku może do tego stopnia onieśmielić moją towarzyską córkę, że - pąso-

181

wa ze wstydu - zajmuje swoje miejsce przy stole, nie mówiąc ani słowa, i koncentruje się w milczeniu na swojej pracy. Ale nic jej nie powiem. „Matka powinna tylko słuchać” - przelatują mi przez głowę słowa Elmera. Zatem, wycofuję się ukradkiem i przenoszę na balkon, w ciepłe promienie słońca. Przerwa na papierosa.

Na balustradzie wspiera się młoda kobieta; kiedy staję w drzwiach, wita mnie miłym uśmiechem i przedstawia się. - „Mam na imię Andrea” - mówi, podając mi rękę, i od razu zaczyna opowiadać o swojej trzyletniej córce Helusi, która leży tutaj z powodu neuroblastomy.

„To rodzaj złośliwego guza posiadającego własne komórki nerwowe, który jest umiejscowiony na nerce. Cholerne świństwo... Ten guz rozwija się tylko u dzieci i rozrasta w błyskawicznym tempie. Ot tak, po prostu...” - wyjaśnia mi, ponieważ muszę przyznać, że nie wiedziałam co to takiego neuroblastoma. - „Rokowania są, niestety, bardzo złe, i ja to wiem” - kiedy to mówi, jej twarz poważnieje, ale już za chwilę znów się do mnie uśmiecha. - „Cieszymy się życiem z Helusią, tak długo jak jeszcze ją mamy” - dodaje z rozbrajającą szczerością. Czuję wielką kluskę w gardle. To niesłychane, ta kobieta czyta w moich myślach. Przecież z nami jest dokładnie tak samo! Tyle, że prognozy Basi są o niebo lepsze niż Helusi. Czy gdybym była na jej miejscu, umiałabym z taką samą swobodą mówić o Basi jak Andrea o swoim dziecku, którego szanse wyleczenia są równe zeru?

Jeśli będę milczeć, wpatrując się zmieszana w posadzkę balkonu, nie pomogę Andrei. Dlatego szybko zmieniam temat i zaczynam paplać jak najęta, opowiadając, jak trudno mi sobie wyobrazić przestrzeganie na dłuższą metę wszyst-
182

kich tych nakazów i zakazów dotyczących jedzenia, jakie otrzymałyśmy od lekarzy, jadąc do domu. „Tydzień, dwa, to jeszcze da się znieść, ale co potem? Basia to prawdziwy łakomczuch. Nie wiem, jak sobie poradzi z tym reżimem!” -zwierzam się swojej nowej znajomej.

Andrea wybucha śmiechem. - „Jesteście jeszcze całkiem zielone! Chyba się nie mylę, co?” - drażni się ze mną, a potem zaczyna opowiadać o swoim ostatnim weekendzie, który spędziła w swoim domu razem z Helusią: -„Helusia powinna była właściwie zostać na oddziale, ale nie można z nią było wytrzymać. Moja mała była po prostu nieznośna. Kwękała, grymasiła, w nocy nie chciała spać, słowem, robiła wszystko, żeby wyprowadzić mnie z równowagi. A więc, wbrew woli lekarzy, uparłam się, że zawiozę ją na weekend do domu i w ten sposób poprawię jej humor. Uważaj, teraz będzie najlepsze...”. Kiedy już były na miejscu, Helusia chciała koniecznie, żeby kupić jej truskawki. „I wiesz co? Poszłam do sklepu i kupiłam!” - kończy z triumfalną miną, ignorując mój przerażony wzrok. Andrea wie tak samo jak ja, że truskawek się nie obiera i dlatego te owoce znajdują się na czołowym miejscu „czarnej listy”. „Helusia nie posiadała się ze szczęścia. Wpychała je w siebie tak długo, aż w końcu naprawdę nie mogła. Klepiąc się po brzuszku, leżała na kanapie z błogim uśmiechem na twarzy. Wymazana od góry do dołu czerwonym sokiem z truskawek była taka szczęśliwa. A ja jeszcze bardziej!”.

Andrea spogląda w niebo, obserwując z pozornym zainteresowaniem przepływające chmury. Kiedy znów zwraca twarz w moją stronę, jej oczy podejrzanie błyszczą, ale uśmiecha się. - „Hej, kobieto, nie pękaj! Jestem pielęgniarką, dobrze wiem, co to może znaczyć. Ale moje dziecko

183

było szczęśliwe, a to jest jedyna rzecz, która się jeszcze liczy!”. - Kiwam głową ze zrozumieniem. Oczywiście. Radość jest ważna. Dawać radość życia, to nasze pierwsze przykazanie. Przecież ja też to sobie postanowiłam. Ale gdzie, u licha, jest miejsce na radość życia, kiedy wszystko, co sprawia przyjemność, jest surowo zakazane? - „Masz rację!” - przyznaję z ociąganiem, i znów się wstydzę, ponieważ ze swoim początkowym przerażeniem musiałam wydać się jej taką samą beznadziejną mieszczką, jak wszyscy ci wszystkowiedzący mędrkowie, których zawsze w głębi serca przeklinałam.

Jakby czytając w moich myślach, uśmiecha się wyrozumiale: „Jesteś dopiero na samym początku drogi. A to bardzo długa droga... Musisz jeszcze sporo się nauczyć, ale sama zobaczysz, z czasem wszystko stanie się jaśniejsze!”.

Poniedziałek, 5 sierpnia 2002

Basia

W piątek znowu mogę jechać do domu.

Mama chce zasięgnąć rady homeopaty, czy jest jakiś dobry środek przeciwko moim atakom wymiotów, a poza tym zamierza rozejrzeć się za jakimś doświadczonym psychologiem dziecięcym, który zająłby się leczeniem mojej chorej duszy. I koniecznie musi to być kobieta. Moje autodestrukcyjne tendencje, o których mówił Elmer, a których ja wszakże nie mogę u siebie stwierdzić, muszą być bezwzględnie leczone. Jeśli chodzi o mnie, no cóż, nawet nie wiem, co to takiego, ale właśnie dlatego potrzebuję pomocy eksperta, uważa mama.

184

„Ale ja nie chcę zwierzać się jakiejś obcej psycholożce, której wydaje się, że zna się na dzieciach. Jeśli już muszę to robić, to tylko z panią Gampert!”. - Mama spogląda na mnie

zaskoczona. Najwyraźniej nie spodziewała się takiego obrotu spraw. - „Przecież ty też chodzisz do pani Gampert! I zawsze mówisz, że ci to pomaga” - bronię swojego życzenia. „Tak, tak!” - potwierdza mama, „szkopuł w tym, że pani Gampert nie pracuje z dziećmi”. - „No i co z tego? Może jeszcze nie miała okazji z nimi pracować, bo do tej pory żadne dziecko nie chciało się u niej leczyć... Ale ja chcę! A wiesz dlaczego? Ponieważ już ją znam”. Wobec takiego ogromu logiki mama kapituluje. Patrzy na mnie szczerze ubawiona, kręci głową i obiecuje, że przynajmniej zapyta panią Gampert, co ta sądzi o moim pomysle. Mama

Życzenie Basi jest dla mnie dużym zaskoczeniem. Sama nigdy bym na to nie wpadła, ponieważ pani Gampert specjalizuje się w pedagogice dorosłych, czyli andragogice. Ta wszechstronna kobieta jest astrologiem, teologiem i pedagogiem socjalnym, z dodatkowym wykształceniem psychoterapeutycznym. Pani Gampert stworzyła swoją własną, unikalną koncepcję, która znacznie bardziej mi odpowiada, aniżeli klasyczna psychoterapia. I która rzeczywiście mi pomogła. Po zakończeniu mojego związku z Alekssem, który był moją wielką miłością, cały mój świat zawalił się w jednej chwili, byłam strzępem człowieka, cieniem dawnej Claudii. Czułam, że idę na dno. Nie chciałam szukać przyczyn swojego nieszczęścia w dzieciństwie. Nie wiem czemu, ale coś mi mówiło, że nie tędy droga. Chciałam pracować nad moim aktualnym i - co tu dużo kryć - fatalnym

185

stanem; zbadać od podszewki przyczyny mojego wiecznego pecha z mężczyznami, a ponadto skoordynować swoją wiedzę z działaniem. Koncepcja pani Gampert wydawała mi się niezwykle interesująca i najbardziej do tego celu przydatna. Biorąc pod uwagę ogólne założenia tej koncepcji, mam wrażenie, że mogłaby ona również zaowocować w terapii Basi, ale czy moje dziecko i moja duchowa mistrzyni mogą się spotkać na jednej płaszczyźnie, tego nie śmiem osądzać.

Dzwonię do pani Gampert i nie zwlekając, przedkładam jej życzenie mojej córki. Na drugim końcu linii zapada długa cisza, tak nieskończenie długa, że myślę już nawet, iż połączenie zostało przerwane.

„Muszę się nad tym zastanowić” - mówi w końcu moja rozmówczyni. Oddycham z ulgą. - „Poradzę się jeszcze Elmera”.

Czwartek, 8 sierpnia 2002

Mama

Pani Gampert przekazała mi odpowiedź Elmera, w której ustosunkował się do jej pytań, czy i jak powinna pracować z Basią:

Czy to dobry pomysł, żeby Edith Gampert pracowała z Basią Dussler jako jej terapeutka? TAK! Powinna z nią pracować, ale uwaga - w bardzo lekki i subtelny sposób, włączając w to elementy zabawy. Kochana ziemską istotą Basia potrafi wspaniale wizualizować, a także bardzo dobrze przenosić się myślą i wchodzić w czyjeś położenie, i w ten sposób uwolnić się od wielkiego ciężaru, jaki w sobie nosi.

186

(Kochana ziemską istotą Edith nie powinna jednak pracować w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, ale wyczuć intuicyjnie, na jakich obszarach kochana ziemską istotą Basia może z łatwością i bez przymusu współpracować. Tam, gdzie nie istnieją żadne blokady, zapory i obrona, mogą być w ten sposób przekroczone domniemane ściany).

Podłożem wszelkiego rodzaju pracy powinna być radość. To znaczy: nie wpadać w powagę i nie ciągnąć wszystkiego do dołu, ale znaleźć coś, co jest uskrzydłone, co ma polot i fantazję, coś, co łączy się z radością tak, iż przez to może przyjść niezwykła ulga.

Prosimy o dokładniejsze wskazówki i, jeśli to możliwe, przykłady.

W tej pracy chodzi o to, aby pozbyć się strachu przed tym, co niszczy, nawet jeśli to są własne, ale przecież nieświadome myśli, do których kochana ziemską istotą Basia sama nie

dotrze. Poprzez obrazowe, metaforyczne odbudowywanie, a zaraz potem niszczenie, u kochanej ziemskiej istoty Basi zmieni się coś WEWNĘTRZNIE. W miarę postępującej terapii, będzie ona stopniowo coraz bardziej i bardziej pozbywała się lęku przed samozniszczeniem.

Kochana ziemska istota Basia powinna być wprowadzona w obszar „ samozniszczenia ”, jednakże w niezwykle lekki i subtelny sposób, jak gdyby z małym dzieckiem budować na plaży zamek z piasku, a kiedy jest już gotowy, powiedzieć: nasz zamek sjeżniłsmojć-zadanie, teraz go zniszczymy i zbudujemy coś nowego^_____

Od strony terapeutycznej chodzi tutaj o to, że istnieje budowanie, które prowadzi do upadku i załamania, wszelako

187

Itotfc

bez tego, żeby pojawiły się wielkie lęki związane z utratą. Wiedza, że wszystko można stworzyć od nowa, musi być tutaj koniecznie skryształizowana.

Na co należy jeszcze zwrócić uwagę?

Nie przeciągać w nieskończoność i bez umiaru sesji terapeutycznych - czasami mogą być one krótkie, a innym znów razem dłuższe, ponieważ kochana ziemska istota Basia będzie wprawdzie bardzo dobrze współpracować, ale na początku może również miejscami lekko się blokować.

Tę przeszkodę kochana ziemska istota Edith powinna pokonać w ten sposób, że chwilowy stan dziecka wplecie wja-kąś historię. Popatrz tylkof^aśnie z tysiąca i jednej no.cy^ Idą ciągle dalej i dalej, ale zakończenie pozostaje wciąż otwarte...

O to tutaj chodzi: Nic nie podlega stałemu i niezmiennemu, z góry ustalonemu planowi, wszystko może się rozwijać w różnych kierunkach. I wciąż na nowo, nieustannie zwracać uwagę na to, co sprawia przyjemność i daje radośćłłt

Czy Basia nie powinna być raczej prowadzona przez osobę specjalizującą się w terapii dzieci?

To nie byłoby zbyt dobre, ponieważ te w przeważającej mierze wciąż jeszcze pracują na utartym torze, trzymają się bardzo tradycyjnych metod i zazwyczaj nie wąż się wstępować na obszary, które od nich choć trochę zbaczają. U kochanej ziemskiej istoty Basi chodzi o to, żeby zniszczenie nie zostało uznane za zniszczenie, ale należy uzmysłwić jej, że jest to po prostu rozpad na poszczególne części składowe albo na materię pierwotną. Ona intuicyjnie bardzo dobrze potrafi to uchwycić i - po lekkich początkowych trudnościach - może dobrze współpracować.

4

188

Tutaj jest tak, że tematyka powinna być poddana raczej przez kochaną ziemską istotę Basię - to ona daje bodźce myślowe, od niej wychodzi inicjatywa, a kochana istota ziemska Edith powinna wówczas wyłącznie podjąć wątek i rozpocząć tkanie wzoru na dywanie. Chodzi tutaj tylko o czysto intuicyjny tor, a lekki, subtelny element zabawy jest tutaj tym, co powinno uskrzydlać, co również wewnątrz zachwyca, i przez to pojawia się radość, i tylko o to - tylko o to - tutaj chodzi.

J

Dziękuję, Elmer.

Po tej - na wskroś pozytywnej odpowiedzi Elmera, początkowe wątpliwości pani Gampert zostały ostatecznie rozwiązane. Moja mistrzyni gotowa jest pracować z Basią. Jestem bardzo podekscytowana. Jutro po południu Basia odbędzie pierwszy seans terapeutyczny w gabinecie pani Gampert.

Piątek, 9 sierpnia 2002

Basia

Elmer dał swoją zgodę. Chwała mu za to! Moja faworytka, pani Gampert poprowadzi moją „pracę duchową”, którą mama uważa za tak bardzo istotną. Dzisiaj moja pierwsza godzina terapii.

Siedzę naprzeciwko pani Gampert w jej przytulnym „domku czarownicy” i rozglądam się ciekawie dookoła, ponieważ jeszcze nigdy nie byłam w jej gabinecie. To moja pierwsza wizyta. Między nami stoi stół, a na nim szklany pojemnik z papierowymi chusteczkami. Nie mogę oderwać

189

od nich oczu. Ciekawe, po co je tutaj przyniosła? - zadaję sobie pytanie.

„Jak się dzisiaj czujesz?” - zaczyna pani Gampert naszą rozmowę. Właściwie jest to banalne i stanowczo zbyt często stawiane mi pytanie, ale przy pani Gampert mam uczucie, że ona naprawdę chce to wiedzieć. - „No tak” - zacinam się. Czuję się dość niepewnie, „lepiej niż przedtem, to fakt... ale jak może czuć się ktoś, kto ma raka? Przez cały czas zadaję sobie pytanie, dlaczego mnie to spotkało? Dlaczego właśnie ja zachorowałam na tę straszną chorobę?”.

Pani Gampert wyjaśnia mi, że my, ludzie, sami jesteśmy odpowiedzialni za wiele rzeczy, które zdarzają się w naszym życiu. - „Nie mówię tutaj o winie” - podkreśla. - „Być może jednak są w twoim życiu rzeczy, które mogły wywołać tę chorobę. Rzeczy, które ty tłumisz - mniejsza o powód - których nie wymawiasz na głos, tylko chowasz głęboko do środka, magazynujesz w swojej duszy. Lub, jak wolisz - podświadomości. Rozumiesz, o co mi chodzi?”. - Kiwam głową potakująco. - „Zastanów się, Basiu, czy coś takiego przychodzi ci do głowy?” - pyta łagodnie pani Gampert ściszym głosem. W ogóle ona zawsze mówi tak cicho, że czasami muszę się niezłe nagłówkować, żeby w ogóle ją zrozumieć.

Nie zastanawiam się zbyt długo, ponieważ to i owo natychmiast przychodzi mi do głowy: - „Kiedy byłam w internacie, zawsze bardzo tęskniłam za domem. To śmieszne, bo przecież sama chciałam koniecznie wyjechać z domu i zamieszkać w internacie. Mam tam przyjaciółkę -mieszkamy w jednym pokoju - dla której zrobiłabym dosłownie wszystko, żeby tylko mnie lubiła. Ale ona zawsze była taka arogancka i zarozumiała. I zawsze patrzyła na mnie z góry, jakby była lepsza ode mnie... Dopiero teraz

190

zrozumiałam, że ona najzwyczajniej w świecie mnie lekceważyła. Jednego dnia była słodka jak miód, a już następnego miała mnie w nosie, i nawet nie chciała mnie znać. Jej przewrotność doprowadzała mnie do rozpacz. Czulałam się odrażona i upokorzona. Nie umiałam sobie z tym poradzić. Nie rozumiałam, dlaczego tak się zachowuje. Chciałam skończyć z tym raz na zawsze, ale nie potrafiłam, niestety...

Pani Gampert słucha mnie z uwagą. Wydaje się, że moja opowieść zrobiła na niej spore wrażenie. - „Dobrze, w takim razie mamy od razu dwie rzeczy, którymi będziemy musiały się szerzej zająć. Czy jesteś gotowa?” - pyta, patrząc na mnie baczny wzrokiem.

Pierwsza godzina u pani Gampert minęła nie wiadomo kiedy. Na koniec zużyłam prawie wszystkie papierowe chusteczki ze szklanego pojemnika...

Mama

Czekając na Basię w saloniku na dole, przez cały czas zadaję sobie pytanie, jak mam ją przywitać. Nie jestem pewna, czy powinnam ją wypytywać o szczegóły jej pierwszej sesji terapeutycznej, czy też raczej dać jej spokój i o nic nie pytać.

Kiedy po godzinie moja córka schodzi na dół po schodach, natychmiast dostrzegam zmiętą chusteczkę w jej dłoni i czerwone, spuchnięte oczy. Jestem odrobinę przestraszona. Czy to dobrze, że płakała już na pierwszej sesji? Zastanawiam się gorączkowo, co robić. Jak zachować się wobec mojej córki w takich okolicznościach?

Ale zanim jeszcze zdążyłam zdecydować się na cokolwiek, Basia uprzedza mnie - rzuca mi się na szyję i łka rozpaczliwie. „Mamo, nawet nie wiesz, jak bardzo brakowało

mi was w internacie, ciebie i taty! Tak strasznie za wami tęskniłam. Byłabym taka szczęśliwa, gdybyście częściej mnie odwiedzali. Ale nigdy wam tego nie powiedziałam, ponieważ nie chciałam robić wam kłopotu. Czy ty to rozumiesz? Powiedz!"

Jestem przerażona. - „Ależ Basiu, co ty wygadujesz, jaki kłopot? Przecież to tylko śmieszne, małe życzenie. Tata i ja chętnie byśmy je dla ciebie spełnili. Ja też bardzo za tobą tęskniłam, nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo! Mogłam widywać cię tylko co trzy tygodnie. Czy naprawdę uważasz, że było mi łatwo? Wcale nie było! A ponieważ ty nigdy nic nie mówiłaś, więc wydawało mi się, że jesteś zadowolona i dlatego nie chciałam denerwować cię moimi nieustannymi odwiedzinami! Tylko dlatego, wierz mi".

Żegnamy się z panią Gampert i idziemy do samochodu. W drodze powrotnej z Ulm do Biberach, Basia opowiada mi jeszcze o Heli, którą znam lepiej niż inne przyjaciółki Basi z internatu, ponieważ spędziła u nas ferie wielkanocne. Do tej pory myślałam, że obie dziewczynki są bardzo zaprzyjaźnione. Takie w każdym razie odniosłam wrażenie. Skąd mogłam wiedzieć, że Hela bawiła się z Basią w kotka i myszkę; to dla mnie nowość.

Dokładnie tak samo jak fakt, że Basia bardzo cierpiała z tego powodu. - „Ona była często taka odpychająca i nieprzyjazna, jakby znajdowała przyjemność w ranieniu mnie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ta wstrętna jędrza mnie dręczyła. Nie mogę pojąć, skąd w niej tyle zła" -moja zapłakana córka wreszcie daje upust swojej frustracji. - „Cóż to za bezsens, Basiu! Dlaczego po prostu jej nie ignorowałaś? W końcu masz wiele innych przyjaciółek w internacie!". - „Ale właśnie dlatego za nic w świecie nie mogłam zrozumieć, że jest ktoś, kto mnie nie lubi. Choćby tylko od czasu do czasu, bo czasami chyba mnie nawet lubiła... To by-

ło dla mnie niepojęte. Bezustannie zadawałam sobie pytanie „dlaczego?". Pani Gampert mówi, że chcę być kochana przez wszystkich. Czy to naprawdę takie złe?". - „Jeśli z tego powodu się zmieniasz, naginasz do kogoś na siłę, to znaczy wbrew swojej woli, i nie możesz być już sobą, to owszem, wtedy to jest złe, bardzo złe" - próbuję uzmysłowić Basi, na czym polega jej problem. Swoją drogą, to nawet zabawne. Gram przed moją córką wielką ekspertkę od asertywności, chociaż sama często nie radziłam sobie w takich sytuacjach, popełniając dokładnie ten sam błąd. Basia wzdycha i sięga po ostatnią papierową chusteczkę, która pozostała jeszcze z naszego awaryjnego zapasu.

Jeszcze nigdy nie widziałam mojego dziecka tak nieszczęśliwego. Basia sprawia wrażenie całkowicie załamanej. - „Wiesz, mam, pani Gampert mówi, że muszę powiedzieć na głos to wszystko, co mnie przygniało, dręczy albo złości. Muszę wyrzucić z siebie całe to świństwo i po prostu mówić, co mi leży na sercu. Właśnie tak. I nie powinnam się tego wstydzić, ponieważ nie ma w tym nic złego. Do tej pory nigdy tego nie robiłam, ale teraz muszę się tego nauczyć!"

Basia płacze i opowiada dalej. Najwidoczniej bardzo wzięła sobie do serca rady swojej terapeutki. Słucham jej z uwagą, nie przerywając nawet słowem. Mój promyk słońca, niech się wreszcie wygada! Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ta miła dziewczynka ma problemy, które zżerają jej duszę, i które upycha do środka, niczym skrzętny chomik ziarno do swojej norki. Nagle uzmysławiam sobie, że moje dziecko funkcjonuje dokładnie tak samo jak ja. Basia -świadomie bądź nie - powieliła mój szablon, działa według mojego własnego wzorca zachowania: „Pokaż ludziom to, co chcą widzieć, a będziesz kochana". Nie do wiary!

Inni rodzice zawsze mi zazdrościli, ponieważ moja córeczka była po prostu „chodzącym ideałem" - zawsze taka grzeczna, miła i dzielna. I zawsze uśmiechnięta. Odkąd tylko pamiętam, Basia cieszyła się ogólną sympatią, jakżeby inaczej. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wszystko to jest grą. Jak bardzo mi jej żal; przez tyle lat musiała grać komedię,

maskować się i naginać do otoczenia, a ja brałam to za dobrą monetę, nie wiedząc, jak bardzo jest jej z tym źle.

Co ja narobiłam, to straszne!

Moja córka, ze swoim rakiem, obrabia mój życiowy problem! Chce być kochana i dlatego wygina się we wszystkie strony, jak pajacyk na sprężynce. Chce dogodzić wszystkim i każdemu z osobna, a ponieważ jest to z założenia niemożliwe, wpada w głęboki dół emocjonalny, kiedy tylko ktoś okaże jej obojętność lub lekceważenie. Moje dziecko nie potrafi obchodzić się z brakiem akceptacji, z obojętnością i odrzuceniem. Bez względu na to, z której strony ono nadchodzi. Basia za wszelką cenę chce być kochana - przez cały świat. Właśnie dlatego tłumi swoje własne potrzeby. Sprzeniewierza się samej sobie. Dokładnie tak samo, jak to robiłam ja przez wiele lat mojego życia.

Ja też zawsze podchodziłam do życia ze śmiertelną powagą, nie potrafiłam stworzyć sobie dystansu. Nieustannie usprawiedliwiałam się, przepraszałam wszystkich po kolei i, nade wszystko, wstydziłam się swoich „społeczno-towarzyskich” niedoskonałości. I tak na przykład, szukając dla nas mieszkania do wynajęcia, zawsze miałam ogromny problem z przyznaniem się agentom w biurze nieruchomości, że jestem samotną matką z dzieckiem.

194

W moim kolejnym związku byłam niezwykle wyrozumiała, ponieważ doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że będąc rozwódką z dzieckiem, nigdy nie będę perfekcyjną partnerką dla mojego przyjaciela, który zasługiwał wszak na lepszą „partię”. Takie przynajmniej były sugestie jego rodziny i przyjaciół. Z powodu rozstania z nim po czterech latach, cierpiałam tak bardzo, że nigdy nie udało mi się ukryć mojego bólu przed dziewięcioletnią wówczas Basią.

Byłam wiecznie zaganiana, szalenie obowiązkowa, zdyscyplinowana i bardzo dużo pracowałam. W stosunku do Basi byłam niezwykle surowa i wymagająca. W naszym życiu brakowało zwykłego, ludzkiego ciepła. Relacje matka - córka przenikały „uprzejmy chłód”. Być może właśnie dlatego moja córka chciała przenieść się do internatu.

Basia zachorowała, żebym ja mogła się zmienić - i żebym zmieniła wreszcie moje nastawienie do życia. Ta świadomość uderza mnie boleśnie w samo serce.

Mając dziewiętnaście lat, stałam nad grobem przyjaciela, który zginął w wypadku samochodowym. Wtedy myślałam: „Tobie to dobrze. Tam, gdzie teraz jesteś, wszystko jest łatwe i proste. Natomiast życie tutaj, na ziemi, jest piekielnie ciężkie”. Z takim na wskroś pesymistycznym nastawieniem, podeszłam do mojego życia, odczuwałam je zawsze jako ciężar. Pełne zobowiązań, przymusów i niewdzięcznych zadań. Gdybym zachorowała na raka, nigdy nie zarzuciłabym wioseł, tak jak to mam zamiar zrobić teraz.

Jak moje dziecko ma się uczyć radości życia, skoro mnie od tylu lat nie udaje się dokonać pozytywnego zwrotu?

195

Sobota, 10 sierpnia 2002

Basia

Siedzenie w domu dwadzieścia cztery godziny na dobę może doprowadzić człowieka do obłądu. Krótko mówiąc: albo oszaleję, albo zanudzę się na śmierć!

Kiedy zaczęłam wymiotować krwią, mama zadzwoniła do zaprzyjaźnionego homeopaty, który przepisał mi mocno rozcieńczony roztwór „Nux Vomica”. Od tej pory czuję się znacznie lepiej. Nie mam nudności i już nie wymiotuję. Co za ulga! Czuję, że powraca moja dawna energia. W mojej głowie aż roi się od pomysłów. Dajcie mi jakieś zajęcie, pałam żądzą czynu.

Wreszcie mamy czas na krótkie, „niezobowiązujące” wycieczki i szwendanie się po mieście. Marzę o tym, żeby połączyć po sklepach, zajrzeć z mamą do małych galeryjek, które tak bardzo lubię, posiedzieć z nią w jakiejś miłej kawiarence. Tak dawno tego nie robiłam. Ale nie,

przecież musimy unikać większych skupisk ludzkich. Mniejszych zresztą też... Samotnych spacerów po lesie nie ma, niestety, na liście przebojów moich całkiem prywatnych przyjemności...

I tak, pozostaje mi tylko komputer i telewizor. Oba te praktyczne sprzęty pomagają mi przepędzać czas pomiędzy jednym łykaniem tabletek a drugim. I tak przez cały dzień. Trochę gram na pianinie albo dotrzymuję towarzystwa Fritziemu, który kica w ogrodzie. A ponieważ muszę unikać słońca, więc mogę wychodzić na dwór dopiero pod wieczór. Nigdy bym nie pomyślała, że nadejdzie taki dzień, kiedy będę tęsknić za szkołą!

196

Mama

Basia siedzi na pralce i przygląda się, jak napełniam suszarkę porcją mokrego prania. Odkąd lepiej się czuje, stała się znów niezwykle rozmowna. Nie ukrywam, że bardzo mnie to cieszy. Właśnie znalazła w internecie różne informacje o chorobie Hodgkina i teraz wierci mi dziurę w brzuchu.

Akurat ta rozmowa nie jest dla mnie szczególnie przyjemna; mam nieczyste sumienie i to chyba widać. Wprawdzie nigdy nie okłamywałam Basi, ale istotnie, przemilczałam to i owo. Na moje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że robiłam to wyłącznie dla jej dobra. Zwłaszcza w pierwszym, bardzo trudnym dla nas obu okresie, po początkowym szoku fatalnej diagnozy, nie chciałam jej dodatkowo obciążać, siać w jej głowie zamęt lub wprawiać w panikę.

Ale moja sprytna córka dawno temu pozbyła się lęku i wszystko wskazuje na to, że nie grozi jej żadna „fobia zetknięcia” w odniesieniu do jej choroby. - „Mamo, czy później będę mogła mieć dzieci?”. - No i masz ci los! Basia poruszyła jeden z tematów, który najchętniej przesunęłabym jeszcze na jakiś czas. Może za dwa, trzy lata... Głupi internet - klnę pod nosem, żeby Basia nie słyszała.

„Jak na to wpadłaś?” - pytam ostrożnie, żeby zyskać na czasie. - „Po prostu przeczytałam. W internecie. W rozdziale mówiącym o „późniejszych następstwach chemioterapii” piszą również o „ewentualnej bezpłodności”. - „Tak, to prawda, jeśli będziesz miała pecha, może się zdarzyć i tak, że z powodu chemioterapii nie będziesz mogła mieć dzieci” - przyznaję cicho. „Ale z całą pewnością nikt nie może tego przepowiedzieć” - dodaję szybko, pró-

197

bując osłabić wymowę poprzedniego zdania. I znów niespodzianka. Po raz kolejny nie doceniłam mojej córki. - „Ach, nic nie szkodzi, wtedy po prostu adoptuję sobie jakieś dziecko!” - mówi beztrąsko Basia i uśmiecha się od ucha do ucha.

Patrzę na nią ze zdumieniem. Chyba się nie przesłyszałam! Jestem kompletnie zaskoczona jej swobodnym, by nie rzec beztrąskim, podejściem do tej poważnej przecież kwestii. W końcu dawniej zawsze podkreślała, że chce mieć dużą rodzinę z dużą liczbą dzieci, ponieważ bycie jedynaczką jest według niej strasznie nudne. I ma same wady! Zawsze mi to zarzuca, kiedy musi siedzieć w domu sama jak palec, bo któraś z jej przyjaciółek nie ma dla niej akurat czasu.

Odkąd znów jesteśmy w domu i Basia już nie wymiotuje, mam dużo czasu do namysłu. I całe mnóstwo do przemyślenia. Są to właściwie „tylko” trzy pytania, które ustawicznie absorbują mój umysł, i na które, niestety, w dalszym ciągu nie znajduję odpowiedzi: w jaki sposób mogę nadać mojemu życiu pozytywny kieunek? Jak mam dokonać tego, by w jak najbardziej wiarygodny i skuteczny zarazem sposób przekazać Basi radość życia? I co muszę zmienić w moim obecnym życiu, żeby w przyszłości zachować siłę i równowagę wewnętrzną, których mogłam doświadczyć w naszym „stanie wyjątkowym”? Wszystko to bardzo leży mi na sercu. „Z moim dotychczasowym życiem coś chyba nie było tak!” - zastanawiam się głośno w gabinecie pani Gampert, do której znów chodzę regularnie na konsultacje. Jestem w sytuacji,

w której inni kompletnie się załamują, wpadają w depresję, sięgają po środki uspokajające lub alkohol. Ja tego nie robię. Dlaczego? Szczerze mówiąc, nie bardzo to

198

rozumiem. Dlaczego mam taki dobry nastrój, pomimo choroby mojej jedynej córki?

Kiedy dowiedziałam się, że Basia ma raka, z dnia na dzień rozstałam się ze wszystkimi moimi pacjentami. Mój zawód i moje zarobki zostały na lodzie. Tak przynajmniej powiedziałyby każdy rozsądnie myślący człowiek. Ja ujęłabym to inaczej: odpadł mi jeden ciężar -zaden obcy nie kręci się po moim domu, z nikim nie muszę się szarpać, nikomu nie muszę pomagać, nie muszę zużywać wszystkich swoich sił dla ludzi, którzy sami nic nie robią.

Pani Gampert patrzy na mnie spod oka, a potem zwraca moją uwagę, że w ostatnim czasie dość często wyrażam się negatywnie o swoich pacjentach. Jej zdaniem, należałoby przyjrzeć się bliżej tej, dość dziwnej u osoby wykonującej zawód fizjoterapeuty, niechęci. Ja również chciałabym to zanalizować. Pyta mnie, co sprawia mi radość. Moja spontaniczna odpowiedź: biegi, jazda konna, jazda na motorze -szybkość, powietrze, śmiech".

„Ano właśnie! A tymczasem siedzi pani w swoim gabinecie dzień w dzień po osiem godzin, stawia diagnozy, przygotowuje plany leczenia, a potem masuje i opukuje swoich pacjentów. To chyba w gruncie rzeczy dość nudne?" - pyta pani Gampert, uśmiechając się do mnie z udawaną wyższością. Tak, to był strzał w dziesiątkę. Doznaję nagłego olśnienia: To mój zawód, to moja praca nie sprawia mi przyjemności. Przynajmniej w takiej formie, w jakiej chwilowo ją wykonuję. Oto chwila prawdy!

199

Poniedziałek, 12 sierpnia 2002

Basia

Dzisiaj wyruszamy do kliniki dziennej, żeby przygotować się do drugiego bloku chemioterapii! Właściwie wcale nie jestem w takim bojowym nastroju, jak to usiłuję zademonstrować wszem i wobec. W ten sposób próbuję dodawać sobie odwagi. Znam już doskonale całą procedurę, ale fakt ten wcale nie ułatwia sprawy. Owszem, godzę się na to, jeśli inaczej nie można, ale wcale za tą chemią nie tęsknię. Odraza, jaką odczuwam w stosunku do tej lepkiej cieczy w wielkiej strzykawce, była w ostatnim czasie odpowiedzialna za koszarne sny, z których budziłam się zlaną zimnym potem. Stosownie do chwili nieszczęśliwa i milcząca, siedzę obok mamy na przednim siedzeniu, Jedziemy razem do Ulm. W klinice prowadzą mnie do pokoju, w którym jakaś dziewczynka już „wisi" na kroplówce. - „To jest Janina" -przedstawia nas sobie lekarz, wbijając w nią wielką, ohydnie czerwonobrazową strzykawkę. Kiwamy do siebie głowami zmieszane, może nawet trochę zawstydzone.

Janina ze swoimi wesołymi piegami na nosie i kolorową chustką, którą obwiązała sobie głowę, wygląda słodko. Domyślam się, że ta chustka jest kamuflażem i ma ukrywać jej glację. Moja towarzyszka czyta książkę, a płynna chemia skapuje do jej „hicky". Dawniej też dużo czytałam, ale od chwili gdy zachorowałam, słowo pisane straciło dla mnie swój urok. Co innego telewizja...

To prawda. Nawet kiedy jestem w domu, w dalszym ciągu najchętniej oglądam telewizję. Ten „złodziej czasu" wyświadcza mi nieocenione usługi.

200

„Czy będzie ci przeszkadzać, jeśli włączę telewizor?" -pytam grzecznie, ale niezobowiązująco. Janina jest prawie w tym samym wieku co ja, wydaje się bardzo sympatyczna, ale dzisiaj nie mam jakoś ochoty na rozmowy z innym dzieckiem, które też jest chore na raka. Mam wrażenie, że moja nowa koleżanka doskonale to rozumie i chyba tak samo czuje, ponieważ w odpowiedzi tylko potrząsa głową i wsadza głębiej nos w swoją książkę.

Dziesiąta rano. Czas na Doktora Stefana Franka na RTL. Niedowierzające spojrzenie Janiny ignoruję z całym rozmysłem. Jest wielu ludzi, którzy nie rozumieją mojej skłonności do dramatyzmu, zwłaszcza odkąd zachorowałam na raka. Ale mnie coś to daje, i na dodatek wcale niemało. Z każdego odcinka takiego „szpitalnego serialu” pobieram pozytywną energię, nawet jeśli niektórym wydaje się to nieprawdopodobne.

Mama

Nie podoba mi się ta demonstracyjna odraza Basi do dożyłnej chemioterapii. Muszę coś wymyślić, żeby nasze wizyty w klinice dziennej nie były związane wyłącznie z lękiem, niechęcią i odrzuceniem. Potrzebujemy czegoś, z czego będziemy mogły się w tych dniach cieszyć. Czegoś, co poprawiłoby jej humor i nastroiło bardziej pozytywnie do tego, jakże istotnego etapu jej leczenia. Poza tym, poproszę panią Gampert, żeby porozmawiała z Basią o tej spektakularnej niechęci, która zaczyna poważnie mnie niepokoić.

Z matką Janiny natychmiast dochodzę do porozumienia. Cieszę się, że odbieramy na tych samych falach. Natomiast zachowanie Basi wobec Janiny jest dla mnie zagadką. „Poga-201

daj z nią trochę” - próbuję przełamać lody, ale moja córka tylko potrząsa głową na znak odmowy. Najwyraźniej moja próba pośrednictwa jest jej niemiła, a być może nawet ją żenuje. Basia nigdy nie miała problemów z nawiązywaniem znajomości. To osoba wybitnie towarzyska, prawdziwa dusza towarzystwa. Zawsze i wszędzie szybko znajdowała przyjaciół. Odkąd ma raka, jest inaczej.

Środa, 14 sierpnia 2002

Basia

Kiedy pani Gampert na początku naszego drugiego spotkania pyta mnie, jak się czuję, natychmiast przystępuję do rzeczy i zaczynam opowiadać jej o swojej wielkiej niechęci, a nawet wstręcie do chemioterapii. Ta sprawa bardzo mnie nurtuje. Moja terapeutka patrzy na mnie uważnie, a następnie zadaje mi pytanie, dlaczego - według mnie - tak się dzieje. Co może być źródłem owej awersji.

„Kolor i konsystencja tej cieczy są po prostu ohydne. Włosy jeżą mi się na głowie, kiedy widzę, jak to sraczko-wate świństwo wpływa do mojego ciała przez umocowany na moim brzuchu aparacik, nazywany w klinice „hicky”. A potem śmierdzą tak szkaradnie, że sama siebie się brzydzę. Okropność!”. Już na samą myśl o tym wstrząsam się z obrzydzeniem. „Czy to właśnie nazywasz pozytywnym myśleniem?” -w głosie pani Gampert pobrzmiewa leciutka nagana, ale to wystarcza, żebym się trochę zawstydziała. „Oczywiście, że nie, ale przecież w chemii nie ma nic pozytywnego”, odpowiadam przekornie.

202

Do końca naszego godzinnego spotkania pani Gampert próbuje zmienić moje negatywne nastawienie do tego „sracz-kowatego świństwa” i odmalowuje mi piękne obrazy mające związek z chemią. Według niej powinnam całkowicie przestawić swoje myślenie na ten temat, zmienić diametralnie moje nastawienie do chemioterapii i ustawicznie myśleć o tym, że chemia jest dla mnie prawdziwym dobrodziejstwem, ponieważ niszczy moje chore komórki. Aby lepiej zakodować w podświadomości tę informację, mam sobie wyobrażać, jak ta ciecz oczyszcza moje wnętrze, wypłukuje je ze wszystkich brudów i pozostawia świeżym i błyszczącym.

Nie jest mi łatwo zaakceptować jej tok myślenia i przyjąć te obrazy, ale rozumiem, o co jej chodzi. Pani Gampert nie wypuszcza mnie bez przyrzeczenia, że spróbuję przynajmniej włączyć świadome, pozytywne myślenie podczas następnego zabiegu. Pewnie, że spróbuję!

Mama

Basia i ja zazwyczaj umawiamy się z panią Gampert tego samego dnia. Podczas gdy jedna z nas jest w jej gabinecie, druga czeka w „salonie”. Zwykle biorę ze sobą książkę, a Basia swojego „gameboya”.

Od ostatniego spotkania z panią Gampert mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, więc nie potrzebuję żadnej książki, żeby wypełniać sobie czas, czekając na Basię. Cała moja dotychczasowa egzystencja została zakwestionowana. Moje życie to wielki znak zapytania. Zastanawiam się gorączkowo, jak i co mogę zacząć od nowa, mając na karku czterdziestkę. Wiem tylko, że jeśli chodzi o mój zawód i pracę, to znów potrzebuję „action”. Inaczej nic nie zmieni się na lepsze.

203

Sięgam pamięcią do czasów, gdy jako świeżo upieczona fizjoterapeutka, po ukończeniu szkolenia w zakresie osteopatii, podjęłam pracę zawodową. Jak najbardziej zgodną z moim wykształceniem. Pracowałam wtedy dwa lata w szpitalu na oddziale dla sparaliżowanych z porażeniem poprzecznym. To była prawdziwa harówka, padałam na nos ze zmęczenia, ale byłam w swoim żywiole. Tam przynajmniej coś się działo. Na brak „action” nie mogłam narzekać. Podstawą mojej pracy były wprawdzie standardowe zestawy ćwiczeń, ale liczyło się przede wszystkim bardzo konkretne i efektywne działania zorientowane na szybką poprawę kondycji naszych podopiecznych. To było dobre uczucie -aktywnie pomagać innym ludziom. Uczyć ich od nowa wykonywania prostych, codziennych czynności. Od świtu do nocy ćwiczyliśmy z nowymi pacjentami różnego rodzaju zmiany pozycji, przenoszenie się z wózka inwalidzkiego do samochodu, do łóżka i z powrotem. Również tak zwany trening miejski - pokonywanie krawężników, schodów itd. -był interesującym i dającym satysfakcję zadaniem.

Może powinnam jeszcze pójść na medycynę? To było zawsze wielkie życzenie mojego ojca. W takim przypadku jednak, w grę wchodziłoby tylko pogotowie ratunkowe albo ostry dyżur. Wszystko bowiem wskazuje na to, że praca sprawia mi przyjemność tylko wtedy, kiedy jestem aktywna, kiedy mogę szybko działać i aktywnie pomagać innym. Stagnacja, siedzenie za biurkiem? O nie, dziękuję, to nie dla mnie!

Jako młoda dziewczyna chciałam zostać aktorką. Z pewnością nie byłam w tym szczególnie oryginalna, bo niemal wszystkie moje koleżanki marzyły o karierze gwiazdy filmowej, ale one zazwyczaj zadowalały się tylko marzeniami. W moim przypadku było inaczej. Sprawy zaszły tak da-

204

leko, że przystąpiłam do egzaminu do szkoły aktorskiej. Potajemnie, w największym sekrecie przed moimi rodzicami, którzy nigdy by się na to nie zgodzili.

Oblałam egzamin i zawstydzona odłożyłam swoje piękne marzenie ad acta. Przez wiele lat wcale o tym nie myślałam. Do chwili, kiedy urodziła się Basia, która niemal od kołyski wykazywała wielki entuzjazm dla sztuki aktorskiej. Już w delikatnym wieku trzech lat uwielbiała publiczne występy i na każdej uroczystości rodzinnej musiała wystąpić z jakimś popisowym numerem. Byłam bardzo sceptyczna wobec tej zadziwiającej manii „pokazywania się” mojej córki, ponieważ nie chciałam być uważana za jedną z tych matek, które „tresują” regularnie swoje dzieci ku uciechu gawiedzi. Ale w miarę upływu lat miałam coraz większe trudności z okiełznaniem jej apetytu na aktorstwo. W końcu się poddałam, bo cóż innego mi pozostało. Kiedy miała sześć lat, znalazłam dla niej warsztaty teatralne dla dzieci w wieczorowej szkole artystycznej w Biberach. Basia była w siódmym niebie. Od samego początku była niezwykle zaangażowana w swoją artystyczną działalność i zawsze miała wielką frajdę, kiedy stawała na scenie.

Przez wiele lat skutecznie tłumiłam wspomnienie o moim własnym młodzieńczym marzeniu. Do chwili, gdy przyłapałam się na myśli: „Życzyłabym sobie, żeby moi rodzice tylko w połowie wspierali moje talenty i zamiłowania, tak jak ja to robię z Basią!”. Czyżbym była zazdrosna o własną córkę? Nigdy - zbyt dobrze się znam, to do mnie zupełnie niepodobne. Jestem tylko trochę smutna, kiedy pomyślę, że moje życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej.

A teraz znów znalazłam się w punkcie zwrotnym. Ze względu na mój wiek mogę prawdopodobnie po raz ostatni w życiu podjąć decyzję dotyczącą mojej pracy zawodowej.

205

Ale też po raz pierwszy zrobić to całkowicie samodzielnie, nie ulegając wpływom i sugestiom innych. Jestem dojrzałą kobietą. Nikomu nic już nie jestem winna. Nie muszę się przed nikim tłumaczyć. Ani przed mamą, ani przed tatą... Mogę robić to, na co mam ochotę.

A może powinnam zostać aktorką? Więc jednak nie pogrzebałam do końca swojego dawnego marzenia...

Ponieważ najróżniejsze myśli i pomysły krążą mi po głowie, a w żaden sposób nie mogę zdecydować się na coś konkretnego, chcę poprosić o radę Elmera.

Poniedziałek, 19 sierpnia 2002

Basia

Siódmy dzień drugiego bloku chemii. Dzień „vincristinu”. Muszę niemal uśmiechać się na myśl, że z powodu tej śmiesznej, miniaturowej strzykawki, musimy jechać do Ulm.

Strzykawka sama w sobie jest szybko wstawiona, ale potem wiszę jeszcze ponad godzinę na kroplówce, żeby wypłukać szkodliwe substancje z mojego organizmu.

„O, ludzie, to dopiero jest zaraza! A niech to diabli!” -marudzę, opuszczając klinikę. Tak dla zasady, żeby nie myśleli, że zaczęło mi się podobać. Mama patrzy na mnie tak jakoś dziwnie, ale nic nie mówi. Jedziemy przez całe miasto, zmierając w kierunku autostrady. Mama skręca niespodziewanie w ulicę, którą do tej pory nigdy nie jechałyśmy. Jestem pewna, że nie znam tej drogi, ponieważ mam podobno doskonałą pamięć wzrokową. - „Hej, co ty wyrabiasz? Pomyliłaś drogę! Gdzie jedziesz?” - wołam zadziwiona.

206

„Siedź cicho i o nic nie pytaj!” - rozkazuje mama z tajemniczą miną. Zatrzymujemy się przed wielką restauracją. „Wiley's Club” oznajmiają wielkie litery nad drzwiami wejściowymi.

Wciąż jeszcze nie mogę pojąć, o co chodzi.

„Czy ty... masz może zamiar wejść do środka?” - pytam z niedowierzaniem. - „A jakże!” - oczy mamy błyszczą radośnie. Wygląda jak mała psotnica, której udało się spletać figla. „Ale przecież to jest surowo zabronione! Doktor powiedział... Czy już zapomniałaś, że nie mogę chodzić między ludźmi? I ryzykować, że zarażę się jakimś świństwem!” -niechętnie daję jej pod rozwagę ten szalony pomysł. No pewnie, że miałabym ochotę na smaczny obiadzik w restauracji. W dodatku - wśród całkiem „normalnych” ludzi. Ale lekarze...

Mama mruga do mnie porozumiewawczo i czym prędzej rozprasza moje obawy. - „O tej porze niewiele się tutaj dzieje. Jest dopiero wczesne popołudnie. Chodź moja droga, pozwólmy sobie na małe co nieco!”.

Idę za nią z ociąganiem, gotowa odwrócić się na pięcie i zwiać, jeśli lokal będzie pełny.

Wchodzimy do ogromnej sali z bardzo eleganckim wystrojem. Cicha jazzowa muzyka, stoły na szczęście tylko umiarkowanie zajęte. Wcale nieźle jak na początek...

Wyszukujemy stół nieco z boku sali, schowany za bogato zdobioną kolumną. Jestem oszołomiona. - „O rany” -szepczę do mamy, „jak tu wytwornie, fiu, fiu! A tak w ogóle, to gdzie my jesteśmy?”.

„To dawne kasyno oficerskie Amerykanów” - mówi mama - „a jedzenie jest tutaj po prostu fantastyczne! Poczekaj tylko, a sama się przekonasz!”.

207

Mara

Biedna Basia! Była taka przybita po naszej ostatniej wizycie w klinice - znowu chemia dożylna - i miała taką nieszczęśliwą minę, że musiałam szybko działać. Zwłaszcza że jeszcze przez wiele miesięcy będziemy musiały jeździć do Ulm do kliniki dziennej. Muszę koniecznie coś wymyślić, żeby Basia mogła cieszyć się na te dni.

Dopiero kiedy jedziemy przez nowe Ulm, wpada mi do głowy „Wiley's”. To miejsce jest mi dobrze znane. Dawniej często przychodziłam tutaj z przyjaciółmi na obiad lub kolację. Jeśli miałam do wyboru jakiś lokal, „Wiley's” był zawsze moim faworytem. I nigdy mnie nie zawiodł, dzisiaj też chyba nie... Na razie jest to tylko próba generalna, mam wrażenie jednak, że bardzo udana: Basi podoba się tutaj tak samo jak mnie. Intuicja znów mnie nie zawiodła. Czyli -strzał w dziesiątkę!

Postanawiamy, że po każdej wizycie w dziennej klinice będziemy wspólnie chodzić na obiad do Wiley'sa. Znalazłyśmy swoje highlight, które uprzyjemni nam tak nielu-biany dzień chemii, czyniąc go zdecydowanie bardziej znośnym.

Środa, 21 sierpnia 2002

Basia

Dzisiaj przychodzi Mel!

Moja „stara” przyjaciółka, jeszcze z czasów przedszkolnych, z którą do tej pory nie straciłam kontaktu, nawet podczas mojego pobytu w internacie. Jestem niesamowicie

208

podekscytowana - i nie ma się czemu dziwić! Odkąd zachorowałam na raka, nie odwiedziła mnie żadna z moich przyjaciółek.

Nasza pierwsza rozmowa telefoniczna po tak długim czasie milczenia była dość dziwna. Na początku opowiedziałam Mel, dlaczego tak długo nie dawałam znaku życia, a potem ona zapytała mnie, czy jestem już zupełnie zdrowa.

„Bardzo bym się cieszyła, gdybyś mogła mnie odwiedzić, strasznie się za tobą stęskniłam, naprawdę. Ale musisz być w stu procentach zdrowa, to bardzo ważne. Nie możesz mieć nawet kataru. Z powodu chemioterapii, mam teraz bardzo mało sił odpornościowych, tak mówią lekarze, i dlatego muszę trzymać się z daleka od ludzi, którzy na coś chorują. I wcale nie musi to być żadna poważna choroba. Nawet zwykłe infekcje mogą być dla mnie bardzo niebezpieczne, wiesz?”.

Głos Mel był podejrzanie cichy, kiedy mnie zapewniała, że ona również chciałaby jak najszybciej się ze mną zobaczyć. - „Muszę już kończyć, mam coś do załatwienia na mieście. Miałaś szczęście, że jeszcze mnie złapałaś!”.

Nie ciekawi mnie ani trochę, dlaczego ta niepoprawna gaduła jest dzisiaj taka małowówna. Nie mam ochoty zastanawiać się nad tym. Cieszę się tylko niesamowicie, że znów zobaczę moją kochaną Mel!

Kiedy po południu wreszcie słyszę dzwonek, pędzę na łeb na szyję do sieni, żeby otworzyć jej drzwi. Obejmuję Mel z całej siły i mówię, jak bardzo się cieszę, że ją widzę. Dopiero potem wpada mi w oko, że moja przyjaciółka jest dziwnie speszona. Stoi ze spuszczoną głową, przestępując z nogi na nogę.

„Halo, Mel, to ja, Basia” - próbuję przypomnieć jej o łączącej nas niegdyś serdecznej więzi. Ponieważ w dalszym

209

ciągu wydaje się nieco zakłopotana, chwytam ją za rękę i zaglądam przyjaźnie w oczy. - „Chodź, pójdziemy do mojego pokoju” - proponuję. Gdy już w nim jesteśmy, Mel wreszcie odzyskuje mowę: „Czy mogę cię o coś spytać?”. - „No jasne, pytaj o co tylko chcesz. W końcu znamy się jak łyse konie, a ja naprawdę nie zmieniałam się, pomimo że jestem chora” - próbuję ją rozluźnić. Mel powinna zobaczyć, że ten temat wcale mnie nie krępuje. - „O raka też?”. - „O raka też!”.

Na początku wyznaje mi z całą szczerością, że w dniu, w którym do niej zadzwoniłam, wcale nie musiała nigdzie wychodzić. To było takie małe kłamstwo „dla dobra sprawy”. Mel była bardzo wzruszona, miała wielką gułą w gardle i myślała, że zaraz się rozplacze, ale nie chciała, żebym się zorientowała, że coś jest nie tak. Dlatego tak szybko zakończyła rozmowę.

„Ale dlaczego? - wykrzykuje. - „Przecież ja wyzdrowieję. Nie martw się, na pewno nie umrę!”.

Potem Mel zadaje mi tysiąc pytań na temat mojej choroby i sposobów jej leczenia. Jakby nie było, jestem w tej kwestii prawdziwym ekspertem, więc z wielką ochotą udzielam jej odpowiedzi na wszystkie pytania. Moja przyjaciółka słucha w skupieniu i od czasu do czasu chrząka. Widzę po jej minie, że jest bardzo przejęta.

Kiedy do mojego pokoju wchodzi mama, niosąc na tacy codzienną porcję tabletek z godziny szesnastej, Mel robi wielkie oczy. Ponieważ tkwię w środku drugiego bloku chemioterapii, jest to znów dziewięć kapsułek, które muszę połknąć „za jednym zamachem”. Niestety, nawet w obecności mojej przyjaciółki nie udaje mi się tego dokonać. A przecież to tylko bardzo „poręczne” kapsułki. Sama nie wiem dlaczego, ale naprawdę wstydzę się tego braku „raty-210

ny”. Znów potrzebuję całego wiadra wody, żeby popłynęły w dół. Spoglądam z zażenowaniem na Mel. Ale na jej twarzy nie mogę wyczytać nic więcej, tylko szczere współczucie. Kochana, dobra Mel, kto jak kto, ale ona jest prawdziwszą przyjaciółką. Najprawdziwszą pod słońcem! Nie wyśmiewa mnie, nie stroi żartów z moich „niedoskonałości”, i za to jestem jej bardzo wdzięczna.

Mama

Podczas gdy Basia gawędzi ze swoją przyjaciółką, sprawdzam moje e-maile. Komunikat Elmera już jest! Natychmiast go czytam.

Czy Claudia powinna w dalszym ciągu wykonywać swój wyuczony zawód (osteopata), czy też raczej zmienić kierunek i charakter swojej pracy?

Tak, widzę. Kochana ziemską istotą Claudia ma jeszcze bardzo, bardzo dużo drzemiących w niej talentów, i dlatego w miarę możliwości nie powinna ograniczać się do jednego obszaru - w przyszłości zawsze będzie mogła to zrobić.

U kochanej istoty ziemskiej Claudii chodzi o to, że ona potrzebuje dużo ruchu i odmiany. Dziedzina, której obecnie się poświęca, osteopatia, jest dobra, ale przecież jest tak, że ona sama, z własnej woli chce również posuwać się dalej, wciąż do przodu. Jej dusza tak bardzo ją ponagla, że ona musi przez cały czas się rozwijać, musi rozwinąć skrzydła. Inaczej być nie może!

Kochana istota ziemską Claudia ma w sobie zadatki na dobrą aktorkę, również muzyka jest jej dziedziną, która wiele w niej wzbudza i uwalnia - jej kreatywność, za sprawą osteopatii, jest po części sparaliżowana. Stąd również

211

wewnętrzne niezadowolenie, nieustanne poszukiwania dalej i dalej oraz niezdolność, by czuć się dobrze jak u siebie w domu - ani tu, ani tam - czyli nigdzie.

Claudia mówi, że dawniej chciała być aktorką.

TAAAAAK, TO jest to! Ona ma to w sobie, i to zawsze będzie ją tam pchać - ten pęd może do pewnego stopnia wyrównać za pośrednictwem pracy terapeutycznej. Ona należy zaprawdę do sceny i powinna to również robić.

Powinna to robić!

Czy to znaczy, że powinna wstąpić do szkoły aktorskiej?

To byłoby dokładnie to, co odpowiada jej naturze. Dokładnie!!! Kochana ziemską istotą Claudia może łączyć różne dziedziny, może to wbudować w terapeutyczny tor, i wtedy znów będzie na swoim połu - wcześniej nigdy nie znajdzie naprawdę wewnętrznego spokoju.

Wtedy znajdzie spełnienie, wtedy odnajdzie samą siebie, wtedy będzie tam, „dokąd wyrывa się jej dusza”. Jeśli tego nie zrobi, będzie zawsze dręczyć ją niepokój, ciągła gonitwa za czymś - „nie wiadomo czym” i jeszcze brak równowagi, brak harmonii i swego rodzaju brak orientacji. Zawsze!

W czym leży jej siła?

W jakimkolwiek kierunku pójdzie, pożądane są zwrot-ność, ruch i kreatywność. Ona może grać na scenie, być aktorką, prowadzić głębokie rozmowy, może dawać innym bodźce, mobilizować do działania, może zachwycać, i w końcu może dobrze sprzedawać. Wszystkie te kierunki muszą być jednak kombinowane, żeby mogła „podróżować”. Wewnętrznie, jak również zewnętrznie. Ponieważ dla kochanej ziemskiej istoty Claudii nie ma nic gorszego, niż

212
uwiązanie do jednego miejsca, przypisanie do jednego toru (zawodowo, jak również prywatnie).

Przeszkadzające jest myślenie, które wydaje się biec jeszcze po bardzo konwencjonalnych torach - od tego wszystkiego musi się stopniowo uwalniać. Ponieważ to są kajdany, okowy i nic innego. Ona musi krok po kroku, coraz bardziej i bardziej wyswobadzać się z tych kajdan. A zatem aktorstwo! Wypowiedź Elmera jest bardzo wyraźna.

Czyli muszę jeszcze raz spróbować! Przez dwadzieścia lat wynosiłam na piedestał decyzję gremium pewnej szkoły aktorskiej, która brzmiała „nie” i tym samym rozwiąła ostatecznie moje nadzieje na karierę sceniczną. „Nie jesteś dość dobra”, to było jak piętno wypalone na mojej duszy. Ale jeśli Elmer mówi, że mam talent i predyspozycje na dobrą aktorkę, to jego opinia jest dla mnie o wiele więcej warta, aniżeli werdykt wszystkich komisji egzaminacyjnych szkół aktorskich tego świata.

Natychmiast włączam internet i zaczynam pytać wyszukiwarkę o szkoły aktorskie w Baden Württemberg. Wiele z nich ma ograniczenie wiekowe, ale w końcu udaje mi się znaleźć prywatną szkołę aktorską w Sztuttgarcie, która przyjmuje również starszych ludzi (Boże, jak to brzmi!). Następny egzamin odbędzie się piątego września. Czyli pozostały mi zaledwie dwa tygodnie! Na szczęście, wymagają tylko improwizacji, swobodnego odegrania kilku krótkich scenek bez uprzedniego przygotowania. To jeszcze potrafię!

Natychmiast wypełniam kartę zgłoszeniową online i wysyłam ją pod wskazany adres.

213

Sobota, 24 sierpnia 2002

Mama

Do tej pory Basia nic nie wiedziała o moim zawodowym, a przy okazji życiowym dylemacie. Może tylko domyślała się, że coś jest nie tak, może uznała, że przechodzę „kryzys wieku średniego”, ale to też nic pewnego. Teraz nadszedł czas, żeby ją wtajemniczyć. Muszę jej powiedzieć, że chcę jeszcze raz spróbować i dlatego zamierzam przystąpić do egzaminu wstępnego w szkole aktorskiej.

Kiedy myślę o czekającej mnie rozmowie, czuję się dość dziwnie. W pewnym sensie mam wyrzuty sumienia, choć oczywiście nie mają one nic wspólnego z osławioną rywalizacją między matką i córką, ponieważ w naszym przypadku taka rywalizacja po prostu nie istnieje. Chodzi o to, że do tej pory aktorstwo było wyłączną dziedziną Basi. Jej domeną. Czy moja córka nie poweźmie podejrzeń, że chcę odebrać jej coś bardzo ważnego? Być może, dojdzie do wniosku, że jej matka zupełnie upadła na głowę i będzie się bała, że najzwyczajniej w świecie się ośmieszę. A przy okazji ją...

Podczas obiadu od razu przystępuję do tematu. Bez długich mów wstępnych i owijania w bawełnę, skaczę na główkę do zimnej wody. „Basiu, zgłosiłam się na egzamin wstępny do szkoły aktorskiej”.

Basi wypada z ręki widelec. - „Cooo? Czyś ty zupełnie zwariowała?” - słyszę zdumiony okrzyk. Patrzę na nią speszona. No cóż, mogłam się tego spodziewać... Ale ona szczerzy zęby w uśmiechu i nagle uświadamiam sobie, że moja córka doskonale się bawi, wyobrażając sobie swoją „starą matkę” na scenie. Nie, nie jest bynajmniej przerażona, zdenerwowana albo absolutnie przeciw. Jest tylko bar-

214

dzo zdziwiona. I ma do tego pełne prawo. Aby wyjaśnić jej, skąd wziął się ten pomysł, muszę cofnąć się w przeszłość. Uchyłam więc rąbka tajemnicy i opowiadam mojej dziwiącej się córce o swojej potajemnej próbie sprzed wielu lat, która zakończyła się sromotną klęską. Basia nie może się nadziwić, co z kolei mnie wcale nie dziwi. Skąd mogła wiedzieć, że jako młoda dziewczyna marzyłam o tym, żeby stanąć na deskach sceny, które wtedy znaczyły dla mnie świat. Przecież nikt o tym nie wiedział, nawet moi rodzice. Później opowiadam jej o wszystkich moich wątpliwościach dotyczących mojej obecnej pracy zawodowej, ponieważ stało się dla mnie jasne, że zawodowo nie jestem ani zrealizowana, ani - co za tym idzie - szczęśliwa, co zostało potwierdzone przez Elmera, który uznał, że najbardziej optymalna jest dla mnie kombinacja aktorstwa i pracy terapeutycznej. „Wiesz, Basiu, muszę ci podziękować” - kończę swoją opowieść. - „Ten czas nie jest dla ciebie najłatwiejszy. Tyle się już wycierpiałas, tak wiele przerabiasz, i tak wiele jeszcze przed tobą, ale w ten sposób pomagasz mi również odnaleźć się. Właśnie tak, ponieważ mam wrażenie, że trochę się pogubiłam, że droga, którą szłam, wcale nie była moją drogą. Takie rzeczy zdarzają się każdemu z nas. Najważniejsze, to znaleźć właściwy trop. Mnie się chyba to wreszcie udało. Dzięki długiej przerwie w pracy miałam wiele czasu, żeby zastanowić się nad naszym życiem i teraz już wiem, że popełniłam wiele błędów. Ale obiecuję ci, że wszystko naprawię. Przekonasz się o tym już niebawem, mój ty dobry duszku. Przed nami jeszcze wiele pięknych dni. Będziemy ze sobą bardzo szczęśliwe! Twoja przygnębiona, zgryźliwa i zawzięta matka już nie istnieje. Zadbam o to, żebyśmy my dwie, ty i ja, mogły już od dziś naprawdę cieszyć się życiem!”.

215

Basia wpatruje się jak zaczarowana w moje usta. Kiedy spoglądam na nią prosząco, czekając na jej przyzwolenie, rzuca mi się na szyję, wołając radośnie: „Wspaniale, wspaniale mamo! Jeśli to zrobisz, będę za ciebie trzymać kciuki. I naprawdę strasznie się cieszę, kiedy widzę, że jesteś taka szczęśliwa!”.

Basia

Rozmowa z mamą to był prawdziwy hit sezonu!

W pierwszej chwili pomyślałam, że mamie po prostu odbiło. No cóż, każdemu może się zdarzyć - moja mama też nie jest tutaj żadnym wyjątkiem, jak się okazuje. Z drugiej strony jednak uznałam, że jej pomysł jest naprawdę wspaniały. Mama była taka podekscytowana i taka szczęśliwa, że bardzo szybko zaraziła mnie swoim zapałem i przekonała do tego pomysłu.

Tak otwarcie i szczerze jak dziś jeszcze nigdy ze mną nie rozmawiała, zwłaszcza o sobie i swoich sprawach. W ogóle do tej pory nigdy nie doświadczyłam jej takiej radosnej i wyluzowanej. O takiej matce zawsze marzyłam w głębi duszy. No i proszę, wreszcie się doczekałam!

Już mając dziewięć lat, wyczuwałam intuicyjnie, kiedy była smutna. Bardzo mnie to martwiło, ale kiedy chciałam się dowiedzieć, co się dzieje, zawsze otrzymywałam jedną i tę samą odpowiedź: „Nic”. Czasami płakała. A ja po prostu nie mogłam znieść widoku jej łez. Zawsze myślałam, że to moja wina. Gdyby tylko mi powiedziała, co ją tak przygniata i martwi; Dlaczego jest taka smutna. Już ja wiedziałabym, jak ją pocieszyć. Ale nigdy tego nie zrobiłam. Nie dała mi szansy. - „Nie dotykaj mnie, zostaw mnie w spoko-

216

ju!” - mówiły jej oczy. To tak bardzo bolało, za każdym razem czułam, jak serce mi pęka. Właśnie przychodzi mi do głowy, że po moich przedstawieniach mama dość często wspominała, że również miałaby wielką ochotę zagrać na scenie. - „Ale cóż, jestem już na to za stara, niestety...” - od razu pozbywała się tego życzenia, ścierała je z serca jak dyżurny w klasie ściera brudną tablicę. Wtedy tego nie rozumiałam. - „Dlaczego po prostu nie spróbujesz?” - chciałam ją zawsze zapytać. Ale nigdy nie zapytałam, nie miałam odwagi...

Odkąd jestem chora, mama jest zadziwiająco aktywna, zawsze w dobrym humorze, zawsze elokwentna i dowcipna. Dawniej było inaczej, przeważnie była jakaś taka poważna, jakby nosiła ciężkie brzemie, którego nie potrafiłam wprawdzie opisać, ale które również dla mnie było niezwykle uciążliwe. Zbyt wiele nas dzieliło, zbyt wiele niewypowiedzianych słów było między nami. Z tych nigdy niewypowiedzianych słów rósł między nami niewidoczny mur, który potężniał z każdym dniem.

Mieszkałyśmy ze sobą, jadłyśmy przy jednym stole, rozmawiałyśmy ze sobą, ale nigdy nie byłyśmy wobec siebie do końca szczere. W naszych relacjach zabrakło zwykłego ludzkiego ciepła i otwartości. Sądzę, że teraz obie nauczyłyśmy się tego u pani Gampert.

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002

Basia

Dzisiaj znowu dzień chemii w klinice dziennej. Duża i mała strzykawka. Ostatni dzień drugiego bloku chemioterapii.

217

Myślę o pani Gampert i obrazach, które wbijała mi do głowy w czasie naszych ostatnich dwóch sesji. Chemia dobrze mi robi. Chemia sprawia, że wyzdrowieję. Chemia rozprzestrzenia się łagodnie i oczyszczająco w moim ciele, niszczy wszystkie złe komórki i pomaga dobrym, żeby stały się znów zdrowe i silne.

A ja nie mogę się już doczekać naszego wspólnego obiadu zamykającego ten dzień.

Uwielbiam te nasze potajemne eskapady do dawnego kasyna Amerykanów.

Niecierpliwie wpatruję się w czarną skrzyneczkę, której mechanizm naciska tłok dużej strzykawki i w ten sposób pozwala skapywać zawartości strzykawki do mojego „hicky”.

Wszystko to trwa nieskończenie długo. Dlaczego ten cholerny mechanizm nie może się pospieszyć, myślę z wściekłością.

Janina znów jest razem ze mną, leży w łóżku obok i z godną podziwu cierpliwością znosi tę samą procedurę.

„Scrabble?” - słyszę nagle pytanie. Zaskoczona spoglądam w jej stronę. Rzeczywiście, moja towarzyszka mówi do mnie. - „Tak, bardzo chętnie!” - odpowiadam spontanicznie.

Wymieniamy ze sobą tylko kilka informacji. I tak dowiaduję się, że Janina ma również chorobę Hodgkina, i że jest to już jej ostatni blok chemii. „Ale ci dobrze!” - wzdycham z zazdrością. Potem rozmawiamy już tylko o grze. Obie mamy spoglądają na siebie ze śmiechem, ciesząc się zapewne z naszej „komitowy”, po czym wychodzą na korytarz, żeby sobie pogawędzić.

A potem Janinie robi się nagle niedobrze. Naciskam guzik, żeby przywołać siostrę, która zjawia się bardzo szybko, ale, niestety, nie dość szybko, żeby podstawić Janinie miskę, zanim ta zwymiotuje.

Zaalarmowane przez siostrę, do pokoju wpadają nasze matki. Na ich twarzach maluje się niepokój. Mojej mamie

218

w widoczny sposób ulżyło, gdy przekonała się na własne oczy, że ze mną wszystko w porządku, że nie dzieje mi się żadna krzywda. Tymczasem matka Janiny, w najwyższym stopniu zdenerwowana, podbiega do swojej córki, która w dalszym ciągu dławi się i zgina w pół.

Jestem w szoku, ale wcale nie dlatego, że Janina zwymiotowała, bo takie rzeczy od dawna już mnie nie szokują, ale dlatego, że jest to przecież ostatni blok jej chemioterapii, a w dalszym ciągu zwraca tak, jak ja to robiłam w swoim najgorszym, początkowym okresie. Mój ciężko wypracowany optymizm zaczyna się niebezpiecznie chwiać. Czy u mnie też się teraz zacznie? Czy znów będę rzygała jak kot? Moje włosy też jeszcze nie wypadły. Być może moje dobre samopoczucie jest tylko chwilowe, ale to się zmieni i z każdym kolejnym blokiem chemii znowu będzie gorzej.

Janina jest już tylko kłębkim nieszczęścia, kiedy tak siedzi z pobladłą twarzą, przebierana w nową piżamę przez swoją matkę, podczas gdy siostra zmienia jej pościel. Tak bardzo mi jej żal, biedaczka...

Opuszczając klinikę mam wrażenie, że pozostawiam tam kawałek mojej wiary i pewności siebie. Mój ponury nastrój nie umyka bystrym oczom mamy, ale zaczyna mnie wypytywać dopiero wtedy, gdy już siedzimy u „Wiley'sa”, czekając na nasze zamówienie.

„Jak się czujesz?” - „Dobrze!” - „Chyba jednak nie za bardzo. Coś cię gnębi. Poznaję to po twojej minie. No Basiu, wyrzuć to wreszcie z siebie!” - „Okay. Jeśli tak bardzo ci zależy...

Boję się, że niedługo będę znów czuła się tak samo podle jak Janina”. - „Ależ dziecko, przecież ty masz środek przepisany przez homeopatę. Odkąd go bierzesz, czujesz się znacznie lepiej, a przede wszystkim już nie wy-

219

miotujesz. Dlaczego miałoby się to teraz zmienić?”. - „Ponieważ mam dziwne przecucie, że chemia wciąż jeszcze nie działa. No powiedz sama, przecież mam jeszcze wszystkie włosy na głowie!”.

Mama patrzy na mnie z uwagą, a potem przypomina mi o mocy pozytywnego myślenia, jak również o zgubnych skutkach negatywnych myśli. Ma rację, nie powinnam tak szybko się zniechęcać, tylko z powodu jednego fatalnego incydentu. To byłaby najgorsza rzecz, którą mogłabym teraz zrobić. A zatem - w dalszym ciągu myśleć pozytywnie! Dopiero gdy ta sprawa zostaje wyjaśniona, mama powraca do wspomnianej przeze mnie kwestii włosów. Sądzę, że w głębi duszy jest zadowolona, iż wreszcie poruszyłam ten temat. Mam nawet wrażenie, że od dawna na to czekała. Ale w porównaniu do wszystkich innych katastrof, które do tej pory musiałam przetrwać, nieuniknione wypadanie włosów - bo ono chyba jest nieuniknione! - wcale nie wydaje mi się tak bardzo istotne.

„Stracisz włosy. Jak się czujesz, kiedy o tym myślisz? Czy wyobrażałaś już sobie, jak będziesz wyglądać bez włosów?”. - „No cóż, jeśli mam być szczerą, to wcale nie myślę, żeby to było szczególnie ekscytujące przeżycie. Znam fajniejsze... Ale biorę pod uwagę również i tę ewentualność, i godzę się na nią, ponieważ chcę być zdrowa. Po prostu. W końcu moje włosy kiedyś znów mi odrosną!”.

Mama patrzy mi twardo w oczy, szuka w nich kłamstwa lub niepewności, aleja bez trudu wytrzymuję to spojrzenie. Nie muszę jej oszukiwać. Powiedziałam prawdę. Wypadanie włosów minie, jak tylko skończy się chemia. Mama milczy przez chwilę, a potem bierze mnie za rękę i mówi, że naprawdę mnie podziwia, i że jest ze mnie bardzo dumna, ponieważ stałam się taka „dorosła”.

220

Czwartek, 29 sierpnia 2002

Basia

Wstając rano z łóżka, rejestruję kątem oka jakiś ciemny kształt na mojej poduszce. Chwila konsternacji, i już wiem! To odkrycie uderza we mnie jak grom z jasnego nieba: na poduszce leży graby kłęb moich długich włosów. Leży tam tak, jakby ktoś obciął mi go w nocy. Moje ręce wystrzelają automatycznie do góry, łapię się za głowę i zaczynam obmacywać ją w panice. Nie czuję żadnego łysego miejsca. Ostrożnie przejeżdżam palcami po włosach i znów trzymam ich pęczek w moich rękach.

O Boże, więc jednak... A już myślałam, że mi się uda.

„Mamo!” - krzyczę wniebogłosy i wypadam jak szalona ze swojego pokoju. Spotykamy się w połowie drogi między kuchnią a pokojem. Słyszając mój okrzyk, mama rzuciła wszystko i pospieszyła mi na ratunek. Nic dziwnego, przeraźliwy ton mojego głosu poderwałby na nogi nawet zatwardziałego grzesznika, a cóż dopiero moją mamę! - „Co się stało?” - pyta zdumiona, widząc mnie przed sobą całą i zdrową. Nic nie mówię, tylko wyciągam w jej stronę obie ręce, w których trzymam przekłete kołtuny. Teraz mama, podobnie jak ja

wcześniej, potrzebuje kilku sekund, żeby zrozumieć, co naprawdę się wydarzyło. - „Aha”, w głosie mamy pobrzmiwa coś na kształt ulgi. - „A więc zaczyna się!”.

Kiwam zmartwiona głową. - „No już, uspokój się. Nie ma co dramatyzować. Przecież wiedziałaś, że prędzej czy później to się stanie!”, mówi mama z udawaną szorstkością, próbując pocieszać mnie na swój sposób. - „No, niby tak...” - odpowiadam głucho. Ale wcale nie jestem przekonana.

221

Z moim „ekstremalnie ekspresowym” wypadaniem włosów oswajam się nadzwyczaj szybko, bo już po śniadaniu. Chyba głównie dlatego, że mama przypomina mi o tym, co powiedzieli lekarze: „Wypadanie włosów to najlepszy dowód na to, że chemia działa!”. A zatem, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się cieszyć, że wreszcie wypadają mi włosy. Najgorsze, że to wcale nie jest takie łatwe!

Po południu przychodzi z wizytą babcia. Siedzimy na tarasie w cieniu wielkiego parasola i zajadamy domową szarlotkę przyniesioną przez babcie. Gdy już najadłam się jak bąk, odstawiam na bok talerzyk i prezentuję jej z dumą mój specjalny efekt „przejeżdżania palcami po włosach”. Babcia wytrzeszcza oczy, nie bardzo rozumiejąc, co to wszystko ma znaczyć. Pocziwa staruszka jest najwyraźniej wytrącona z równowagi. „Moje ty biedactwo!” - wykrzykuje w końcu ze grozą. „Tak bardzo mi ciebie żal!” - babcia uważa zapewne, że musi mnie pocieszyć.

Ale ja tylko macham ręką, uśmiechając się nonszalancko: „To wcale nie jest takie okropne, babciu. To znaczy, że chemia działa”.

Pomimo moich zapewnień, że wszystko jest w najlepszym porządku, babcia nie może się uspokoić i dalej lamentuje: „...ale twoje piękne włosy!”.

„Kiedyś znów odrosną” - odpowiadam jej bez mrugnienia okiem. Niech widzi, że wcale się nie przejmuję. „A jutro każę ogolić się na zero!” - mówię zaczepnie.

Teraz również mama wytrzeszcza oczy.

Wyjaśniam obu paniom, że nie mam ochoty biegać po świecie jak, nie przymierzając, oskubany do połowy kurczak. - „Teraz wyobraźcie sobie, że idę ulicą i najłżejszy wietrzyk zwiewa mi z głowy kłęby włosów! To dopiero by-

222

łaby prawdziwa katastrofa! Wolę już raczej ogolić się na łysą pałę. Zresztą... glace są teraz w modzie!” - bronię mężnie swojej decyzji. Mama i babcia spoglądają na siebie w milczeniu. Zdaje się, że nie bardzo wiedzą, co powiedzieć.

Babcia otrząsa się z pierwszego szoku i -jak mogłam się tego spodziewać - natychmiast próbuje wybić mi z głowy mój genialny pomysł, nazywając go czystym szaleństwem. Ale mama staje nieoczekiwanie po mojej stronie. Po krótkiej, ale burzliwej dyskusji dochodzimy do porozumienia. Koniec końców, sprawa zostaje zatwierdzona na moją korzyść. Jutro idziemy do fryzjera. Babcia chce koniecznie iść z nami, chociaż zapewniam ją, że naprawdę nie potrzebuję psychicznego wsparcia. Też mi coś, są gorsze rzeczy na tym świecie!

Piątek, 30 sierpnia 2002

Basia

Siedzę w salonie fryzjerskim przed wielkim lustrem i czekam na Annemarię, która od niepamiętnych czasów obcina mi włosy - mama zaczęła mnie tutaj przyprawiać, kiedy byłam małą dziewczynką. Umieram z ciekawości, jak zareaguje moja „nadworna fryzjerka”, kiedy dowie się, co zamierzam. Nieliczne łyse miejsca, jakie mam już tu i ówdzie, są jeszcze dobrze ukryte, ponieważ natura obdarzyła mnie bardzo grubymi i gęstymi włosami. Moje przyjaciółki zawsze zazdrościły mi tego bujnego „upierzenia”.

Annemaria pozdrawia mnie wesoło, po czym wskazuje mi miejsce na fotelu. „No Basiu, co zaplanowałaś na dzisiaj? Mam obciąć końcówki, czy może skrócić parę centymetrów?”.

„Nie” - mówię i rozkoszuję się każdym ułamkiem sekundy, „dzisiaj mam specjalne zamówienie... Poproszę całkiem na krótko...”.

Annemaria spogląda na mnie z przerażeniem. „Co takiego? Naprawdę chcesz obciąć swoje piękne, długie włosy? Przecież do tej pory zawsze płakałaś o każdy milimetr. Nic z tego nie rozumiem!” - mówi poirytowana, i dodaje po chwili stanowczym tonem: „Nie, nie, musisz to jeszcze raz dobrze przemyśleć. W długich włosach wyglądasz naprawdę precudownie. Wierz mi, już ja się na tym znam. A w krótkiej fryzurze w ogóle nie mogę sobie ciebie wyobrazić!”.

Gryzę się w usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Naprawdę, świetnie się bawię.

„Właściwie...” - mówię z ociąganiem, a potem nagle wydaję się sobie podła, ponieważ najzwyczajniej w świecie chcę ją zrobić w konia. - „Ach, mam! Proszę, wyjaśnij Annemarii, o co chodzi!”.

Podobnie jak większość dorosłych, również Annemaria reaguje kompletnym zaskoczeniem. Biedaczka, jest całkowicie zbita z tropu. Przejeżdża palcami przez moje włosy, gdy tymczasem mama opowiada jej, dlaczego dzisiaj musi być właśnie tak, a nie inaczej. Jakby na potwierdzenie tych słów, już po chwili Annemaria trzyma w ręku kilka pęczków moich włosów. Fryzjerka jest w najwyższym stopniu zdumiona. Wciąż nie wierzy własnym oczom, wlepia się jak zaczarowana w kłęb włosów, który ścisza w dłoni, i słucha dalej.

Kiedy mama kończy swoją opowieść, Annemaria podnosi wzrok znad mojej głowy, a wtedy spostrzegam w lustrze, że w jej oczach błyszczą łzy.

„Proszę się nie denerwować, to naprawdę nie jest takie straszne” - mówię pospiesznie, żeby choć trochę jej ulżyć. - „Chemia mi pomaga, a wypadanie włosów jest najlepszym

•

na to dowodem, tak w każdym razie mówią lekarze!” - „Czy nie chcesz jeszcze trochę poczekać, zanim zdecydujesz się na to „radikalne cięcie”? Jeszcze nie widać łysych miejsc...” - Annemaria robi, co może, żeby przekonać mnie do zmiany zdania. Stara się być nawet dowcipna. Jeszcze nie jest za późno, jeszcze mogę wycofać się z honorem. Ale ja wcale nie zamierzam się wycofywać. Już postanowiłam.

Powoli zaczynam się niecierpliwić. Dlaczego wszyscy uważają, że wypadanie włosów jest takie okropne? Przecież znów odrosną! Poza tym, jest jeszcze jedna, istotna sprawa, o której warto wspomnieć. Mam nadzieję, że moja ogolona na zero czaszka raz na zawsze zamknie usta wszystkim tym ciekawskim bliźnim, którzy teraz mnie wypytyją, dlaczego nie jestem w szkole, gdy w ciągu dnia spotykają mnie gdzieś na mieście razem z mamą.

„A jeśli jutro już coś będzie widać, to znów będę musiała przyjść. Nie, proszę, chcę mieć już to za sobą teraz, dziś!”.

Annemaria z ciężkim westchnieniem idzie na zaplecze i przynosi swoje narzędzia pracy. Ciach, ciach. Długie pasma lądują na podłodze. Oglądam się w lustrze. To wprawdzie nie jest „klasyczna” fryzura, ale teraz przynajmniej mogę sobie wyobrazić, jak będę wyglądać z krótkimi włosami, kiedy znów zaczną „puszczać pędy”. A kiedyś zaczną, przynajmniej to wiem na pewno. „Wcale nie jest tak źle, jak myślicie?” zwracam się do babci i mamy. Obie kiwają głową na znak, że - owszem, wcale nie tak źle.

Potem wszystkie trzy wpatrujemy się jak zaczarowane w maszynkę do golenia, którą włącza Annemaria. Rrrrrrr, szmer golarki budzi we mnie wspomnienia sprzed lat, przypomina mi o porannej toalecie taty. Ten szmerek ma w sobie coś swojskiego. Annemaria spogląda na mnie, przestępując z nogi na nogę, jakby czekała na moją komendę.

„Okay, możemy zaczynać!” - uśmiecham się do niej zachęcająco. Zupełnie tak samo jak na amerykańskich filmach wojennych, kiedy to przybywający do jednostki wojskowej rekruci -

chcąc nie chcąc - otrzymują również nowy image za sprawą ogolonej na zero czaszki, teraz An-nemaria przystawia do mojego czoła maszynkę do golenia i jedzie z nią przez całą głowę, aż do karku. Myślę, że będzie lepiej, jeśli teraz zamknę oczy. Nie muszę się przecież oglądać do połowy ogolonej...

Wibrowanie golarki łaskocze delikatnie skórę na głowie, ale poza tym jest to raczej przyjemne uczucie. I zupełnie nowe doświadczenie... „Gotowe” - mówi ochryplym głosem Annemaria.

Zdaje się, że babcia i mama też nie chcą patrzeć na tę „masakrę”, bo kiedy otwieram oczy, właśnie odwracają się w moją stronę. Babcia natychmiast wybucha głośnym szlochem, ale mama i ja przyglądamy się z ciekawością tej dziwnie obcej istocie, która uśmiecha się do nas z lustra. Jak babcię kocham, z ledwością mogę się znów rozpoznać. Nie do wiary, jak bardzo włosy zmieniają człowieka. „To naprawdę ja!” - myślę zdumiona. „Nieuszminkowana i nie-przystrojona! Naga Basia!”.

„Czy chcesz przymierzyć perukę?” - pyta ostrożnie Annemaria. - Zdecydowanie potrząsam głową. - „W żadnym wypadku! Nie wstydzę się ani mojej choroby, ani mojej glacy. To moja choroba i moja glaca!” - wyjaśniam wszystkim zgromadzonym spokojnie, ale stanowczo.

Babcia nabiera powietrza - zdaje się, że chce mi coś powiedzieć, prawdopodobnie zamierza przekonać mnie do przymiarki „nowych włosów”, ale mama powstrzymuje ją w ostatniej chwili; kładzie jej rękę na ramieniu i patrzy na nią błagalnie.

226

Dziękuję ci, mamo!

Wychodzimy z salonu fryzjerskiego na tłocznią o tej porze ulicę, gdzie zbieramy zaciekawione, a niekiedy nawet przerażone spojrzenia przechodniów. Mam to gdzieś! Teraz przynajmniej wiedzą, że jestem chora i już nie myślą, że chodzę na wagary. Czyli - punkt dla mnie! A jeśli chcą się na mnie patrzeć, to niech się patrzą.

O wiele bardziej interesujące, ale również nieco irytujące jest uczucie, że moja głowa jest po prostu naga - nic nie faluje, nic nie powiewa, kiedy nią ruszam. I chociaż jest bardzo gorąco, to nawet najłżejszy powiew wiatru na mojej nagiej głowie odczuwam jako zimny. Jak to dobrze, że mamy lato!

Mama

Nie do wiary, jak pozytywnie podeszła Basia do tego nagłego wypadania włosów. Utratę swoich przepięknych loków, które zawsze były jej wielkim atutem, potraktowała jako najbardziej naturalną rzecz na świecie. To dopiero niespodzianka! A ja przez całe tygodnie nie miałam odwagi zagadnąć jej na ten temat. Rzecz jasna, przy wyliczaniu ubocznych skutków chemioterapii wspomniałam również o wypadaniu włosów, ale ponieważ moja córka nigdy nie była specjalnie zainteresowana tą kwestią, dlatego ja również nie chciałam jej naciskać i drażnić tematu. Rady Elme-ra mam zawsze na podorędziu. Znam je na pamięć: „Matka powinna tylko słuchać, ale nigdy nie wnikać i do niczego nie zmuszać...”.

Nie mogę uwierzyć, w jak cudownie naturalny sposób moje dziecko przejmuje duchową postawę pani Gampert. To naprawdę niesamowite! Nigdy nie podejrzewałabym, że potrafi być taka niezależna. Basia nosi swoją glacę prawie

227

tak, jak inni symbol jakiegoś swojego statusu. Dumnie, z wysoko podniesioną głową. Przerażone spojrzenia ludzi na ulicy, którzy nas nie znają, wita z rozbajającym uśmiechem. Jest jej całkowicie obojętne, co inni o niej myślą. Muszę przyznać, że jej „nonkonformistyczna” postawa robi na mnie duże wrażenie.

Mam uczucie, że w naszej rodzinie nastąpiła zamiana ról. Basia uczy mnie, jak piękne może być życie, kiedy człowiek uwolni się raz na zawsze od presji wywieranej na nas przez społeczeństwo. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że moja córka nie zdążyła jeszcze przyswoić sobie określonych wzorców zachowań - w końcu ma dopiero dwanaście lat -więc jej

zachowania nie są również tak bardzo „utarte” jak moje, ale przecież mnie samą ogromnie irytuje ta moja idiotyczna skłonność dostosowywania się do otoczenia, nawet wbrew sobie samej. Dlaczego tak bardzo się boję, że mogę „źle wypaść”? Że będą na mnie „krzywo patrzeć”? Zanim Basia zachorowała, już zdążyła przejąć ode mnie ten, na wskroś negatywny, wzorzec. Ale kiedy tylko nadarzyła się sposobność, miała odwagę powiedzieć „adieu”; pozbyła się go i wyrzuciła jak stary, wyświechtany płaszcz. Elmer i pani Gampert dokonali prawdziwego cudu.

Natomiast ja, w przeciwieństwie do mojej „wyzwolonej” córki, w dalszym ciągu jestem niewolnicą konwencji. Dlatego wolę na razie unikać miasta, bo gdy ktoś mnie pyta, jak mi się wiedzie, potrafię odpowiedzieć tylko: „wspaniale”. A przecież żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie oczekuje ode mnie takiej odpowiedzi. Jestem matką dziewczynki, która ma raka. Jakże więc może mi się wspaniale wiesić? Niedowierzające spojrzenia zagadujących mnie ludzi nie pozostawiają wątpliwości, że uważają mnie za stukniętą. Niezdolna do logicznego myślenia, niepoczytalna, po

228

prostu zwariowała. Dlaczego nie potrafię tego zmienić, dlaczego nie mogę się przełamać i być taka cool jak Basia? Dlaczego? Na to pytanie jeszcze nie mam odpowiedzi. A ponieważ dość mam również udawania i grania komedii, więc wolę raczej wycofać się w domowe zacisze, aniżeli występować otwarcie z moimi poglądami przeciwko mieszczańskim wyobrażeniom o moralności.

Uważam, że to, co robi Basia, jest naprawdę wspaniałe. Moja córka potrafiła stanąć ponad wszystkim i szczerze ją za to podziwiam.

Poniedziałek, 2 września 2002

Basia

W klinice dziennej moja głaca zostaje dobrze przyjęta. „Nareszcie, Basiu. Teraz przynajmniej widać, who is who” - wita mnie szerokim uśmiechem siostra Sandra. Naprawdę się cieszę, że znów ją widzę, a ona jest zachwycona, że wyglądam tak zdrowo i ładnie. Nawet moje nieco „buńczuczne” zachowanie jej się podoba. Widzę to dobrze po jej minie.

Dzisiaj w klinice mamy wielki dzień badań: ultrasonograf (brzuch, klatka piersiowa, szyja, gardło), zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej, EKG i oczywiście obowiązkowa morfologia krwi - żeby sprawdzić moje leukocyty.

Doktor Classen wyjaśnia mi, że wszystkie te badania robi się zawsze po zakończeniu drugiego bloku chemioterapii. Dzięki nim, lekarze mogą się dowiedzieć, czy terapia działa tak, jak się tego spodziewali.

229

Pokazuję na moją głacę: „Przecież widać, że działa!”. -Doktor uśmiecha się rozbawiony: „Twarzowa fryzura. Wyglądasz znakomicie! Być może dzięki niej wykreujesz nowy trend w modzie!”. W odpowiedzi przesyłam mu promienny uśmiech.

„Mimo to, nie obejdziemy się, niestety, bez badań. Świat mody musi na ciebie zaczekać... Mam nadzieję, że to rozumiesz... Chcielibyśmy mianowicie dowiedzieć się trochę więcej, co się obecnie dzieje w twoim organizmie”.

Nie pozostaje mi nic innego, jak się poddać. Wzdycham ciężko i rozciągam się na leżance stojącej obok ultrasonografu. - „No i co? Jaką część mojego ciała chcecie najpierw sobie obejrzeć?” - pytam beczelnie.

Zrobiło się strasznie późno. Do „Wiley'sa” wpadamy tylko na pół godziny. Mama przynosi sobie talerz surówek z bogato zaopatrzonego, a dla mnie prawie „nieznośnie” apetycznego, bufetu sałatkowego. Niestety, wszystkie te smakowite rzeczy figurują na mojej „czarnej liście” zakazanych potraw. Począwszy od sosów sałatkowych we wszystkich kolorach tęczy, a kończąc na wszelkiego rodzaju surowych warzywach.

Sama nie wiem dlaczego, ale dzisiaj jest mi wyjątkowo trudno oprzeć się wszystkim tym cudownościom, które tak wybornie pachną. Rzecz jasna, mama natychmiast spostrzeża, z jaką bezbrzeżną tęsknotą wpatruję się w jej talerz. Zdaje się, że muszę wyglądać jak zgłodniały kundel, który toczy ślinę na widok wielkiej kości.

„Masz ochotę na sałatę?” - Gwałtownie potakuję - „ale przecież nie mogę tego...” - mówię po chwili markotnie i z ciężkim westchnieniem zamawiam dobrze wysmażony sznycel z dobrze ugotowanymi ziemniakami. - „Do tego nudnego zestawu powinno się obowiązkowo dorzucać kilka

230

listków sałaty!” - burczę nadaśana. Jestem zła jako osa. I to widać! - „Czy myślisz, że sałata może ci zaszkodzić, jeśli rzeczywiście masz na nią taki... po prostu wilczy apetyt?”.

Zastanawiam się gorączkowo, wsłuchuję się w siebie, tak jak mnie tego nauczyła pani Gampert. „Nie sądzę!” -mówię po chwili z ociąganiem. - „No to przynieś sobie którąś!” - zachęca mama.

Tego nie każę sobie powtarzać dwa razy. Najchętniej uprzątnęłabym do czysta cały bufet, ale zadowolam się jednym małym talerzykiem. Tylko tyle, żeby przetestować. Powoli i z rozkoszą, delektując się swoim „zakazanym owocem”, przeżuвам każdy listek i każdy plasterk świeżego ogórka polany zakazanym, ale z całą pewnością najlepszym sosem sałatkowym, jaki jadłam w swoim życiu. Mama zapomina o swoim talerzu. Siedzi w milczeniu i obserwuje zafascynowana, jak rozkoszuję się każdym kęsem.

Mama

Złamałyśmy zakaz - i dobrze nam to zrobiło! I mojej córce, i mnie.

Tak bardzo było mi żal Basi. Biedne dziecko, nie mogło oderwać oczu od tego, rzeczywiście bardzo apetycznego, bufetu sałatkowego. Wprawdzie ten bufet zawsze jest ozdobą sali i za każdym razem prezentuje się naprawdę znakomicie, ale dzisiaj po raz pierwszy jego „niedostępność” wywołała w Basi tak widoczną frustrację. Dopiero przy słowach „wilczy apetyt” zrozumiałam, w czym rzecz. Przypomniałam sobie o mojej rozmowie z Andreą, wtedy na balkonie, kiedy opisywała mi szczęście swojej trzyletniej córki Helusi, która dosłownie pochłaniała kategorycznie jej zakazane truskawki.

231

Wtedy byłam przerażona lekkomyślnością Andrei. Dzisiaj doskonale ją rozumiem. Przecież nie ma nic piękniejszego na tym świecie, niż potajemnie złamać jakieś tabu. Zwłaszcza jeśli w ten sposób można uszczęśliwić swoje chore dziecko.

Środa, 4 września 2002

Mama

Przyznaję, że jeśli Basia z powodu swojej sałatki dostałaby rozstroju żołądka albo, nie daj Boże, czegoś gorszego, to z pewnością byłoby to pierwsze i ostatnie wykroczenie przeciwko zakazom. Ale, o dziwo, Basia przetrwała naszą małą przygodę bez najmniejszego uszczerbku dla zdrowia.

W tych dniach i tygodniach spędzonych w domu wiele ze sobą rozmawiałyśmy i dyskutowałyśmy. Basia mogła wreszcie opowiedzieć mi o wszystkich rzeczach, które wcześniej bardzo ją denerwowały, a którym, niestety, w żaden sposób nie mogła przeciwdziałać. Na przykład o mojej chorobliwej manii przeprowadzania się z jednego domu do drugiego.

„Teraz mam dwanaście lat, to chyba niezbyt dużo, a zdążyłam się już przeprowadzić jedenaście razy. Przecież to czyste szaleństwo!” - zarzuciła mi któregoś dnia. Dowiaduję się, jak bardzo nienawidziła tych wiecznych przeprowadzek. „Tak naprawdę, to nigdy nie miałam prawdziwego domu rodzinnego i własnego kąta. Ognisko domowe to dla mnie tylko puste słowa! Ponieważ ty ciągle szukałaś czegoś lepszego!”.

232

Po raz kolejny moja córka uzmysławia mi, że zawsze, ale to zawsze próbowałam rozwiązać moje wewnętrzne problemy poprzez zmianę zewnętrznych okoliczności. Teraz już wiem, że był to idiotyczny - jak się okazało w praktyce - manewr wymijający! Jej ataki nastrajają mnie refleksyjnie i zmuszają do zastanowienia nad całym moim dotychczasowym życiem. Nie śpię po nocach, analizując krok po kroku, rok po roku... Czy to możliwe, że wszystko robiłam źle? W jaki sposób mogę uniknąć nowych błędów? Czy to głupie, że teraz uczepiłam się aktorstwa jak tonący brzytwy? Dlaczego znowu, po raz nie wiadomo który, muszę zaczynać wszystko od nowa? Podczas sesji terapeutycznych z panią Gampert próbujemy wspólnie znaleźć odpowiedzi na te pytania. Ale nie posuwamy się ani o krok do przodu. Dlatego układamy listę moich najważniejszych pytań dla Elmera. Lista jest bardzo obszerna...

Czwartek, 5 września 2002

Basia

Dzisiaj mama pojechała na egzamin wstępny do szkoły aktorskiej. Uważam, że ten pomysł jest absolutnie genialny i najchętniej opowiedziałabym o nim całemu światu. Ale kiedy wyrwało mi się, że mam wielką ochotę to zrobić, mama nakrzyczyła na mnie i zobowiązała do absolutnego milczenia. Nie ma rady, muszę trzymać język za zębami. Tylko tatę wtajemniczyła - ale to była wyższa racja stanu, jak powiedziała mama - ponieważ nie chciała, żebym podczas jej nieobecności została sama w domu.

233

Po południu przychodzi z wizytą Mel. Nie mogę pisać ani słówka, powtarzam sobie w duchu, i rzeczywiście udaje mi się jakoś dochować tajemnicy, chociaż strasznie świerzbi mnie język, bo jestem z mamy strasznie dumna! Tak więc, siedzimy z Meł i gawędzimy o „starych, dobrych czasach”, ale kiedy późnym popołudniem słyszę dzwonek do drzwi, zapominam w mig o wszystkich przyrzeczeniach i dobrych zamiarach. Pędzę jak szalona do sieni i krzyczę na cały dom: „No i jak? Mów, jak ci poszło?”. - „Udało się!” - woła radośnie mama, wchodząc do środka.

Jednym susem jestem przy niej, łapię ją w pól i okręcam dookoła, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Mama i ja wykonujemy radosny taniec zwycięstwa, wydając triumfalne okrzyki. Dopiero gdy się zatrzymujemy, spostrzegamy tatę i Meł, którzy stoją w drzwiach i patrzą na nas w osłupieniu.

Mama

Kiedy widzę w drzwiach Meł, natychmiast myślę: ojej, mam nadzieję, że teraz nie dowie się o tym całe Biberach! Wieczorem siadamy z Basią w kuchni, żeby naradzić się wspólnie i ułożyć plan działania na najbliższe tygodnie. Zajęcia zaczynają się już w poniedziałek i trwają od rana do wieczora. Jeśli mam być szczerą, to akurat ten szczegół niespecjalnie mi się podoba. „Ale w tej szkole organizowane są również kursy wieczorowe, na które nie trzeba zdawać egzaminu...” - dodaję na koniec, spoglądając spod oka na Basię. Moja córka patrzy na mnie zdziwiona. „Więc dlaczego... Nic nie rozumiem!”. Tłumaczę jej, jakie to było dla mnie ważne: zdać egzamin wstępny do szkoły aktorskiej. „Chciałam po prostu wiedzieć, czy się nadaję! Teraz rozumiesz?”.

234

Potem opowiadam jej o mojej ostatniej rozmowie z panią Gampert i niemal słowo w słowo cytuję jej wypowiedź: „Czy mogłaby pani wyprowadzić się razem z córką do Sztutgartu i zamieszkać kątem u jakiejś rodziny, ponieważ, z tego co wiem, nie może sobie pani już pozwolić na wynajęcie własnego mieszkania? Czy taka perspektywa nie budzi pani niepokoju? Jeśli to jest dla pani takie ważne i potrafi pani wszystko to w miarę rozsądnie zorganizować, to proszę to zrobić!”.

Kiedy wróciłam do domu, zaczęłam się nad tymi słowami zastanawiać. Czy naprawdę chcę zająć tak daleko? Czy rzeczywiście jestem gotowa postawić na głowie całe moje

dotychczasowe życie, tylko dlatego, że odnalazłam wreszcie swoją uśpioną pasję? Czy mimo całkowitej zgody El-mera, jest to rzeczywiście moja droga?

„I wiesz co?” - dodaje, widząc zaciekawione spojrzenie córki - „wcale nie chcę podbić Hollywood; nie zależy mi na tym; nie chcę rezygnować z normalnego życia, nieustannie zgłębiać ludzkie charaktery, studiować role i żyć jak Hannelore Elsner w filmie «Bez szminki». Chcę brać lekcje aktorstwa zupełnie niezobowiązująco, tylko dla siebie, dla własnej satysfakcji, bez wywierania na siebie presji, bez ciśnienia, jak wy to mówicie. A to, czego się tam nauczę, będę mogła później włączyć do swojej pracy terapeutycznej i w ten sposób również ją wzbogacić. Ale najpierw chcę po prostu cieszyć się tym, co robię. Jeśli rzeczywiście mam talent, to chcę go wykorzystać. Chcę przekonać się na własnej skórze, jak to jest - być utalentowaną aktorką? Grzechem byłoby tego nie zrobić, jak uważasz?”.

„Jeśli chcesz, możemy wspólnie uprawiać aktorstwo... jako hobby” - proponuję Basi. „I wcale nie muszę chodzić na dzienne zajęcia, bardzo chętnie zapiszę się na kursy wie-

235

czorowe. W gruncie rzeczy to jedno i to samo. A ty możesz tam jeździć razem ze mną. Już rozmawiałam z kierowniczką szkoły, powiedziałam jej, że masz raka i że przyjedziesz z głową ogoloną na zero. To wspaniała kobieta, od razu się zgodziła! No to jak, pojedziesz ze mną?”.

Basia promienieje, rzuca mi się na szyję i woła radośnie: „To jest naprawdę super, mamo!”. - Po chwili jednak markotnieje. - „Ale to przecież niemożliwe! Nie mogę tam z tobą jeździć. Przecież powinnam unikać większych skupisk ludzi. Wiesz, że to dla mnie niebezpieczne...” - mówi ze smutkiem. Wyjaśniam jej, że kurs obejmuje tylko ośmiu uczestników. - „Jeśli masz ochotę, to po prostu pojedź tam ze mną! Zrobimy coś w rodzaju godziny próby. Wtedy zobaczymy, co dalej”.

Niedziela, 8 września 2002

Mama

Cóż za cudowny dzień późnego lata. Wykorzystuję okazję, żeby popracować przy grządkach w naszym ogrodzie. Nie da się ukryć, że w ostatnim czasie trochę podupadły. Trzeba to jak najszybciej zmienić. Gdy moja sąsiadka Marta pojawia się na swoim tarasie, pozdrawiam ją serdecznie, jak zawsze. Marta stoi przez chwilę, przyglądając mi się spod oka, a potem schodzi po schodkach do ogrodu i zmierza w moim kierunku. Już się szykuję na miłą pogawędkę o pracy w ogrodzie. Albo o nowym przepisie na tort.

Gdy Marta podchodzi bliżej, zauważam, że ściągnęła twarz w niemiłym grymasie. Co ją ugryzło? - myślę sobie. Zawsze jest taka sympatyczna... Tym razem jednak jest ina-

236

czej. Marta staje przede mną w rozkroku, jak rewolwerowiec szykujący się do ostatecznej rozprawy ze swoim śmiertelnym wrogiem, a potem wyrzuca z siebie istny grad słów: „Wiesz, co ci powiem? Teraz to już nawet ja nie mogę cię zrozumieć!”. Patrzę na nią w pełnym osłupieniu. O czym ta kobieta mówi? Bóg mi świadkiem, że nie mam bladego pojęcia, o co jej chodzi. Swoją drogą, ciekawe co za chwilę usłyszę.

„Czy ty musisz zawsze myśleć tylko o sobie? Naprawdę nigdy nie możesz ustąpić? Czy musisz temu biednemu dziecku zabierać również teatr, który tak bardzo kocha? Jak żyję, nie widziałam takiej matki! Zawsze chodzi tylko o ciebie i twoją karierę! Ciągłe ci mało i mało! Dlaczego jesteś taka zachłanna? To po prostu niesłychane! Myślałam, że choroba Basi dała ci trochę do myślenia, że wreszcie się uspokoiłaś! Ale nie! Ty dalej robisz swoje... i chyba już nigdy się nie zmienisz!”.

No i masz ci babo placek. Swoim zwyczajem, natychmiast się tłumaczę i usprawiedliwiam.

„Przecież mogę zabierać Basię ze sobą. Rozmawiałam już nawet w tej sprawie i...” - urywam w pół słowa, gdyż dzięki wielomiesięcznemu treningowi, już po chwili uzmysławiam sobie, że jej atak nie chybił celu, bo przecież się bronię.

Jestem wściekła na Martę. W głębi duszy muszę jednak przyznać, że postawiła mi dokładnie ten sam zarzut, który ja również stawiam sobie od dłuższego czasu. Tylko że tym razem oskarżenie zostało wypowiedziane przez kogoś innego i niemal w tym samym momencie wystrzeliło z mojej podświadomości. Dobrze to różę rała. I dopięła swego, bez dwóch zdań! Wyhamowała mnie. Teraz zastanawiam się gorączkowo, czy mam dać sobie spokój z moimi studiami aktorskimi i nie zmieniać niczego w moich planach na przyszłość.

237

Basia

„Dlaczego jesteś taka smutna?” - pytam mamę, kiedy przychodzi z tarasu do mojego pokoju. Siedzę przy komputerze, ale natychmiast czuję, że nie jest już taka radosna jak jeszcze przed kwadrans, kiedy wychodziła do ogrodu. Czy stało się coś, o czym nie wiem?

Mama opowiada mi o spotkaniu z sąsiadką.

Jestem totalnie oburzona. Cóż to za głupie oskarżenia! Wstrętny babsztyl, szkoda że mnie tam nie było, już ja bym jej powiedziała do słuchu! Podchodzę do mamy, mocno się do niej przytulam i próbuję ją pocieszyć. „Ale przecież ty wiesz najlepiej, jak jest naprawdę. I wiesz, że bardzo się cieszę na ten kurs. Nie pozwól, żeby ktoś ci mówił, co masz robić. Nikomu, słyszysz? A zwłaszcza tej głupiej gęsi! Jesteś wolnym człowiekiem, masz prawo samodzielnie decydować o swoim życiu, więc po prostu olej to, co Marta chce ci wcisnąć, sama mnie tego uczyła!”.

Wtorek, 10 września 2002

Basia

Jesteśmy w klinice dziennej w Ulm. Znowu dzień chemioterapii dożylniej. Czyli po raz kolejny - witaj strzykawko! „Wielkie badanie” sprzed tygodnia pokazało, że mój organizm dobrze reaguje na terapię. Reakcja optymalna - jak powiedzieliby lekarze.

„Odtąd, w każdym pierwszym dniu kolejnego bloku chemii dostaniesz dożylnie vincristin, który już znasz, i dodatkowo cyclophosphamid” - oznajmia na wstępie doktor Classen.

238

Z początku odczuwam prawdziwą ulgę, ponieważ nowa strzykawka jest tylko w połowie tak duża jak tamten gigant, którego zniecierwiłam „od pierwszego wejrzenia”, a przeświecająca przez nią ciecz ma o wiele przyjemniejszy, jasnoczerwony kolor. Uśmiecham się z zadowoleniem, spoglądając na tę miłą czerwień. Za szybko, jak się okazuje, bo doktor Classen zaraz tłumi mój dobry humor.

„Cyclo atakuje nerki” - mówi, patrząc na mnie spod oka. - „Dlatego będziesz musiała zostać u nas na noc. To konieczne, Basiu” - dodaje szybko, spodziewając się zapewne głośnego protestu. - „Musimy obserwować twój mocz i szybko wypłukać ten środek, żeby nie obciążał twoich nerek. Zaraz potem dostaniesz pięć litrów płynu w kroplówce. Czy wszystko jasne?”.

Nie chcę zostać w klinice, chcę iść z mamą na obiad do „Wiley'sa”, myślę z oburzeniem. Ale nie mogę powiedzieć tego na głos, nie mogę przecież zdradzić naszego sekretu. Doktor Classen, widząc moją zmarkotniałą minę, próbuje mnie na swój sposób „podbudować”. -

„Wiesz Basiu, my tu wszyscy jesteśmy naprawdę zachwyceni twoją postawą. Muszę ci powiedzieć, że byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby wszyscy nasi pacjenci tak wspaniale z nami współpracowali jak ty. Brawo, moja droga. Kiedy pomyślę o tym kłębku nieszczęścia, który do nas przybył... Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wcale nie byłem dobrej myśli. A teraz... Tak bardzo się zmieniłaś. Stałaś się silna, dojrzała. Aż wierzyć się nie chce, z jak godnym podziwu spokojem znosisz wszystko, co my tutaj z tobą wyprawiamy. Naprawdę mi zaimponowałaś, a poza tym bardzo się cieszę, że nam ufasz i chcielibyśmy oczywiście, żeby tak zostało. Dzisiaj musisz wprawdzie zostać trochę dłużej niż zwykle, ale za to powiem ci na pociechę, że od dzisiejszego dnia będziesz mia-

239

ła jeszcze tylko dwie dożylnie chemie w każdym bloku. Pierwszego i czternastego dnia”.

Po tej pochwalie, pan doktor zasłużył przynajmniej na uśmiech. Już chcę mu przesłać jeden z moich najpiękniejszych „wariantów”, ale w tym samym momencie przez głowę przelatuje mi następna, straszliwa myśl:

„Czy po tej chemii znów będzie mi niedobrze? Czy będę wymiotować?”. - Doktor Classen patrzy na mnie z niedowierzaniem. - „Zaraz, zaraz... Czy chcesz przez to powiedzieć, że podczas ostatnich dwóch bloków chemii nie miałaś mdłości? Naprawdę nie wymiotowałaś?”. - Czuję się niemal przyłapaną na gorącym uczynku i szybko spoglądam na mamę, szukając u niej pomocy.

Doktor Classen nie spuszcza mnie z oczu, podążając za moim spojrzeniem. Mama chrząka, żeby ukryć swoje zmieszanie. - „No cóż” - przyznaje po chwili - „nie będę tego ukrywać przed panem doktorem. Mamę taki jeden sprawdzony środek homeopatyczny, Nux vomica. Odkąd Basia zażywa go podczas chemioterapii, już nie wymiotuje...”.

Doktor Classen kiwa głową w zamyśleniu. Najwidoczniej ma inne zdanie na ten temat. - „Czy nie uważa pani, że Basia po prostu dobrze reaguje na przepisany przez nas lek przeciwko nudnościom? Według mnie, tutaj tkwi klucz do wyjaśnienia tej zagadkowej sprawy” - mówi i przez cały czas bacznie obserwuje mamę.

Mama wzrusza ramionami. - „Bardzo możliwe” - odpowiada, mrugając niewinnie oczami. A przecież wie tak samo jak ja, że tego lekarstwa już od dawna nie zażywam. I bardzo dobrze, ponieważ to świństwo zawsze pęczyło nieprzyjemnie w moim żołądku, a co gorsza, wymiotowałam po nim jeszcze więcej niż zazwyczaj. Odkąd znam mamę, jest to pierwsze jej kłamstwo. No, prawie... Spuszczam

240

głowę, żeby doktor nie zauważył mojego konspiracyjnego uśmiešku.

Mama wyjaśniła mi, że najlepiej będzie, jeśli przemilczymy to i owo „dla dobra sprawy”. Nie musimy przecież opowiadać lekarzom w klinice o naszej ubocznej, „parame-dycznej” działalności. Ani o Elmerze, ani o naszej pracy duchowej z panią Gampert. - „Większość lekarzy pracujących tradycyjnymi metodami lekceważy, niestety, tego rodzaju wiedzę, ponieważ wierzy wyłącznie w to, co można naukowo udowodnić. Dla nich liczą się tylko nagie fakty, ot co. Ale przecież ty i ja wiemy, że nie wszystko da się udowodnić czysto naukowymi metodami. Na przykład, nikt jeszcze nie udowodnił, że anioły naprawdę istnieją. W anioły można tylko wierzyć!”.

Mama i ja wierzymy w Elmera. I ja kocham tajemnice!

Czwartek, 12 września 2002

Mama

Wreszcie nadszedł! E-mail od Elmera. Miałam do niego tak wiele pytań, które mają mi pomóc: primo - lepiej zrozumieć chorobę Basi; secundo - uniknąć dalszych błędów w naszych wzajemnych relacjach.

Claudia pyta, jak wygląda relacja matka-córka.

Energetyczny związek obu kochanych ziemskich istot wykazuje, że niekiedy oczekuje się tutaj więcej, aniżeli samemu się wnosi, co potem może iść w kierunku „wskazywania winy lub poczucia winy”, co w konsekwencji związane jest z tendencjami depresyjnymi.

241

Związek jest tym, co zawiera w sobie zrozumienie dla drugiej osoby, nawet jeśli równocześnie uważa się tutaj, że wszystko, co zostało zrobione lub wniesione, nie wystarcza. Przeto obie kochane ziemskie istoty często stawiają się wzajemnie pod mur i wywierają na siebie presję, co może prowadzić w kierunku „litowania się nad sobą”.

W tym związku musi być wyraźne różnicowanie pomiędzy tym, co obie kochane ziemskie istoty myślą, i tym, co odczuwają. To jest tutaj pomieszane, i stąd bierze się tendencja do szukania winy lub wskazywania winnego. Pokazuje się tutaj również bardzo czuła więź, która wciąż na nowo i za każdym razem idzie w kierunku „zrozumienia drugiego”. Jednak

zarówno matka, jak i córka pozostają niejako w zawieszeniu, trwając z uporem przy „chcieć zrozumieć”, i to, co myślą, nie jest tym, co odczuwają. Tutaj musi być to jasno i przejrzyście rozdzielone. Tylko w ten sposób bowiem mogą się wzajemnie zrozumieć i zaakceptować. Powinno być tutaj również powiedziane, że jest to związek, w którym „bardzo dużo się dzieje”, a mimo to obie uważają, że nigdy nie jest tego dość. I tak powstają sztucznie podciągnięte do góry granice, który zaprawdę nie są potrzebne.

Gdzie w tym związku należy szukać „chorych” sytuacji, które mogą stanowić zagrożenie dla Basi, i z tego względu muszą być odpowiednio opracowane i przerobione?

Nie ma tutaj nic do przerabiania - nic!!! Wiedz bowiem, kochana ziemską istotą Claudio, że dusza twojej ziemskiej córki wyszukała sobie dla swojej duchowej ewolucji taki obszar doświadczeń, który ona teraz właśnie przemierza.

Nie ma tutaj żadnego wskazywania winy i żadnego winnego, nie ma tutaj żadnego „powinno” była to lepiej zrobić”

242

i nie ma tutaj żadnego „zawiodłam” i „jestem do niczego” -to wszystko są myśli, które prowadzą dalej w złym kierunku, myśli, które powodują zamęt i sieją niepokój, i tych myśli należy się jak najszybciej pozbyć. Jak najszybciej!

Chodzi tutaj o zrozumienie znacznie bardziej istotnych i dalej sięgających związków i zależności, niż wy to ze swojej ziemskiej perspektywy możecie widzieć! Należy zrozumieć i przyjąć, co następuje: duchowa ewolucja kochanej ziemskiej istoty Basi idzie drogą, z której chcecie ją zawrócić swoim ziemskim myśleniem. Jednak dusze wyszukują sobie to, o czym same się dowiadują, czego same doświadczają i dzięki czemu mogą również dalej się rozwijać - tak jest również i tutaj.

Tak to już jest, że również towarzyszące okoliczności odgrywają w tym pewną rolę, lecz nigdy nie należy tego rozumieć jako winy lub wskazywania winy, ponieważ jedno pomaga drugiemu, wszystko jedno jaką drogą ma to dalej iść. To należy postrzegać i rozumieć w znacznie głębszym sensie.

Gdzie należy szukać głównego obciążenia dla matki?

Matka myśli w kategoriach takich jak „wina” i „nie zawieść”, i to właśnie jest jej główne obciążenie, ponieważ nic z tych rzeczy naprawdę jej nie dotyczy.

Oto, co matka ma dla siebie przyjąć, a także zrozumieć: nie ma winy, ona nie istnieje. Z pewnością wszakże, zawsze istnieją konsekwencje jakiegoś zachowania. Jednak tutaj nie ma miejsca ani jedno, ani drugie. Matka zrobiła, co tylko zrobić mogła, dała z siebie wszystko, co najlepsze i w dalszym ciągu teraz to daje. I to jest coś, co ją samą powinno karmić - ona jest wewnętrznie bardzo, bardzo bogata i zawsze, przez wszystkie lata skupiała się, zastanawiała nad swoim wewnętrznym bogactwem, tak iż ono bez wielkiego wysiłku z jej strony może dalej i dalej z niej wypływać.

243

Związek jest tym, co zawiera w sobie zrozumienie dla drugiej osoby, nawet jeśli równocześnie uważa się tutaj, że wszystko, co zostało zrobione lub wniesione, nie wystarcza. Przeto obie kochane ziemskie istoty często stawiają się wzajemnie pod mur i wywierają na siebie presję, co może prowadzić w kierunku „litowania się nad sobą”.

W tym związku musi być wyraźne zróżnicowanie pomiędzy tym, co obie kochane ziemskie istoty myślą, i tym, co odczuwają. To jest tutaj pomieszane, i stąd bierze się tendencja do szukania winy lub wskazywania winnego. Pokazuje się tutaj również bardzo czuła więź, która wciąż na nowo i za każdym razem idzie w kierunku „zrozumienia drugiego”. Jednak zarówno matka, jak i córka pozostają niejako w zawieszeniu, trwając z uporem przy „chcieć zrozumieć”, i to, co myślą, nie jest tym, co odczuwają. Tutaj musi być to jasno i przejrzyście rozdzielone. Tylko w ten sposób bowiem mogą się wzajemnie zrozumieć i zaakceptować.

Powinno być tutaj również powiedziane, że jest to związek, w którym „bardzo dużo się dzieje”, a mimo to obie uważają, że nigdy nie jest tego dość. I tak powstają sztucznie podciągnięte do góry granice, który zaprawdę nie są potrzebne.

Gdzie w tym związku należy szukać „chorych” sytuacji, które mogą stanowić zagrożenie dla Basi, i z tego względu muszą być odpowiednio opracowane i przerobione?

Nie ma tutaj nic do przerabiania - nic!!! Wiedz bowiem, kochana ziemską istotą Claudio, że dusza twojej ziemskiej córki wyszukała sobie dla swojej duchowej ewolucji taki obszar doświadczeń, który ona teraz właśnie przemierza.

Nie ma tutaj żadnego wskazywania winy i żadnego winnego, nie ma tutaj żadnego „powinno być to lepiej zrobić”

242

i nie ma tutaj żadnego „zawiodłam” i „jestem do niczego” -to wszystko są myśli, które prowadzą dalej w złym kierunku, myśli, które powodują zamęt i sięją niepokój, i tych myśli należy się jak najszybciej pozbyć. Jak najszybciej!

Chodzi tutaj o zrozumienie znacznie bardziej istotnych i dalej sięgających związków i zależności, niż wy to ze swojej ziemskiej perspektywy możecie widzieć! Należy zrozumieć i przyjąć, co następuje: duchowa ewolucja kochanej ziemskiej istoty Basi idzie drogą, z której chcecie ją zawrócić swoim ziemskim myśleniem. Jednak dusze wyszukują sobie to, o czym same się dowiadują, czego same doświadczają i dzięki czemu mogą również dalej się rozwijać - tak jest również i tutaj.

Tak to już jest, że również towarzyszące okoliczności odgrywają w tym pewną rolę, lecz nigdy nie należy tego rozumieć jako winy lub wskazywania winy, ponieważ jedno pomaga drugiemu, wszystko jedno jaką drogą ma to dalej iść. To należy postrzegać i rozumieć w znacznie głębszym sensie.

Gdzie należy szukać głównego obciążenia dla matki?

Matka myśli w kategoriach takich jak „wina” i „nie zawieść”, i to właśnie jest jej główne obciążenie, ponieważ nic z tych rzeczy naprawdę jej nie dotyczy.

Oto, co matka ma dla siebie przyjąć, a także zrozumieć: nie ma winy, ona nie istnieje. Z pewnością wszakże, zawsze istnieją konsekwencje jakiegoś zachowania. Jednak tutaj nie ma miejsca ani jedno, ani drugie. Matka zrobiła, co tylko zrobić mogła, dała z siebie wszystko, co najlepsze i w dalszym ciągu teraz to daje. I to jest coś, co ją samą powinno karmić - ona jest wewnętrznie bardzo, bardzo bogata i zawsze, przez wszystkie lata skupiała się, zastanawiała nad swoim wewnętrznym bogactwem, tak iż ono bez wielkiego wysiłku z jej strony może dalej i dalej z niej wypływać.

243

Rodzice Basi są rozwiedzeni, ale pozostają ze sobą w przyjacielskich stosunkach - czy to ma jakiś wpływ na Basie?

Nie! I jeszcze raz nie! To nie ma nic wspólnego z ziemskimi dziećmi lub też z konstelacjami wokół kochanej ziemskiej istoty Basi - to jest Twoja i tylko Twoja własna decyzja, i tutaj podejmuje się próbę znalezienia gdzieś „winy” za to, co teraz się dzieje. To są poszukiwania igły w stogu siana, ale igła nie zostanie tutaj znaleziona, ponieważ nie ma żadnej igły!

Czy w relacjach matka-ojciec-córka są sytuacje, które mogły spowodować chorobę Basi? Na co należy zwrócić uwagę?

Również tutaj: nie i jeszcze raz nie! W tej konstelacji nie ma żadnych chorych sytuacji, które mogły spowodować ojciec lub matka. Tutaj musi być wyłącznie zaakceptowane i uznane, że kochana ziemską istotą Basia wyszukała sobie sama sytuacje dla jej duchowego rozwoju, i my widzimy także, że to jest bardzo, ale to bardzo ciężkie do przyjęcia lub do zrozumienia. Tutaj nie można szukać lub myśleć w ziemskich kategoriach, tutaj nie jest to możliwe.

Jak wygląda relacja ojciec-córka?

Córka, kochana ziemską istotą Basia, jest tutaj po to, żeby ojca „rozmiękczyć”, ponieważ również tutaj istnieje silna więź sympatii i miłości, nawet jeśli na zewnątrz nie zawsze pokazuje się to w takiej formie! U kochanej ziemskiej istoty Klausa przeważa w pierwszej linii następujący wzorzec: on uważa, iż nigdy nie otrzymał „dość miłości” - teraz przekręca ten wzorzec i uważa, że nie potrafi dać dość miłości, co nie jest prawdą!

244

Te dwie kochane ziemskie istoty dają sobie wzajemnie dość, a mimo to na czysto ziemskiej płaszczyźnie nie może i nie będzie to ani tak widziane, ani odczuwane.

Kochana ziemską istotą Klaus uważa również błędnie, że „zawiódł” przez to, że nie umiał „dostatecznie dużo dawać”. Lecz wiedz, kochana ziemską istotą Klausie, że tak nie jest! We wszystkich zróżnicowanych konstelacjach płynie opieka, wsparcie, bezpieczeństwo, otwartość, miłość i akceptacja, a mimo to jednak, nie może być to przyjęte. Przeto uczestniczące w tym ziemskie istoty - wszystkie razem bez wyjątku - muszą bardzo dokładnie zważać na to, żeby nie przebrać miary i nie posuwać się zbyt daleko, w ten sposób, że teraz jeszcze tylko dają, dają i chcą dawać, nawet jeśli tutaj wcale nie chodzi o dawanie. Znacznie bardziej chodzi o to, żeby sytuacja - taka jaka jest - została przyjęta i przez wszystkich uznana. Przez tę akceptację - spiczasty wierzchołek zostaje zaokrąglony, dzięki czemu można iść do przodu znacznie bardziej miękko.

Co można powiedzieć na temat relacji między Basią i Aiexer?

Głęboka więź, przywiązanie, współczucie i tolerancja były tutaj centralnymi obszarami, które przyciągały, ale też odpychały - tak, iż obie kochane ziemskie istoty pozostały obciążone uczuciem, że nie potrafią dobrze się ze sobą obchodzić, ale też nie radzą sobie jedno bez drugiego.

Przyciąganie i odpychanie były tutaj w takim samym stopniu silne. Poglądy, zapatrywania, nastawienie do życia, a także zdania i opinie były tutaj bardzo zróżnicowane, by nie rzec - całkowicie przeciwstawne, a co za tym idzie, oboje mieli szansę doświadczać inności w czuciu i myśleniu, a mimo to akceptować drugą osobę, taką jaką ona jest. To

245

tylko częściowo zostało zrozumiane, ponieważ różnorodność i odmiennosc wymagają bardzo wysokiej granicy tolerancji, a ta nie jest jeszcze zbyt wyrazista.

Mimo to, również ten związek mógł się u kochanej ziemskiej istoty Basi wewnętrznie ustabilizować - sympatię można tutaj odczytać zarówno dawniej, jak i obecnie.

Czy w tej relacji były sytuacje, które mogły mieć wpływ na chorobę Basi?

Nie i jeszcze raz nie! Jak już powiedziano, chore wzorce można odnaleźć nie we wzajemnych relacjach i związkach. Nie tutaj!!! Dusza Basi wyszukała sobie to miejsce na ziemi, aby żyć i być zaopatrywaną w takim otoczeniu, które jest jej przychylne i życzliwe!!! Mimo to, robi ona doświadczenie dysharmonii, ponieważ to jest JEJ droga rozwoju!!!

Proszę przestać szukać, grzebać i szperać tutaj we wszystkich możliwych konstelacjach - tutaj nie ma nic, nic, nic, co może być odnalezione jako przyczyna. Tutaj nie jest tak!

Co należałoby powiedzieć o związku Claudii i Aiexa, który miał przecież tak dramatyczny przebieg?

W tym związku była nieufność i podejrzliwość, od samego początku. To prowadziło również zawsze i wciąż od nowa do nieporozumień. Obawy „być oszukaną i porzuconą” były tutaj podłożem, podwaliną i fundamentem związku. Tak nie może i nie będzie nic rosnąć ani kwitnąć, ani owocować i rozwijać się. To nie jest żyzna gleba. Tak nic się nie uda. Wzajemne zrozumienie, motywowanie się i dodawanie sobie nawzajem otuchy zostało tutaj pogrzebane. Również powinno być tutaj zauważone, że kochana ziemską istotą Claudia łatwo popada w dramatyzm, ponieważ ona tak bardzo przecież kocha aktorstwo i teatr (swoje własne jak również innych).

246

Chodzi o to, żeby przyjąć i uznać to, co kochana dusza, zwana Basią, wyszukała sobie sama. To nie oznacza wszakże, że nie powinno się pomagać, wspierać i szukać - ale przestać szukać „winnych”, ponieważ ich tutaj nie ma! Wszystko to przebiega według rewolucyjnego planu, którego nie możecie przeniknąć. To należy tutaj zrozumieć.

Niech siła, opieka i wsparcie płynie do wszystkich tych kochanych ziemskich istot, i niech spowije je światło wszechogarniającej miłości, które ich nosi i odżywia. Niech ochrona będzie z nimi.

Dziękuję. Koniec. Elmer.

Klaus musi koniecznie otrzymać kopię tego komunikatu. Mój były mąż, podobnie zresztą jak ja sama, nieustannie walczy ponure i złe myśli, z którymi powinien się jak najszybciej pożegnać. W dalszym ciągu ma wielkie poczucie winy, które z pewnością również jest mało budującym uczuciem. Trochę to trwało, zanim mój racjonalnie myślący były nauczył się postrzegać Elmera jako wyższą instancję i - o dziwo! - teraz uważa jego opinie za wielce pomocne i godne uwagi. Czy to nie wspaniałe?

Od chwili postawienia Basi ostatecznej diagnozy, wiele się wydarzyło - i wiele zmieniło.

Klaus i ja oswoiliśmy się już z myślą, że dusza Basi wybrała właśnie taką, a nie inną - na wskroś dysharmonijną drogę rozwoju. I mam nadzieję, że potrafimy się z tym oswoić.

Wszystko, co musimy zrobić - z pomocą pani Gampert, Elmera i lekarzy - to wskazać jej drogę wyjścia z tej zgubnej dysharmonii, niszczącej stopniowo jej duszę. Ojciec Basi i ja wiele zrozumieliśmy. Teraz możemy z całym spokojem stawić czoło temu wyzwaniu i nie musimy w dalszym ciągu dusić się w naszym poczuciu winy.

247

Sobota, 14 września 2002

Basia

Na początku byłam zła na cały świat, że przez cały czas muszę tylko siedzieć w domu. Nudziłam się jak mops, zazdroszcząc wszystkim, którzy mogą biegać po ulicach, ale jakoś nauczyłam się cieszyć tą wolną przestrzenią, która utworzyła się wokół mnie. Czuję się tak, jakbym była na urlopie. Późno chodzę spać i późno wstaję, zwłaszcza odkąd tata podarował mi przed kilkoma dniami komputer - do mojego wyłącznego użytku. Tata zawsze miał świetne pomysły!

Od tego czasu całymimi godzinami surfuję po internecie i czatuję z innymi nastolatkami.

Wczoraj trafiłam na ślad fan klubu „Tańca wampirów”, który ma swoją stronę internetową, a także forum, na którym fani mogą się wymieniać opiniami, doświadczeniami, zdjęciami itd. I tak oto dowiaduję się, że szóstego października, w niedzielę, odbędzie się w Sztuttgarcie spotkanie fan klubu z Basią Koehler. Z wrażenia aż podskakuję na krześle. Takiej okazji nie mogę przepuścić. To byłby grzech śmiertelny! Więc niech się wali i pali - muszę tam być!

„Taniec wampirów” to sławny musical, podobnie jak „Rocky horror picture show”. Również tutaj fani przebijają się i biorą aktywny udział w wydarzeniach na scenie. Na internetowym forum spotykam ludzi, którzy byli już na stu spektaklach. Nie do wiary! Ja byłam tylko na dwóch... I w dodatku myślałam, że jestem jedynym fanem, tylko dlatego że słuchałam na okrągło ścieżki dźwiękowej na CD.

Basia Koehler jest pierwszą odtwórczynią roli Sarah w sztuttgartskiej aranżacji Tańca wampirów, a dla mnie prawdziwym idolem. Kocham ją i podziwiam z całego

248

serca. Jej gra zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Ja też chciałabym być gwiazdą musicalu i tak jak ona stanąć na scenie i zaśpiewać Sarah w Tańcu wampirów. Czuję przez skórę, że Sarah i ja mamy ze sobą bardzo dużo wspólnego.

Na początku jest miłą i grzeczną dziewczynką, ale potem zaczyna szukać przygody i zakochuje się w źle ucieleśnianym przez naczelnego wampira, hrabiego grafa von Kro-locka.

Kiedy oboje śpiewają moją ulubioną piosenkę Czerwone buty, za każdym razem po plecach przebiega mi zimny dreszcz.

Krolock:

Rób to, na co rozsądek nie zezwala
i nie pytaj,
czy jutro będziesz tego żałować

Sarah:

Pokusa chce, bym należała do niej ciałem i duszą,
nawet jeśli ma mnie zniszczyć.

Ja i tak nie umiem się bronić, ponieważ-■■■

I potem następuje ten niesamowity refren, w którym potęga zła, które może nami zawładnąć,
staje się tak wyraźna.

Krolock i Sarah:

To, co nas uwalnia, musi
być silniejsze od nas samych.
To niesie nas daleko, ponieważ to
jest silniejsze od nas samych.

Idźmy więc za tym!

Gdzie oczy poniosą!

Naprawdę nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale Sarah i jej historia są mi bardzo bliskie. To straszne, a zarazem takie fascynujące, jak ta miła dziewczuszka zakochuje się

249

w hrabim Krolocku i powoli zaczyna się przeobrażać w kogoś zupełnie innego. Porzuca dobro w osobie Alfreda na rzecz zła w wampirze Krolocku i w ten sposób sama się niszczy. Zastanawiam się, czy nie powinnam porozmawiać o tym z panią Gampert. Ta sprawa naprawdę bardzo mnie nurtuje. Być może zrobię to na naszym następnym spotkaniu. Ale teraz muszę najpierw iść do mamy, żeby ją zapytać, czy mogę wziąć udział w spotkaniu fan klubu.

Mama

Basia uparła się, żeby wstąpić do fan klubu Tańca wampirów, ale na tym nie koniec. Chce jechać na następne spotkanie! Ja sama jestem wielką entuzjastką tego musicalu - kiedy hrabia von Krolock, wampir, wyśpiewuje swoją „nienasyconą żądzę”, czuję wyraźnie magnetyczną siłę zła, i zaczynam rozumieć, dlaczego wydaje się ono znacznie bardziej interesujące lub raczej - intrygujące, aniżeli „grzeczne”, ale nudnawe dobro.

Nawet teraz, podczas choroby Basi, ta ciemna siła ma w sobie coś urzekającego. Coś, czemu nie sposób się oprzeć. W jakież inny sposób bowiem mogę wytłumaczyć, że wszystkie te surowo zakazane rzeczy są dla mnie o wiele bardziej pasjonujące aniżeli te, na które nam zezwolono? Złamanie zakazu, obojętnie jakiego rodzaju - czy to będą zakupy w H&M, wizyta w kinie albo miska sałaty, wszystko to jest niesłychanie frapujące i zgotowuje Basi iście złodziejską radość. A ponieważ bezgranicznie ufam Elmerowi, który mówi, że moim naczelnym zadaniem jest przekazywanie Basi radości życia, dlatego łamiemy ten lub ów zakaz, nałożony przez lekarzy.

250

Do tej pory wszystko szło bez problemu. Każda z naszych „kryminalnych” akcji kończyła się pełnym sukcesem. Zdajemy sobie przy tym doskonale sprawę, jakie ryzyko bierzemy na siebie, decydując się na tego rodzaju eskapady. Ale za każdym razem zdaję się całkowicie na wewnętrzny głos Basi. I tak jest również dzisiaj.

„Powiedz mi Basiu, czy naprawdę czujesz się na siłach, żeby wziąć udział w tak dużej imprezie? Jestem pewna, że będzie tam cały tłum ludzi, a jeśli twoje leukocyty nie dopiszą, wówczas nasza wyprawa może być naprawdę bardzo ryzykowna. Chyba to rozumiesz?”. -

„Powiem moim leukocytom, żeby się nie wygłupiały i moja morfologia będzie tego dnia fantastyczna. Obiecuję ci to!” - odpowiada Basia z wiarą, która mogłaby przenosić góry. Dla pewności, spoglądamy jeszcze w kalendarz i wyliczamy, kiedy wypada następny blok chemioterapii. To bardzo ważne, ponieważ zbyt niski poziom leukocytów mógłby narobić zamieszania w naszych planach, a tego przecież nie chcemy.

Spotkanie fanów ma się odbyć w niedzielę, a już następnego dnia, w poniedziałek, rozpoczyna się czwarty blok chemii. W ten sposób mamy bardzo duże szanse na to, że system immunologiczny Basi znów będzie w miarę stabilny. Jak podpowiada mi doświadczenie, leukocyty, czyli białe ciała krwi, do tego czasu znów podskoczą do góry. Oby tak się stało! Tak więc, naszemu uczestnictwu w spotkaniu fan klubu generalnie nic nie stoi na przeszkodzie, a Basia znów ma coś, z czego może się cieszyć, i to jak! Radość życia, przecież właśnie o to chodzi. Ale żeby od razu wstępować do fan klubu, zakochiwać się w odtwórczyni głównej roli i dostawać bzika na jej punkcie... Czy moja córka naprawdę nie

251

może poszukać sobie innego idola? Tego rodzaju miłości zawsze były dla mnie zwykłym idiotyzmem. Już jako nastolatka w żaden sposób nie mogłam zrozumieć moich przyjaciółek, które tapetowały swoje pokoje plakatami z ukochanym piosenkarzem albo aktorem. Teraz też tak myślę; w tym względzie nic się nie zmieniło, ale jeśli Basi sprawia to taką niebywałą przyjemność, to niech już ma tę swoją „idolkę”!

Środa, 18 września 2002

Basia

Siedzenie całymi dniami przy komputerze też w końcu może się przejeść. Dzisiaj wieczorem mam wielką ochotę obejrzeć coś na wideo. Ponieważ wpadłam na to dość późno - wszystkie wypożyczalnie w naszym miasteczku są już na pewno zamknięte - przeszukuję małą domową wideotekę mamy. Większość filmów już znam i nie znajduję żadnego, który zainteresowałby mnie w jakiś szczególny sposób. Matrixa jeszcze nie widziałam. Tylko sam początek u pani Gampert, kiedy czekałam na mamę. Moim zdaniem był dosyć obrzydliwy i brutalny, dlatego wcale nie byłam zła, kiedy już po półgodzinie mama zjawiła się w saloniku na dole i mogłyśmy wracać do domu. - „Mamo, po co ci „Matrix”? - krzyczę do kuchni, gdzie mama właśnie parzy herbatę. - „To jest film szkoleniowy pani Gampert. Matrix ma misję. Wprawdzie jest to film z gatunku science fiction i akcja rozgrywa się w wirtualnym świecie, ale właśnie o to chodzi również na kursie, który robiłam niedawno u pani Gampert”.

252

To, co mówi mama, brzmi dość interesująco. Może jednak warto zobaczyć... W granice rzeczy jednak decyduję się na wirtualny świat Matrixa tylko z nudów. Nie mam zamiaru wracać do komputera. Mama przychodzi do pokoju i oglądamy wspólnie ten kultowy już film, który podbił serca milionów nastolatków na całym świecie. Tym razem ja też jestem absolutnie zachwycona. Jeśli czegoś nie rozumiem, naciskam na „stop” i mama wyjaśnia mi cierpliwie, o co chodzi w danym fragmencie, tak jak się tego nauczyła u pani Gampert. Przesłanie filmu brzmi: „Wszystko jest możliwe, nic nie dzieje się naprawdę. Jesteśmy czystymi duchami”. Lub też: „To, co widzimy, tworzymy sobie sami, wszystko jest wirtualne”. - Akurat to rozumiem, ponieważ pani Gampert też mnie już nauczyła: „Pozytywne myślenie przynosi pozytywne rezultaty, negatywne myślenie daje negatywne wyniki”. To jest ta sama zasada.

Głównym bohaterem filmu jest Neo, który przybywa do wyroczni, gdzie ma się dowiedzieć, czy jest wybrańcem i wybawcą świata. Neo spotyka tam wiele dzieci. W pewnym momencie dostrzega małego Tybetańczyka, który zgina łyżkę. - „Jak to robisz?” - pyta Neo. Dziecko odpowiada: „Nie próbuj zginać łyżki, bo to niewykonalne. Po prostu uświadom sobie prawdę”. Neo: „Jaką prawdę?”. Ty-betańczyk: „Łyżka nie istnieje! To nie łyżkę trzeba giąć, tylko siebie!”.

Na krótko przed zakończeniem filmu mama znów idzie do kuchni, żeby przygotować moją „standardową” rację tabletek. - „Mamo, proszę! Pozwól mi najpierw obejrzeć film do końca” - bronię się, kiedy wraca po kilku minutach, niosąc moje dziewięć kapsułek. W dalszym ciągu, mimo pewnej rutyny, ich łykanie trwa całą wieczność, a ja chcę

253

się całkowicie skoncentrować na zakończeniu Matrixa. Jestem niesamowicie ciekawa, czy będzie happy end\

Mama proponuje nagle z błyskiem w oku: „Wyobraź sobie, że tabletki nie istnieją!”. Trwa to tylko sekundę, i już wiem, o co jej chodzi. Mama jest genialna! Powinnam posłuchać rady małego Tybetańczyka. Autosugestia, proszę państwa, to jest to! Ten mały miał swoją łyżkę, ja -tabletki.

Chcę to wiedzieć teraz, natychmiast!

Biorę do ręki jedną z kapsułek, patrzę na nią twardo, jakbym chciała zabić ją wzrokiem, a potem wymawiam zaklęcie: „Tabletka nie istnieje!”. Następnie biorę ją w usta i popijam łykiem wody. Znikła. Tak po prostu! Czyste szaleństwo!

W „normalnych” warunkach piję przynajmniej pół szklanki wody przy każdej kapsułce. Serce bije mi jak szalone. Czy to naprawdę może być aż takie proste? Biorę jedną z wielkich kapsułek chemii, przy których przełykaniu zawsze najdłużej się męczę. Ta sama procedura: „Tabletka nie istnieje!”. Błyskawicznym ruchem wrzucam ją sobie do ust, popijam łykiem wody i hop siup, znika, nie ma jej. - „Mamo!” - sapię z zachwytu. „Czy ty to widziałaś? To naprawdę działa!”. - Mama kiwa głową z uśmiechem, a potem mówi od niechcienia: „No pewnie, jeśli w to wierzysz!”.

Upojona sukcesem, robię się zarozumiała i butna. Teraz dopiero okaże się, co są warte rady małego Tybetańczyka! Muszę to dokładnie wiedzieć. Chwytam trzy kapsułki i utrwalam je w moich dłoniach. Wpatruję się w nie tak długo, aż stają się coraz mniejsze i mniejsze, zupełnie „mikro” i nic nieznaczące. Potem wrzucam je do ust, i biorę jeden łyk wody.

254

Chlup - i nie ma. Poszły. Zwycięstwo na całej linii! Od dziś łykanie mojej codziennej porcji tabletek przestaje być problemem. Teraz to po prostu dziecinna zabawa. Nie ma rzeczy niemożliwych!

Niedziela, 22 września 2002

Mama

Odkąd Basia obejrzała „Maïrixa”, znów udało się nam podnieść o kilka poprzeczek jakość naszego życia. Koniec z „tabletkową gehenną”, koniec z jękami, narzekaniem i płaczami, które do tej pory towarzyszyły nieodmiennie zażywaniu tabletek. I to cztery razy w ciągu dnia. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby pokazać jej ten film? Być może jednak moja córka potrzebowała więcej czasu, a przede wszystkim większej liczby sesji u pani Gampert, żeby mogła w pełni zrozumieć przesłanie tego filmu. I przełożyć je na swoje życie.

Jestem bardzo zadowolona, że Basia tak chętnie spotyka się z panią Gampert. Moja córka ma główkę nie od parady; dobrze wiedziała, co robi, domagając się terapii właśnie z panią Gampert. To daje mi uspokajające uczucie, że moje dziecko jest w najlepszych rękach, prowadzone przez znakomitego fachowca. I mądrego człowieka.

Zawsze, kiedy się sprzeczamy, robimy sobie wyrzuty albo popadamy w zadumę, co oczywiście jest zupełnie normalne w takiej sytuacji, jest tam jeszcze ktoś trzeci. Osoba towarzysząca i zarazem „supervisor”, która umiejętnie mnie wyhamowuje, żebym nie obarczała dodatkowo Basi jakimiś bzdurami. Dzięki temu udało mi się zyskać kawa-

255

łeczek wolności. Mentalnie, psychicznie, a także emocjonalnie. W mojej walce o duszę mojego dziecka nie jestem sama. To daje mi poczucie bezpieczeństwa i swego rodzaju psychiczny komfort.

„A teraz zamówimy sobie nasz wymarzony dom we wszechświecie” - proponuję Basi zarozumiale, kiedy już połknęła swoją południową porcję tabletek - wszystkie naraz, a jakże! Jest z siebie taka dumna, taka pełna euforii i zachwytu ze swojego wyczynu, że chcę odpowiednio spożytkować całą pozytywną energię, którą teraz emanuje. „No to jak, spróbujemy? Tylko tak, dla zabawy!”.

Odkąd Alex już z nami nie mieszka, znów chodzą mi po głowie myśli o przeprowadzce. Dom jest za duży dla Basi i dla mnie, ale jej choroba przesłoniła wszystkie moje zamysły, w tym również i ten. Kwestia przeprowadzki, siłą rzeczy, zeszła na dalszy plan, a w końcu popadła w zapomnienie. Teraz pojawiła się znów na tapecie. Siedzę z Basią na kanapie i zastanawiam się głośno: „Marzy mi się niezbyt duży, nowoczesny i wygodny dom; na parterze gabinet przyjęć dla moich pacjentów, którzy nie będą musieli biegać przez nasze prywatne pokoje, żeby dotrzeć do celu. Piękny ogród, do którego nikt nie będzie zaglądał...”.

„Z basenem!” - wykrzykuje Basia. - „...I kominek też byłby nie od rzeczy!” - uzupełniam ze śmiertelnie poważną miną.

Nie mamy wątpliwości, że nasze życzenie jest naprawdę szalone i nawet nie ma co śnić o jego spełnieniu. Co do tego jesteśmy absolutnie zgodne, ale to jest takie przyjemne - siedzieć ramię w ramię na kanapie i wspólnie marzyć.

■

256

Poniedziałek, 23 września 2002

Basia

Znowu dwa dni szpitala. Przyczyna: chemia dożylna, podczas której moje nerki muszą być dokładnie obserwowane. Co za nudy!

Tym razem nie zamierzam jednak leżeć bezczynnie przez dwa dni z rzędu. Mam lepszy pomysł. Wykorzystuję ofertę kliniki i wypożyczam sobie laptopa. Teraz mogę przynajmniej czatować z moimi internetowymi przyjaciółmi.

Wtorek, 24 września 2002

Basia

Wreszcie nas zwalniają. W samą porę. Mamy jeszcze trochę czasu, żeby zjeść porządny obiad u „Wiley'sa”. O trzeciej po południu musimy się stawić u pani Gampert. Obie mamy dzisiaj po jednej godzinie. Ja wchodzę pierwsza.

Siadam czym prędzej na fotelu i z ledwością mogę się doczekać tradycyjnego już „Jak się dziś czujesz?”, którym pani Gampert zawsze inauguruje nasze spotkania. Uśmiechając się od ucha do ucha, opowiadam jej o moim wielkim sukcesie, który zawdzięczam „Matrixowi”. Ale pomysł przetransponowania samej idei był mamy, podkreślam z dumą. „Tabletki nie istnieją! Tylko mama mogła wpaść na coś takiego!”. Pani Gampert przysłuchuje mi się z uwagą. Kiedy kończę, spoglądam na nią wyczekująco. Przeczucie mnie nie myli. Dostaję wielką pochwałę, ponieważ zrozumiałam „bardzo ważną część jej pracy”.

257

Potem opowiadam jej, że mama pozwoliła mi jechać szóstego października na spotkanie internetowego fan clu-bu Tańca wampirów, i że pracuję właśnie nad swoją własną stroną w internecie, na której, rzecz jasna, krew musi płynąć strumieniami, żeby każdy od razu zobaczył, że jestem prawdziwą, a nie udawaną fanką Tańca wampirów. Zdumione spojrzenie mojej terapeutki skłania mnie do podejrzenia, że po prostu nie zna ona tego musicalu. Żeby więc przybliżyć jej choć odrobinę ten niesamowity spektakl, opowiadam jej w skrócie całą akcję i zaraz potem, chcąc zrobić jeszcze lepsze wrażenie i przy okazji odpowiednio

zareklamować nieznaną jej - czy to w ogóle jest możliwe?! -Taniec wampirów, zaczynam wyśpiewywać moją ulubioną piosenkę.

Pani Gampert jest przerażona.

„Jestem astrologiem i stąd wiem, że w twoim horoskopie znajduje się konstelacja z potężnym potencjałem strachu. Również Elmer w swoim pierwszym komunikacie mówił o twoim - wywołanym przez lęk - samozniszczeniu duszy". - Pani Gampert milknie na chwilę, a potem wyjaśnia mi poważnym głosem, jak bardzo ważną sprawą jest usunięcie wszystkich tych mrocznych postaci i myśli z mojej głowy. Widzę, że jest bardzo przejęta. - „Ale w jaki sposób mam tego dokonać, kiedy ty w dalszym ciągu z uporem maniaka karmisz się takimi potwornościami?”. Kiedy na nią patrzę, mam wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do mnie.

Potem zapada nagle cisza. Pani Gampert zastanawia się, ale przez cały czas mnie obserwuje, uśmiechając się leciutko. Być może brzmi to kiczowato, ale ona naprawdę tak się uśmiecha. Łagodnie i „środkowo umiarkowanie”, jakby to ujęła moja mama. Taka właśnie jest pani Gampert. Siedzi

258

naprzeciwko mnie, na swojej stylowej sofie wygiętej w piękny łuk. Elmer zdradził jej kiedyś, że na jej sesjach terapeutycznych są zawsze obecne cztery anioły, które dzielą z nią tę piękną sofę. Ale przecież to jest sofa dwuosobowa! Wyobrażam sobie, jak po każdej stronie tego gustownego mebla mości się na aksamitnych poduszkach piękny młodzieniec z wielkimi, białymi skrzydłami - czyli mamy już dwóch, jeden z prawej, drugi z lewej, a dwaj pozostali rozpięrają się bezczelnie na oparciu. Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, a kiedy pani Gampert spogląda na mnie ze zdziwieniem, opowiadam jej, co właśnie widziałam moim wewnętrznym okiem.

„Widzisz, to jest właśnie dobry i pozytywny obraz” - moja terapeutka uśmiecha się z zadowoleniem. „Dokładnie o to mi chodzi. Nasze zadanie polega na tym, żeby wszystkie te upiorne, mroczne i złe obrazy, które lęgą się w twojej głowie, zastąpić jasnymi i wesołymi. Pomyśl o Matrixie. To, w co dziś wierzymy, jutro staje się rzeczywistością. Jeśli zbudujesz sobie ociekającą krwią stronę w internecie, to w ten sposób nie uda ci się przyciągnąć do siebie miłych i dobrych ludzi! Przeciwnie, będziesz przyciągać samo zło! Pozwól prowadzić się przez swojego anioła, a nie przez coś innego!”.

Pani Gampert z pewnością ma rację. Ale na spotkanie fan klubu pójdę. Mimo całej jej mądrości. Przecież nie muszę opowiadać wszystkiego mojej terapeutce, nawet jeśli bardzo ją lubię i szanuję.

Mama

Kiedy Basia była u pani Gampert, siedziałam w saloniku i czytałam. Teraz Basia musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, bo ja maszeruję do gabinetu na piętrze.

259

Za zgodą mojej córki, pani Gampert opowiada mi na bieżąco o postępach Basi, i udziela mi rad, na co powinnam przede wszystkim zwracać uwagę, i w jaki sposób postępować, żeby moje dziecko realizowało w praktyce wypracowane już reguły zachowania. Dzisiaj pyta mnie z troską w głosie, dlaczego Basia i ja jesteśmy takimi wielbicielkami horroru i -jak się zdaje - tylko czekamy na sposobność, żeby zaaplikować sobie jakąś makabreskę. „Kino, telewizja, musical...”.

Acha, tu cię mam! Teraz wiem, skąd wieje wiatr. Taniec wampirów...

„Fantazja twojego dziecka jest pełna mrocznych postaci. To naprawdę fatalna sprawa. Zwłaszcza w tym przypadku. Wskaźnik strachu jest u Basi ekstremalnie wysoki. Teraz montuje podobno ociekającą krwią stronę internetową. Tak dalej być nie może!”.

„Czy to naprawdę jest takie złe?” - pytam przestraszona. I - żeby jakoś się wytłumaczyć - zaraz dodaję: „Przecież to tylko zabawa...”. - Pani Gampert wzdycha ciężko. - „Zabawa,

powiadasz... To ja powiem ci tak: obie wiemy doskonale, że to, w co dziś wierzymy, jutro staje się rzeczywistością. Dlatego wiemy również, w jaki sposób dochodzi do tego rodzaju nieszczęść, czyli chorób lub innego rodzaju katastrof. Jeśli ja przez cały czas noszę w sobie mrok, zło i śmierć, to wówczas wszystkie te okropności będą szukały ujścia na zewnątrz i pewnego dnia wyłamią się ze mnie. Inaczej być nie może!" -pani Gampert nawiązuje do swojej ulubionej filozofii życiowej, którą ja również staram się na co dzień kultywować. Ta filozofia jest mi bardzo bliska. Ale to tylko teoria, a jej urzeczywistnianie w życiu codziennym wcale nie jest łatwe.

„Ale ja myślałam, że jeżeli pozwolę Basi iść na to spotkanie fan klubu, to wtedy będzie miała coś, z czego na-

260

prawdę się ucieszy. Chodziło mi wyłącznie o jej dobro. Przekazywać radość życia, przecież to jest najważniejsze, nieprawdaż? To moje naczelne zadanie, święty obowiązek. Sama mi pani o tym mówiła, więc jak to w końcu jest? Czy robię dobrze, czy źle?" - próbuję bronić mojego toku myślenia w tej sprawie.

Pani Gampert kołysz w zamyśleniu głową. Patrzę na nią z niepokojem, czekając na werdykt: „Tak i nie. Tak, ponieważ rzeczywiście to jest dobre, jeśli twoja córka ma coś, z czego się cieszy, i nie, bo jest złe, a nawet bardzo złe, jeśli cieszy się z czegoś tak potwornego! Czy znasz koszmarny sny Basi? Czy myślisz, że te koszmarny wzięły się ze spaceru po ukwieconej letniej łące w blasku słońca? Ta ochota na wszystko, co chore, potworne, zgubne i... ociekające krwią! Ja wiem, że u was jest to dziedzictwo rodzinne, ale ta fascynacja złem prześladowuje Basię, i w końcu może doprowadzić ją do zguby. Umysł tego dziecka pełen jest mrocznych historii. Przecież jest tak wiele pięknych musicali z pozytywnymi tekstami, tak wiele filmów z happy endem. Powinnicie je sobie razem obejrzeć, a potem iść do domu jak na skrzydłach. Zamiast podtrzymywać ją w tej chorobliwej fascynacji złem, musisz za wszelką cenę pomóc jej wymazać ze świadomości te potworne i złe obrazy. Musisz skłonić ją do tego, żeby zajmowała się pięknymi rzeczami. Czy to jasne?"

Koniec końców, uzgadniamy wspólnie, żeby nie przekreślać spotkania fan klubu. Jeśli Basi tak bardzo na tym zależy... Równocześnie jednak, pani Gampert i ja chcemy ostrożnie pracować nad jej duchową ewolucją, żeby raz na zawsze uwolnić moją dziewczynkę od jej chorobliwego zamiłowania do okropności.

261

Niedziela, 6 października 2002

Basia

Budzę się skoro świt, wskakuję w bambosze i maszeruję różnym krokiem do łazienki. Kto by pomyślał, że ja, „rasowy” śpioch, zdobędę się na taki wyczyn! Ale ten dzień jest wyjątkowy, więc ja też jestem inna niż zazwyczaj. Dzisiaj jadę na spotkanie fan klubu. Poznam Barbarę Koehler i wszystkie inne gwiazdy ze sztutgarskiego musicalu Taniec wampirów.

Najpierw idziemy wszyscy razem na popołudniowe przedstawienie, które zaczyna się o godzinie czternastej. Do tego czasu mam jeszcze całe mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Jak by to było cudownie ot tak, po prostu, wskoczyć pod prysznic. Ale nie, nic z tego. Odkąd mam mojego „hicky”, już nic nie jest „ot tak, po prostu”. Teraz to on, mój mały towarzysz, dyktuje warunki. Ja nie mam tutaj nic do gadania. Zatem, chcąc nie chcąc, muszę poddać się żmudnej operacji zwanej poranną toaletą.

Po śniadaniu, które zjadam w wielkim pośpiechu, biegnę jak na skrzydłach do swojego pokoju, gdzie mogę wreszcie rozpocząć przygotowania na spotkanie fanów. Mama pożyczyła dla mnie od swojej przyjaciółki Petry wspaniałą średniowieczną suknię. Do tego moje wysokie sznurowane buty i chusteczka na głowę, tak jak to miały w zwyczaju kobiety żyjące w dawnych czasach. Szczerze mówiąc, najchętniej poszłabym bez chustki, wymalowana jak wampir, z białym makijażem i oczami podkreślonymi grubą czarną krechą. Z glacją byłoby

jeszcze bardziej cool. Ale w średniowieczu kobiety nie strzygły się na łyso. Co najwyżej, miały podgolone wysoko czoła. Dlatego - chusteczka na głowę.

262

Zadawałam się malowniczą strużką krwi spreparowaną za pomocą czerwonej szminki, od kącika ust przez cały podbródek aż do szyi, jako znak mojej przynależności do wampirzego rodu. Najchętniej przytroczyłabym jeszcze do paska mojej sukni woreczek z krwią w charakterze podwieczorku. Poprosiłam nawet o to siostrę Sandrę podczas naszej ostatniej wizyty w klinice, ale ta dobra kobieta wyjątkowo nie dała się „zmiękczyć” i kategorycznie odmówiła wydania mi jednego z cennych woreczków krwi należących do kliniki. Mówi się trudno, nie będę błagała jej na klęczkach. Postaram się być przekonywająca nawet bez tego „rekwizytu”.

Przedstawienie nie jest takie wspaniałe jak dwa pierwsze, które już zaliczyłam. Zawinił jeden z aktorów, który okazał się raczej kiepskim śpiewakiem. Czuję lekkie rozczarowanie. Ale samą akcją przeżywam tym razem o wiele bardziej intensywnie. Być może również z tego względu, że od dawna znam wszystkie teksty na pamięć.

Kiedy Sarah śpiewa: „Czasami w nocy czuję się taka samotna i smutna. I nie wiem, czego naprawdę mi brak” - serce zaczyna mi mocniej bić. Te słowa poruszają mnie jak nigdy dotąd. Sarah marzy o tym, jak pięknie byłoby pójść do hrabiego, do jego zamku, jak pięknie byłoby oddać się złu. W tym samym momencie doznaję nagłego olśnienia i już wiem dlaczego: za sprawą mojej choroby, ja także - podobnie jak Sarah - oddałam się złu, a teraz siedzę w tym bagnie po same uszy. Tak głęboko, że bez pomocy swoich oddanych sojuszników nie umiałabym już sama powrócić do życia.

Sarah posuwa się tak daleko, że chce pozwolić dać się ugryźć, ale naczelny wampir powstrzymuje ją w ostatniej chwili - radzi poczekać i odwlekać rozkosz. Znow rozp-

263

znaję podobieństwo do mojej sytuacji, ponieważ u mnie też niemal w ostatniej sekundzie rozpoznano, że mam raka.

W głębi duszy żal mi hrabiego Krolocka. Niezwykle wzruszająco śpiewa on o tym, że musi noc w noc wgrzyzać się w czyjaś szyję, chociaż wcale tego nie chce. Czy to nie smutne, że ten nieszczęsny wampir nie może od tego uciec, chociaż wie, że wyrządza krzywdę Bogu ducha winnym ludziom? Czy to nie straszne, że nikt nie może go uwolnić od tej przeklętej żądzy, która ciągle i ciągle popycha go do tego, aby niszczyć czyjeś życie?

Po przedstawieniu biegnę do toalety. Muszę się na nowo umalować. Łzy doszczętnie zniszczyły kunsztowny, wampirzy make-up, któremu poświęciłam tyle czasu.

Spotkanie klubowiczów odbywa się w starym zajeździe w pobliżu teatru. Jestem zaskoczona, że jest tutaj tak wielu dorosłych fanów. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażałam sobie, że na tego rodzaju imprezie spotkam przede wszystkim ludzi w moim wieku.

Potem poznaję wreszcie Barbarę Koehler. Przewodnicząca fan klubu przedstawia nas sobie. Przy tej okazji wspomina również, że mam raka. No to świetnie, myślę, znow będę musiała opowiadać o swojej chorobie. Nie mam na to najmniejszej ochoty. Ale Barbara Koehler, na szczęście, nie zagaduje mnie na ten temat. To miłe z jej strony. Opowiada mi tylko, że dawniej często odwiedzała chore na raka dzieci w różnych klinikach.

Ach tak! Stoję jak słup soli i nie wiem, co mam powiedzieć. Czuję się idiotycznie. Sama nie wiem dlaczego, ale wszystko to wyobrażałam sobie zupełnie inaczej. Myślałam, że usiądziemy razem przy stole i będziemy gawędzić

264

jak stare znajome. A teraz, tak na stojąco, w otoczeniu tylu obcych ludzi...?

W którymś momencie podchodzi do nas jakiś chłopak, którego Barbara Koehler najwidoczniej zna już dłużej. Fan ów obejmuje ją poufale i szeptem coś do ucha. Moja idolka, śmiejąc się głośno, znika z nim w tłumie. Nawet się ze mną nie pożegnała, nawet jednym

małym gestem. Kierowniczką fan klubu patrzy na mnie ze współczuciem, potem wzdusza ramionami i rusza za tą dwójką.

Mama bierze mnie za rękę i ciągnie do stolika. Tam poznajemy Thomasa z Monachium. Nasz nowy znajomy należy do fanów, którzy obejrzeni Taniec wampirów już sto razy. Ma około trzydziestu lat, ciemne włosy i jest niesamowicie miły. Od razu go polubiłam, i nie może być inaczej, ponieważ odbieramy na tej samej fali. Siedzimy przy stole i paplamy o musicalu, jakbyśmy znali się już kopę lat. Właśnie tak wyobrażałam sobie moje spotkanie z Barbarą Koehler. Szkoda, że wyszło inaczej...

Pomimo wszystko, bardzo mi się podobało.

Mama

To była pierwsza wielka impreza, którą - mimo zakazu lekarzy - zaplanowałyśmy i zrealizowałyśmy punkt po punkcie. Zgodnie z naszymi przewidywaniami, na krótko przed rozpoczęciem następnego bloku chemii leukocyty znów skoczyły w górę. Mogłyśmy uznać, że układ odpornościowy Basi jest już w całkiem niezłej kondycji. Wszystko przebiega według planu i jutro Basia rozpocznie czwarty blok chemioterapii.

Aby Basi nie zaszkodziła obecność wielkiej liczby ludzi na spotkaniu fanclubu, moja dziewczynka otrzymała

265

zadanie „rozmawiania” ze swoją krwią. Polega ono na dopingowaniu białych ciałek, żeby szybciej odpoczęły, a następnie odpowiednio się rozmnożyły do czasu następnego bloku chemioterapii. Nazywamy to „majstrowaniem leukocytów”. Było mi bardzo szkoda mojej „fanki”, że jej wspaniała idolka poświęciła jej tak mało czasu, choć z drugiej strony Basia musi również stopniowo uczyć się radzić sobie z rozczarowaniami. I chyba wcale nieźle jej to idzie, ponieważ zwróciłam uwagę, że dość szybko - w każdym razie szybciej, niż się tego spodziewałam - przeszła do porządku dziennego nad tym, śmiesznie krótkim i według mnie szalenie bezosobowym, spotkaniem, na które tak bardzo się cieszyła. Niestety, z przykrością muszę również skonstatować, że po tym spotkaniu jej uwielbienie dla Barbary Koehler - wbrew wszelkiej logice - jeszcze bardziej wzrosło.

Poniedziałek, 7 października 2002

Basia

Podobnie jak za każdym razem przed rozpoczęciem kolejnego bloku chemii, również i dzisiaj w klinice dziennej najpierw badają mi krew. To rutynowe badanie, którego od dawna już się nie boję. Lekarz kłuje mnie małą igłą w opuszek palca, a następnie pozyskaną w ten sposób kroplę krwi umieszcza pod mikroskopem, i już wie, czy liczba moich leukocytów jest odpowiednio wysoka, żeby można je było zniszczyć podczas kolejnej inwazji chemii na mój organizm. Brzmi dość nedorzecznie, nieprawdaż? Ja też tego nie rozumiem, ale tak właśnie jest.

266

A teraz doktor Classen stoi przede mną z zasmuconą twarzą i mówi: „Nie da się ukryć, że twoje leukocyty są bardzo złe i z tego względu będziemy musieli przesunąć ten blok chemii o jeden tydzień”.

O mój Boże!

Przepełniona poczuciem winy zezuję na mamę. - „Ile ich jest?” - pytam alarmującym tonem. - „Tylko 2 tysiące, a to, niestety, stanowczo zbyt mało, żeby kontynuować chemioterapię!” - informuje mnie doktor Classen.

Jak przyłapanie na gorącym uczynku, wymykamy się z kliniki. Dopiero w samochodzie mam odwagę powiedzieć na głos to, co już od kwadransa leży mi na sercu jak stukilowy kamień.

„Czy myślisz, że to z powodu spotkania fan klubu?”.

Mama potrząsa przecząco głową. - „Moim zdaniem, na pewno nie z tego powodu, ale to oznacza, że siedziałaś w tłumie ludzi, mając o wiele mniejszą liczbę leukocytów, niż to wstępnie przyjęliśmy” - wyjaśnia ponurym głosem. Oj, niedobrze.

Czuję, że za chwilę zemdleję. „Czy myślisz, że znowu zachoruję?” - „Nie!” - mówi mama zdecydowanym tonem i to mnie odrobinę uspokaja.

Mama chwyta za kierownicę i włącza silnik. Wyjeżdżamy na autostradę, zmierzając w kierunku Biberach. Siedzę z posepną miną, przeklinając w duchu swoją lekkomyślność. Widząc to, mama próbuje mnie uspokajać:

„No, głowa do góry, Basiu! Przestań wreszcie histeryzować. Masz za sobą trzy naprawdę ciężkie bloki chemii. To zupełnie normalne, że czasami leukocyty zachowują się inaczej, niż to przyjmują lekarze na podstawie swoich statystyk. Czy myślisz, że jesteś pierwszą osobą, której przesunięto chemię o jeden tydzień? Teraz pojedziemy do domu, ty posiedzisz grzecznie przed telewizorem, a ja pójdę

267

do apteki i kupię ci multisanosovit, preparat regenerujący, który w mig postawi cię na nogi. A potem porozmawiasz poważnie ze swoją krwią. OK.?”

Optymizm mamy jest zaraźliwy. Przez resztę drogi jestem bardzo zajęta. Na początku - jakżeby inaczej - „opieprzam” moją krnąbrną krew, bo napędziła mi takiego stracha. Potem zmieniam taktykę, zaklinam moje leukocyty, żeby skończyły raz na zawsze z tymi głupotami, i żeby, proszę, bardzo proszę, znów się rozmnożyły. Nie zapominam również o Elmerze, którego upraszam o pomoc i wsparcie.

Do domu przybywam w jak najlepszym humorze - coś mi się zdaje, że rozmowa była bardzo owocna. Gdy jestem wreszcie w swoim pokoju, mogę się już cieszyć z tej zmiany planu, która jeszcze przed godziną była źródłem mojej głębokiej frustracji. Nie muszę nocować w klinice. Czyż to nie piękne? Siadam przy komputerze i zaczynam „dłubać” przy swojej stronie internetowej. To znacznie przyjemniejsze, niż leżenie w klinice i gapienie się w sufit!

Czwartek, 10 października 2002

Mama

Znowu zaczęłam pracować. Na razie na „pół gwizdka”, kilka godzin w ciągu dnia. Basia siedzi całymi nocami przy komputerze i buduje swoją stronę, która „wcale nie jest taka ociekająca krwią”, jak mnie zapewniła. Za to potem odsypia, wylegując się w łóżku do południa. Pozwalam jej na to „słodkie lenistwo”, ponieważ moja dziewczynka wydaje się naprawdę szczęśliwa i zadowolona z takiego rytmu.

268

Każdego dnia budzę ją punkt ósma, żeby zażyła tabletki. Basia, jeszcze w półśnie, wrzuca sobie całą porcję do gardła i popija szklanką wody. Potem przewraca się na dragi bok i śpi dalej, jak gdyby nigdy nic. Słowo daję, chyba naprawdę zaczęłam wierzyć w cuda.

Nasze oszczędności ostatecznie się wyczerpały - w końcu kiedyś musiało się to stać - a ja nie mam wrażenia, że muszę przez cały dzień doglądać mojej córki i czuwać nad jej snem, zwłaszcza że od pewnego czasu śpi jak suseł. Rzecz jasna, zanim wróciłam do swojej pracy - i swoich pacjentów - skonsultowałam się z Basią i zapytałam, co sądzi na ten temat. „Dwóch, trzech pacjentów - to naprawdę nie zajmie mi wiele czasu, a przynajmniej zarobię na nasz „chleb powszedni” - przekonywałam ją. Natychmiast się zgodziła.

Dużym plusem mojego zawodu jest to, że mogę organizować sobie dzień tak, jak chcę. Nienormowany czas pracy to naprawdę świetna sprawa. W ustalonych uprzednio dniach wizyt w klinice, z nikim się nie umawiam. Zaległości nadrabiam w weekendy, umawiając się na jedną lub dwie wizyty. Cieszy to moich pacjentów, ponieważ większość z nich pracuje na etacie, więc siłą rzeczy w ciągu tygodnia ma niewielkie szanse skorzystać z pomocy osteopaty.

Po południu dzwoni do mnie moja siostra Magda, gawędzimy o tym i owym, a potem zaczyna niespodziewanie opowiadać mi o domu, który chce wynająć jeden z jej znajomych. Podaje mi jego numer telefonu, a ja natychmiast umawiam się na następny dzień z samego rana.

Potajemnie i bez wiedzy Basi jadę obejrzeć polecony mi dom. Nie chcę obciążać mojej córki myślami o przeprowadzce, w przypadku gdyby dom nie odpowiadał naszym wyobrażeniom. Ale dom jest po prostu genialny! Nasze zamówienie w kosmosie podziałało! Wszystko jest tak, jak to sobie wyma-

269

rzyłam. Czyżby kolejny cud!? Na parterze znajdują się pomieszczenia znakomicie nadające się na poczekalnię i gabinet, połączone długim korytarzem z częścią prywatną; kominek w pokoju mieszkalnym i - prawie nie wierzę własnym oczom - mały basen w ogrodzie! Cena też jest w porządku, jeszcze mnie na to stać. W drodze powrotnej do domu w głowie wiruje mi jedna myśl: a jednak marzenia czasem się spełniają! Z ledwością mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym Basi.

Jest dopiero jedenasta, kiedy wracam do domu po swoim potajemnym i zakończonym pełnym sukcesem rekonesansie. Jeśli nie będę budziła Basi, to pośpi jeszcze przynajmniej ze dwie godziny. Tak długo nie wytrzymam! Już teraz nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie podzielę się z nią tą wspaniałą nowiną. Przysiadam na krawędzi łóżka i potrząsam moją śpiącą córką, która dalej śpi w najlepsze, chociaż zbliża się południe. „Basiu, znalazłam nasz dom!”.

Moja córka siada zaspana na łóżku. - „Jak to, naprawdę? Już teraz”? - „Tak! I wyobraź sobie, ten dom jest dokładnie taki, jak to sobie wymarzyliśmy! Po prostu perfekcyjny. W ogrodzie jest nawet twój basen, wyobrażasz to sobie? Prawdziwa bomba! Jeśli się zgodzisz, natychmiast się przeprowadzamy. Zostawimy tutaj wszystkie złe wspomnienia. I twoją chorobę też zostawimy, niech ją diabli wezmą... i zaczniemy wszystko od nowa. Co o tym myślisz?”.

Dwie długie, cienkie dziecięce ręce obejmują mnie za szyję. Wciąż jeszcze zaspana Basia mruczy jak kotek: „No jasne, że się przeprowadzamy. Jeśli ten dom jest tak wspaniały, jak mówisz!”.

Tym razem wszystko jest inaczej. Wspólnie postanawiamy, że chcemy wynieść się z naszego „starego” domu i zacząć nowe życie w nowym domu.

270

A swoją drogą, to naprawdę ciekawe, że dopiero za sprawą choroby Basi zrozumiałam, że zawsze chciałam rozwiązywać swoje problemy i uciszać dręczący mnie niepokój za pomocą przeprowadzek. Każda zmiana przestrzeni mieszkalnej była ucieczką od siebie samej, a Basia - chcąc nie chcąc - też musiała uciekać razem ze mną.

Moja córka, poprzez swoją chorobę, nauczyła się wielu rzeczy, między innymi tego, żeby mówić mi prosto w oczy, co naprawdę myśli. Już się nie maskuje i porzuciła zwyczaj lawirowania „dla świętego spokoju”, a zamiast tego wali prosto z mostu, dlatego teraz wiem nareszcie, jak bardzo nienawidziła tych nieustannych przeprowadzek. I tego, że nie umiałam się określić, że w żadnym z naszych domów ani ona, ani ja nie czułyśmy się jak na „swoich śmieciach”, i że zawsze szukałam czegoś lepszego. Basię strasznie to złościło, ale nigdy mi tego nie powiedziała.

Do chwili, gdy pani Gampert uzmysłowiła jej, że nie wolno tłumić swoich uczuć i magazynować ich na dnie duszy. I dopóki nie miałyśmy tak dużo wolnego czasu, żeby ze sobą rozmawiać. Otwarcie i szczerze.

Poniedziałek, 14 października 2002

Basia

Leukocyty posłuchały mnie i stanęły na wysokości zadania. Zgodnie z moim życzeniem, rozmnożyły się grzecznie i właśnie dlatego dzisiaj znów wiszę na kroplówce, która jak zawsze skapuje w ślimaczym tempie do mojego „hicky”.

Nie wiem, czy sprawiły to moje zaklęcia, czy pomoc El-mera, czy też multisanovit, którego piłam więcej niż trzeba,

271

ponieważ był taki smaczny... W każdym razie to jest mój czwarty blok chemii, czyli - mam już za sobą ponad połowę całej kuracji. Hurra!

Ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich lekarzy, w dalszym ciągu prawie bez skutków ubocznych. Dobrze, włosy mi wypadły, ale moje błony śluzowe jakimś cudownym zrządzeniem losu uniknęły bolesnych stanów zapalnych, które dokuczają większości dzieci leczonych chemioterapią. Nie złapałam żadnych infekcji grzybiczych w ustach, a dzięki roztworowi Nux Vomica i chroniącej dłoni Elmera już nie robi mi się niedobrze i nie wymiotuję tak jak dawniej, nawet po zamianie trującego koktajlu w mojej strzykawce, która nastąpiła z początkiem trzeciego bloku chemii. Elmer ustrzegł mnie również przed złapaniem jakiejś infekcji na spotkaniu fan klubu, chociaż moje leukocyty, a więc i moje siły odpornościowe, były takie marne.

Jutro wypuszczą mnie z kliniki, a w czwartek wieczorem jedziemy razem z mamą do Sztutgartu na jej - i mój też! -kurs w szkole aktorskiej. Jeśli będę się dobrze czuła, oczywiście. Ale wychodzę z założenia, że tak właśnie będzie, ponieważ zawsze dobrze się czuję, kiedy się z czegoś cieszę. Radość jest najlepszym lekarstwem na wszystko, wiem to z własnego doświadczenia!

Czwartek, 17 października 2002

Mama

Od połowy września jeździmy w każdy czwartek do Sztutgartu na nasz kurs aktorski. Jest po prostu wspaniale! Zajęcia na tej uczelni sprawiają nam ogromną radość.

272

Czujemy się naprawdę dobrze pośród wszystkich tych ludzi, którzy nie uważają nas za pomyłone, tak jak niektórzy szacowni obywatele naszego małego miasteczka Biberach. Moja łysa córka jest całkowicie zintegrowana z grupą. Kiedy mówię do moich kolegów: „Właśnie mamy taki wspaniały czas”, czuję się rozumiana i w pełni akceptowana. Natomiast w Biberach patrzą się na mnie - delikatnie mówiąc -dość dziwnie. W każdym razie mam uczucie, że najchętniej skierowaliby mnie do psychiatry, gdy na pytanie: „Co u was słychać? Jak życie?”, odpowiadam krótko: „Super!”.

W świecie aktorów i artystów obowiązuje inna hierarchia wartości i inne priorytety. To, co w „drobnomieszczańskim” środowisku uchodzi za jednoznacznie niedobre, dziwne lub niemile widziane, w świecie ludzi teatru i sztuki w ogóle jest sprawą oczywistą. Ten luz bardzo mnie fascynuje. Kiedy myślę o tak zwanych „normalnych” ludziach z mojego otoczenia, którzy nieustannie prawią mi morały, i którzy dopiero co zrobili mi wykład na temat tego, jak w ogóle mogłam dopuścić, żeby moje dziecko „obciążać jeszcze do tego wszystkiego przeprowadzką!”, to chce mi się rzygać. Kto u licha pytał ich o zdanie? Bo ja na pewno nie!
Poniedziałek, 21 października 2002

Basia

Nudzi mi się.

Odkąd mama pracuje po kilka godzin w ciągu dnia, to popołudniami musi się więcej zajmować tak zwanym gospodarstwem domowym. Cóż, taka dola kobiety pracującej... Już od dawna nie zrobiliśmy sobie żadnej wycieczki.

273

Właśnie odkurza podłogę w swoim gabinecie. Idę do niej, wyciągam zatyczkę z kontaktu i biorąc się pod boki, pytam niecierpliwie: „Mamo, kiedy pojedziemy wreszcie na jakąś wycieczkę? Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni wybrałyśmy się gdzieś razem. Poza wycieczkami do kliniki, oczywiście...” - dodaję zgryźliwie. Mama spogląda na mnie speszona. Jej spojrzenie ma w sobie coś ze „zbitego psa”, co mówi mi aż nadto wyraźnie, że

nasza ostatnia spontaniczna akcja wycieczkowa miała miejsce naprawdę bardzo, ale to bardzo dawno temu.

„Gdzie chciałabyś pojechać” - pyta cicho. Na twarzy ma wypisane poczucie winy przemieszane ze wstydem. Nagle robi mi się jej żal i zaczynam żałować, że tak na nią naskoczyłam. - „Co powiesz na „Bavaria Filmstudios” w Monachium? Thomas powiedział, że koniecznie musimy tam pojechać. Dla takich fanek filmu jak my dwie, to po prostu mus. Tak w każdym razie uważa Thomas, i ja popieram go w całej rozciągłości!”. - „No to już! Siadaj przy komputerze i dowiedz się, czy trzeba zarezerwować bilety wstępu i kiedy odbywa się oprowadzanie wycieczek!”. Rzucam na podłogę nieszczęsną wtyczkę, którą podczas tej naszej rozmowy kręciłam „wymownie ponaglająco” w powietrzu, i pędzę do mojego komputera.

Dzięki niezawodnej wyszukiwarce „google” szybko znajduję stronę miasteczka filmowego, czytam wnikliwie poszczególne punkty menu i zatrzymuję się przy „Specjalnościach i ciekawostkach miasteczka filmowego Bavaria”. A to co takiego: „Casting dla dzieci”? Brzmi bardzo interesująco, koniecznie muszę to sprawdzić. Klikam pospiesznie i ląduję na stronie „Sunshine kids”, agencji castingowej dla dzieci i młodzieży.

274

„Mamo!” - krzyczę przez cały dom. „W „Bawarii” jest agencja castingowa dla dzieci i młodzieży. Czy mogę się do niej zgłosić?”. - „Taaak!” - odkrzykuje mama z gabinetu. Po wypełnieniu formularza zgłoszeniowego, a następnie przesłania go pod wskazany adres, pojawia się okno pop up. Dziękują mi za moje zgłoszenie i proszą, żebym uzgodniła termin castingu pod podanym numerem telefonu.

Również to robię natychmiast.

Dopiero potem szukam mamy, która tymczasem przeniosła się do piwnicy i napycha pralkę naszymi brudami. Z triumfalną miną opowiadam jej, że trzydziestego października mam termin castingu w Monachium, w agencji „Sunshine kids”. Mama obserwuje mnie spod oka, ale nic nie mówi. „Dwa dni po chemii” - dodaję na samym końcu nieco bojaźliwie.

Oczywiście, jak mogłam się tego spodziewać, mama patrzy na mnie oczyma pełnymi wyrzutu. Uprzedzając jej słowa - bo domyślałam się, że będzie chciała wybić mi z głowy ten pomysł! - bronię zaciekle mojej samowolnej decyzji:

„Regularne wycieczki z przewodnikiem po miasteczku filmowym odbywają się tylko w sezonie, to znaczy od początku kwietnia do końca października. A przecież my też chcemy wziąć udział w takim zwiedzaniu... skoro już tam będziemy, to przecież logiczne. Tak czy nie?”.

Mama zastanawia się przez chwilę, spogląda z zadumą na kręcący się bęben pralki, i w końcu idzie na ustępstwa. „Zobaczymy, jak się będziesz czuła dwa dni po chemii. Jeśli wszystko będzie w porządku, pojedziemy. Jeśli nie, przełożymy termin. Umowa stoi?”. Propozycja na wskroś uczciwa, ponieważ trzydziestego października będę czuła się po prostu bombowo. Już ja to wiem!

275

Środa, 30 października 2002

Basia

Nareszcie! Tego dnia nigdy nie zapomnę. To dzień, w którym rozpocznie się moja wielka kariera.

Zostanę przyjęta do agencji artystycznej, która będzie mi robiła całą masę propozycji do ambitnych filmów, spektakli teatralnych i musicali. Komercja w ogóle mnie nie interesuje! Jak to dobrze, że na razie nie muszę chodzić do szkoły. To prawdziwe szczęście w nieszczęściu. Dzięki temu będę miała dość czasu na rozpatrywanie interesujących propozycji pracy. Gdybym była w internacie, wtedy rzeczywiście udział w takim castingu nie miałby żadnego sensu. Ale teraz, to co innego. A zaległości w nauce zawsze mogę przecież nadrobić.

Podczas jazdy samochodem jestem niesamowicie podekscytowana, a moje zdenerwowanie zwiększa się w miarę zbliżania się do Monachium. Jak będziemy już na miejscu, to chyba będą musieli mnie reanimować! Widząc, co się święci, mama próbuje mnie uspokajać, tłumacząc, że na pewno sobie poradzę, ale ja po raz pierwszy w życiu mam tremę. Wcześniej nigdy jej nie doświadczyłam, chociaż mam już za sobą niejedną publiczną występną. Tereny studia filmowego „Bavaria” są po prostu gigantyczne. Nie miałam pojęcia, że to taki kolos. Na szczęście, mam przy sobie opis drogi, który wydrukowałam przezrocznie w domu na swojej małej drukarce. Dzięki tej „pomocy naukowej”, udaje się nam bez większego problemu namierzyć duży, biały dom, w którym mieści się siedziba agencji. Wsiadamy z samochodu i rozglądając się ciekawie na

276

wszystkie strony, maszerujemy zdecydowanym krokiem do naszego celu. Dopiero kiedy jesteśmy w środku, spostrzegam, że ten dom jest okrągły. Idąc kręconym korytarzem, przywodzącym na myśl mitologiczny labirynt, docieramy do wielu biur, w których - sądząc po tabliczkach na drzwiach - rezydują przede wszystkim producenci filmowi. Na ścianach, wzdłuż korytarza, wiszą oprawione w piękne ramy plakaty filmowe.

Jesteśmy pod wrażeniem. Znamy niemal wszystkich aktorów i filmy prezentowane na plakatach. Czy pomysły scenariuszy zrodziły się właśnie w tym budynku i czy zostały zrealizowane w „Bawarii”?

Wreszcie znajdujemy agencję „Sunshine kids”, która mieści się na samej górze tego okrągłaka. Pukamy do drzwi i wchodzimy. Młoda kobieta wstaje od biurka, wita się z nami i przedstawia jako Patricia, po czym wskazuje nam dwa krzesła. Potem szuka w swoim komputerze mojego formularza zgłoszeniowego, który przesłałam przez internet. Pośród wielu punktów, które musiałam wypełnić, była tam również rubryka z pytaniem: „Dlaczego można byłoby nakręcić o tobie reportaż?”.

Spoglądam na mamę. Kiwa mi głową na zachętę. Milczę przez chwilę, a potem mówię: „W lipcu postawiono mi diagnozę: rak węzłów chłonnych. Obecnie przechodzę chemioterapię. Dla lekarzy jestem prawdziwym medycznym cudem, ponieważ czuję się zadziwiająco dobrze, pomimo że jest to końcowe stadium raka i na płucach mam wielkie guzy”.

„Ach, więc to tak... masz raka” - zaczyna „przesłuchanie” Patricia, szefowa agencji. Ja na to paplam i paplam, opowiadam o wszystkim, o czym ta sympatyczna kobieta chce wiedzieć. Poczawszy od mojej choroby, poprzez moje

277

hobby, aż do - jak by nie było - mojego wieloletniego doświadczenia aktorskiego. W trakcie tej opowieści otwierają się drzwi sąsiedniego pokoju i staje w nich mała blondynka, przysłuchując się z uwagą naszej rozmowie.

„Jeśli twoje doświadczenie aktorskie jest rzeczywiście takie bogate, jak mówisz, to oczywiście chętnie przyjmujemy cię do naszej agencji” - mówi Patricia. Mała blondynka, która do tej pory milczała, wpada jej w słowo i zauważa rezolutnie, że każde talk-show, a także inne programy telewizyjne z całą pewnością wezmą mnie z pocałowaniem ręki. „My oczywiście będziemy również proponować ci role filmowe, ale jeśli mam być szczerą, to w tej chwili czarno to widzę. Ale co się odwlecze, to nie uciecze.... Musimy poczekać, aż twoje włosy znów odrosną” - Patricia próbuje ostrożnie ostudzić mój entuzjazm.

No i koniec z moim pięknym marzeniem o błyskawicznej karierze! Prawdopodobnie dostrzega na mojej twarzy rozczarowanie, ponieważ dodaje szybko, uśmiechając się figlarnie: „Za wyjątkiem, gdyby ktoś kręcił właśnie film o dziewczynce chorej na raka. Wtedy oczywiście ty masz największe szanse!”.

Mimo to, chcę spróbować, skoro już tutaj jestem... Patricia idzie ze mną do studia obok, żeby mnie sfotografować.

Kiedy wracamy, mama zwraca się do mnie: „Posłuchaj Basiu, czego się właśnie dowiedziałam. To bardzo interesujące. Oni organizują tutaj również kursy aktorskie i trening przed kamerą. Czy nie miałabyś ochoty wziąć udziału w takim kursie? Mogłabym przywozić cię tutaj w weekendy. Co ty na to?”.

Patricia wyjaśnia mi, że pomiędzy graniem na scenie a graniem przed kamerą istnieje wielka różnica, i że taki kurs przygotowuje właśnie do pracy na planie filmowym.

278

Przytakuję zachwycona: „Ależ oczywiście, bardzo chciałabym wziąć udział w czymś takim!”. Słyszając to, Patricia prosi mnie, żebym wypełniła w inter-necie formularz zgłoszeniowy. - „Następny kurs dla dzieci w twoim wieku odbędzie się trzydziestego listopada. Kilka dni wcześniej otrzymasz od nas maila z dokładnymi informacjami” - mówi na zakończenie.

Kiedy już stoję w drzwiach, mruga do mnie porozumiewawczo i dodaje: „I pamiętaj, nie bądź smutna, jeśli nie od razu się odezwiemy. Czasem warto trochę poczekać!”.

W drodze powrotnej do Ulm po raz pierwszy złoścę się na moją głowę. Jeśli nie dostałam żadnej propozycji zagrania w filmie, to tylko i wyłącznie z jej powodu!

Mama jest innego zdania; uważa, że moja ogolona na zero głowa może być również dużą zaletą, ponieważ można na nią nasadzić każdą perukę. Dzięki temu mogę mieć dokładnie taką fryzurę, jaką reżyser czy też kostiumolog wymyślili sobie dla odtwórczyni jakiejś roli. Ale ja i tak wiem swoje - mama chce tylko mnie pocieszyć.

Czwartek, 7 listopada 2002

Basia

Dzisiaj znowu wielkie badanie. Cztery bloki chemii mam już za sobą i w dalszym ciągu czuję się po prostu wspaniale. Pomimo to, znów będą mnie sprawdzać od stóp do głów. No cóż, jeśli tak trzeba... Lekarze chcą wiedzieć, czy chemioterapia zadziałała w odpowiedni sposób, czy wszystkie moje wewnętrzne organy nadal prawidłowo funkcjonują,

279

i oczywiście, jak przedstawia się moja morfologia, która zawsze jest centralnym punktem programu.

A zatem, komu w drogę... Znów pielgrzymujemy przez całą klinikę. Rentgen, ultrasonograf i obowiązkowa morfologia. W trakcie pobierania krwi z mojego „hicky”, doktor Classen informuje nas, że na tym nie koniec. Musimy jeszcze pojechać do kliniki przy Elsenberg na tomografię. O nie, tylko nie to, wzdycham w głębi duszy. Wszystko, tylko nie ta piekielna rura, w której trzeba leżeć w nieskończoność, nie ruszając nawet małym palcem u nogi! A przedtem czekać całe wieki, aż środek kontrastowy rozejdzie się po całym ciełe.

Spoglądam znacząco na mamę. Czy domyśla się, co chcę jej powiedzieć? Moje spojrzenie jest aż nadto czytelne: możemy dzisiaj zapomnieć z pewnością o Wilej'sie...

Mama spogląda na zegarek - to znaczy, że zrozumiała! - a następnie kiwa uspokajająco głową. - „Dziesiąta godzina! W takim razie, jeśli chcemy zdążyć jeszcze na nasz obiad, to musimy się pospieszyć. Nie traćmy więc czasu!” - mówi mama półgłosem i ściąga mnie z leżanki. Doktor Classen śledzi nasz pospieszny wymarsz, kręcąc głową ze zdziwieniem. „Badanie macie dopiero o jedenastej!” - woła za nami.

„Wszystko jedno, idziemy!” - ponagla mnie mama, ignorując nawoływania doktora. „Jeśli będziemy tam trochę wcześniej, to może przyjmą nas poza kolejnością. A w twoim ukochanym „Wilej'sie” wydają obiady do drugiej. Jeśli szczęście nam dopisze, zdążymy!”. Troska, żeby nie przegapić naszego „rytualnego” już obiadu u „Wilej'sa” zajmuje mnie tak bardzo, że całkiem zapominam o strachu przed tym głupim tomografem. Teraz jestem przynajmniej ciepło ubrana, bo na dworze niezłe wieje już chłodem. Dzięki solidnemu, kilkuwarstwowemu

280

przyodziewkowi przynajmniej nie zamarznię w tej lodówce, nazywanej szumnie gabinetem badań!

Niestety, pomimo grubego, czerwonego golfa z owczej wełny, ciepłych skarpetek i długich spodni, już po kilku minutach zaczynam się trząść z zimna. Czuję się dokładnie tak samo jak poprzednio. Tym razem przyświeca mi jedna myśl: „Basiu, nie pękaj, za pół godzinki odbijesz to sobie w Wiley'sie. Przez cały czas staram się wyobrazić sobie, co też dzisiaj znajdzie się na moim talerzu i zaciskam zęby, żeby nie szczękały mi z zimna.

O pierwszej jesteśmy gotowe. Wybiegamy na szpitalny dziedziniec, wskakujemy do samochodu i jazda! Mama demonstruje mi swoje kwalifikacje kierowcy wyścigowego, jadąc setką przez miasto, żeby zdążyć jeszcze na czas do Neu-Ulm. I rzeczywiście, zdążyliśmy!

Poniedziałek, 11 listopada 2002 Basia

Pierwszy dzień piątego i przedostatniego bloku chemii!

Kiedy punktualnie o dziewiątej rano pojawiajemy się w klinice, zwarte i gotowe na kolejny seans chemii dożylniej, w drzwiach wejściowych wita nas sam lekarz naczelny, doktor Stahnke. Pan doktor promienieje jak piernikowy konik na miodzie, wyciąga rękę na powitanie i mówi uroczystym tonem: „Gratuluję, Basiu!”.

Zdziwiona i lekko zmieszana rozglądam się na wszystkie strony. Czy może jest tutaj jeszcze jakaś inna Basia? Ale nie ma nikogo. - „Panie doktorze, nie bardzo wiem, co powiedzieć... Ja nie mam dzisiaj urodzin” - próbuję wyjaśnić nie-

281

porozumienie, które najwidoczniej tutaj zaszło. - „Nie, nie” - śmieje się doktor Stahnke, „oczywiście, że nie. Wiem o tym. Gratuluję ci wyników badań. Wszystkie są bez zmian chorobowych”. - „Czy to dobrze?” - pytam podejrzliwie. - „Ależ oczywiście, i to jeszcze jak dobrze!” - cieszy się doktor Stahnke. „Guzy na twoich płucach znikły, nie stwierdzono żadnych widocznych przerzutów w twoim udzie, wszystkie chłoniaki w rejonie węzłów chłonnych cofnęły się. Czy to nie wspaniałe?”.

Czy to jest wspaniałe? Co za pytanie! Nie mogę uwierzyć własnym uszom. To najwspanialsza wiadomość, jaką usłyszałam w całym swoim życiu! Łzy radości tryskają mi z oczu jak dwie fontanny; podbiegam do mamy i rzucam się jej na szyję. Obie śmiejemy się i płaczymy na przemian, piszczymy i kwiczymy, podskakując przy tym jak dwa hipopotamy ukąszone przez tarantulę.

Doktor Stahnke próbuje zaciągnąć nas do jakiegoś gabinetu, ale gdzie tam - po takiej wiadomości nie chcę słyszeć o żadnych badaniach! Wyrrywam się i biegnę do sióstr urzędujących w gabinecie przyjąć. „Słyszałyście? Żadnych zmian chorobowych! Jestem zdrowa, zdrowa!” -terkocę jak katarynka, wciąż jeszcze śmiejąc się i płacząc na przemian. Dopiero po chwili spostrzegam dwie matki, które siedzą w poczekalni. Patrzą na mnie zdumione, wytrzeszczając oczy. - „Przepraszam” - mówię szybko i robię piękny dyg. - „Bardzo mi przykro! Ale naprawdę, żadnych, żadniusień-kich zmian!” - próbuję wyjaśnić im powód mojego entu-zjamu. Potem robię w tył zwrot i biegnę co sił w nogach do pokoju konferencyjnego, do którego weszli przed chwilą doktor Stahnke i mama.

282

„Czy to znaczy, że teraz mogę pójść do domu?” - wołam już od drzwi, przerywając niegrzecznie ich rozmowę. „Nie będzie już więcej chemii?”.

Doktor Stahnke potrząsa z zalem głową, po czym wyjaśnia mi, że bez względu na rewelacyjne wyniki moich ostatnich badań muszę dokończyć chemioterapię. To nieuniknione. Czyli pozostały mi jeszcze dwa ostatnie bloki chemii. Doktor tłumaczy cierpliwie: „Wszystkie widoczne dla nas przerzuty zniknęły. Ale maleńkie, śladowe pozostałości guzów nowotworowych, które dla naszej aparatury medycznej są często niewidoczne, mogą się jeszcze gdzieś chować. Długoletnie badania wykazały, że pacjenci, którym przedwcześnie przerwano chemioterapię, bo nie było już żadnych widocznych przerzutów, często po sześciu

miesiącach lub najpóźniej po roku, wracali do nas z nowymi zmianami chorobowymi. Ale ty nie chcesz przecież narażać się na takie ryzyko, prawda Basiu? Wiem, że jesteś rozsądną osobką!"

Oczywiście, że nie chcę! I jestem rozsądna, nawet bardzo. To byłoby wprawdzie takie piękne - odwrócić się teraz na pięcie i wymaszerować z kliniki z „do niezobaczenia się już nigdy!” na ustach, ale jeśli doktor nie pozwala... Moja radość z tego nieoczekiwanego zaniku wszystkich guzów jest przeogromna i nic nie może jej zmącić - nawet perspektywa dwóch kolejnych bloków chemii, z którymi tak czy siak musiałam się liczyć.

Pół godziny później, całkowicie odprężona i spokojna jak nigdy, poddaję się zabiegom; również pobyt w klinice do następnego dnia jest mi całkowicie obojętny. Teraz, kiedy nie mam już żadnego złośliwego świństwa, mogą mi nawet zrobić sto zastrzyków jeden za drugim. „Znowu jestem zdrowa!” - bije moje serce. „Znowu jestem zdrowa!” -

283

bębni mi w uchu. „Znowu jestem zdrowa!” - krzyczy radośnie w mojej głowie. Jestem taka uradowana i tak bardzo szczęśliwa, że to wszystko nie poszło na marne: chemioterapia, praca z panią Gampert i moja przemiana z grzecznej świętoszki w zuchwałą nastolatkę. Juchu!!! Czuję się tak, jakby moja dusza mogła nareszcie latać. Wolność jest tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki. Tak samo jak niebo, które teraz jest tak blisko, że prawie mogę je złapać!

Zamykam oczy i dziękuję Bogu i Elmerowi.

Po południu przychodzi do mojego pokoju profesor De-batin. Również on mocno ściska moją dłoń, gratuluje mi z całego serca i cieszy się razem ze mną. Patrzy na mnie z uśmiechem, a potem mówi, że jestem „medycznym cudem”, ponieważ do tej pory nie wystąpiły u mnie żadne uboczne skutki chemioterapii, za wyjątkiem wypadania włosów, oczywiście.

„Prawdopodobnie przyczyna tego cudu kryje się w zmianie twojego nastawienia. Zwróć uwagę, że po początkowym szoku i stosunkowo długim okresie apatii - jedno i drugie było zresztą w pełni zrozumiałe - z godną podziwu energią podeszłaś do swojej choroby i dzielnie stawiałaś jej czoło. Wiem z doświadczenia, że nastawienie psychiczne chorego to połowa sukcesu. Pacjenci, którzy są dobrej myśli i wierzą w powodzenie kuracji, znacznie szybciej dochodzą do zdrowia, aniżeli pesymiści. Przecież zawsze byłaś przekonana, że chemia ci pomoże” - chwali mnie pan doktor.

I ma on wprawdzie rację, ale gdzie byłabym dzisiaj bez moich potajemnych pomocników i sojuszników? Nie mam odwagi opowiedzieć mu o pani Gampert, Elmerze i Nux Vomica. Dlatego kiwam głową na znak, że zgadzam się z nim w całej rozciągłości. Tak, tak, gdyby nie chemia...

284

Tak naprawdę będziemy świętować w środę, jak zwolnią mnie z kliniki. Ma się rozumieć, w naszym kochanym „Wi-ley'sie”, a jakże! Już to widzę oczami wyobraźni. Zaszaleję i zamówię sobie talerz sałatek ze wszystkimi możliwymi dodatkami. Chemia tu i tam!

Mama od godziny wisi na telefonie i przekazuje dobrą nowinę wszystkim, którzy powinni dowiedzieć się o tym w pierwszej kolejności.

Tata przybywa po południu jako pierwszy - z ogromnym bukietem kwiatów i torebką z McDonalds'a. Rzuca jedno i drugie na fotel, podbiega do mnie i przyciska tak mocno do serca, że prawie się duszę i zaczynam się bać o moje „hicky”. Tata płacze jak bóbr, łzy płyną mu po policzkach, a ja, niestety, muszę płakać razem z nim. Przez moment przechodzą mi przez głowę ponure obrazy sprzed kilku miesięcy, z początkowego okresu mojej choroby - najgorszego okresu w moim życiu. Wtedy łzy moich rodziców budziły we mnie lęk i siły wątpliwości. Ze łzami radości, które płyną dzisiaj, świetnie sobie radzę. I nie może być inaczej! Te łzy pokazują mi tylko, jak bardzo mama i tata mnie kochają.

Mama

To prawdziwy cud!

Po głośnych fajerwerkach radości, gratulacjach i łzach szczęścia, nagle robi się całkiem cicho. Mieszanka głęboko odczuwanej wdzięczności i pokory zalewa mnie jak potężna fala. Z ledwością mogę w to uwierzyć! A przecież zawsze byłam przekonana, że nasza droga, nasze podejście do tej strasznej choroby ocali Basi życie. Pomimo to, nieoczekiwane ustąpienie guzów wydaje mi się teraz

285

cudem. Racjonalnie rzecz biorąc - nie do pojęcia. A jednak! Nigdy nie dopuszczałam do siebie myśli, że to, co robimy dla Basi może być bezsensowne, niepotrzebne lub nieprzydatne. Przeciwnie, przez cały czas starałam się myśleć pozytywnie. Wierzyłam, że się uda, zwłaszcza po widocznym rozkwicie mojej córki. Wszak miarą sukcesu są również widoczne oznaki zdrowia, a tych mamy aż nadto. Niemal od samego początku zdawałam sobie sprawę, że wcześniej czy później uporamy się z tą chorobą, że będziemy mieć ją w garści. Ale skoro byłam taka pewna swego i taka przepełniona wiarą w sukces, to dlaczego teraz odczuwam tak ogromną ulgę i dlaczego jestem tak nieskończenie szczęśliwa? A może, choć nie do końca, byłam tego świadoma, przez cały czas nosiłam w sobie również zwątpienie, które dzień po dniu wgrzyzało się w moją duszę?

Kiedy ten cudowny zwrot w chorobie Basi określiłam w rozmowie z profesorem Debatinem jako „spontaniczną remisję”, czyli niewyjaśnione ustąpienie choroby, mój rozmówca natychmiast się sprzeciwił. „Ależ łaskawa pani, w przypadku choroby Hodgkina w jej zaawansowanym stadium, nigdy jeszcze nie zaobserwowano spontanicznych remisji. Chemioterapia, którą zastosowaliśmy, doprowadziła jednak do remisji guzów nowotworowych w jej organizmie. Tego rodzaju kuracja jest dlatego bardzo skuteczna, ponieważ może wymusić regresję nowotworu. Zgodnie z naszymi oczekiwaniami, powinno było to ustąpić po mniej więcej czterech miesiącach stosowania chemioterapii. Gdyby tak się jednak nie stało, z czym oczywiście również należało się liczyć, wówczas musielibyśmy zastanowić się nad zmianą chemioterapii i leków”.

286

Ale nawet jeśli profesor uważa, że to zupełnie normalne, że jest to w pewnym sensie medyczny standard, to dla mnie jest i pozostanie on cudem. Tak samo jak ledwie zauważalne skutki uboczne chemioterapii. Jeden z lekarzy, z którym rozmawiałam, zanim jeszcze Basia zaczęła przyjmować chemię, wspomniał mimochodem, że brak skutków ubocznych nie wróży niczego dobrego, że to zły znak. „Z punktu widzenia medycyny oznacza to, że chemia nie działa” - pouczył mnie. Doskonale to pamiętam. Basi oczywiście o tym nie opowiedziałam. Być może jednak, właśnie to rzucone mimochodem zdanie było zalążkiem mojego głęboko ukrytego zwątpienia, które teraz mogę wreszcie wyrzucić za burtę. Cóż za cudowna ulga! Mój Boże, kiedy pomyślę, w jakim koszmarnym stanie była moja córka kilka miesięcy temu, kiedy przywiozłam ją do tej kliniki... I ona, i ja przeżyłyśmy nasz całkowicie osobisty cud! Dziękuję Elmer!!! Dziękuję pani Gampert!!! I dziękuję oczywiście również całemu personelowi kliniki, z chemioterapią włącznie!!!

Poniedziałek, 18 listopada 2002

Basia

Dzisiaj znów musiałyśmy jechać do kliniki dziennej na kontrolę krwi. Poziom leukocytów po czwartym bloku chemii jest, zgodnie z oczekiwaniami lekarzy, dość niski, ale na szczęście nie budzi większych obaw. Z upomnieniem, żebyśmy grzecznie zamknęły się w domu i nie robiły żadnych głupstw, opuszczamy klinikę.

287

Jedziemy do pani Gampert. Podczas sesji terapeutka opowiada mi o „Kursie robienia cudów”. Mama ma tę książkę w domu, bo pani Gampert traktuje ją jako podstawę do rozmów na swoich grupowych sesjach terapeutycznych. Rozmawiamy godzinę, nagrywając to spotkanie

na CD. Ponieważ zdaniem pani Gampert właśnie na tym spotkaniu zrozumiałam coś rzeczywiście bardzo ważnego, przytoczę naszą rozmowę w całości.

Pani Gampert: Kurs robienia cudów - jak to przeczytasz, to zrozumiesz, czym naprawdę jest choroba i już nigdy nie będziesz się bała. W tej książce chodzi o uzdrawianie duszy.

Basia: Czy pani w to wierzy?

Pani Gampert: Ja to wiem!

Basia: To byłoby super! Zawsze mówiłam, że chemia mi pomaga. Z drugiej strony uważam jednak, że to trochę śmieszne, kiedy ktoś ma raka i mówi do lekarzy: chodźcie i wyleczcie mnie! Już wy sobie poradzicie!

Pani Gampert: / tu nie masz racji, Basiu. Już nawet tylko to mogłoby pomóc, ponieważ wszystko jest wyłącznie kwestią zaufania, wiary. Możesz dłużyć sobie w nosie, jeśli wierzysz, że to cię uleczy. A zatem, gdzie według ciebie kryje się tajemnica zdrowienia?

Basia: W zaufaniu! We mnie!

Pani Gampert: W tobie? Czyli gdzie?

Basia: W mojej duszy!

Pani Gampert: Ale w jaki sposób powracasz do zdrowia?

Basia: Wierząc w to, że znów będę zdrowa.

Pani Gampert: Ale ja w to nie wierzę.

Basia: Ale wiara jest szansą.

Pani Gampert: Ale ja na przykład zawsze mam pecha;

288

mogę robić, co chcę i nawet stawiać na głowie, a i tak wiem, że mi się nie uda!

Basia: Muszę nauczyć się dostrzegać w chorobie dobro.

Pani Gampert: Co dało ci taką wiarę?

Basia: Chyba chemia... nie... to jest strasznie trudne, sama nie wiem. Hop, to już było! To nie rosło powoli... w momencie, kiedy już się nie bałam, że mogę umrzeć... sądzę, bo w pewien sposób czułam się sprzymierzona z moją chorobą, tak mniej więcej na zasadzie: ty mi pomożesz, a potem możesz sobie iść.

Pani Gampert: Jeśli dobrze rozumiem, to starałaś się pozytywnie pojmować swoją chorobę ?

Basia: Choroba nie była naprawdę chorobą, tylko udawanie, maskowanie się było chorobą, a nie rak - ten pozwolił mi tylko zrozumieć, że muszę coś zmienić.

Pani Gampert: / od razu to rozumiałaś?

Basia: Nie, nie od razu, oczywiście że nie... Najpierw, na samym początku, kiedy dowiedziałam się, że jestem chora na raka, strasznie bałam się tej choroby - przecież wspólnie szukałyśmy przyczyn...

Pani Gampert: I ty wiedziałaś: jeśli dam przyzwolenie rakowi, to wtedy prędzej czy później musi się pojawić proces zdrowienia, bo taka jest normalna kolej rzeczy?

Basia: No, niezupełnie, już raczej „to mi chyba pomoże” -nie byłam pewna do końca, ale chciałam w to wierzyć, mocno w to wierzyłam. I dlatego poszłam tą drogą.

Pani Gampert: Co się zatem zmieniło, kiedy już rozumiałaś, co się naprawdę dzieje?

Basia: Strach minął. Po prostu go nie było. Mogłam już śmiać się z tego, ponieważ pomyślałam sobie, że wszystko mogłoby być takie proste, gdybym tylko nie udawała, nie maskowała się. Więc teraz mogłam już się z tego śmiać i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zjawiło się zaufanie.

289

Pani Gampert: Dokładnie tak właśnie było. Dlatego twoja choroba musiała zniknąć. Nagle straciła nad tobą całą władzę, straciła całą swoją moc. Ponieważ ty przejęłaś tę moc. To jest najważniejsze zdanie od lat: „Mogłam śmiać się z tego!”. To jest zdanie-klucz! Zawsze zadawałam sobie pytanie, gdzie jest punkt zwrotny i punkt zasadniczy. Wiedziałam, jak się sprawy toczą, ale nigdy nie miałam całkowitej jasności co do tego, gdzie i kiedy następuje

pozytywny zwrot. Nie wtedy, kiedy myślisz zawzięcie: muszę teraz zrobić to i to, tylko wtedy, gdy zaczynasz się z tego śmiać.

W tej książce jest jedno wspaniałe miejsce. Pytanie: „Dlaczego wszystko stało się takie złe?”

Odpowiedź: Ponieważ ty się z tego śmiałaś. To jest klucze. Jestem absolutnie pod wrażeniem ty i en słów!

Czy to znaczy, że mała Basia pomogła pani Gampert, teologowi, astrologowi i pedagogowi socjalnemu dotrzeć do nowego zrozumienia „biegu rzeczy”, do nowej wiedzy? Celem tych rozmów jest wprawdzie wypracowanie odpowiedzi na moje własne pytania, ale pani Gampert zazwyczaj zna je od dawna, zanim ja sama na nie wpadnę. Jak niezwykle ważne jest to „mogłam się z tego śmiać”, uzmysłowiłam sobie dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam reakcję pani Gampert. Tak czy inaczej, w przyszłości zawsze będę próbowała się śmiać - a przynajmniej uśmiechać! - gdy stanę przed taką, pozornie nie do pokonania, poprzeczką w moim życiu. Tylko pozornie...

290

Sobota, 30 listopada 2002

Basia

Wczoraj byłam w Monachium. A teraz prawdziwa bomba! W ramach treningu przed kamerą organizowanego przez „Sunshine kids”, my, uczestnicy kursu, możemy przyglądać się kręceniu w plenerze serialu telewizji ARD „Marienhof”. Mama formalnie pękała z zazdrości i nawet tego nie ukrywała - ponieważ dorośli nie mieli wstępu na plan filmowy.

Dzisiaj, o drugiej po południu rozpoczynają się zajęcia. Jest trening głosu, ćwiczenia oddechowe i całe mnóstwo improwizacji, to znaczy nasza nauczycielka opisuje nam określone sytuacje, które my odgrywamy zgodnie z naszą fantazją. Mam wrażenie, że całkiem nieźle nam to idzie. Prowadząca kurs nagrywa nas na kamerę wideo. Później, kiedy wspólnie oglądamy nagrania, uczymy się, na co trzeba zwracać uwagę, gdy gra się przed kamerą. Rzeczywiście, tak jak mówiła Patricia, jest zupełnie inaczej niż w przypadku gry na scenie. Jesteśmy wspaniałą grupą chłopców i dziewcząt. Najmłodszy uczestnik kursu ma jedenaście lat, najstarszy - czternaście. Chociaż prawie się nie znamy, rozumiemy się jak tyse konie. Wszyscy, co do jednego, chcemy zostać aktorami, i nikomu nie przeszkadza moja głaca. Nikt nie krzywi się na mój widok ani nie cierpi z powodu zetknięcia się z czymś nienormalnym. Jakie to cudowne uczucie być znowu między zdrowymi rówieśnikami!

Kiedy po ósmej wieczorem wracamy do domu, czuję się kompletnie wypompowana.

Dziwne. Przecież ten kurs

291

wcale nie był taki męczący. Tak bardzo jednak padam z nóg, że rezygnuję z wieczornej toalety i zaraz kładę się do łóżka w nadziei, że jutro znów będę zwarta i gotowa.

Niedziela, 1 grudnia 2002

Basia

Budzę się dość wcześnie, ponieważ odczuwam kłujące bóle na plecach i w rejonie ramion. Jeszcze w półśnie, moja ręka wędruje do bolącego miejsca. Macam je ostrożnie i wyczuwam coś w rodzaju małego pęcherzyka. Pęcherzyk? Skąd się tutaj wziął? W okamgnieniu jestem całkowicie rozbudzona. Tę sprawę trzeba jak najszybciej wyjaśnić!

Budzę mamę, potrząsając ją lekko za ramię.

„Mamo, popatrz tylko! Co ja mam na plecach?” - pytam zaniepokojona. Mama śpi w najlepszej i ani myśli otworzyć oczu. Zaczynam się niecierpliwić: „Mamo, wstawaj!” - krzyczę na cały głos. Potem odwracam się do niej plecami i podciągając wysoko piżamę.

Kiedy mama siada gwałtownie na łóżku, już wiem, że coś jest nie tak.

„Ojej!” - mówi - „masz tutaj jakieś czerwone punkciki. Sądzę, że musimy natychmiast jechać do kliniki! Idź się szybko ubrać!”. - „Och nie, proszę! Tylko nie to! Nie chcę jechać do kliniki! Nie dzisiaj, przecież muszę być w Monachium, na zajęciach przed kamerą!” - „Basiu,

bądź rozsądna. Dobrze wiesz, co powiedzieli lekarze: jeśli wystąpi coś niezwykłego, jak gorączka, wysypka lub coś w tym rodzaju, trzeba natychmiast zgłosić się do kliniki. No i mamy właśnie takie coś..." - przypomina mama.

292

Nie chcę tego słuchać. Chcę dostać wspaniałą rolę filmową, a ten kurs na pewno mi w tym pomoże.

„Przecież do kliniki możemy jechać jutro! Nic się nie stanie, jak poczekamy jeden dzień" - zaklinam mamę błagalnym głosem, mrugając przy tym dramatycznie oczami.

Mama jest niezdecydowana. - „Zajrzę do moich medycznych książek!" - proponuje rezolutnie i wyskakuje z łóżka. Ale kiedy wraca po kilku minutach, już wiem, że to nie przelewki.

Twarz mamy przybrała wyraz, którego bardzo, ale to bardzo nie lubię: dzika desperacja idąca w parze z tak dobrze mi znanym „bez żadnych dyskusji!". I zaraz potem -modulując głos stosownie do sytuacji - wydaje rozkaz: „No już, ubieraj się, jedziemy do kliniki. Ta wysypka wygląda mi na półpasiec, a z tym świństwem nie ma co żartować!".

Mrucząc pod nosem, stosuję się jednak do jej rozkazu. Przeczucie mi mówi, że tym razem lepiej nie zadzierać. Rozkaz to rozkaz! Nie byłabym jednak sobą, gdybym choć trochę się nie potargowała: „Ale długo tam nie zostanę, od razu ci to mówię. Nie muszę i nie chcę wdychać w płuca tego ohydneho szpitalnego fetoru - ani jednego dnia dłużej niż to konieczne. Mam lepszy pomysł! Możemy jeździć do kliniki każdego dnia, nawet przez cały tydzień, jeśli to konieczne, a potem wracać z powrotem do domu. Obiecuj mi!".

Mama patrzy na mnie ze współczuciem, a potem mówi cicho: „Nie mogę ci tego obiecać, Basiu, i ty dobrze o tym wiesz!".

Przynajmniej nie zabiera ze sobą naszego awaryjnego kuferka, który zostaje w domu tylko dlatego, że po prostu nie jest spakowany, bo mama od kilku dni zajęta jest ładowaniem naszego dobytku do skrzyń. W następnym tygodniu przeprowadzamy się do naszej nowej siedziby. Kto by tam teraz myślał o kuferku...

293

W drodze do Ulm milczę zawzięcie. Jestem ciężko sfrustrowana.

W dziecięcym ambulatorium kliniki dziennej od razu pakują nas do izolatki. Oczywiście z powodu wysypki. Czekanie trwa w nieskończoność. Czy całkiem o nas zapomnieli? Nie wzięłam ze sobą nic do czytania; z tego wszystkiego zapomniałam nawet o swoim „gameboyu", więc co mam teraz robić, żeby czas tak mi się nie dłużył? Poza tym, boli mnie jak diabli. A wysypka okropnie swędzi. Ale mama nie pozwala mi się drapać. Wreszcie, po godzinie, przychodzi młody lekarz, który kłuje mnie w palec. Po następnej półgodzinie zjawia się doktor Clas-sen i prosi, żebym pokazała mu plecy; z uwagą przygląda się mojej wysypce. „Czy naprawdę nie zauważyłaś tego już wcześniej? Bardzo dziwne... Ta wysypka nie jest od dziś!". Doktor patrzy na mnie z wyrzutem. Szybko spuszcza oczy, żeby nie widział mojego zmieszania. I bardzo głupiej miny... W końcu cicho, bojaźliwie przyznaję, że plecy już wczoraj mnie swędziały. „Aleja naprawdę nie myślałam, że to coś złego... tylko trochę się drapałam. Przecież to całkiem normalne" - bronię się, dobrze wiedząc, że jeszcze podczas kursu w Monachium to swędzenie stało się nie do zniesienia, a w końcu zamieniło się w promieniujący po całym ciele, kłujący ból, który z całym rozmysłem stłumiłam.

Doktor Classen patrzy na mnie ze współczuciem. „No cóż, Basiu, tak jak przypuszczała twoja mama - to półpa-siec, zakaźna choroba wirusowa. Wiem, że ci przykro, ale przygotuj się na to, że będziesz musiała zostać tutaj przez kilka dni. I do tego przejść kwarantannę!".

„Co takiego? Co mam przejść?".

294

„Kwarantanna to przymusowe, okresowe odosobnienie. Przez pewien czas będziemy musieli izolować cię od innych dzieci przebywających na oddziale onkologii, bo mogłabyś ich zarazić!”.

Dlaczego mama nie protestuje? Przecież wie, że nie chcę tutaj zostać. Ale ona nie robi najmniejszego ruchu. Nawet nie kiwnie palcem w mojej obronie. I nic nie mówi! Jestem oburzona. Czuję się zdradzona i sprzedana. Straciłam całą wiarę w ludzi i nie wierzę już w żadne cudowne wyzdrowienia! Niepocieszona i wściekła na cały świat, pozwalam się „odstawić”. Tak, dokładnie - „odstawić”! Właśnie tak się czuję w tej chwili.

Siostra Sandra, teraz moja strażniczka i dozorca więzienny, odbiera nas i prowadzi korytarzem na szósty oddział, zachowując najsurowsze środki bezpieczeństwa. Otwiera drzwi prowadzące na oddział onkologii i woła na cały korytarz: „Uwaga! Idę z Basią”. Słyszę szybkie kroki sióstr, skrzywienie posadzki i trzaskanie drzwiami. „Teraz w porządku. Korytarz jest pusty, możemy iść!” - mówi do mnie rozkazującym tonem, gdy na korytarzu zrobiło się cicho.

Czuję się jak wygnaniec w drodze na zesłanie. Z trudem powstrzymuję łzy, kurczowo zaciskając zęby. Nikt nie może widzieć, jak okropnie się czuję. O nie, nie zrobię im tej przyjemności, na pewno nie zobaczą płaczącej Basi!

Tym razem zostaję ulokowana w pokoju „Do-samma-da-hoam”. Nie czuję się tutaj jak w domu, a już na pewno nie chcę tutaj zostać, wolne żarty! Mama jedzie z powrotem do Biberach, żeby przywieźć nasze rzeczy. Ubrania, przybory toaletowe, piżamy. Włączam telewizor, dobrze wiedząc, że żaden program tego świata nie może odwrócić w tej chwili mojej uwagi od bezradnej wściekłości, którą miota mną na wszystkie strony. Ale co innego mam robić? Pozostała mi

295

tylko telewizja... Gapię się bezmyślnie w ekran, ale moje myśli przez cały czas krążą wokół tego okropnego słowa „kwarantanna”! Do tej pory nawet nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Cała moja energia, cały mój optymizm - znikły bez śladu. Po prostu ulotniły się jak kamfora! Jeszcze nigdy nie czułam się tak podle.

Gdy do pokoju wchodzi siostra Sandra, spoglądam na nią udręczonym wzrokiem i pytam, jak długo będę musiała tutaj zostać. „Musisz liczyć się z dwoma tygodniami!” - pada wesoła odpowiedź. Jak zwykle. To niesłychane: czy ta kobieta nigdy nie jest zła? Jak można mi serwować tego rodzaju druzgocącą odpowiedź z takim promiennym uśmiechem? No to załatwili mnie na cacy. Dwa tygodnie kliniki! Nie wytrzymam tego!

Zaledwie znikła za drzwiami mojej celi, puszczają mi nerwy. Tarzam się po łóżku i szlocham, jak jeszcze nigdy w moim życiu. Przez głowę przelatują mi tysiące pytań: czy zrobiłam coś złego? A jeśli tak, to co? Dlaczego zostaję ukarana? Za co? Dlaczego Elmer mi to robi?

Dlaczego Bóg mi to robi? Czy teraz znów wszystko zacznie się od nowa? Od początku? Czy to naprawdę było takie złe i karygodne cieszyć się swoim szczęściem, bo na pozór wszystko dobrze się skończyło, bo udało mi się przetrwać całą tę okropną historię? Chowam się pod kołdrę. Mam wrażenie, jakby jakaś lodowata ręka chciała mnie schwytać i wrzucić w otchłań. Po dwóch godzinach do mojej celi przychodzi lekarz. Chce nakłuć jeden z pęcherzyków i zanieść jego zawartość do laboratorium. Podciągam do góry piżamę; nie mam ochoty na żadne protesty. W ogóle nie mam na nic ochoty. Po jego wyjściu, znów zaczynam szlochać w poduszkę. Za każdym razem, kiedy ktoś przychodzi do mojego pokoju, szybko ocieram łzy z policzków. Nikt nie może widzieć

296

mnie płaczącej. Chcę być silna, a poza tym nie zamierzam stracić mojego dobrego wizerunku na oddziale. Zbyt ciężko na to pracowałam. Dzięki pani Gampert nauczyłam się uwalniać swoje uczucia i od pewnego czasu nawet mi się to udaje. Ale nie teraz, o nie. W tym momencie to po prostu nie działa. A „śmiać się z tego” zupełnie teraz nie potrafię. Chcę sama

nurzać się w swoim nieszczęściu. Nie zależy mi na powierzchownych pociechach i głupich, okolicznościowych frazesach jakichś tam życzliwych mi bliźnich. Wielkie dzięki, ale nie tym razem!

Mama

Moja biedna, dzielna dziewczynka! Była taka szczęśliwa, że może brać udział w warsztatach aktorskich „Sunshine kids”. Koniecznie chciała jechać tam jeszcze raz, chociaż miała już wysypkę i bóle. Szczerze mówiąc, doskonale ją rozumiem. To były jej pierwsze kroki w nowe życie. W życie pełne radości i pozytywnych doznań. Życie odbywa się teraz i powinno dawać radość. Nieustannie jej to powtarzałam, wbijałam do głowy dzień po dniu. Basia i ja próbowałyśmy żyć zgodnie z tym credo. Serce prawie mi pękło, gdy byłam dzisiaj zmuszona działać wbrew niemu. Zamiast do Monachium, musiałam zawieźć ją do kliniki w Ulm, gdzie życie wcale nie jest radosne...

Teraz wiem wprawdzie, że podjęłam właściwą decyzję, ale wcale nie czuję się lepiej z tego powodu. Półpasiec! Właśnie wtedy, kiedy myślałyśmy, że najgorsze mamy już za sobą.

Przekłęte choróbko!

Gorszego momentu na tę przypadłość Basia nie mogła sobie wybrać. Dlaczego właśnie teraz musiała zachorować? Do licha, przecież nie mogę znowu dzwonić po wszystkich swo-

297
ich pacjentach i przekładać wizyty. Tym razem ten numer nie przejdzie. Właśnie rozeszło się po ludziach, że mój - zamknięty od kilku miesięcy - gabinet fizjoterapii znów zostaje otwarty. A w następnym tygodniu się przeprowadzamy. Wzięłam już nawet kredyt w banku. Nie miałam innego wyjścia. Wszystkie moje oszczędności, po trzech miesiącach całkowitego wyłączenia się z zawodu i „nicnierobienia”, spowodowanego krytycznym stanem zdrowia Basi, skończyły się definitywnie. Nie mam na koncie nawet centa.

Tym razem nie będę mogła towarzyszyć jej w klinice dniem i nocą. W tej sytuacji po prostu nie mogę tego zrobić, nawet jeśli bardzo bym tego chciała. Mam wielką nadzieję, że moja mądra córka to zrozumie. W końcu to „tylko” pół-pasiec, który jest wprawdzie bardzo bolesny i wymaga stosowania środków przeciwbólowych, które Basia będzie dostawała po raz pierwszy od dłuższego czasu, ale jej ogólny stan fizyczny jest znacznie lepszy niż w pierwszych tygodniach, które musiała spędzić w szpitalu.

Po południu udaje mi się skontaktować telefonicznie z panią Wagenbauer, nauczycielką młodych aktorów w Monachium. Chcę ją tylko poinformować, że Basia nie weźmie udziału w drugim dniu kursu, ponieważ leży z półpascem w klinice dziecięcej. Pani Wagenbauer szczerze ubolewa nad tym faktem, uważając, że to doprawdy wielka szkoda. Współczuje Basi nie tylko ze względu na nagłe pogorszenie stanu jej zdrowia, ale też z powodu jej nieobecności na kursie. „Basia ma naprawdę nadzwyczajny talent. Jestem nią zachwycona. To prawdziwy nieoszlifowany diament. Ma tyle naturalnego wdzięku, fantazji i zadziwiającego poczucia humoru. Pani córka powinna koniecznie kontynuować ten kurs, gdy znów będzie całkiem zdrowa!

298

Grzechem byłoby zmarnować taki talent. Proszę ją serdecznie pozdrowić i przekazać, że naprawdę będzie nam jej dzisiaj brakowało!”.

Mój Boże, jak szybko udało się Basi odzyskać radość życia. Ale najbardziej cieszy mnie profesjonalna ocena jej talentu. Wreszcie jakaś pozytywna wiadomość tego ponurego dnia. Teraz wiem przynajmniej jedno: Basia będzie szła swoją drogą - ani rak, ani półpasiec nie powstrzymają mojej dziewczynki!

Kiedy wieczorem wracam z powrotem do kliniki, Basia jest zła jak osa. Oj, niedobrze, myślę sobie. Zaraz poprawię ci humor. Opowiadam jej o rozmowie z panią Wagenbauer. Ale nawet wielki komplement doświadczonej aktorki, który natychmiast jej przekazuję, nie może jej rozweselić. Moja córka milczy jak zaklęta, spoglądając ponuro w migocący ekran.

Szkoda, w normalnych warunkach taka pochwała na pewno bardzo by ją ucieszyła. Ale jest jeszcze jeden problem, którego wolę od razu się pozbyć. Dlatego mówię, nie zwlekając: „Basiu, wiesz, że w następnym tygodniu przeprowadzamy się. Mam jeszcze całe mnóstwo do zapakowania, a poza tym muszę zorganizować jakoś przeprowadzkę, no wiesz, wynająć samochód bagażowy, umówić tragarzy... Czy w ciągu dnia dasz sobie radę beze mnie?”.

Cisza, żadnej odpowiedzi. Tylko jej dolna warga wysuwa się krnąbrnie do przodu, a na czole pojawiają się kłótniwe zmarszczki.

„Będę przyjeżdżała do ciebie co wieczór i zostawała na noc. Tylko w ciągu dnia muszę być w Biberach, to naprawdę konieczne. Przecież to rozumiesz, prawda?” - proszę ją o wyrozumiałość. Gdy chcę wziąć Basię za rękę, wrywa mi ją szorstko. - „Zostaw mnie w spokoju!” - fuka niegrzecznie, chwyta za pilota i zaczyna skakać wściekle po kanałach.

299

Kiedy ogląda swoje rzewne wyciskacze łez z serii „Tylko miłość się liczy”, ja układam nasze rzeczy w szafie. Jeśli będę ignorować jej zły humor, wtedy szybciej się uspokoi, myślę sobie. Ale tego wieczoru nie udaje mi się, niestety, wyłudzić od mojej nadąsanej córki nawet jednego uśmiechu.

Dopiero kiedy światło zostało już zgaszone i właśnie opadają mi powieki do snu, słyszę jej głos nadchodzący z ciemności. Cichutki i trwożliwy: „Mamo, co takiego źle zrobiłam?”

Powiedz mi, proszę. Boja naprawdę nie wiem... Czy teraz znów będę miała guzy?”.

Natychmiast się rozbudzam. Dobrze, że Basia nie może zobaczyć przerażenia malującego się na mojej twarzy. A więc o to chodzi! Tu cię boli, moja ty biedaczko. Basia wierzy, że została ukarana, ale nie wie, za co. W tym samym momencie melduje się moje nieczyste sumienie. Zastanawiam się gorączkowo, czy to wszystko nie moja wina. Może to ja zrobiłam coś nie tak? Tylko co?

Przeprowadzka, szkoła aktorska, trening przed kamerą. Wizyty w Ikei. Czy nie było tego za dużo? Czy nie narzuciłam jej za szybkiego tempa, czy nie żądałam od niej zbyt wiele?

Przecież Basia była bardzo ciężko chora, dlatego tego nie uwzględniłam? Zdaje się, że po prostu przedobrzyłam, i oto mamy teraz skutki. Czy nie powinnam była bardziej ją chronić, oszczędzać? Ale odmawiać jej rzeczy, które sprawiały jej tyle radości, zajmowały czas i odwracały uwagę od jej choroby? Sama już nie wiem...

„Nie wiem, Basiu” - mówię zdławionym głosem. Jestem strasznie udręczona i czuję, że za chwilę się rozplączę. „Ale zapytam Elmera!”.

Nasłuchuję w ciemności, wytyżając słuch. Czekam z niepokojem na jakiś znak - chrząkanie, sapanie, wzdychanie -

300

który mógłby wskazywać na płacz albo na dalsze pytania, na które nie umiem jej odpowiedzieć. Ale nadchodzi tylko smutne, małe: „Dobranoc, mamo”. Czuję ulgę.

Przynajmniej nie będę musiała wymyślać niczego naprędce...

Teraz mnie napływają łzy do oczu. Te łzy wypłukują mój „wisielczy humor”, który zawsze pomagał nam w trudnych chwilach, i znów otwierają wrota dawnym lękom.

Wtorek, 3 grudnia 2002

Mama

Sprawdzam moje e-maile, chociaż nie podejrzewam, żeby odpowiedź Elmera już tam była. Potrzebujemy pilnie jego rady. Basia wcale nie czuje się dobrze, i ja to wiem!

Po raz pierwszy od wielu miesięcy znów gorączkuje. Stan zapalny nie zmniejsza się ani odrobinę, wręcz przeciwnie; poziom leukocytów jest po prostu fatalny. W ciągu ostatnich kilku dni spadł na łeb na szyję, na najniższy dotychczas poziom 500 jednostek. Ale najbardziej niepokoi mnie jej stan psychiczny. Biedne dziecko, jest taka zdeprymowana i lękliwa.

Basia ma silne bóle, a całkowita izolacja, konieczna ze względu na niebezpieczeństwo zarażenia półpaścem innych małych pacjentów, nie przyczynia się akurat do poprawienia jej humoru. Basia odbiera to, niestety, bardzo osobiście. Mam wrażenie, że czuje się jak trędowata. Najwyraźniej nie może pogodzić się z tym, że każdy, kto wchodzi do jej pokoju lub go opuszcza, musi „przepuścić okręt przez śluzę”. Znaczy to, że każdy lekarz, każda pielęgniarka i każdy odwiedzający musi najpierw

301

nałożyć płaszcz ochronny i dopiero potem wejść do pokoju Basi, a wychodząc, musi zamknąć za sobą szklane drzwi, zdjęć w przedpokoju płaszcz ochronny, starannie umyć ręce środkiem dezynfekującym, nastawić budzik kuchenny na dwie minuty i odczekać, aż zadzwoni. Dopiero wtedy może opuścić przedpokój przez drugie szklane drzwi i wyjść na korytarz. Rzeczywiście, strasznie wkurzająca procedura, która na dziecięcym oddziale onkologicznym należy wprawdzie do codzienności, jednak dla nas jest całkowitą nowością. Do tej pory nie była nam potrzebna.

Jeśli chodzi o leczenie homeopatyczne, to w tym momencie nie możemy, niestety, nic zrobić. Lekarstwa gnębią nie tylko wirusy w ciele Basi, ale również jej siły samowyleczenia. Jeśli teraz, za pomocą środków homeopatycznych, pobudzę proces samowyleczenia, to oba preparaty będą walczyć przeciwko sobie, a polem bitwy będzie organizm mojej córki. Bardziej jej to zaszkodzi, niż pomoże.

Ale mogę zadziałać na innej linii. W końcu jestem oste-opatką! Spróbuję przynajmniej zlikwidować istniejące w jej ciele blokady, tak żeby impulsy nerwowe mogły swobodnie przepływać. Przecież nie raz już to robiłam, z dobrym skutkiem.

Dziś wieczorem mam kurs aktorski w Sztuttgarcie. Zastanawiam się gorączkowo, czy powinnam tam pojechać, czy też raczej zostać w klinice razem z moim chorym dzieckiem? Cholera! Czy dobrą matką jestem tylko wówczas, kiedy nieustannie się poświęcam i ponoszę jedną ofiarę za drugą? Czy bycie matką oznacza rzeczywiście tylko: obowiązek, wyrzeczenie, ofiarę i cierpienie?

302

Kiedy słucham komentarzy tak zwanych lepiej wiedzących z mojego otoczenia, wówczas rzeczywiście - okazuje się, że wszystko bez wyjątku robiłam źle. W moim miasteczku spotykam się z powszechną krytyką. „Znowu przesadziłaś! Tego wszystkiego było po prostu dla Basi za dużo!”. Albo: „Ten twój szalony pomysł ze szkołą aktorską; w przyszłości zastanów się dziesięć razy, zanim znów zrobisz coś głupiego!”. To idiotyczne, ale w dalszym ciągu pozwalam, aby czyniono mi tego rodzaju komentarze, dają na siebie wpływać i odwożać z własnej drogi ludziom, którzy nie są dla mnie żadnym autorytetem, i na których zdaniu w granice rzeczy wcale mi nie zależą.

Czy będąc matką, nie powinnam być także wzorem, czy nie mam obowiązku nim być w stosunku do własnej córki? Basia powinna iść swoją drogą, nie dając się zbić z tropu nikomu i niczemu. Drogą, która płynie z jej wnętrza, którą podpowiada jej intuicja. A czego jak czego, ale intuicji to mojej córce nie brakuje! Jeśli ktoś inny - łącznie ze mną! -nie może się pogodzić z wybranym przez nią kierunkiem, to jego sprawa. Jednak ograniczanie się tylko do mówienia o tym jest niewiarygodne. Muszę jej to zademonstrować na własnym przykładzie. I to jak najszybciej!

Kiedy jestem zestresowana, kiedy czuję, że dochodzę do granic swojej wytrzymałości psychicznej, Basia natychmiast reaguje. I robi to, niestety, przesadnie; znowu pobrzmiwa w niej tendencja do samozniszczenia.

Nie, mimo wszystko pojadę na kurs i będę w klinice dopiero o dziesiątej wieczorem. Zajęcia w szkole aktorskiej sprawiają mi tyle radości. Nigdy nie przypuszczałam, że będę jeszcze w stanie tak bardzo cieszyć się z tego, co robię. Za każdym razem nie mogę się już doczekać spotkania z wykładowcami i kolegami z grupy. Ja też muszę podążać

4

303

swoją drogą, iść tam, gdzie mogę znaleźć radość i spełnienie, jeśli nie mam skończyć tak, jak wiele innych kobiet przede mną - zgorzknieniem, beznadzieją i smutkiem. Basia mówi, że nie powinnam zaniebyszać kursu tylko z jej powodu. To miłe z jej strony, ale jej zapewnienia nie złagodzą mojego nieczystego sumienia wobec niej. Muszę sama dojść ze sobą do ładu.

Nikt inny mi w tym nie pomoże, nawet moja córka.

Do tej pory zawsze jeździliśmy na ten kurs razem. Bardzo mi jej tutaj brakuje, co dowodzi, jak bardzo zżyliśmy się w ciągu ostatnich tygodni. Bez przesady można by rzec, że przyrosliśmy do siebie...

Piątek, 6 grudnia 2002

Basia

Na mojej tacy ze śniadaniem stoi Mikołaj z czekolady. Jestem wdzięczna personelowi kliniki, że nie zapomnieli o „mikołajkach”. To naprawdę miłe z ich strony, tylko że dzisiaj ten czekoladowy ludzik wcale mnie nie cieszy, a przeciwnie - na jego widok chce mi się płakać, nic więcej. Wciąż jestem jeszcze taka nieszczęśliwa, ponieważ tkwię tutaj jak więzień zamknięty na cztery spusty w swojej celi. Ponieważ mam bóle, ponieważ lekarstwa w ogóle ich nie uśmierzają i ponieważ czuję się po prostu faaaatalnie.

Mikołaj przypomina mi o dniach poprzedzających święta Bożego Narodzenia, tych pięknych i niepowtarzalnych, jakie znałam do tej pory. Kocham grudzień, z jego niezwykłą atmosferą, z przedsmakiem radości Bożego Narode-

304

nia. To naprawdę cudowny czas. Gdziekolwiek się nie pójdzie, wszędzie czuć nadchodzące święta. Dzieciątko Jezus wkrótce się narodzi!

Tylko że tym razem nigdzie nie mogę pójść. Mama powiedziała, że w całej klinice też już pachnie świętami. Korytarz jest już podobno pięknie przystrojony świerkowymi gałązkami, kolorowymi świecidełkami i lampkami. Ale ja nawet tego nie mogę zobaczyć. Półpasiec jest chorobą wirusową, więc stanowią poważne zagrożenie dla innych, przebywających na tym oddziale dzieci, które w znacznym stopniu utraciły swoje siły odpornościowe. I dlatego do mojego pokoju może wchodzić wyłącznie personel kliniki -i wyłącznie w odzieży ochronnej. Dla mnie nie ma świątecznie przystrojonych tramwajów i sklepowych wystaw, ani świetlistych girland w ogródkach, które tak bardzo chciałabym podziwiać. W tym roku nie zobaczę świątecznego jarmarku z jego niesamowitymi zapachami, i nie poczuję aromatu własnoręcznie pieczonych przez mamę świątecznych ciasteczek, który płynie falą z kuchni i spowija cały dom. Nie będę mogła biegać w ogrodzie i zadzierać wysoko głowy, żeby pierwsze płatki śniegu mogły spaść na moją twarz, i nie będę słyszała skrzypienia śniegu pod moimi butami, kiedy po raz pierwszy wszystko zostanie pokryte białą pierzynką. Kiedy pomyślę, że wszystko to ominie mnie w tym roku, chce mi się wyć.

A do tego jeszcze przeprowadzka, na którą tym razem naprawdę bardzo się cieszyłam - w końcu to ma być nasz wymarzony dom! - a w której nie mogę brać udziału, bo muszę leżeć w tej cholernej izolatce! Chciałam razem z mamą „objąć w posiadanie” naszą nową siedzibę i razem z nią urządzić mój nowy pokój. Niestety, jest to jeszcze jedno życzenie, które nie spełni się z powodu tej idiotycznej choroby.

305

Od chwili, kiedy zachorowałam na półpasiec, ciągle dudni mi w głowie jedno słowo: porażka, porażka, porażka! W moim pokoju i w moim życiu nie świeci nawet jeden mały promyk słońca. Jest tylko deszcz, deszcz i deszcz!

Tak, to prawda, znowu wycofałam się do mojego domku ślimaka. Nie chcę nikogo oglądać, z nikim rozmawiać, nie chcę majsterkować, malować, a już na pewno UCZYĆ SIĘ!

W środę odwiedziła mnie nauczycielka ze szkółki działającej na terenie kliniki. Chciała namówić mnie na małą, „niezobowiązującą” lekczyjkę matematyki. Nienawidzę matmy! W tym roku jestem zwolniona z wszystkich zajęć lekcyjnych, czuję się jak pies z kulawą nogą, a ta chce, żebym wkuwała matkę! Nie do wiary, chyba zupełnie jej odbiło!

Ponieważ akurat nie było mamy, więc musiałam bronić się sama. Teraz trochę mi nawet przykro, że tak ją potraktowałam - w końcu ta kobieta nie zrobiła mi nic złego - ale w środę byłam tak rozwścieczona, że mogłam tylko wrzeszczeć jak oszalała: „Nie chcę się uczyć! Mam takie cholerne bóle, jakby ktoś wbijał w moje ciało tysiąc noży. Lekarstwa gównie pomagają! Mam ZERO OCHOTY na matkę!!! Słyszysz pani?”. Sapiąc ze złości, siedzę na moim łóżku i wpatruję się w nią jadowitym wzrokiem. W oczach mam śmierć. Najchętniej wyskoczyłabym z łóżka i rozwalila cały ten przeklęty szpital.

Biedna kobieta, ofiara mojego niespodziewanego ataku, podnosi do góry ręce w geście pojednania czy też obrony - sama już nie wiem czego - i powoli się wycofuje. - „Już dobrze, dobrze!” - próbuje mnie uspokoić. - „Pomyślałam tylko, że kilka zadań z matematyki mogłoby poprawić ci humor. I przepędzić nudę!”. - „Wcale się nie nudzę” - par-

306
skam jak kot, któremu ktoś nadepnął na ogon. „Mam telewizor i laptopa. To mi wystarcza. Innych rozrywek nie potrzebuję! Wielkie dzięki!”.

Kiedy wreszcie sobie poszła, pogrążam się w ponurych myślach. Medytuję nad swoim życiowym pechem i roztkliwiam nad sobą jak małe dziecko, któremu źli ludzie zabrali wszystkie zabawki. Dlaczego wszyscy bez wyjątku znajdują dziwną przyjemność w dręczeniu mnie? Koniecznie chcą mi coś popsuć - właśnie tak to odczuwam. Odkąd zachorowałam na półpasiec, jestem tak nieszczęśliwa i czuję się tak podle, jak nigdy dotąd, nawet na samym początku, kiedy mnie tutaj przywieźli. Zaraz po tym, jak dowiedziałam się, że mam raka, tłumiałam lęk. Wiedziałam, że jestem zbyt słaba, żeby umierać ze strachu. Ale teraz robię sobie wielkie wyrzuty i przez cały czas zastanawiam się, co mogłam zrobić źle, w którym momencie wydarzyło się coś, co sprawiło, że teraz muszę leżeć tutaj jak wół i czekać na zmiłowanie boskie. Musi przecież istnieć jakiś powód, nic nie dzieje się bez przyczyny. Czy ktoś mi powie, dlaczego musiałam nabawić się tego kretyńskiego półpasca? I za co zostałam tym razem ukarana?

Z wielką niecierpliwością czekam na wiadomość od Elmera. Pani Gampert powiedziała mi wprawdzie, w rozmowie telefonicznej, że jeśli człowiek wsłuchuje się intensywnie w siebie, to sam może znaleźć odpowiedź na swoje pytania, ale odkąd znów jestem chora, ta sztuczka już mi się nie udaje. Mój wewnętrzny głos zamilkł. Nie słyszę żadnego sensownego podszeptu płynącego z głębin mojej duszy. W moim wnętrzu szaleje tylko strach, wściekłość i żal.

307

Mara

Ten dzień był naprawdę straszny!

Kiedy wieczorem zjawiam się w klinice, Basia natychmiast mnie pyta, co się ze mną dzieje. „Nic!” - mruczę w tonie, który natychmiast uzmysławia mojej córce, jak fatalnie się czuję. Jestem zmęczona. Potwornie zmęczona tymi nocami w klinice, które są dla mnie prawdziwym koszmarem. Mój sen jest nieustannie przerywany przez puszczanie infuzomatów i następujące po nim zmiany worków z kroplówkami. Siostra dyżurna bardzo się stara, żeby nie robić hałasu, ale ja i tak zawsze się budzę. Dawniej, kiedy towarzyszyłam Basi w klinice dniem i nocą, mogłam przynajmniej do pewnego stopnia wyrównać ten deficyt snu w ciągu dnia, ucinając sobie regularnie małe drzemki. Teraz to się zmieniło, niestety. Moja praca i przeprowadzka nie pozwalają na taki luksus.

Marzę o tym, żeby przespać do rana choćby jedną noc. W swoim własnym łóżku. W sypialni, w której na dobrą sprawę jeszcze nie zdążyłam się zadomowić, ponieważ od czasu

przewodzki praktycznie jeszcze wcale tam nie mieszkałam. Podobnie zresztą jak nie zaprzyjaźniłam się z całą resztą naszego nowego domu, w którym do tej pory panuje nieopisany chaos przewodzkowy. Jestem tak zabiegana, że nie miałam ani czasu, ani głowy, żeby przytulnie urządzić nasze nowe siedlisko. Zapomniałam nawet o choćby najskromniejszej, adwentowej dekoracji. A tu święta za pasem.

Musiałam również odmówić większości moich pacjentów, terminy przełożyłam na „nie wiadomo kiedy, po nowym roku...”. Nieustanny szpagat pomiędzy kliniką a prze-

308
prowadzką opóźnił również urządzenie nowego gabinetu. W końcu nikt do mnie nie przyjdzie! Kiedy o tym myślę, zaczynam się bać. Po raz pierwszy w życiu doświadczam lęku przed biedą.

Wszystko, plus nieczyste sumienie względem Basi, ponieważ w tym tygodniu również pojechałam do Sztuttgartu na kurs aktorski, powoduje, że jestem u kresu sił. Dotarłam do swoich granic. Tym razem wyraźnie to czuję... i Basia oczywiście też. Wyciąga do mnie ręce, prosząc, żebym usiadła na jej łóżku. Podchodzę wolno i siadam. Potem leżymy sobie w ramionach i szlochamy. Jestem kompletnie wyczerpana, a Basia bezgranicznie smutna, ponieważ widzi, jak mi ciężko. Moja córka łka, ponieważ czuje się winna, na co ja z kolei poczuwam się do winy wobec niej. W końcu to przecież ja, jej matka, jestem odpowiedzialna za to, żeby dopisywał jej humor.

Jak bardzo Basia męczyła się w tym czasie, jak zaciekle walczyła z lękiem, wściekłością i zwątpieniem w samą siebie, o tym dowiem się dopiero wiele miesięcy później.

Poniedziałek, 9 grudnia 2002

Basia

Dzisiaj mama przynosi wreszcie wiadomość od Elmera.

Mój zły nastrój natychmiast ustępuje miejsca pełnemu napięcia podnieceniu. - „I co? Co pisze tym razem? - napieram na mamę, nie mogąc doczekać się wieści od mojego anioła. - „Elmer mówi, że twoje ciało przechodzi obecnie proces oczyszczenia i być może szuka sobie w tym celu innej choroby. Po to, by ostatecznie się wyleczyć” - uprze-

309

,
dza z góry mama. To najważniejsza wiadomość tego dnia. - „Czy to oznacza, że nie zrobiłam nic złego i że nie będę miała żadnych nowych guzów?”. Muszę się upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiałam.

Mama mówi, że zapytała również Elmera, czy wszystkie przerzuty naprawdę znikły z mojego organizmu. Elmer widzi to następująco:

Gleba odżywcza wciąż istnieje, ale w znacznym stopniu została pozbawiona karmy, ponieważ u kochanej ziemskiej istoty Basi został wewnętrznie wygaszony lęk przed zniszczeniem. Dzięki temu przerzuty nie mają już dłużej nad nią władzy. Są one bowiem tak zaprogramowane, aby atakować i niszczyć, ale jeśli nie otrzymają żadnego pokarmu duchowego, jeśli nie ma już strachu i zwątpienia, wówczas nie mogą dalej się rozwijać i atakować inne zdrowe tkanki.

Teraz wszystko zależy od tego, czy i jak duchowa strona kochanej ziemskiej istoty Basi będzie ustabilizowana.

Przestraszona myślę o wszystkich tych strachach i innych negatywnych uczuciach, które szaleją w mojej duszy, odkąd leżę w klinice z półpaścem.

„Elmer mówi, że w dalszym ciągu - pomimo półpaśca -powinnaś szukać źródeł radości, ponieważ tylko to może cię ustabilizować na dłuższą metę” - mama streszcza mi pokrótce dość obszerną wypowiedź Elmera, która nie jest dla mnie do końca jasna. Jak zwykle...

Muszę zresztą przyznać, że mój anioł ma dość specyficzny styl wypowiedzania się, czasem naprawdę trudno się połączyć, co chce nam zakomunikować.

„Ale w jaki sposób mam tego dokonać, kiedy leżę tutaj zamknięta jak w więzieniu? Łatwo ci mówić...” - mówię zniechęcona.

Również na to Elmer ma odpowiedź:

Kochana ziemską istotą Basia może popaść w fazę wyczerpania, ponieważ wewnętrzna walka przerzutów, które domagają się nowej pożywki, a tej zostały teraz pozbawione, trwa bardzo długo i jest niezwykle wycieńczająca. Ale może też wystąpić przeciwieństwo: bezgraniczna euforia. Jedno i drugie bardzo osłabia ciało, i z tego względu kochana ziemską istotą Basia powinna w dalszym ciągu być pozostawiona w spokoju.

Mama czyta mi na głos tylko najważniejsze fragmenty, ponieważ dość szybko spostrzega, że nie mogę się skoncentrować. Już po minucie mam prawdziwy mętlik w głowie.

„Twój anioł mówi, że powinnaś dużo pić, żeby zalegające w twoim organizmie odpady mogły być dobrze wypłukane. Poza tym, powinnaś jeść tylko to, na co masz ochotę, i spędzać wiele czasu na dworze, na świeżym powietrzu!”.

No wspaniale! Wielka szkoda, że wszystkie te zalecenia mogę realizować tylko w bardzo ograniczonym zakresie. Tutaj, w klinice, mogę liczyć wyłącznie na nielimitowaną dostawę napojów i pić ile dusza zapagnie, co zresztą robię. Natomiast jeśli chodzi o szpitalne jedzenie, to już od dawna nie mogę na nie patrzeć. Gdyby mama nie przynosiła mi wieczorem domowego obiadu, ugotowanego przez nią w naszej kuchni, pewnie już dawno umarłabym z głodu. A świeżego powietrza też tutaj nie za wiele...

Mama skończyła czytać. Kładzie na szafce nocnej list Elmera, patrzy na mnie uważnie i stawia decydujące pytanie: „Czy jesteś bardzo smutna? Może to... początki depresji?”.

311

Czuję się winna, ale mimo to kiwam przecząco głową. - „Nie czuję się jakoś szczególnie, sama wiesz, ale żeby od razu depresja...?” - Odpowiadam pytaniem na pytanie, ponieważ nie chcę przyznać się do tego, jak bardzo pognębiła mnie ta nieszczęsna historia z półpaszczem. Ale tutaj stoi: Bardzo możliwe, że wygląda to na depresję, pamiętajcie jednak, że kochana ziemską istotą Basia musi teraz wewnętrznie się naprostować i powrócić do dawnej formy. Depresyjne fazy powinny być równocześnie fazami spokoju - ona szybko je przezwycięży i na nowo odżyje! - czyta mi mama.

A więc to tak! Mój wewnętrzny strach i rozdarcie to po prostu etap mojego procesu leczenia, jeśli dobrze rozumiem.

Wtorek, 10 grudnia 2002

Basia

Naprawdę chciałabym wierzyć Elmerowi, że mój stan powoli się stabilizuje, i że ten przeklęty półpaszcz wcale nie oznacza, iż teraz wszystko zacznie się znów od początku. Kiedy mama przeczytała mi jego list, od razu mi ulżyło. Ale w dalszym ciągu czuję się po prostu koszmar. Gdzie się podziała cała moja energia? Elmer powiedział, że rak nie wróci tylko z tego powodu, że zrobię coś nie tak, że popełnię po drodze jakiś błąd. I oczywiście ja mu wierzę. Ale co będzie, jeśli popełnię za dużo błędów? Czy ktoś ustala tutaj limit? A jeśli tak, to kto? Moje myśli zostały uwięzione w jakimś piekielnym kręgu, z którego w żaden sposób nie mogę znaleźć wyjścia. Do tego jeszcze - a może właśnie dlatego - wszystko i wszyscy strasznie działają mi na nerwy.

312

Nieustanne mierzenie temperatury, dziesięć razy dziennie nalewka przeciwko wysypce, rozsmarowywana skrupulatnie po zainfekowanych miejscach. Potem siedzenie z rozłożonymi rękami, aż ta głupia nalewka wreszcie wyschnie. Kroplówki, tabletki, ciągłe kontrolowanie krwi. No i szpitalny wikt, który od pewnego czasu budzi mój najwyższy wstręt. Zwierzę doświadczalne w laboratorium nie może czuć się bardziej bezbronnie ode mnie. Te dni w klinice są prawdziwym koszmarem. Kiedy to się wreszcie skończy?!

Elmer powiedział, że potrzebuję spokoju, ale w tym małym gaju na pewno go nie znajdę.

Gdybym nie zachorowała, to zaczynałabym dzisiaj ostatni (!!!) blok chemioterapii. Marzenie ściętej głowy! Wszystkie bez wyjątku wyniki badań są tak beznadziejne, że nawet nie ma co o tym myśleć. Lekarze tylko wzruszają ramionami, słysząc moje pytanie o to, kiedy będziemy mogli kontynuować chemię. Tak samo zresztą, gdy pytam ich, kiedy mnie wreszcie stąd wypuszczą.

Jak długo byłam dzielna, silna i optymistyczna, i wszystko, co się ze mną działo, przyjmowałam pozytywnie, tak mój stan stopniowo się poprawiał. Przecież było już naprawdę dobrze... Teraz czuję się źle, mój optymizm gdzieś się zapodział i wszystko idzie nie tak, jak trzeba. Nic już się nie udaje, nic nie jest tak, jak było. Wiem, że tylko ja sama mogę wydostać się z tego zaklętego kręgu i przezwyciężyć kryzys. I muszę to zrobić - to akurat wiem; pani Gampert zawsze mówiła, że jestem pojętną uczennicą... Ale teraz wiem również, że między wiedzą teoretyczną a wcieleniem jej w życie mogą leżeć całe światy. Ja po prostu już nie jestem taka cool, choćbym nie wiem jak bardzo chciała. Nie potrafię śmiać się ani z półpaśca, ani z tego, że muszę leżeć w izolatce i „czekać na zbawienie”!

313

Mara

Basia nadal sprawia wrażenie bardzo smutnej i przygnębionej. Wydaje się, że zamknęła się w sobie, ukryła pod grubą skorupą obojętności, jak ślimak w swoim domku. Moja dziewczynka nie mówi zbyt wiele, gdy wieczorem przyjeżdżam do kliniki. Z wdzięcznością zjada przyniesione przeze mnie domowe wiktuały i zaraz potem wraca do swoich zajęć, poświęcając się bez reszty swoim przyjaciołom, z którymi spotyka się na czacie dzięki wypożyczonemu z kliniki laptopowi. Kiedy nie ma ochoty czatować, ogląda telewizję - wszystko jak leci.

Czy to jest właśnie „faza wyczerpania”, o której mówi Elmer? Jak na mój gust, trwa to już zbyt długo. Na początku mogłam jeszcze zrozumieć jej zwątpienie, jej niechęć i złą wolę. To oczywiste, że nie miała ochoty ani na klinikę, ani na nowe bóle i nowe lekarstwa.

Tymczasem upłynęły jednak dwa tygodnie, i chyba już pora, żeby Basia wzięła się wreszcie w garść i pozbierała do kupy. Widzę, że moja córka traci wiarę w naszą drogę. Czuję to wyraźnie, choć z drugiej strony muszę przyznać, że ja również mam coraz większe trudności, aby w każdej sytuacji, jaką nam niesie życie, widzieć „podarek”.

Czwartek, 19 grudnia 2002

Basia

Dzisiaj mogę wreszcie pojechać do domu. Doktor Classen twierdzi wprawdzie, że moje nerki są w ekstremalnie złym stanie - co wykazało niezbitcie badanie moczu - ale ponieważ

314

jestem taka „upierdliwa” i wiecznie niezadowolona, więc pozwalają mi spakować manatki i wynosić się do domu. Jutro znów musimy stawić się w klinice dziennej na kontrolę krwi, ale wszystko mi jedno. Grunt, że mogę stąd nareszcie wyjść.

Nasz nowy dom jest po prostu wspaniały. Zaglądam do wszystkich kątów po kolei, nie mogąc się nacieszyć. To jest właśnie to, jak babcię kocham! Z radością i uniesieniem ustawiam z pomocą mamy meble w moim pokoju i powoli zaczynam się urządzać w moim nowym królestwie. Spać jeszcze tutaj nie chcę, chociaż już od dawna nie potrzebuję w nocy mamy. To znaczy, nie potrzebuję już jej pomocy, ale jej bliskość w dalszym ciągu jest dla mnie bardzo ważna.

Kiedy wieczorem leżę w łóżku, myślę z wdzięcznością o Elmerze, który pomógł mi przejść przez ten czas horroru. „Bez ciebie nigdy nie wyszłabym z tego przeklętego dołka” - opowiadam mu.

Za pięć dni Boże Narodzenie. - „Jestem ciekawa, co też może oznaczać dla Elmera Boże Narodzenie? Czy to samo co dla nas, jak myślisz?” - pytam mamę. - „Naprawdę chciałabym wiedzieć, jak mój anioł spędza święta Bożego Narodzenia” - snuję dalej ten wątek.

„Przecież możemy go o to zapytać!” - mruczy sennie mama.

Niedziela, 22 grudnia 2002

Basia

Od mojego powrotu do domu między mamą a mną panuje iście kryzysowy nastrój!
Jestem kompletnie przybita, ponieważ nie mamy jeszcze żadnego konkretnego planu na Sylwestra. A mój „dół” jest

315

tym głębszy, że tego samego dnia obchodzę również moje urodziny i jestem zdania, że tym razem muszą być one świętowane w sposób absolutnie wyjątkowy. Przydałby się na tę okoliczność jakiś „genialny” pomysł.

W tym roku zjrzałam śmierci w oczy, czułam obecność anioła śmierci w moim pokoju szpitalnym, ale mama i Elmer zabrali mnie stamtąd i przeprowadzili z powrotem do życia. Wierzę w Boga, ale tylko w kochającego. Surowego, karzącego Boga wymyślił Kościół, ale w niego ja już nie wierzę. - „Jutro rano, jeśli Bóg będzie chciał, znów się obudzisz”. Nie cierpię tej głupiej piosenki i na pewno nie będę jej śpiewać swoim dzieciom.

„Bóg jest miłością” - powiedziała kiedyś pani Gampert. Zgadzam się z nią; ja też tak myślę. Tego mogę się trzymać. Bóg nas nie karze; my sami jesteśmy dla siebie katami, ponieważ to my - nikt inny - jesteśmy sprawcami nędzy, chorób i cierpienia.

Ten rok był dla mnie zupełnie wyjątkowy. Przeżyłam tak wiele strasznych dni i nocy, równocześnie zaś doświadczyłam tak wiele dobra i piękna. Właśnie dlatego moje urodziny powinny być inne niż zawsze. To musi być coś naprawdę wyjątkowego. Rzecz w tym, że póki co, nie mam jeszcze żadnego pomysłu. Wiem tylko, że ma to być „pełny odjazd”. Tylko jak to zrobić? Najchętniej zaprosiłabym na tę uroczystość wszystkie moje przyjaciółki z internatu, ale jak znam życie, pewnie nic z tego nie będzie, ponieważ na Sylwestra wszystkie porozjeżdżają się do swoich rodzin rozsianych po całych Niemczech.

Poza tym, 25 grudnia rozpoczyna się mój ostatni blok chemii i kto wie, jak się potem będę czuła. Do Sylwestra pozostanie jeszcze prawie cały tydzień. Bardzo możliwe,

316

że mój organizm będzie w dalszym ciągu bardzo osłabiony przez półpasiec i 31 grudnia będę po prostu do niczego. Tutaj w Biberach mam tylko Mel. Dwuosobowe party sylwestrowo-urodzinowe? Ten pomysł jakoś mnie nie kręci...

Mama składa wprawdzie różne propozycje, ale żadna z nich tak naprawdę nie znajduje uznania w moich oczach. Czy to moja wina, że wszystko to, co ma mi do zaproponowania, jest takie „zwyyczajne”? Widzę, że stopniowo zaczyna tracić cierpliwość i powraca do swoich dawnych obyczajów. Powoli robi się „dawną mamą”, z którą, niestety, nie zawsze dało się po ludzku rozmawiać; gdera, krzyczy i kłóci się, dokładnie tak samo jak kiedyś, zanim zachorowałam.

A swoją drogą to ciekawe, dlaczego moja kreatywna mama nie ma żadnych „elektryzujących” pomysłów na moją urodzinową imprezę.

Mama

Basia postanowiła sobie, że w tym roku Boże Narodzenie i jej urodziny przypadające w Sylwestra będą świętowane w sposób wyjątkowy.

To oczywiście, że chciałabym zaproponować jej coś wspaniałego, ale biorąc pod uwagę przeprowadzkę i trzy bite miesiące przerwy w pracy zawodowej, a co za tym idzie, utraty zarobków, zostałam „goła i wesoła”, nie dysponując żadnym zapleczem finansowym, które mogłoby teraz uratować sytuację. Mój aktualny budżet jest po prostu żałosny, więc nie może to być nic kosztownego. To on zakreśla granice, o których wolałabym Basi nie wspominać.

317

Podczas jej choroby realizowałyśmy razem tyle zwariowanych pomysłów, niczego nie odkładałyśmy na później, a ja spełniałam bez szemrania każde jej życzenie, o ile, rzecz jasna,

mieściło się ono w granicach rozsądku i moich możliwości. W jaki sposób teraz mam to jeszcze „przebić”?

A swoją drogą, dlaczego uparłam się, żeby to wszystko przed nią ukrywać? Brak pieniędzy nie jest przecież czymś wstydliwym! Dokładnie tak; powinnam jej o tym powiedzieć, postanawiam. W końcu moja córka nie jest już małym dzieckiem i na pewno zrozumie: raz z górki, raz pod górkę. Takie jest życie! Ale jakoś mi się to nie udaje, sama nie wiem dlaczego... I tak oto, na krótko przed tymi „całkiem szczególnymi” świętami Bożego Narodzenia, nastrój w naszym domu pogarsza się niemal z dnia na dzień.

Na szczęście, dzisiaj jedziemy jeszcze do pani Gampert. To ma być nasza wspólna godzina. Wcześniej porozumiałam się telefonicznie z naszą terapeutką i specjalnie ją o to prosiłam, ponieważ chcę wreszcie zakończyć te wieczne, jałowe dyskusje, których naprawdę mam już po dziurki w nosie.

„Myślę, Basiu, że najwyższy czas wziąć sprawy w swoje ręce! Przecież to twoje urodziny” - mówi pani Gampert, a mnie spada wielki kamień z serca. Kochana pani Gampert! - „Jesteś już na tyle dorosła, żeby sama coś wymyślić. Na pewno masz jakiś pomysł, a może nawet kilka, w jaki sposób chcesz urządzić w tym roku swoje urodziny!”.

Basia najwyraźniej nie jest zachwycona propozycją pani Gampert, bo reaguje skrzywioną miną, ale dla mnie słowa naszej terapeutki są bardzo na rękę. Brzmiały jak rozgrzesze-
318

nie. Nie ja muszę mieć tym razem genialne pomysły i elektryzujące idee; ja mam tylko zdecydować, czy życzenia Basi są wykonalne, czy też nie. I z powodu tych idiotycznych dyskusji przez tyle czasu zatruwałyśmy sobie wzajemnie życie, i zepsułyśmy ostatnie dni przed tymi najbardziej „rodzinnymi” świętami.

Wtorek, 24 grudnia 2002

Basia

Mój piękny świąteczny prezent znalazłam już z samego rana pod poduszką.

To e-mail od Elmera, w którym mi pisze, jak spędza święta Bożego Narodzenia. To pierwszy komunikat od niego, który czytam sama.

Dla Basi

od Elmera

Kochana ziemską istotę Basiu,
dziękuję ci!

Pytasz, co robię w święta Bożego Narodzenia, a ja mam szansę opowiedzieć ci coś... W twoim sercu zawsze opowiadamy ci jakieś historie, jednak tylko w nielicznych momentach możesz je usłyszeć.

Ale teraz, teraz będziesz słuchać, przysłuchiwać się...

Jestem tym, co nie jest widzialne i zawsze obecne - i jestem tym, co cię uskrzydla, kiedy się potykasz, i myślisz, że już nie możesz wstać...

319

Tak jak mała dziewczynka, która rozmawia z gwiazdami, śpiewa z wiatrem i tańczy z deszczem, tak my jesteśmy ze sobą związani, a im bardziej ze wszystkim rozmawiasz, tym więcej dane ci będzie odpowiedzi -jeśli śpiewasz tak pięknie jak wiatr, będzie to symfonia, która rozgrzewa wszystkie serca, a jeśli tańczysz tak dziko jak deszcz, wtedy jesteś częścią wielkiego cudu, który zawsze i od nowa tak bardzo was zadziwia.

W Boże Narodzenie będę zapalał światła tam, gdzie panuje mrok, będę napełniał talerze tam, gdzie nie ma już ciasteczka, będę kładł zabawki tam, gdzie w sercach dzieci jest smutek, i będę trzymał rękę tam, gdzie jedna ręka jest wyciągnięta do drugiej.

...Będę dawał to, czego szukacie, będę napełniał naczynia, otwierał drzwi serc i śmiech, i radość rozsypywał nad tymi, którzy stracili nadzieję i poddali się.

Ale to wszystko, kochana ziemską istotą Basiu, zdarza się nie tylko w Boże Narodzenie - to zdarza się przez cały rok, ale niektórzy uświadamiają sobie to dopiero w Boże Narodzenie. Będę także tobą, kochana ziemską istotą Basiu, zapalał świecę, żeby na twojej drodze mogła ci zawsze jasno świecić...

Dziękuję, koniec, Elmer

Grudzień, 2002

PS Proszę wydrukować dla Basi i podłożyć jej pod poduszkę!

■

320

Wtorek, 31 grudnia 2002

Basia

Pierwszy i drugi dzień świąt Bożego Narodzenia spędziłam w klinice. To była moja przedostatnia dożylna chemia, i mimo najszczerzych chęci, całą procedurę udało mi się przetrwać tylko z najwyższym trudem. Przez cały czas czułam niechęć i sprzeciw. Oczywiście, że próbowałam się pozytywnie zmotywować, myśleć o tym, że dzięki tej chemii ostatecznie, dla nikogo niewidoczne - oprócz Elmera, rzecz jasna - przerzuty zostaną ostatecznie unicestwione, i o tym, jak czysty, zdrowy i świeży będzie potem cały mój organizm. Tylko dzięki perspektywie zbliżających się urodzin i żarliwemu życzeniu, aby tego dnia być w dobrej formie, udało mi się podtrzymać od biedy dobry nastrój.

A dzisiaj są moje urodziny. Mam trzynaście lat, tkwię w środku ostatniego bloku chemii i cieszę się niesamowicie, że tak dobrze się czuję. Półpasiec osłabił wprawdzie mój organizm, ale chemię znoszę tak samo dobrze jak do tej pory. To prawdziwe szczęście! Mama spogląda na mnie ze zdziwieniem, kiedy już o ósmej rano stoję w drzwiach kuchni, domagając się głośno mojego koktajlu tabletek. Normalnie, zawsze musi mnie budzić, żebym nie przespała tego rytuału.

Mama wyciąga ręce, a ja w nie wpadam. Przyciska mnie mocno do siebie, gładzi czule po głowie, a potem całuje w oba policzki i szepcze mi do ucha: „Najserdeczniejsze życzenia urodzinowe, moja duża, duża dziewczynko. Życzę ci zdrowia, jeszcze więcej zdrowia i wiecznie długiego życia!”.

321

Walczę ze łzami. Naprawdę się wzruszyłam. Odsuwam od siebie mamę, spoglądam na nią i widzę, że również jej oczy podejrzenie błyszczą. - „A teraz koniec z rozczulaniem się!” - mówię szybko, próbując zatuszować swoje wzruszenie. - „Mamy jeszcze całe mnóstwo roboty; za dwie godziny przychodzą dziadkowie, tata i Mel!” - mówię rzeczowo, zaganiając mamę z powrotem do napełniania kapsułek.

„A ty ubierz mi się natychmiast!” - komenderuje mama, udając surowego dowódcę. - „Jak będziesz gotowa, możesz nakryć stół do śniadania i przynieść bułeczki. Raz, raz!”. - „Czy ty wcale nie masz serca, mamó? Każesz harować swojemu biednemu dziecku nawet w jego własne urodziny? To niesprawiedliwe! - przekomarzam się i zaraz wybiegam z kuchni, chichocząc i prychnając, bo mama łapie wielką warząchew i biegnie za mną, wygrażając: „No, czekaj ty, urwisie jeden, niech ja tylko cię złapię!”.

Od dziesiątej powoli zaczynają się schodzić goście: tata, babcia i dziadek, Manę i Nana i - jakżeby inaczej! - moja najlepsza przyjaciółka Mel. To będzie uroczyste, a równocześnie wesołe i „niezobowiązujące” urodzinowe śniadanie z dużą ilością śmiechu, serdecznymi, płynącymi z serca życzeniami i małymi, „rozsądnymi” prezentami. Żadnych szaleństw i szastania pieniędzmi. Na koniec, kiedy już wszyscy dobrze sobie podjedli - śniadanie było naprawdę wyborne! - tata wstaje z krzesła, brzdąka łyżeczką w filiżankę na znak, że chce zabrać głos, po czym spogląda wokół i wygłasza „okolicznościowe” przemówienie, rozpoczynające się od słów: „Przed sześcioma miesiącami nie wierzyłem w to, że będziemy świętować

trzynaste urodziny Basi w tak miłej i wesołej kompanii, z udziałem zdrowej jak ryba i szczęśliwej jubilatki! Niech żyje nam sto lat!".

Kiedy tata dziękuje w moim imieniu wszystkim obecnym, a także nieobecnym: lekarzom, pani Gampert, a nawet Elmerowi, za ich wkład w moje, bez mała cudowne i szybkie wyzdrowienie, ja, jubilatka i główna bohaterka tego zgromadzenia, siedzę na honorowym miejscu, na samym końcu długiego stołu nakrytego białym obrusem i szczerząc zęby w uśmiechu, przyglądam się z uwagą wszystkim po kolei moim kochanym gościom. Co bym powiedziała, gdybym była teraz na miejscu taty?

„Największe podziękowania należą się oczywiście mojej mamie... po prostu nie mogę znaleźć słów, jak wiele jej zawdzięczam i jak ważną osobą stała się dla mnie w ostatnim czasie. Bez niej, bez mojej opoki i wiernej sojuszniczki, z pewnością nie czułabym się dzisiaj tak dobrze, jak się czuję. A w ogóle, kochana mamó, jestem ci nieskończenie wdzięczna, że nie tylko teraz, ale przez całe moje życie zawsze mnie wspierałaś, nawet jeśli nie zawsze wszystko było po twojej myśli. Nawet nocą nie opuszczałaś kliniki, żeby mi towarzyszyć i służyć pomocą. Tylko ja wiem, jak bardzo się przy mnie napracowałaś. Nigdy ci tego nie zapomnę! Mam nadzieję, że w dalszym ciągu będziemy się tak dobrze rozumiały, bo to Ty jesteś najważniejsza w moim życiu!".

Ogromne podziękowania należą się oczywiście również mojemu kochanemu tacie, który tak bardzo się o mnie martwił i troszczył, i na którego zawsze mogłam liczyć. Czasami bywał wprawdzie trochę wkurzający z tą swoją przesadną ostrożnością, ale myślę sobie, że jeśli ma się taką zwariowaną córkę, to byłoby to mocno podejrzanym, gdyby

323

nigdy nie puściły mu nerwy! Prawdopodobnie właśnie dlatego taaaak bardzo cię kocham, że jesteś taaaaki słodki z tym swoim okrągłym jak antałek brzuchem, i że masz taki niesamowity temperament: Tato, / love you!

Jeszcze jedno specjalne podziękowanie dla całej mojej rodzińki, na której mama i ja zawsze mogłyśmy polegać w tym, tak trudnym dla nas, czasie. Naprawdę, nie wyobrażam sobie, że można mieć wspanialszą rodzinę niż moja!

Moja babcia i dziadek, którzy troszczyli się o wszystko, o dom i ogród, kiedy byliśmy w klinice.

Nana, która prała dla mnie całe góry brudnych piżam i Manę, który zawsze robił dla nas zakupy - i nigdy o niczym nie zapomniał.

Magda, moja ciocia i siostra mamy, która zwróciła się z prośbą do braci zakonnych, żeby modlili się w mojej intencji, i która oczywiście zawsze była dla nas bardzo życzliwa i pomocna.

Petra, najlepsza przyjaciółka mamy, którą traktuję jak członka naszej rodziny, ponieważ jest nie tylko pocieszy-cielką mamy, ale również jej bardzo kompetentnym doradcą.

Mel, moja najlepsza przyjaciółka w Biberach, która odwiedzała mnie tak często, jak tylko mogła, kiedy z powodu złych leukocytów nie mogłam wychodzić z domu.

I oczywiście Elmer, który zna moją duszę jak nikt inny, i któremu nie muszę dostarczać żadnych wielkich wyjaśnień, żeby wiedział, jak naprawdę się czuję - i co czuję.

Elmer, ty wiesz, że wierzę w Boga, ale jeszcze bardziej wierzę w ciebie! Dzięki ci, że wstąpiłeś w moje życie!".

Po śniadaniu jedziemy w długim konwoju do Ulm. Naszym celem jest sklep pani Leitner, która w klinice proponowała mi kurs „malowania na szkle". Boże, kiedy to było!

324

Wydaje mi się, że od tamtego czasu minęły całe wieki! Na wspomnienie tych szczególnych urodzin chcemy wspólnie pomalować talerze, wypalić je, a potem podarować moim gościom.

Wieczór sylwestrowy, który jest równocześnie wieczorem moich szczególnych urodzin, spędzamy u przyjaciół mamy na składkowym przyjęciu. Mama ma przy sobie karteczki z moimi wynikami badań krwi. Zawsze zabierała je z kliniki do domu i skrzętnie gromadziła. Zrobiła się z tego gruba paczuszka. O północy, po toaście i życzeniach noworocznych, idziemy do ogrodu naszych przyjaciół. Gdy nad naszymi głowami unosi się kolorowy deszcz sztucznych ogni, palimy wszystkie te karteczki w wielkiej misce. Tym rytuałem mówimy rakowi „Żegnaj na zawsze!”.

Kiedy wreszcie leżę w swoim łóżku, jestem bardzo szczęśliwa. Mimo wszystko, to były naprawdę wspaniałe urodziny... Nie zapomnę tego dnia do końca życia.

Czwartek, 9 stycznia 2003

Mama

Dzień urodzin Basi okazał się prawdziwym przełomem. Od tego czasu moja dziewczynka szybuje w siódmym niebie. Kryzys minął; Basia odnalazła swój dobry humor, tryska optymizmem i powtarza nieustannie, że życie jest wspaniałe. Ale to jeszcze nie wszystko - moja duża córka czuje się tak silna i zdrowa, że nocą śpi w swoim łóżku.

W ostatnim czasie bardzo tęskniłam za tym, żeby znów mieć swoje łóżko i swoją sypialnię tylko dla siebie. Ale te-

325

raz, kiedy już jej tutaj nie ma, czuję się dość dziwnie. Czegoś, a właściwie kogoś strasznie mi tutaj brakuje. Odcięcie pępownicy bywa naprawdę szalenie trudne!

Dzisiejszy dzień jest dla Basi niemal symboliczny. To jej ostatnia chemioterapia. Basia wcale nie kryje, że ma już tego wszystkiego po dziurki. I trudno się temu dziwić - trochę to jednak trwało. Moja córka nie chce więcej oglądać żadnej kliniki „od podszewki”, a już na pewno przebywać w niej tygodniami. Tego poranka z ledwością udaje mi się wyciągnąć ją z łóżka. Nawet obietnica, że następnego dnia, w drodze powrotnej do domu, wpadniemy na obiad do „Wi-ley'sa”, nie wzrusza jej dzisiaj za bardzo. Koniec końców, zwycięża jednak jej rozsądek. Zjada małe śniadanie i pozwala łaskawie zawieźć się do Ulm.

Przy wejściu spotykamy Andreę, matkę Helusi, trzyletniej dziewczynki z neuroblastomą. Ogromnie się cieszę, że znów ją widzę, ponieważ to właśnie Andrea, ta bardzo „nietyпова” - biorąc pod uwagę całą resztę - matka, była tą, która umacniała mnie na mojej drodze i dodawała otuchy, kiedy ja sama byłam jeszcze bardzo niepewna w „obchodzeniu się” z moim chorym na raka dzieckiem.

Szansę Helusi na wyleczenie od samego początku były niewielkie, ponieważ jej guz ma własne komórki nerwowe i może się samodzielnie rozwijać. I, niestety, rozwija się bardzo szybko.

Uważałam, że sposób, w jaki Andrea podchodziła do Helusi był doprawdy niezwykły, nowatorski, a jednocześnie głęboko mądry. Często je obserwowałam. Kiedy Helusia czuła się trochę lepiej, jeździła po korytarzu swym samochodzikiem na pedały, chichocząc radośnie, a mama, biegnąc za nią, próbowała przytrzymać stojak do kropló-

326

wek. Często śmiały się razem i przekomarzały, a ja uważałam, że to naprawdę wspaniałe.

Szczerze podziwiałam Andreę. Podczas naszych wspólnych przerw na papierosa, które zazwyczaj spędzałyśmy na balkonie, Andrea umiała wyrzekać na Helusię, gdy ta bywała czasami nie do wytrzymania. Miała tę wielką umiejętność podchodzenia do swojego ciężko chorego dziecka w całkowicie naturalny sposób, potrafiła pokazywać jej, że mama też może być zmęczona, smutna i niezadowolona, że - podobnie jak córka - mama również ma swoje granice wytrzymałości. Niekiedy pozwalała swojej małej córeczce na rzeczy, które figurowały na czołowych miejscach długiej listy zakazów ułożonej przez lekarzy.

Długo jej nie widziałam, ogromnie się cieszę z tego spotkania i witam ją wesołym: „Jak się macie, moje kochane?”. - „Źle. To już koniec” - odpowiada Andrea - „Helusia otrzymuje jeszcze tylko środki przeciwbólowe”.

Widząc moje poruszenie, mówi dalej z uśmiechem: „Ale wiesz, jest jedna rzecz, z której naprawdę jestem zadowolona. Helusia i ja cieszyłyśmy się niesamowicie tym pięknym latem. Robiłyśmy wszystko, na co miała ochotę i co mogło sprawić jej radość. W naszych wspomnieniach zachowamy naprawdę szczęśliwe dziecko”.

Rzadko w moim życiu byłam tak oniemiała jak w tym momencie. Po prostu mnie zatkało. I wcale nie ze smutku czy też przerażenia, ale z najwyższego szacunku dla tej kobiety. Przecież mnie mogło spotkać dokładnie to samo co Andreę. Dzisiaj to ja mogłam być na jej miejscu... Matka Helusi musiała iść do samego końca drogą, na którą ja również musiałam się przygotować zaraz po wykryciu raka u Basi. Ja miałam pomoc pani Gampert i Elmera. A skąd Andrea czerpie tę zadziwiającą siłę?

327

Niestety, nie mamy zbyt wiele czasu na dłuższą rozmowę. Andrea chce tylko odebrać dokumenty, ponieważ Helusia leży teraz w innej klinice, gdzie ordynują jej leki przeciwbólowe.

Na pożegnanie obejmuję ją serdecznie i życzę wiele siły.

Kiedy tak stoję, patrząc, jak odchodzi szybkim krokiem, czuję dotyk ciepłej dłoni wsuwającej się w moją. To Basia, która zna małą Helusią tylko z moich opowiadań, i która oczywiście przysłuchiwała się naszej rozmowie. Idziemy powoli, krok za krokiem, przez długi oszklony korytarz łączący klinikę dzienną z oddziałem szóstym, gdzie Basia ma dzisiaj otrzymać swoją ostatnią dożylną chemię. Mój Boże, ile to już razy szliśmy tym korytarzem?

Myślami wciąż jestem przy Andrei i jej małej córeczce, gdy Basia mówi w pewnym momencie: „Wiesz, mamo, wydaje mi się, że Andrea jest gotowa, aby pozwolić Helusi odejść, ponieważ wie, że wtedy skończą się jej cierpienia. I że to jej pomoże”.

Nie jestem w stanie zrobić nic innego, jak tylko mocno uścisnąć rękę Basi. To wystarczy. Więcej nie musi być już powiedziane na ten temat. Rozumiemy się również bez słów.

Po tym smutnym spotkaniu, Basia uporała się ze swoją ostatnią chemią „śpiewająco” - bez rytualnych już pomrukiwań, jęków i wznoszenia oczu do nieba.

Kto wie, może nasze spotkanie z mamą Helusi nie było wcale przypadkowe, może to Elmer je zaaranżował, żeby przypomnieć Basi o jej szczęściu, którego nie powinna przyjmować jako sprawy oczywistej.

328

Czwartek, 16 stycznia 2003

Basia

Musimy jechać do kliniki, żeby uzgodnić terminy badań kontrolnych. Ultrasonografia, tomografia rezonansu magnetycznego, PET, EKG. Mama i doktor Stahnke, pochyleni nad biurkiem, pochłonięci są ustalaniem terminów, gdy tymczasem ja patrzę znudzona przez okno. Do chwili, kiedy słyszę: „punkcja szpiku kostnego”. Włosy jeżą mi się na głowie. O nie! Tylko nie to! -jęczą bezgłośnie moje usta. „W ambulatorium, 22 stycznia”, informuje nas doktor rzeczowym tonem. Nie chcę tam iść za żadne skarby!

Poniedziałek, 20 stycznia 2003 Basia

Dzisiaj mamy się stawić w instytucie radiologii.

Profesor studiuje wyniki badań w mojej karcie choroby, patrzy na mnie przeciągle... a potem mówi nieoczekiwanie: „Jeśli chodzi o mnie, to nie musisz być naświetlana”. Trwa to parę sekund, zanim pojmuję do końca sens zdania, które właśnie usłyszałam. Przez chwilę milczę oszołomiona, ale zaraz wykrzykuję radośnie: „To fantastycznie!”.

Przybyłam tutaj z nastawieniem, że to naświetlanie, które jest ostatnim etapem mojej długofalowej kuracji, chcę mieć jak najszybciej za sobą. Od ostatniej chemii nie pragnę

niczego bardziej, jak wrócić z powrotem do internatu i do mojego normalnego życia. Ale jeśli pan profesor mó-

329

wi, że nie muszę być naświetlana... Coś mi się zdaje, że to życzenie spełni się szybciej, niż myślałam.

Spoglądałam na mamę, która wpatruje się w profesora niczym w przybysza z innej planety. Nie, ona wcale nie cieszy się razem ze mną, wydaje się raczej zdumiona i zbita z tropu.

„Oczywiście, byłybyśmy bardzo zadowolone, gdyby Basi rzeczywiście udało się uniknąć naświetlań, ale co będzie, jeśli potem znów wystąpią przerzuty?” - pyta ostrożnie, badając grunt.

Radiolog wyjaśnia jej swoją decyzję następująco: „Jeśli naświetla się miejsca, gdzie nie ma już żadnych widocznych zmian nowotworowych, to tym samym wyczerpuje się wszystkie dostępne środki, co jest bardzo ryzykownym posunięciem - w przypadku gdyby w ciągu pół roku pojawiły się nowe przerzuty”. Zdaje się, że teraz również mamie zaświtało.

Z instytutu radiologii jedziemy wprost do kliniki dziennej. Wciąż nie mogę uwierzyć własnemu szczęściu. Jestem radosna jak skowronek i - zgodnie z moją szczenięcą naturą - natychmiast zaczynam szarżować. Pewnie dlatego otwieram drzwi energicznym szarpnięciem i wrzeszczę na cały korytarz: „Nie muszę być naświetlana! Wyobraźcie sobie, że nie potrzebuję żadnych naświetlań!”. Ale zamiast uśmiechniętych twarzy i życzeń szczęścia, których się spodziewałam, zbieram tylko sceptyczne kiwanie głowami i pełne dezaprobaty spojrzenia lekarzy pełniących dyżur.

„Po naszych długoletnich doświadczeniach w leczeniu choroby Hodgkina, wiemy z całą pewnością, że naświetlanie jest w większości przypadków po prostu konieczne. Kiedyś naświetlaliśmy, stosując dość wysokie dawki, które -nie da się ukryć - miały także długofalowe skutki uboczne.

330

Można jednak przeprowadzić takie naświetlanie znacznie mniejszą dawką. U niektórych pacjentów - zaznaczam jednak, że jest ich naprawdę bardzo niewiele - można całkowicie zrezygnować z naświetlań. Wydaje mi się wszakże, iż w przypadku Basi nie będzie to możliwe” - wyjaśnia nam spokojnie profesor Debatin, do którego trafiamy na samym końcu. - „Oczywiście, nie możemy zmusić nikogo do poddania się naświetlaniom. Basi też nie... Doradzam jednak stanowczo, aby mimo wszystko to zrobić. Szanowna pani, będę zupełnie szczerzy: z naświetlań można całkowicie zrezygnować tylko w bardzo wczesnym stadium choroby Hodgkina, jak również przy stosunkowo wczesnym i kompletnym zaniku komórek nowotworowych we wszystkich dotkniętych partiach organizmu. Poza tym, nie mamy jeszcze dostatecznej wiedzy, jeśli chodzi o leczenie tego nowotworu bez zastosowania naświetlań”. Mam nadzieję, że tym razem mama nie podda się presji profesora.

Mama

Rozbieżne opinie dwóch specjalistów są mi bardzo nie na rękę. Muszę przyznać, że ta różnica zdań budzi we mnie najwyższą niepewność. W końcu już w pierwszych tygodniach po postawieniu Basi diagnozy, musieliśmy z Klausem podpisać zgodę na kompleksową terapię, w tym również na naświetlania. Przy tej okazji dowiedziałam się również - na formularzu złożonego przez nas oświadczenia stało to czarno na białym - że radioterapia może również spowodować raka. Zwalczamy raka terapią wywołującą raka. Cóż to za idiotyczna zabawa, w którą bawią się tutaj z nami?!

331

Aby rozwiać nasze wątpliwości, profesor Debatin proponuje, aby przedyskutować zaistniałą sytuację z kolegami z Centrali Studiów w Lipsku. To rutynowe działanie, wyjaśnia profesor. W sytuacjach, w których nie ma całkowitej jasności co do sposobów leczenia chorego, jest w zwyczaju skonsultować się z konsylium onkologów, które podda dogłębnej analizie i omówi

wszystkie za i przeciw radioterapii. Chwilowo musimy zadowolić się takim rozwiązaniem. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko czekać.

Poniedziałek, 17 lutego 2003

Basia

Wciąż jeszcze nie mamy żadnej decyzji lipskiego gremium. Powoli zaczynam się niecierpliwić. Minał miesiąc, a my wciąż tkwimy w zawieszeniu. Cholery można dostać! Na początku byłam taka szczęśliwa, kiedy radiolog powiedział, że nie muszę być naświetlana. Trzy dni żyłam w przeświadczeniu, że przynajmniej to mnie ominie. Chciałam jak najszybciej wracać do internatu. Choćby natychmiast. Ale nalegania lekarzy z kliniki w Ulm, którzy uparli się na naświetlania, zachwiały moją niezłomną pewnością, że to już naprawdę koniec leczenia. Wszyscy rozmawiali tylko z mamą, zapominając, że to ja jestem tutaj główną zainteresowaną. To było naprawdę strasznie wkurzające, te niekończące się dyskusje poza moimi plecami. Nikt nie wydawał się zainteresowany tym, jak ja się czuję albo czego chcę. Tylko mama zapytała mnie, co sądzę na ten temat. Przy okazji dała mi radę, żebym zajrzała w głąb siebie i posłu-

332

chała swojego wewnętrznego głosu, tak jak to zawsze robiłyśmy podczas chemioterapii. Kiedy mój głos mówił mi, że czuję się na tyle dobrze, żeby iść do kina, domu towarowego albo na jakąś imprezę, wtedy zawsze to robiłyśmy.

„Uszanuję twoją decyzję, bez względu na to, jaka ona będzie, Basiu” - obiecała mi mama. - „No więc dobrze -nie chcę być naświetlana” - wyrzucam z siebie jak karabin maszynowy. Ale im dłużej zastanawiałam się nad tym wszystkim, tym bardziej stawałam się niepewna. W końcu nie chodziło przecież o wybór koloru sukienki... - A jeśli jednak, mimo wszystko, coś tam jeszcze czai się w tle? Jakieś wyjątkowo perfidne draństwo? Schowane w takim miejscu, do którego nie dociera aparatura medyczna i mikroskopy? Przecież El-mer wspominał o takiej możliwości. Z pewnością byłoby więc rozsądniej, gdybym powściągnęła swoją niecierpliwość i wytrzymała jeszcze dwa tygodnie. Cóż może znaczyć głupie czternaście dni, kiedy stawką jest moje życie?

Po trzech dniach namysłu oświadczam mamie, że chcę być naświetlana.

Tydzień później siedzę u pani Gampert. Oczywiście, już na wstępie opowiadam jej o moich rozterkach i wątpliwościach dotyczących radioterapii. Moja terapeutka spogląda na mnie z uwagą, a potem prosi mnie, żebym mocno się zastanowiła i zajrzała w głąb swojej duszy. Czuję tylko opór i niechęć. Nie chcę dłużej zajmować się swoją chorobą, mam tego dość! Zaraz po sesji oznajmiam mamie, że jeszcze raz przemyślałam gruntownie całą sprawę, że posłuchałam również głosu mojej intuicji i zmieniłam zdanie - nie chcę poddać się naświetlaniom.

333

Mama eksploduje: „Do diabła, zdecyduj się wreszcie na coś i nie mów mi każdego dnia co innego! Dość tego moja panno!”.

Co takiego? Czy ja dobrze słyszę? Czy teraz również moja mama staje przeciwko mnie?

Wybucham głośnym płaczem. Mama i ja byłyśmy tak zagubione, bezradne i zestresowane, że naprawdę nie mogłyśmy wymyślić nic mądrego. Również gremium ekspertów z Lipska jakoś nie spieszyło się z podjęciem ostatecznej decyzji. A ja tymczasem błąkałam się po domu jak znudzony mops...

Jedynym jasnym światełkiem w tych okropnych dniach był telefon z „Sunshine kids”: ZDF (drugi program telewizji niemieckiej) chce nakręcić o mnie reportaż na zlecenie telewizyjnego programu dla dzieci „Logo”.

W naszym domu zapanował nieopisany rwetes, ponieważ pani redaktor kazała nam jak najszybciej zorganizować całą masę rzeczy. Tak więc, po pierwsze chciała kręcić zdjęcia w klinice, później w salonie fryzjerskim, w którym owego pamiętnego sierpniowego dnia

wymogłam na Annemarii, żeby ogoliła mnie na zero, później jeszcze jedną scenę z moją przyjaciółką Mel, i oczywiście wszystko co tylko możliwe z mamą i ze mną. W naszej kuchni, w ogrodzie, w sypialni...

Muszę przyznać, że była to dla nas nadzwyczaj miła odmiana, nawet jeśli zespół filmowy zjawił się u nas czwartego lutego. Był to dzień, w którym w naszym miasteczku, zupełnie nieoczekiwanie, zapanował śnieżny chaos. W życiu nie widziałam takiej śnieżycy. To było niesamowite. Utknęliśmy w śniegu na wzgórzach Biberach, zgubiliśmy się i pojechaliśmy nie tam, gdzie trzeba. Mimo to - a może właśnie z powodu tej nieoczekiwanej zmiany planu - wszystkim dopisywały humory, a ja byłam bardzo szczęśliwa, że choć przez chwilę znów się znalazłam w centrum uwagi.

334

Czwartek, 20 lutego 2003

Mama

Tak dalej być nie może! Mam wrażenie, że przeciążyłam Basię, że zbyt dużo od niej wymagałam, pozostawiając jej podjęcie decyzji o naświetlaniu. Właściwie to chciałam tylko, aby poczuła się panią własnego ciała. W głębi duszy miałam nadzieję, że moja mądra córka zdecyduje się ostatecznie na radioterapię. Jej wahania, w zależności od nastroju, męczą zarówno mnie, jak i ją samą. Z drugiej strony jednak doskonale Basię rozumiem. Domyślam się, co teraz przeżywa.

Basia jest zdenerwowana i chyba się nie myślę, że marzy już tylko o jednym - zamknąć ten straszny rozdział swojego życia, skończyć raz na zawsze z historią swojej choroby. Ale w jaki sposób mamy podjąć decyzję, kiedy nawet doświadczeni specjaliści kłócą się na ten temat?

Dlatego siedzę teraz przy komputerze i piszę maila:

Kochana Gabrielo,

Mam nadzieję, że nowy rok rozpoczął się dla ciebie pomyślnie. Jeśli chodzi o nas, to po 7 stycznia - tego dnia Basia miała ostatnią chemię — wszystko zmierza ku lepszemu. W perspektywie mamy jeszcze naświetlania, co do których lekarze nie są, niestety, do końca zgodni. Ostatnie badania wykazały, że w lewym płucu Basi jest jeszcze widoczny niewielki cień. Aby mieć całkowitą pewność, że jej zdrowiu nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo, moja córka chce mimo wszystko poddać się radioterapii.

Równoległe do naszej duchowo-psychicznej pracy, która według mnie w istotnym stopniu przyczyniła się do jej wy-

335

leczenia, chciałabym, aby te naświetlania wspomagała medycyna alternatywna. W związku z tym pragnę zapytać Elmera, do kogo mamy się teraz zwrócić. Znam wprawdzie kilku doświadczonych terapeutów, ale nie bardzo wiem, na którego z nich się zdecydować.

Ponieważ Basia i ja mamy wielkie zaufanie do Twojej pracy, jak również do komunikatów Elmera i jego pomocy w ogóle, chciałabym Cię prosić, abyś zasięgnęła jego rady w tej kwestii.

Zaledwie zdążyłam wysłać tego maila, dzwoni telefon. Idę do kuchni i podnoszę słuchawkę. Dzwonią z kliniki: kolegium w Lipsku potwierdziło propozycję kliniki dziecięcej w Ulm odnośnie radioterapii. Basia powinna być zatem naświetlana. Ale zamiast przewidywanych piętnastu dni, tylko jedenaście.

Kiedy przekazuję Basi tę wiadomość, wzrusza tylko ramionami: „Najważniejsze, żeby jak najszybciej zaczęli. Chcę to już mieć za sobą, dosyć się naczekałam!”.

„Właśnie wysłałam maila do Elmera; czy mam cofnąć pytanie dotyczące naświetlań?” - pytam córkę. Basia zastanawia się tylko przez moment, a potem mówi stanowczo: „Nie, chcę wiedzieć, co powie Elmer. A do tego czasu będziemy stosować się do zaleceń lekarzy”. Ton jej głosu mówi mi wszystko. Nie muszę pytać, co się stanie, jeśli Elmer będzie przeciwny naświetlaniom.

336

Poniedziałek, 24 lutego 2003

Basia

Przysła wiadomość od Elmera. Krótka i tym razem również dla mnie całkowicie zrozumiała: Czy naświetlania są konieczne - czy to musi być?

Tak, to powinno być zrobione, nawet gdyby dawka napromieniowania bardzo zjechała w dół. Już raz zwrócono uwagę kochanej ziemskiej istoty Basi, że te obszary tkanki, które wcześniej były zaatakowane, jeszcze nie do końca są „czyste”.

Nawet jeśli kochana ziemska istota Basia w znacznym stopniu wyszła już z obszaru zagrożenia, to nadal istnieją miejsca, na których mogą jeszcze znajdować się narośla lub polipy, i właśnie dlatego należy rozpocząć naświetlania.

W tym miejscu należy również zauważyć, że kolejne naświetlania już nie niszczą, a raczej oczyszczają, żeby na nowo odbudowywać. Obszary tkanki są stabilne, jednak nie na tyle stabilne, żeby można było obyć się również bez naświetlań. Powinno się zatem powziąć ten krok! Będzie to, jak to już teraz widać, również ostatni krok tego rodzaju.

Który z lekarzy powinien wspomagać Basię homeopatycznie podczas radioterapii?

Wspomniani lekarze są wszyscy bez wyjątku dobrzy, ponieważ w swojej pracy uwzględniają również obciążenie psychiczne, nawet jeśli każdy z nich preferuje inne metody działania i środki. Wszyscy są empatyczni i skoncentrowani na tym, aby obciążenie utrzymać na możliwie niskim poziomie - nawet jeśli sposoby ich postępowania przedstawiają się w zróżnicowany sposób.

337

Kochana ziemska istota Basia powinna zrobić, co następuje: wszystkich wymienionych lekarzy wypisać na osobnych karteczkach, potem te karteczki odwrócić na drugą stronę i starannie przemieszać. Teraz kochana ziemska istota Basia powinna położyć rękę na wszystkich karteczkach po kolei, te zaś zaczną się lekko kołysać, a wtedy ona będzie natychmiast wiedzieć, przy której karteczce odczuwa najwięcej sympatii, wsparcia i ciepła. Według tego powinna zdecydować.

Chodzi tutaj o to, żeby energetyczne drgania kochanej ziemskiej istoty Basi współgrały z lekarzem (jako osobą -niejako lekarzem!) -jest to również doskonałą okazją, aby kochanej ziemskiej istocie Basi zwrócić uwagę na jej intuicję, która jest bardzo, bardzo piękna i dobra. Za tym stoi również: jeśli sama podejmie decyzję, aby wszystkie jej energie płynęły w kierunku samowyleczenia - wówczas ten proces powinien odbywać się na czysto intuicyjnej płaszczyźnie. Dziękuję, Elmer.

Oddycham z ulgą. Mimo wszystko jestem bardzo zadowolona, że zasięgnęłyśmy rady Elmera, i że on również opowiada się za naświetlaniami. W dniach, w których czekałyśmy na jego odpowiedź, naprawdę miałam niezłego pietra przed dyskusją z lekarzami, w przypadku gdyby Elmer był przeciwny naświetlaniom.

Czwartek, 27 lutego 2003

Basia

To już dzisiaj, nareszcie! Obie z mamą jedziemy do instytutu radiologii, żeby mnie „wymierzili”.

338

Profesor wyjaśnia nam, że „z najwyższą precyzją naświetla się wyłącznie te miejsca, gdzie występowały guzy”. Najpierw muszą wykonać szablon mojego ciała, żeby potem móc przyciąć z niego metalowe płytki nieprzepuszczające promieniowania.

Ten dzień zapamiętam jako jeden z najgorszych w całym moim życiu. Nie wiem nawet, czy nie gorszy niż ten, kiedy leżałam w tej okropnej arktycznej rurze. Cały zespół rzuca się na mnie jak dziki. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Na początku zostaje sporządzona gipsowa maska, odlew mojej głowy. Wygląda mniej więcej tak jak maska do szermierki,

tylko z większymi dziurami. Potem dopasowują mi tę maskę, a następnie zostają przypasana do leżanki -oczywiście z maską na głowie. W efekcie tego zabiegu jestem całkowicie unieruchomiona. Straszne uczucie; wydaje mi się, jakbym znajdowała się w jakiejś komorze tortur, z której w żaden sposób nie mogę uciec. Wypukłość na karku uciska jak diabli. Potem mierzą mnie od stóp do głów. Okropnie boję się tatuowania. Za pomocą igły umaczonej w atramencie robią mi na skórze małą kropkę, która nigdy już nie zejdzie, chyba że wywabi się ją laserem. Ale o tym powiedzieli mi dopiero wtedy, kiedy już leżałam z tą głupią maską na głowie. Przypięta szerokimi pasami do leżanki, czuję się kompletnie bezradna. Boli mnie kark i z każdą chwilą robię się coraz bardziej wściekła. W którymś momencie zaczynam szlochać. Hej, Elmer, dlaczego mi to robisz?

Czuję, że jestem u kresu sił. Dlaczego zgodziłam się na te naświetlania - złość się w duchu na swoją głupotę. Nie mogę i nawet już nie chcę z nikim rozmawiać, a tym bardziej prosić o zmiłowanie. Wciąż na nowo słyszę szczere zapewnienia: „Zaraz skończymy”. Ale to trwa i trwa.

339

Aparat do naświetlań wygląda jak niezwyklej wielkości wrzeciono. Podczas całej procedury wisi nade mną niczym wielkie, potworne UFO. Metalowe płytki, które zostały wykonane wcześniej, służą ochronie moich zdrowych części ciała - wyjaśnia profesor. Ale to wcale nie ułatwia mi całej sprawy - i tak czuję się okropnie!

Wreszcie, po upływie dwóch i pół godziny, mogę wyjść z tej katowni. Jestem wściekła na cały świat, miotam pod nosem najgorsze przekleństwa, a potem, z żalu i bezsilnej frustracji wybucham głośnym szlochem. Najchętniej rzuciłabym się z pięściami na wszystkich po kolei i zatłukła bez litości każdego z tych katów w białych kitlach.

Jestem również obrażona na Elmera i bardzo, bardzo rozczarowana. Kto jak kto, ale on na pewno wiedział, że te naświetlania nie są wcale takie „łatwe i przyjemne”, ale wiążą się z okropnymi mękami. Dlaczego mnie do tego namawiałeś, zżymam się w duchu na swojego anioła.

Ale już po upływie godziny proszę go o wybaczenie. Cała złość ulotniła się jak kamfora. Cóż znaczy te kilka krótkich, śmiechu wartych „męczarni” w obliczu niebezpieczeństwa powrotu raka?

Czwartek, 6 marca 2003

Basia

Dzisiaj rano jadę na pierwsze naświetlanie. A wieczorem idę z mamą na casting!

340

Mama

W czerwcu tego roku w Bad Schussenried odbędzie się wielka wystawa zorganizowana z okazji 200-lecia przejścia dóbr kościelnych. W 1803 roku wiele klasztorów zostało odebranych Kościołowi, a następnie przekazanych przez Napoleona tutejszej szlachcie, jako swego rodzaju rekompensata za zajęcie landu. Również klasztor Schussenried został odebrany Kościołowi. Z okazji tego historycznego wydarzenia wygrzebano sztukę z tamtych czasów i polecono jakiemuś autorowi scenariuszy przerobić ją na bulwarową komedię. Pod zmienionym tytułem „1803: Czasy panów”, sztuka ta ma być teraz wystawiona na wspomnianą okoliczność. Do udziału w niej zostali zaproszeni zarówno profesjonalści, jak i amatorzy. Przedtem jednak odbędzie się wielki casting, na którym wyłonią odtwórców wszystkich ról.

Dla Basi i dla mnie to niesamowita sprawa: móc uczyć się i grać pod kierunkiem profesjonalnej reżyserki z Państwowego Teatru w Stuttgarcie. Takiej szansy nie możemy zaprzepaścić!

Wreszcie miałybyśmy okazję wypróbować w praktyce wszystko to, czego w ostatnich trzech miesiącach nauczyłyśmy się na moim, o, przepraszam - na naszym kursie aktorskim. Basia

ma dzisiaj wprowadzić pierwsze naświetlanie, ale oczywiście też chce pojechać ze mną na casting.

Basia

Naświetlanie przed południem potrwa tylko dziesięć minut. Tak w każdym razie zapewniają mnie lekarze. Tylko czy aby na pewno mogę im wierzyć? Strasznie się boję tego za-

341

biegu, a poza tym w dalszym ciągu jestem obrażona na cały świat. Markotna i zła, wchodzę do gabinetu. Najpierw muszę obnażyć górną część ciała, a potem znów zostaję przymocowana pasami do tej niewygodnej, twardej leżanki, żebym nie mogła się poruszać - oczywiście z gipsową maską na twarzy. Wyjaśnili mi, że każde miejsce będzie naświetlane tylko cztery do pięciu sekund. Brzmi nie najgorzej. Ale już po chwili znów muszą popsuć mi humor, wbijając do głowy jak jakiemuś połidocię: koniecznie, ale to koniecznie zamknąć oczy, ponieważ od naświetlania można oślepnąć. Boże, ratuj! Podczas całego zabiegu w wielkiej panice zaciskam powieki, chroniąc swój cenny narząd wzroku, którego nie chcę przecież utracić. Każda wiązka promieniowania poprzedzona jest strasznie głośnym sygnałem ostrzegawczym.

Z prawdziwą ulgą padam mamie w ramiona, kiedy wreszcie mam już to za sobą. „Zostało mi jeszcze dziesięć naświetlań. Dam sobie radę, spokojna głowa!” - zapewniam ją z zapałem. Wszystko wydaje się tutaj takie niewinne, nic nie śmierdzi i nawet nie czuje się ciepła. Mama odpowiada: „Zupełnie jak w Czarnobylu. Człowiek nie ma zielonego pojęcia, co się z nim dzieje. Całej prawdy dowiaduje się dopiero wtedy, kiedy jest już za późno...”.

Nie chcę teraz słuchać czegoś takiego. Wisielczy humor mamy, za którym wprost przepadam, tym razem wydaje mi się zupełnie nie na miejscu. Dzisiaj mogę myśleć tylko o jednym - o czekającym mnie wieczorem castingu, na który niesamowicie się cieszę!

Jest to casting otwarty dla półprofesjonalistów i dla amatorów. A właściwie do jakiej grupy powinniśmy się z mamą zaliczać? Wszystko jedno, grunt, że tutaj jesteśmy. Wszyscy

342

chętni będą zapraszani na scenę, aby zaimprovizować scenkę opisaną z grubsza przez panią reżyser: kłótnię, rozmowę z szefem, jazdę autobusem, łapanie wyimaginowanego motyla. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie robi mi się słabo. Moje ruchy stają się coraz powolniejsze. Mam duże kłopoty z wykonaniem zadanych nam ćwiczeń. Mama natychmiast spostrzega, że coś jest nie tak. Podchodzi do mnie i szepcze: „Co się z tobą dzieje?”. - „Czuję się koszmarnie i potwornie boli mnie głowa. Muszę na chwilę usiąść”.

Siedzę na krześle, przyglądając się z zazdrością ludziom na scenie, którzy dwoją się i troją, żeby wypaść jak najlepiej i „załapać się” na przedstawienie. Jestem wściekła na siebie i swoją niespodziewaną niedyspozycję. Cholera, dlaczego właśnie teraz musiałam się źle poczuć?

Reżyserka na pewno mnie nie przyjmie, to jasne jak słońce. Na co jej taka „ofiara losu”? Nie do wiary, z chemioterapią poradziłam sobie niemal bezproblemowo, a teraz moje ciało kapituluje przy tych głupich naświetlaniach? Nie mogę tego pojąć i za nic w świecie nie chcę się do tego przyznać. Muszę coś wymyślić! Ale co bym nie robiła, jak bym nie próbowała się zmotywować, nic mi z tego nie wychodzi. Autosugestia zawiodła na całej linii. Czuję się okropnie.

W drodze do domu jestem cała przygnębiona. Czuję się jak zawodnik-ofierma, który na wielkich zawodach zajął ostatnie miejsce. - „No nie, ja chyba tego nie przeżyję! Nie będę mogła wziąć udziału w tym przedstawieniu, bo wycofałam się w połowie castingu” - uskarżam się głośno na mojego pecha. Znów, po raz kolejny choroba rzuciła mi kłodę pod nogi, przeszkadzając w urzeczywistnieniu mojego wielkiego marzenia: wreszcie otrzymać szansę, aby stanąć na wielkiej scenie.

343

Piątek, 7 marca 2003

Mama

Basia niepotrzebnie się martwiła. Dzisiaj po południu zadzwoniła Tinę, reżyserka. Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę: chce mieć nas obie w swoje sztuce!

„Musicie wziąć się w garść, moje panie. Od poniedziałku biorę was ostro do galopu. Czekają was ciężkie tygodnie -wkuwanie tekstu, próby, przymiarki kostiumów... Premiera wypada w Zielone Świątki. Czyli mamy osiem tygodni, żeby postawić wszystko na nogi" - ostrzega. Rzucam słuchawkę i pędzę do pokoju Basi. Kiedy moja „półprofesjonalistka" słyszy tę radosną nowinę, przez chwilę patrzy na mnie w osłupieniu, a potem wybucha głośnym płaczem. A ja płaczę razem z nią.

Środa, 19 marca 2003

Mama

Basia czuła się tak źle tylko po pierwszym naświetlaniu. Kolejne zabiegi moja dziewczynka zniosła całkiem dobrze. Z jednym wyjątkiem: raz na dzień wymiotowała w kompletnie nieprzewidywalny sposób. To było jak rytuał. Wprawdzie zdążyliśmy się już odzwyczaić od jej wymiotów, ale te obecne, zupełnie niespodziewane, nie były aż takie złe, ponieważ - na całe szczęście - nie towarzyszyły im nudności. Basia mogła wstać od stołu w środku jedzenia, iść do toalety, zwymiotować, po czym wrócić do kuchni i dokończyć posiłek.

344

Dzisiaj Basia jedzie na swoje ostatnie naświetlanie. A ja mam urodziny. Cóż to za niezwykły zbieg okoliczności! Późnym popołudniem spotykamy się całą naszą paczką -rodzina i przyjaciele - u „Wiley'sa", aby świętować obie te okazje.

EPILOG MAMY

W środę, 2 kwietnia jeszcze raz odwiedziłyśmy klinikę. Basia pożegnała się ze swoim „Hugo Hicmannem", który został ostatecznie usunięty z jej ciała. Tylko mała blizna na brzuchu przypomina Basi o jej wiernym towarzyszcu niedoli.

Tygodnie, które potem nadeszły, wypełnione były Pr^o-ba i dyskusjami, ponieważ Basia uparła się, żeby koniecznie wrócić do internatu, a równocześnie nie chciała rezygnować z prób teatralnych. Nie byłam w stanie wozić jej codziennie do szkoły i z powrotem do internatu.

Zbyt długo moje zawodowe pole leżało odłogiem. Nadszedł czas, żebym znów zaczęła pracować na pełnych obrotach. Powoli budziła się we mnie panika, mająca ścisły związek z naszą dalszą egzystencją. Poza tym, z dnia na dzień rosło we mnie poczucie, iż Basia żyje w przeświadczeniu, że wszystko będzie tak jak podczas jej choroby: ona pstryknie palcami, a ja - dobra i kochana mamusia - zrobię dla niej wszystko, co tylko możliwe. Granie w teatrze, internat i mama jako szofer. Moja córka-tyran: macie robić to, czego ja sobie życzę, bo w przeciwnym razie znów zachoruję. I co wtedy?

Ma się rozumieć, w ciągu dnia nieustannie uskarżała się na nudę, ponieważ próby odbywały się tylko wieczorami. Jeśli chodzi o mnie, to znów znalazłam się w ślepym zaułku. Czułam, że dłużej tego nie wytrzymam; gromadzony

347

przez wiele miesięcy stres w każdej chwili groził wielkim wybuchem. Nic takiego jednak się nie stało.

Po feriach wielkanocnych, w poniedziałek 5 maja, Basia wróciła do internatu i nie posiadała się ze szczęścia. Ale to szczęście okazało się, niestety, złudne. Pod koniec roku szkolnego moja córka stwierdziła, że inaczej wyobrażała sobie swój pobyt w internacie, i że w żaden sposób nie może się uporać ze swoją tęsknotą za domem. Dlatego od września 2003 idzie znów do swojej starej szkoły w Bibe-rach. Kiedy na nią patrzę, w głębi duszy nie mogę się nacieszyć, że moja dziewczynka przeszła taką metamorfozę: z szarej myszki, która zawsze i wszędzie starała się być grzeczna i miła, stała się bezczelną nastolatką.

Po naszym chwalebnym występie na „wielkiej scenie” i wszystkich tych małych i większych radościach, jakie miałyśmy w tym czasie, otworzyłam swój nowy gabinet fizjoterapii, osteopatii i medycyny naturalnej. Staram się pracować bardziej aktywnie, z naciskiem na ruch i „akcję”.

Regularne badania kontrolne, na które jeździmy co sześć tygodni, nie są podszyte strachem. Dają nam one pewność, że zawsze będzie można szybko zareagować, w przypadku gdy lekarze znów mieliby coś znaleźć. Codziennie modłę się do Boga, żeby niczego już nie znaleźli.

Basia do tej pory nie ma zmian chorobowych. Lekarze twierdzą jednak, że o całkowitym wyzdrowieniu można mówić dopiero wtedy, gdy przekroczy się magiczną granicę pięciu lat.

Biberach, czerwiec 2004 Claudia Dussler

348

Basi ciasto na zdrerwie

To, co przeczytaliście, napisało życie, ale wcale nie musicie w to wierzyć! To są moje zupełnie osobiste wyznania wiary, a wy nie jesteścifi^zobowiązani, by je przyjmować.

Tak często słyszę pytanie: „Rak? W jaki sposób udało ci się go pokonać?”.

Prawda jest taka, nie ma żadnej cudownej recepty, żadnego patentu. Nie mogę jednak nie wspomnieć o kilku rzeczach, w które trzeba się zaopatrzyć, jeśli naprawdę chce się wyzdrowieć. Oto one:

„Ciasto na zdrowie

Składniki:

1 albo więcej łyżek stołowych wiary jwsiebic

1 łyżeczka do herbaty wisielczego] humoru

1 miska „prawdziwej radości życis

szczypta egoizmu”

szczypta przekory

Całość miesza się starannie z dużą ilością miłości i zagniata wedle uznania, to znaczy tak długo, jak uznacie, że należy je zagniatać!

Gotowe!

349

Ale ja nie wierzę, że to już wszystko! JA mocno wierzę w to, że każdy z nas jest w pewien sposób odpowiedzialny za swoją chorobę, że sam ją wywołuje. Nie ma to oczywiście nic wspólnego z jakąś tam winą, jednak ja wierzę, że każdy człowiek na ziemi, który otrzymuje „w prezencie” tak straszną chorobę jak moja, jest również bardzo smutny albo ma problemy. ^____?

Przykład: wieczne tłumienie uczu^Kiedyj)sychika jest_ do tego stopnia obciążona lub raczej - napakowana, że nie może przyjąć już żadnego nowego ładunku, wtedy rozlewa wszystko po organizmie! I organizm zaczyna chorować... Zależność między ciałem a duchem jest po prostu niesamowita, w każdym razie ja mocno w to^yiefzc? Niektórzy -z WasT-ezytającLle .słowa, _p©myśleli--«apewneT~teehane dziecko, chyba całkiem ci odbiło! Przecież nikt nie chce umierać z rozmysłem!

Ja oczywiście nie mogę się wczuć w innych, przeniknąć ich myśli i powiedzieć z całą pewnością, czy oni chcą umrzeć, czy też nie, ale jeśli mam być szczerą, to powiem tak: leżąc w klinice z ostatnim stadium choroby Hodgkina, czasami naprawdę chciałam umrzeć.

Straciłam wszelką ochotę do życia i byłam kompletnie wykończona. Nie tylko z powodu choroby, ale też dlatego, że nie miałam już ochoty w dalszym ciągu się maskować i udawać kogoś innego, niż naprawdę jestem. Równocześnie jednak mocno wierzyłam, że tylko wtedy, gdy nakładam swoją „maskę”, zasługuję na miłość, że tylko taką można mnie lubić i

szanować. Dzisiaj też mam z tym jeszcze trochę problemów, dlatego muszę nieustannie nad sobą pracować, żeby Jayc sobą^o^_goczą-__ ku do końca.)

350

die przyszła taka chwila, kiedy mimo wszystko, mimo cierpienia i poczucia totalnej beznadziejności, zaczęłam stawia^ opór, zaczęłam-się-jaJ^mLsprzeciwiać. Zaczęłam -znowu kochać życie! I/dzisiaj jestem tak szczęśliwa, że aż sama~0ie nroge~w-te-owierzyć. I taka dumna, że się przełamalaś ze dałam sobie jeszcze jedną szansę na to, aby zacząć od nowa poznawać życie!

Biberach, w lipcu 2004 Basia Dussler